

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Julian Ursyn Niemcewicz

**PAMIĘTNIKI CZASÓW
MOICH**

Tom I

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZEŚĆ PIERWSZA

D. 2 listopada 1823, w 51 lat po wzięciu przez kofederatów
Stanisława Augusta

Epigraf

*...quo fit, ut omnis
votiva pateat veluti descripta tabella
vita senis.*

Horat.

Rozdział pierwszy

Dzieciństwo

Słusznie zaiste zajmować nas powinny pamiętniki mężów, którzy, urodzeni w potężnych mocarstwach, talentami, bogactwy, sławą przodków na koniec wzniosłszy się na pierwsze miejsca, wślawili się orężem lub radą, uczestnikami, sprawcami nieraz byli wielkich i znakomych czynów; imiona ich powiązane są z losami tych mocarstw, lecz i zapisywania skromnego obywatela kraju skazanego od przedwiecznych wyroków na podejsia, zdrady, uciski, na ostatnią na koniec zagubę, wspomnienie obywatela, co przez 67 lat patrzył na nieprzerwany ciąg klęsk publicznych, co i w prywatnym życiu niewiele dni widział pogodnych, nie będą może bez smętnych dla dusz tkliwych powabów. *Sunt lachrymae rerum, et mentem mortalia tangunt.*

Od dawna uprzedzeni przyjaciele nagłą na mnie, bym te pamiętniki rozpoczął: „Tyleś – mówią oni – przez długie życie twoje widział zdarzeń, na tyle patrzył odmian (nie tylko w politycznych zdarzeniach, lecz i w obyczajach przez tyleś przechodził kolei), iż dosyć jest, byś to szczerze i po prostu opisał, byś i nam, bardziej jeszcze późniejszym, uczynił przysługę”

Za późno podobno staję się posłusznym naleganiom ich, za późno zabieram się do tej pracy, stępiony wiekiem i dolegliwościami; i umysł, i pamięć w mglistym tylko świetle kreślą czasy upłynione od lat tylu; pomarli krewni, przyjaciele, rówiennicy wieku, ci, co by mi dawne czasy przypomnieć mogli; pozostały sam jeden, z myślą, co się więcej w nieznannej wieczności jak w smętnie upłynionych latach zagłębia, pisać będę, co słabe przypomnienia podadzą.

Zwyczajem jest piszących zaczynać pamiętniki swoje od wywodzenia rodu ich. Ciekawych tego odsyłam do herbarzów: Kojałowicza szlachty litewskiej, Niesieckiego, Duńczewskiego etc.; to tylko namienię, iż przodkowie moi, acz dawni i majątni, równie jak ja nie cisnęli się do wielkich dostojęństw i urzędów, przestając na posługach w województwach swoich, na szacunku współziomków, staraniach i szczęściu domowym. Jedyłą ich ambicją było zachować przydomek Ursynów, twierdząc, iż go odziedziczyli od Juliana Ursyna, co z Palemonem przyszedł do Litwy.

Urodziłem się d. 16 lutego r. 1758 z Marcelego Ursyn Niemcewicza i Jadwigi z Suchodolskich, w Skokach nad rzeczką Lśną, w województwie brzeskim litewskim. Dziad mój, Aleksander Niemcewicz, wypuścił był tę wieś ojcu mojemu, sam mieszkając w Klenikach. Pamiętam dom niewielki, drewniany, w którym światło ujrzałem, a któren dziś już jest rozebrany. Miło mi jest w starości przywozić sobie na pamięć wszystkie szczegóły miejsc urodzenia mego. Dom ten podług dawnego zwyczaju polskiego był z gankiem; z tego wchodziło się do sieni; wokoło na ścianach jej wisały wieńce pracowitych żniwiarzów, kaliną i bławatkami przeplatane. Z tej sieni na lewą rękę wchodziło się do pokoju, wybitego ciemnym obiciem. Dwa obrazy, kopie Carlo Dolce Pana Jezusa i Matki Boskiej pastelą malowane za szkłem, stołki i stolik orzechowy izby tej były ozdobą; z tej wchodziło się do sypialnego rodziców moich pokoju, z którego prowadziły jedne drzwi do dziecinnego, drugie do dużego pokoju, do przyjęcia. Był to, jak dziś mówią, obszerny salon z dużym zwierściadłem, z wysokimi krzesłami, pozłacaną skórą, wyrażającą ptaki dziobiące winne grona, obitymi; obicie ciemnokarmazynowe, kilka stolików i nic więcej. Drzwi z salonu tego uboczne prowadziły do małej sionki, po lewej ręce była apteczka, pełna wódek, kordiałów, tłuczeńców, pierników, ajeru, konfitur pędzonych i smażonych przez matkę moją i pannę służącą Chajęcką; po prawej stro-

nie korytarz, prowadzący do pokoju ojca mego i drugich dwóch, później przybudowanych, dla synów. Po prawej ręce wielkiej sieni był pokój z alkierzem dla gości. Dziedziniec z bramą ogrodzony sztachetami, oficyna kuchenna, dalej folwark, spichlerz, stodoły, obory i gumna. Przy domu ku zachodowi wchodziła furtką do ogrodu. Nie było tam ni krytych ulic, ni klombów angielskich. Niewiele drzew owocowych, kilka kwater, bukszpanem, bożym drzewkiem, szałwią, rutą, irysami i innymi kwiatami i krzewami zasadzonych. Pamiętam dobrze te kwiaty, te krzewy. Miałem bowiem lat cztery, gdy nieodżałowany brat mój Jan urodził się; gdy go zobaczył i pytał, skąd się on wziął, zaprowadzono mnie do ogrodu i pokazując krzak gęsty irysów i piwonii powiedziano, iż bocian przyniósł Jasła i między tymi kwiatami położył. W rogu domu była dawna grusza sapieżanka; był to dla nas dzień godowy, kiedy ją otrząsano.

Niestety! jak państwa europejskie, tak i ta wieś moja rodzinna postać całkiem zmieniła. Rozebrano dom stary, wycięta zeschnęła latami grusza, przeszedł pług po ogrodzie, trawnikach, dziedzińcu. W innym miejscu postawił mój ojciec pałac murowany, lecz i on, i my szczęśliwsi byliśmy w drewnianym. Brat mój Jan na pamiątkę urodzenia naszego posadził dwa orzechy na miejscu, gdzie był dwór dawny.

Niech mi darują ci, co przypadkiem i nieprędko pamiętniki te czytać będą, że tyle w drobiazgi życia mego wchodzić będę; miło jest staremu cofać się w chwile dzieciństwa, nadto przyzwyczajony do pracowania piórem, pisać muszę, a gdy pod terażniejszą niepojętą trwogą rządzących pisać pożyteczniejszych i ważniejszych rzeczy nie wolno, niech choć drobiazgami zmierzchnię dni moich zatrudnię.

Niewiele wspomnień wczesnego poranku mego zostało w pamięci. Pamiętam jednak, że o mały pół milę wozili mnie rodzice do Klenik, gdzie osiemdziesiątletni dziad mój, Aleksander Ursyn Niemcewicz, mieszkał. Był to zawiedły starzec, latami już skurczony, lecz jeszcze czerstwy. Dwór klenikowski, w trójnasób obszerniejszy od skokowskiego, przed stem lat budowany był z rdzeni jodłowego drzewa; komnaty jego obszerne i wysokie, położenie na wzgórzach, nad samą Lśną, ciemne lasy okrażały horyzont.

Raz gdy z rodzicami i małym bratem moim Janem pojechaliśmy do Klenik, już tam zastaliśmy stryja mego, Franciszka Ursyn Niemcewicza z Nepel, sędziego brzeskiego, z żoną i czworgiem dzieci: Stanisławem, Ignacym, Marcelą i Eleonorą. Był to obiad rodzinny, na którym barszcz zabielały, flaki, pieczenia huzarska i inne podobne przysmaki figurowały. Po obiedzie dziad mój, widząc się tak licznie w pokoleniu swoim odradzającym, każdemu z wnuków darował po dwa tysiące i poszedłszy do pobocznego pokoju, gdzie były skarby jego, wyniósł worki i wraz 12 000 tynfów wyliczył. Mówiono o gospodarstwie; dziad mój wyniósł próbę pędzonej u siebie okowitki, a na dowód, jak mocna, nalał ją na posadzkę i zapalił. Z jakimże zadziwieniem w 40 lat, po pierwszym powrocie moim z Ameryki, gdy siostrę moją Krassowską odwiedzał w Klenikach, znaki wypalenia tego jęczmienia znalazł w podłodze i jeszcze tam trwają.

Dziad mój, urodzony w r. 1681, jeszcze króla Jana zapamiętał; za Augusta II służył w znaku pancernym i z stroną króla Stanisława Leszczyńskiego trzymał. Lubił opowiadać o utarczkach swoich z Sasami. „Raz – mówił – zagnaliśmy Niemców aż pod Neple (również dziedziniec dobra jego); zapędziłem się zbytnie, otoczony i pojmany byłem. A że dwór nepelski, gdzie nieprzytomny ojciec mój, Andrzej, mieszkał, był niedaleko, tam mnie zaprowadzono. Radzi sobie byli Niemcy jak gdyby u siebie.

Podchmieliwszy głowy, zaczęli na fryzach swoich harcować. Choć jak jeniec pilnie strzeżony, rzekłem do nich: «Gdybyście mi pozwolili wsiąść na konia mego, dopiero byście postrzegli, co to koń dobry»; zezwoliły Niemcy, wsiadłem, dość wysoki parkan opasywał dziedziniec. Zacząłem wspinać się, puszczać w zawód, zatrzymywałem na miejscu; pobawiwszy nieco Niemców, raptem od ganku puściłem się w cwał, przesadziłem przez parkan, i tyle mnie

widziano” Pokazywał nam jeszcze pancierz swój, sajdak z strzałami i łuk, dodawał, że znał jeszcze w Brześciu dwóch rzemieślników, którzy łuki i sajdaki robili.

Dwór ojca mego, lubo był szczupły, uprzejma w nim atoli panowała gościnność: rzadki dzień bez gości. Matka moja, jedna z najlepszych, najcnotliwszych i najładniejszych w województwie naszym kobiet, lubiła towarzystwo. Najwięcej uczęszczające osoby do domu naszego były następujące: ksiądz Rogaliński, opat księży cystersów w Wistycach, prałat grzeszny i światowy; zwykł on był przyjeżdżać do Skoków na strzelanie w lot jaskółek. Wtenczas wynoszono na ganek butelki z węgrzynem i prałat z ojcem mym strzelali, kto lepiej. Szujski, starosta niżyński, z Terebunia, człowiek grzeszny, żona jego sławna z rzadkiej piękności swojej; uczęszczali często i my do nich. Tarkowski, syn Stefana Tarkowskiego, kasztelana brzeskiego litewskiego, Gabriel Bęklewski, wielki jowialista. Odwiedzała nas na święta babka moja po matce, Suchodolska, z domu Kocówna, podkomorzanka bełska, ubrana, jak widzimy portrety z siedemnastego wieku; nie zliczyłbym, gdybym chciał wszystkich wspominać.

Ledwie mogę zapamiętać, kiedym się czytać uczył; to tylko pamiętam, że w szóstym roku już gazety ojcu memu czytałem.

Wtenczas to odprawiała się misja w Brześciu. Ksiądz Obłoczyński, dominikanin, sławny kaznodzieja, jeszcze za życia *in odore sanctitatis* miany, ścigał niezliczone tłumy ludzi. Jeździli na te kazania i moi rodzice. Ksiądz Obłoczyński kazał z największym zapałem, w jednej ręce trzymając krucyfiks, w drugiej trupa głowę, straszyl i do pokuty wzbudzał; kazania jego miały czasem wyborny skutek. Gdy mówił o przebaczeniu uraz, gdy rozrzuconym wołał głosem: „Jednajcie się, darujcie sobie”, wychodzili z ławek obywatele od lat kilkunastu w zaciętej nieprzyjaźni żyjący, ściskali się ze łzami i jednali się. Ostry i dla siebie, martwiący się ustawicznie, był ks. Obłoczyński; odwiedzał on rodziców moich; skromność i wstrzeźliwość jego zadziwiała. Na śniadanie gdy mu dawano kawę, czwartą tylko część łał kawę, trzy zostające zamiast śmietanki dolewał ukropem. Gdy wyjechał, panna Chajęcka, panna matki mojej, czołgając się na kolanach całowała wszystkie ślady ścieżek, po których przechodził.

Życie pełne pracy i zmartwień skróciło dni tego, prawdziwie pobożnego kapłana; umarł nie bez podejrzeń, że go Żydzi otruli; te atoli podejrzewania żadnym nie stwierdziły się dowodem. Towarzysz jeden zaprzysiągł, iż widział Matkę Boską w obłokach zstępującą z nieba na przyjęcie duszy ks. Obłoczyńskiego.

Nie powinienem opuścić jednego w domu naszym w dzieciństwie moim zdarzonego przypadku. Był w domu naszym kucharz imieniem Jan, dobry i wesoły człowiek. Lubiliśmy go, często bowiem dawał nam ukradkiem pączki, powidła etc. Zwykł mawiać ze śmiechem, iż się nie boi piekła, gdyż, przyzwyczajony do ognia, czuć go w piekle nie będzie. Raz po obiedzie ujrzelśmy zajeżdżający wóz kryty i wysiadającego zeń jegomości, który list ojcu memu oddał. Zmieszał się ojciec czytając go: był to list od p. Pułaskiego, starosty wareckiego, dopominający się o Jana kucharza, jako poddanego tegoż Pułaskiego, zapowiadający ojcu kryminalny proces, jeśliby go nie wydał. Nie chcący kłótni, z żalem oddano Jana. Zaraz okuty i wywieziony został. Czyn tak okrutny boleśnie ścisnął dziecinne serce moje.

W roku 1764 w jesieni postrzegłem wielki ruch w domu ojca mego; rozmawiano o elekcji króla nowego, gotowano się do drogi, latały ustawiczne posłańcy do Rakowicy, gdzie mieszkał pan stolnik Tołoczko; skutkiem tych negocjacji było kupienie pięknego kasztanowatego konia, na którym ojciec mój miał króla nowego obierać. Tymczasem mój ojciec, obrany sędzią kapturowym (sądy te w czasie bezkrólewia zastępują wszystkie inne), ustawicznie jeździł do Brześcia.

Gdy już rząd suty, turkusami sadzony, dobrze przymierzony był na rumaka i dwóch pacholików na nowo ubranych, wyruszył ojciec mój na elekcję w kolasie z pajukiem Teodorem na tłumoku i chłopcem Zawistowskim na koźle; szedł za nim duży wóz kowany z pościelą i

kuchnią. Matka moja przez ten czas, wzięwszy mnie z sobą, wyjechała do babki mojej do Falatycz na Podlasie.

W kilka niedziel po elekcji przybył ojciec mój do Falatycz wraz ze szwagrem swym, panem Suchodolskim. Pierwsze słowa, co wyrzekł zdejmując swój kołpak, były: „Mamy też króla Piasta” Zapytałem, co się to znaczy, a ojciec mój wytłumaczył mi to dokładnie: szerzył się nad szczęściem, które obiecywał sobie dla kraju z króla rodaka, w czerstwości wieku, światłego i mającego najlepsze chęci. Ojciec mój, nim w starości niegodni imienia duchownych księży obłąkali umysł jego zabobonami, był światłym, wielce do ojczyzny przywiązanym obywatelem. Ubolewał on szczerze nad nieszczęsnym nierzędem i gnuśną obojętnością naszą, oplakiwał fatalne *liberum veto*, rozpuszczenie wojska i utraconą potęgę i sławę narodu polskiego. Był to jeden z Polaków najlepiej dzieje narodu swego znający; ustawicznie siedział nad kronikami i mnie już dawał czytać dawną edycję Bielskiego, z rycinami na drzewie rzniętymi. Nie dosyć na czytaniu kronik; ojciec mój szperał ustawnie w archiwach koronnych w Warszawie i po aktach ziemskich i grodzkich rozmaitych województw, czyniąc z nich wyciągi do dziejów naszych; napisał był nawet historię województwa brzeskiego, dowodząc, że dawniej do Korony należało; było to, jak mówią Anglicy, *his hobby horse*.

Te to może obywatelskie mowy, to tak wczesne obeznanie się z dziejami naszymi zaszczyliły we mnie tę miłość ojczyzny, jej dobra, jej sławy, o które harując przez życie całe i mową, i piórem, i orężem, z boleścią widzę, bliski już grobu, żem na próżno harował.

Obyczaje, zwyczaje, mowa, wszystko to, na com patrzył w dzieciństwie, tak było narodowym, iż nie zapomnę nigdy wrażenia, które we mnie sprawił widok podkomorzego Ossolińskiego z Toporowa, przybyłego w odwiedzinach do babki mojej w ubiorze niemieckim; jego zielona suknia, kamizelka pąsowa z galonem, złotym, czarne aksamitne pluderki z tasiemką złotą u kolan, osobliwie głowa ufryzowana i upudrowana przyzwyczajonemu do poważnego stroju polskiego zdały się nikczemne i śmieszne. Nie przewidywałem, że w pół wieku później równie mnie strój polski rzadkością swoją zadziwiać będzie, jak wtenczas zadziwiał niemiecki.

Za powrotem od babki mojej zachorowałem na ospę; nie znano jeszcze wtenczas szczepionej, mniej jeszcze krowiej. Ospa ta była silną i niebezpieczną; trzymano mię w ciepłej niezmiernie komnacie; pamiętam, żem był w gorączce i gadał od rzeczy: przestraszeni dobrzy rodzice, prócz pomocy p. Mullera, lekarza podskarbiego Fleminga z Terespoła, udali się do Szafarza życia i śmierci, do Boga, ofiarując mnie do cudownej Matki Boskiej w Wistyczach, szlubując *votum* i że jeśli ozdrowię, rok i sześć niedziel chodzić będę w habicie dominikańskim. Ozdrowiałem za łaską bożą i wraz mnie obleczono w habit, szkaplerz, z kapturem, dano czarną myckę, i choć zrazu dziobaty, dość ze mnie był rzeźwy dominikanek, Czerwone po ospie plamy udawały niby winnisty trąd definitorski.

W roku 1765 dziad mój, już dużo podeszły i upadły na nogi, zdał cały majątek na synów. Wtenczas Kleniki, piękny i znaczny majątek, przypadły na ojca mego, Neple Małe i Zabuze, Suniancicze, Kużawka na stryja mego; ciotki moje, pani Owsiana i Paszkowska, już były wyposażone.

Porzuciwszy więc szczupłe mieszkanie w Skokach przenieśliśmy się do obszernego dworu w Klenikach. Dziad mój po pół roku raz u jednego, drugi raz u drugiego z synów siadywał. Już wcale chodzić nie mógł na nogi. Pamiętam, jak w atlasowym czarnym żupanie, przepasany paskiem św. Franciszka, siedział na wielkim krześle. Na małym przed nim stoliku leżała duża okrągła złota tabakiera, wyrabiana w floresy, z szczęściem wokoło szmaragdami, we środku na czarnej emalii wybijane złotem żurawie. Już był szanowny ten starzec wielce na umyśle i pamięci podupał, modlił się, niekiedy o dawnych czasach rozprawiał.

We dwa lata wraz bardziej słabiej i prędkim zgonem zagrażał począł. Na sześć niedziel przed śmiercią ojciec mój posłał do Brześcia po jezuitę księdza Pierzchlińskiego; ten go nie odstępował, ustawicznie modląc się z nim lub nad nim. Zbliżyła się na koniec ostatnia godzi-

na, przejęty trwogą i żalem, zawołał mnie i maleńkiego brata mego ojciec: klękaliśmy przy łożu umierającego, ten ostatnich sił dobywszy kładł ręce na głowy nasze i błogosławił. W kilka godzin, o jedenastej przed północą, żyć przestał. Było to właśnie o Wszystkich Świętych r. 1767. Grób nasz rodzinny był u jezuitów w Brześciu, w kaplicy św. Faustyna; nim tam przeprowadzono ciało, złożono je w cerkwi klenikowskiej. Kilka worków pieniędzy wysłał ojciec mój do wszystkich klasztorów w Brześciu, by się za duszę zmarłego modliły. W domu ustawne były pacierze, różańce, litanie. Raz gdy rodzice moi wieczorem odprawiali je, chłopiec służący, Niceforek, wszedł do ubocznego gabinetu, gdzie światła nie było; raptem otwiera z trzaskiem drzwi i pada bez duszy; przerażeni wszyscy i prawie obłupieni, trzeźwią go na koniec; pytany, co za przyczyna przestachu: „Stary jegomość pokazał mi się – była chłopca odpowiedź – jeszcze prosi o msze św.” – Jeszcze tego wieczoru posłano do kościołów pieniądze. Często i z innych stron przychodziły wiadomości o strachach i pokazywaniach się umarłych. Przez pół roku matka moja odbierała od siostry swej, panny Weroniki, benedyktyнки w Drohiczynie, listy o jakiejś pokazującej się tam duszy, z najdokładniejszymi okolicznościami. Głowa moja nabita była strachami, wiek tylko trwogi te, podsycane przez ustawiczne wizyty księży, wybić z myśli moich potrafił.

Pogrzeb dziada mego w rok dopiero odprawił się z okazałością. Całe województwo zaproszone nań było. Ojciec mój miał mowę przy katafalku. Wtenczas to ojciec mój przyjął do mnie dyrektora Jaszczolda, który mnie zaczął uczyć po łacinie na jednej wtenczas znanej gramatyce, Alwarze. Nie zatarła się dotąd pamięć mozołów, ile mi ta niezrozumiała dla dziecięcia książka zadała. Po siedem i osim godzin siedziałem nad nią, nauczyłem się go na pamięć, nie rozumiawszy i słowa. Przerwał mozoły te nowy dla mnie, niestety! fatalny widok przychodzących do domu i wsi naszej na kwatery Moskali. Stanął u nas kapitan Kisliński [?] nastajaszczy Moskal, jeszcze pół prawie dziki. Nie byli Moskale tym, czym są dzisiaj, żadnej obyczajności, nie umieli ni jeść, ni pić. Sztab stał w Brześciu. Zaczęły się biesiady i nie znane dotąd w Polsce zaloty do kobiet mężatek. Trudno wyrazić zgrozy, z jaką cnotliwa matka moja i tyle zacnych matron mówiło o takich zgorszeniach. Coraz się one bardziej szerzyły. Dawali jenerałowie moskiewscy bale, zapraszając, pod niebezpieczeństwem prześladowania, o mil kilka obywatelstwo. Nawzajem i ich zapraszać potrzeba było. Nic wyrazić nie może rozwiązłości i zbytku hulatyk tych. Gry, natarczywe zaloty, pijaństwo. Zaczynały się biesiady te od obiadów; występowały przed dom żołdacy z bronią i przy wielkich zdrowiach jakich dawały ognie; drżały i wypadały okna, rozlegały się mury barbarzyńskimi krzykami. Po stole pito jeszcze, a gdy się głowy dobrze zagrzały, modą było, że wprowadzano do sali żołdatów, ci chwyтали gospodarza lub przedniejszych z gości i podnosząc do góry nosili wokoło, podczas gdy trębacze z całej mocy trąbili mu w uszy. Pamiętam, iż to raz ojca mego ledwie nie przyprawiło o śmierć.

Ta rozwiązłość, te brudne zakuty przeniosły się z pałaców do poziomych włościan lepianek i pierwszy raz nie znany u nas dotąd jad zepsucia i wśród wiejskiego ludu naszego rozlały. Wzięła była matka moja ze wsi do dworu piętnastoletnią, niepospolicie ładną dziewczynę, imieniem Marianna. Wkrótce i ją, i dyrektora mego Jaszczolda ujrzelśmy brzydkimi okrytych krostami. Nie znając przyczyny, posłali rodzice moi do Terespoła po lekarza. Ten wraz oświadczył, iż to była weneryczna choroba. Trudno wyrazić przestachu rodaków moich. Mieć tak blisko siebie i dzieci zarażone osoby przejęło ich największą o całość domu bojaźnią. Doktor wskazał Żydów leczących te brzydkie choroby: zaprzężono natychmiast dwa wózki dla zarażonych; jedno z nich pojechało na wschód, drugie na zachód. Nie widzieliśmy ich przez trzy miesiące: po upłynionym tym czasie wrócili zdrowi. Słyszałem sług domowych, szepczących między sobą, iż Żydzi smarowali ich maścią (zapewne merkurium) i tak wysmarowanych kładli w gorący piec, by obfite pocenie się wypędziło jad zupełnie.

I to było jedno z dobrodziejstw, które nam rozwiązała Katarzyna II przyniosła. Była ona wtenczas w całej sile wieku, piękności, nierządu i despotyzmu. Jeszcze wtenczas Moskale w

panujących swoich bogów ziemskich widzieli. Żegnali się i bili czołem na wspomnienie gosudaryni swojej. To posłuszeństwo zstępowało stopniami od najwyższych do najniższych, drżał pułkownik przed jenerałem, major przed pułkownikiem, i żołdat przed kapralem. Raz u stołu ojca mego dał pułkownik policzek majorowi; prócz nas nikogo to nie zdziwiło i obiad kontynuował się dalej. Bywały częste smotry, czyli popisy. Grenadierowie mieli wtenczas w patrontaszy mosiężne rurki, w których był zapalony lont, tym podniecali granaty i na jazdę dla straszenia koni ciskali.

Zwyczajem było naówczas, iż majątniejsi obywatele, prócz drukowanych gazet, trzymali korespondentów w Warszawie; powinnością ich było przysyłać dwa razy na tydzień po pół arkuszyka pisanych tajniejszych wiadomości, a że całość listów była naówczas święta i nienaruszona, nie znając bojaźni pisali, co tylko usłyszeli, przy wielu omyłkach i bajkach ważne i wielkie zdarzenia. Raz gdy poczta przyszła z Brześcia, ojciec mój, czytając najprzód pisane korespondenta swego doniesienia, pomieszał się i blednąc zaczął. Zapytany od matki naszej, co by było: „Kniaź Repnin – rzekł – biskupów i senatorów naszych z senatu wywlec i w niewolę wziąć kazał” Na te słowa matka moja zemdląła, musiano ją trzeć larendogrą i gorczycą. Gdy przyszła do siebie: „O Boże – zawołała – do czegoż to przyszło, te markietany, te barbarzyńskie muzyki rękę podnieść śmieli na tak świętych i poważnych senatorów naszych.” I my dzieci, acz nie wiedząc przyczyn i powodów, uczuliśmy w młodych sercach naszych żal i zniewagę.

Rozdział drugi

Wiek pacholęcy

Rok już dziesiąty wieku mego liczyłem, gdy wieść o zawiązującej się w Barze konfederacji doszła do nas. Duchowieństwo słusznie obrażone zgwałceniem dostojęstwa swego w wzięciu biskupów, zagrzane gorliwością o wiarę św., zapalone niechęcią ku różnowiercom, wszelkimi sposobami płomień ten w sercach obywateli rozniecić usiłowało. Powiększono mniemane konfederatów zwycięstwa; sławny wówczas prorok ks. Marek największe obiecywał im zwycięstwa. Brzmiała w uszach wszystkich przez niego podobno skomponowana pieśń konfederacka; nauczono jej i nas, dzieci; nutę jej dobrze dotąd pamiętam, ze strof jedną tylko, w tych słowach:

Luty, kalwiny,
Bezbożne syny,
Z ojczyzny matki
Chcą szarpać płatki.

Ilekróć goście przyjechali do nas, wraz ja z bratem moim i małą siostrą Rozalią występowałyśmy i głosem dziecinnym pieśń tę piszczeły; a tak z dzieciństwa patrząc na obelgi i przewrozenia obcych w kraju naszym, w sprawie jej, jak w sprawie Boga samego, do pomsty przez kapłanów podnieceni, nie goreliśmy, jak żądzą na Moskalach odwetu. Odtąd wszystkie różańce, godzinki, litanie, wszystkie modlitwy nasze były za powodzenie konfederatów. Nastąpił adwent, rodzice moi wstawali w nocy i w trzeszczący mróz o dobrą miłą jeździli na roraty do Brześcia do jezuitów. Okryty kierejką mniej czułem zimna przez drogę, lecz gdyśmy przybyli do kościoła, i gdy rodzice moi zasiadłszy w ławce w futrzane worki włożyli swe nogi, my zaś mali (podług zwyczaju owych czasów) stali przy ławce na zimnym marmurze w cienkich bucikach, tak nas mróz dojmował, iż płacząc po cichu i drepcąc nogami ledwieśmy do końca rorat dotrzymać mogli. Od tej to chwili może, acz pełen religii, uczułem wstręt wielki do długich modlitw i przesadzonego nabożeństwa. Nie wszystkie równie przykrymi były wizyty nasze do Brześcia; odpusty u bernardynów i innych, zwłaszcza latem, sute na nich bankiety dosyć nas bawiły. Nieraz księża jezuitów zapraszali nas na wyprawiane u siebie przez studentów dialogi, czyli teatralne widowiska. Były one wierszem łacińskim komponowane przez rektora, księdza Obrumpalskiego. W jednej z tych sztuk widać było twierdzą obłożoną przez Indianów, pod dowództwem św. Franciszka Ksawerego; Indianie strzelali do murów z łuków i co dziwno, od wystrzału strzał ich leciały, kruszyły się poły murów jak gdyby od najcięższych działobitni.

Opuścił nas pułk dragonii moskiewskiej stojący w Brześciu, śpiesząc do Krakowa, który byli opanowali konfederacji. Po wszystkich częściach Polski zawiązywały się podobne konfederacje: ach, gdyby były między nimi jedność, sformość i talenta wojskowe, jak łatwo, przy zatrudnieniu sił carycy wojną turecką, małe Moskwy rozproszone po kraju oddziały zniesionymi być by mogły; lecz 30 lat pod Augustem III pokoju, zbytki, hulatyki, ciemnota w szkołach jezuitów zagładziły duch rycerstwa, stłumiły nauki i umiejętności. Tu i ówdzie zabłysło dawne męstwo polskie, lecz odwykła od boju młodzież już wytrwałości nie znała. Wkrótce przyciągnął do Brześcia jeden z marszałków konfederacji, Bierzyński. Zawiózł mnie ojciec do obozu jego. Znaleźliśmy go w namiocie otoczonego konsyliarzami i towarzystwem. Zabrał on

był pułk jeden piechoty królowej Jadwigi i popis nad nim odprawiał. Ubiór wodza tego nie był bynajmniej wojskowym, bogate suknie, lity pas, kosztowna karabela; był z nim i Pułaski, brat tego, co w Ameryce zginął. Marszałek, widząc pojazd ojca mego sześciami dobrymi końmi zaprzężony, powiedział, że by się konie te tak silne zdały pod działą. Ofiarował je ojciec mój; dano nam towarzysza, który miał powrócić z ojcem moim do domu, służyć tam za załogę, póki wojsko nie przeciągnie, a potem konie zabrać i do komendy powrócić.

Bawił u nas towarzysz przez dwie nocy i dzień, nim nakazane prowianty, siano i zboża zabrano, i przez ten czas mieliśmy sposobność przypatrzenia się uzbrojeniu jego. Miał on stary pancerz na sobie, pistolety z skaleczonymi kurkami i nienajlepszą szablę. Na trzeci dzień zabrawszy konie i prowiant wyruszył. Przydał mój ojciec podstarościego, by ludzi i dobytku pilnował i jedne, i drugie odprowadził w całości. Wkrótce przybiegł Żyd karczmarz z doniesieniem, że Moskale tuż za konfederatami dążyli. Modlili my się wszyscy o opiekę boską nad naszymi. Ojciec mój, niepospolitego światła i nauki, znając dobrze niesforność konfederatów, niewiele im tuszył dobrego. Nadto, nieprzyjaciel nierządu naszego, *Liberi veti*, elekcjów, życzył, by konfederacja nie wojowała razem z Moskalami i królem swoim i, nie wypowiadając mu posłuszeństwa, najezdmiaków tylko gnębiła. Lecz słaby Stanisław August dług danej sobie korony ślepym posłuszeństwem Moskwie wypłacić żądał i wspólnie z nią przeciw konfederacji czynić zaczął. Lecz oddalmy uwagi te do czasu, w którym przestawszy być dzieckiem lepiej sprawę tę poznałem.

Trzeciego dnia po wysłaniu podwód i wyjeździe towarzysza przybył podstarości, część tylko podwód przywodzący z sobą. Pomieszenie jego niepomyślną rokowało wiadomość; jakoż Moskale dognali ten transport, zabili towarzysza, rozpędzili małą eskortę. Wkrótce odebraliśmy wiadomość, że Pułaski rozproszony został pod Orchowcem, niedaleko Włodawy, i sam życie utracił.

Nieprzystanne były te uganiania się Moskali za konfederatami; ci jak zwodnicze światło po błotach ukazywali się i znikali. Brześć, ważny przez położenie swoje między dwoma rzekami, przez zamek, który łatwo można było podnieść i naprawić, Brześć, mówię, nigdy nie był bez załogi, już to moskiewskiej, już wojsk królewskich. Przybył tam i Branecki, naówczas łowczy koronny, ulubieniec królewski, później z niewdzięczności swojej ku temuż królowi i z naczelnictwa w spisku targowickim znany. Był on wtenczas w kwiecie wieku; postać jego hoża, twarz turecka z dużymi, czarnymi, wypukłymi oczyma i zakrzywionym nosem; śmiały, rubaszenie dumny, pychę swoją zakładający nie w przyczynieniu się do pomyślności ojczyzny swojej, lecz w wyniesieniu, wzbogaceniu siebie i górowaniu nad drugimi; służył on królowi, bo król miał rozdawnictwo starostw i urzędów; lecz gdy tych aż do sytości nachwytał, obrócił się do tej, która jedna więcej jeszcze dać mogła, do carowej moskiewskiej. Winniejszy od Katyliny, gdyż, z niemajątnego szlachcica do największych przyszedłszy bogactw, jeszcze burzył; nieumiejętny, ale dowcipny, ni w moralności, ni w rządzie państwa żadnych nie mający principów, zuchwał z królem, z kielichem w ręku popularny ze szlachtą, podły z posłem moskiewskim, bluzgający z wolnością, nie znał innego prawa, jak wszystko móc czynić bezprawnie, innego celu, jak uprzętać, poniżać, co było na drodze lepsze, by samemu nad wszystkim górować.

Niewiele naówczas był znaczącym Branecki; przywoził tatarskim pułkom królewskim ułanów, uganiał się za konfederatami, nic nie sprawiwszy znacznego. Branecki ten, później hetman wielki korony, z tego tylko w dziejach znanym będzie: iż dwa razy tylko dobywszy oręża, oba razy go przeciw ziomkom swym dobył, w 1768 przeciw konfederatom, w 1792 przeciw królowi, sejmowi i wojskom ojczyntym.

Nieszczęściem było konfederatów, że żadnego między nimi nie było wspólnego zniesienia się, żadnego ogólnego planu, żadnej w wykonywaniu tęgości i jedności. Powstawano i walczoneo częstkami, nigdzie się nie kupiono. I tak Ogiński, hetman wielki litewski, bezpośrednio jeszcze władający wojskiem litewskim powstał niespodzianie, zebrał, co mógł, wojska litew-

skiego, zbył Moskali pod Bezdzieżem, gdzie pułkownik Albiczew zginął; lecz zamiast korzystania z zwycięstwa odciągnął do Stołowiczy, dał się Suworowowi podchwycić, zbić i rozproszyc. Ta niejedność w planie owym skutkiem była mierności tych, którzy zasiadali w najwyższej radzie, to jest w Generalności. Bawiła Generalność ta w Cieszynie ma Śląsku, złożona z mężów czystym obywatelstwem tchnących, lecz ograniczonych w świetle, nauce wojennej i politycznych widokach. Zrzucić króla z tronu, jak gdyby Polska przez to już przyjść miała do rządu, siły i znaczenia, to jest, do czego Generalność dążyła; nałóg zbytków i tam nie ustał, własne dochody, subsydia Francji obficie dostarczały na nie.

Częste niepowodzenia uwijających się wszędy chmur konfederackich nie zrażały dziańskiej i popędliwej młodzieży naszej; garnęła się do niej ochoczo. W liczbie tej znajdował się i krewny nasz, pan Samuel Ejnarowicz; uzbroił się, wsiadł na konia i porzucił włóść ojczystą. Niedługo atoli wojował; w pierwszej potyczce okropnie cięty został w głowę; szabla przecięła mu ucho i daleko w tył głowy zaszła, głęboko na skrycie palca zostawiając szramę. W omdleńniu leżącego na pobojowisku wzięto z drugimi, zawieziono do Białego Stoku, gdzie siostra Stanisława Augusta, pani hetmanowa Branicka, założyła szpital dla rannych konfederatów, i sama ich odwiedzając, nie szczędząc ni kosztu, ni starań, by ulżyć tych nieszczęśliwych niedolę i boleści.

Po rozmaitych z odmiennym szczęściem utarczkach zniknęły z horyzontu naszego chmury konfederatów i iż nimi Moskali; zaczęliśmy spokojniej oddychać. Ojciec mój pilnie poświęcił się gospodarstwu. Objął on dobra Kleniki, jak wszystkie inne w jak najzaniedbanym stanie; otaczające wkoło nas lasy jak najpiękniejsze zabierały rolę. Postanowił ojciec mój powytrzebiać, powykarczować niektóre i na niwy i łąki obrócić. Fleming, podskarbi nadworny litewski i dzierzawca ekonomii królewskiej, założywszy naprzeciw Brześcia miasteczko Terespol i mieszkanie w nim swoje, dał pierwszy Brześcianom przykład staranniejszego i lepszego gospodarstwa. On to pierwszy wprowadził na Litwie sposób bicia rowów i osuszania łąk, karczowania nieużytecznych zarostów, budowania szkut i znaczniejszych spławów do Gdańska; ten ostatni handel tak był u nas w zaniedbanu, iż dziad mój, właściciel dziesięciu wsi, zwykł był mawiać, iż dawniej z całego województwa brzeskiego dwie tylko komiegi posyłano do Gdańska, w lat 15 potem wychodziło szkut 1000 korcy noszących przeszło 60.

Wielkie zachowanie miał ojciec mój u hrabiego Fleming; często go odwiedzał i bywał proszony na obiad. Rozmowa pana tego była równie nauczająca, jak dowcipna; najwięcej mówiono o gospodarstwie rolniczym i handlu zbożowym; nie szczędził podskarbi ostrych przyczinków przeciw gnuśności i niedbalstwu naszemu: niedawny katolik, niełatwo wierzył cudom i objawieniom. Nabył on od wierzycieli hetmana Pocięja Włodawę i Różankę. Pocięj tak był stracił i zadłużył majątek, iż nie miano go za co z zwykłą dostojnością jego wspaniałością pochować. Przez wiele więc lat stało niepogrzebione ciało jego u ks. ks. dominikanów w Terespolu. Po wielu latach przyszedł ksiądz przeor do Fleminga i rzekł mu: „Dziś w nocy pokazał mi się śp. hetman Pocięj i zlecił, bym był u JW Pana i oświadczył, iż żąda, abyś go JW Pan, jako dziś dziedzic dóbr jego, z przyzwoitą uroczystością pochował.” „Mój książę – odpowiedział mu z akcentem niemieckim pan Fleming – widzę, iż pan Pocięj nie więcej ma rozumu na tamtym świecie, jak go miał na tym. Co to za głupstwo jego pokazywać się Waćpanu, co nic nie masz; powiedz mu, niech się mnie pokaże, a przyrzekam, że mu zaraz piękny pogrzeb wyprawię. Powiedz mu, mój książę, że go czekam” Odszedł ksiądz przeor i wkrótce ciało Pocięja prywatnie pochował.

Nagrodziły nieba starania ojca mego. Kleniki i Skoki wraz do większego przychodziły porządku; pomnażały się zbiory zbożowe; wybudował mój ojciec skutę jedną, później i drugą; zaczął trzymać po sto wołów na karmi. Powracające szkuty z Gdańska nie tylko kolonialne towary, ale wszystkie inne sprzęty sprowadzały ze Gdańska; nie było pojazdu, stołu, stołka, stolika, by stamtąd nie przyszedł. Tak mało znane były wtenczas u nas nie tylko rękodzielnie, lecz najpotrzebniejsze rzemiosła. Przecie rosły intraty. Dom nasz obfitał we wszystko;

dzięki pilnej, dobrej matce mojej piwnice, szafarnia, apteczka dostarczały licznym gościom wszystkiego. Ojciec mój dawnym jeszcze zwyczajem trzymał kilka sług i chłopców ze szlachty. Ostatni posługiwali w domu; pierwsi jeździli przed karetą i po obiedzie stali przez godzinę przed ojcem, i potem znikali, idąc już to na polowanie, już spać. Bawił także w domu naszym na rezydencji pan Patkowski, człowiek już sędziwy, układny, dworski; uderzała nas, dzieci, jedna w nim szczególność, a to była, iż u obydwóch rąk wielkie palce jego dzieliły się u góry, wznosząc w gałązkach swoich dwa małe palce, tak iż zamiast pięciu siedm miał palców u każdej ręki; Jedynym obowiązkiem pana Patkowskiego było: jeść, pić i grać z moim ojcem w warcaby. Przybył wkrótce i nowy sługa. Wieczoru jednego przybył na koniu hajdamaka jakiś uzbrojony, skrwawiony. Wszedłszy do pokoju: „Już mi się ta wojna uprzykrzyła” – rzekł zdejmując ogromną kapuzę i twarz skrwawioną ukazując. „Jaka wojna, gdzieżeś służył?” – zapytał mój ojciec. „W wojsku pana podskarbiego Fleminga – odpowiedział rycerz – mieliśmy batalię z radziwiłłowskimi, bezbożne syny tak mię wystrychnęli. Niech mnie Pan Dobrodziej przyjmie do dworu swego” „Do czegożeś zdatny?” – zapytał mój ojciec. „Do wszystkiego” – odpowiedział. Przyjął go mój ojciec za zwykłą naówczas zapłatą sto złotych na rok, furaz na konia i parę sukni z siebie. Sługa ten zwał się Gamrocki, był przez wiele lat u nas, wybornie strzelał, opatrywał dom w cyranki, kuropatwy i zające. Polowanie z prosięciem na wilki nie tak mu się dobrze szczęściło. Dyrektor mój naówczas zwał się Jankowski.

Dwa razy przynajmniej na rok odwiedzaliśmy babkę moją na Podlasiu. Pamiętam, iż razu jednego przybiegł podstarość ze wsi oznajmując, że przyszli Prusacy i co najpiękniejszych ludzi gwałtem za rekrutów biorą; oburzyła ta wieść wuja mego, wsiadł na konia, pobiegł na miejsce; nie pomogły przełożenia gwałtu i niesprawiedliwości, zabrano młodzież wśród łez i narzekania nieszczęśliwych żon i rodziców. Nieszczęsna kraino! na jakież gwałty, na jakie zniewagi od tyłu lat wydana byłaś. Każdy cię lżył i najeżdżał i ten, co niedawno był hołdownikiem twoim, i ci, którycheś gardził jak barbarzyńców, lecz od fatalnego letargu, w którym się Polak pogrążył, oni rośli w znaczenie i siły, tyś gnuśniał w winowajczym zapomnieniu dawnej potęgi i niepodległości twojej. Do tego ucisku i poniżenia przydać należy niemniejszą klęskę zalania kraju całego fałszywą monetą, bitą przez króla pruskiego: niepolicone stąd były w całym kraju straty i zamieszania. Zbrodnie, rzemiosło fałszerza, haniebną śmiercią karane, przyjął na siebie uwieńczony koroną królewską Fryderyk nazwany Wielkim!

Od Więcej dwóch lat wybrał się był stryj mój z żoną do Warszawy na wychowanie dzieci; od kilku miesięcy postrzegłem, iż częsta była korespondencja listowa między moim ojcem i księciem Adamem Czartoryskim, generałem ziem podolskich. Często mój ojciec jeździł do Warszawy w sprawie, którą mu książę Czartoryski, kanclerz wielki litewski, jako wójt brzeski wzniecił, o znaczną ilość gruntów od Klenik, które, że do miasta należały, twierdził. Walka nie była równą: wygrał książę kanclerz, i ojciec mój, którego grunta przypierały do Brześcia, znaczną część gruntów tych i lasów utracił.

Już głośno zaczęto mówić o podróży do Warszawy i o oddaniu mnie tam na edukację, już nastąpił dzień wyjazdu, 1 sierpnia 1770 roku. Pierwszy raz porzucałem progę domową, najlepszą, najukochańszą matkę moją i drogie rodzeństwo. Pomnożyła się liczba onego. Oprócz brata mego i siostry Rozalii przybyło dwóch braci, Kajetan i Józef; wszyscy już dzisiaj w grobie. Nie zapomnę nigdy rzewnego między mną i matką moją pożegnania; łzy nasze płynęły obficie. Opatrzywszy mnie w prowianty, przysmaki i łakotki, jak gdybym płynął do Indiów, dobra matka moja przy samym rozstaniu dała mi bogate szkaplerze i sześć par pończoch cienkich, własną jej ręką robionych. W jednej z nich w samych palcach zaszyte były pięć czerwonych złotych węgierskich z Najświętszą Panną. Wyjechaliśmy po obiedzie i nocowali o milę tylko, w dobrach stryja mego w Neplach, dziś mahoniowym [wyraz nieczytelny] tak sławnych, lecz już po 21 latach do obcego imienia przeszłych. Po kilka mil na dzień wlekły nas tłuste okary. Odgłos o unoszących się wokoło konfederatach zaczął nas dochodzić. O milę za Siedlcami ojciec mój, w bojaźni bycia napadniętym przez konfederatów, kazał się

zatrzymać i wyjąwszy 400 dukatów, co miał z sobą, rozdzielił je na pakieciki i woźnicy Omelkowi, forysiowi Jakubkowi, hajdukowi Teodorowi i chłopcu Zawistowskiemu w butach ukryć rozkazał. Po tej operacji wsiedliśmy nazad do kolasy i zaczęli śpiewać różaniec. Aż pod samą Warszawę nie widzieliśmy i jednego konfederata. Przejeżdżając przez las o dwie mile od Warszawy zaprowadził mnie ojciec na górę, z której stolicę widzieć można było. Tyle razem murów, wieże świętokrzyskie, zamek królewski przyjemnym zdjęło mnie zachwyce- niem. Ku wieczorowi stanęliśmy na Pradze d. 5 sierpnia 1770, a że nie było wtenczas mostu i przeprawiano się promami, ojciec mój do dnia następującego przeprawę tę odłożył.

Nazajutrz o godzinie 9 z rana przewieźliśmy się do Warszawy. Wychodząc z Bednarskiej ulicy na Krakowskie Przedmieście napotkaliśmy wartę gwardii litewskiej powracającą z Zamku, Piękna postawa żołnierzy tych, huczna muzyka, mnóstwo karet i ludu snujących się po ulicy, ciągiem ulicy tej murowane domy przyzwyczajonego do dworków, karczem dREW- nianych i ludności hebrajskiej w Brześciu zdumiewały niemało. Poszliśmy do stryja mego, mieszkającego naówczas na koszarach kazimirowskich. Po lewej stronie od pałacu, w czterech niezmiernych pawilonach, jeszcze pruskim murem za Jana Kazimierza budowanych, umieszczeni byli kadeci i klasy ich; prawa strona oddaną była na gwardię litewską. Korpus, czyli pałac, kupiony od ks. Sułkowskiego, spiesźnie wyporządzano na umieszczenie tam kor- pusy kadetów.

Bracia moi stryjeczni, Stanisław i Ignacy, już byli do korpusu kadetów oddani. Nazajutrz około jedynastej z rana przybył na te koszary książę Adam Czartoryski, generał ziem podol- skich, szef korpusu kadetów i razem gwardii litewskiej. Uderzony byłem piękną i szlachetną postacią jego: wzrost mierny, lecz kształtny, czoło wypukłe, oczy duże, czarne, podługowate, nos rzymski, usta małe; szlachetność, słodycz i wesołość malowały się w całej postaci. Mile byliśmy przyjęci. Powiedział nam książę, że wkrótce się miejsce dla mnie w korpusie otwo- rzy, że tymczasem będę nadkompletnym. Stałem u stryja mego; były natenczas wakacje u kadetów; miałem czas swobodnie przyzwyczaić się do nowego położenia mego. Ojciec mój wkrótce wyjechał.

Zrzuciłem wkrótce narodowy mój ubiór, to jest kitajkowy w kostki żupanik, karmazynowy sukienny kontusik i pas srebrem przetykany. Wdziałem mundur kadecki, to jest na powszedny dzień czarne irchowe spodnie, czerwoną katankę z granatowymi wyłogami, na święto: kami- zelkę i spodnie białe i mundur granatowy z czerwonymi wyłogami.

Umiejętność moja zależała na umieniu tyle po łacinie, żem łatwiejsze pisma mógł rozu- mieć, na dość dobrej znajomości języka ojczystego i ogólnych dziejów naszych. Żem atoli ni słowa ni po francusku, ni po niemiecku nie umiał, oddano mnie do pierwszej klasy. Siedym godzin na dzień, to jest cztery z rana i trzy po obiedzie, dawano nam codziennie. Dyrektorem nauk był p. Pfleiderer z Wurtembergu, sławny matematyk, mąż we wszystkich umiętno- ściach niepospolicie biegły. Mały, wyschły, zawsze czysto ubrany, fryzował się w odstające od głowy jak skrzydła pukle i dlatego nazywaliśmy go gackiem. Człowiek ten tak całkiem poświęcony był naukom, iż nigdy słowa obcego nie usłyszeliśmy od niego i mniemali, iż prócz trójkątów o niczym w świecie mówić nie umiał. Dutane, Francuz, niegdyś marynarz, profesor historii powszechnej, Nikuta z Prus polskich, profesor nauki moralnej, prawa przy- rodzzonego i nauki kameralnej, człek przykładny w obyczajach, umiętny, tłumaczył się ja- sno, lecz nieraz całą lekcję na satyrycznych postrzeżeniach przepędzał. Dubois, profesor lite- ratury francuskiej, młody, przystojny, łagodny, był on potem instytutorem w rodzinie Rosambo i Malesherbes, w czasie rewolucji straconej. Wszystkich tych w dalszych dopiero klasach poznałem. Niższego rzędu metrowie moi byli: Konderski do łacińskiego języka, Duclos, sta- ry, metodyczny, dobrze nauczający Francuz do języka francuskiego: umiał on wybornie po polsku, Jankowski i Edling, obydwaj z Prus polskich, pierwszy do niemieckiego języka; miał on piękną córkę, która się dostała lordowi jednemu angielskiemu i do znacznych przysła bogactw. Edling nauczał geografii, arytmetyki i początków geometrii. Lilenheim, mistrz tań-

ca, który nam po pół godziny wykrzywił nogi, stawiając nas w sporządzonych po temu formach drewnianych. Brzmi dotąd w uszach moich nuta menuetu, który nam na maleńkich skrzypczkach wygrywał. Dauvigny, później przez księcia Czartoryskiego sprowadzony, pierwszym był założycielem prawdziwej szkoły tańcowania w Polsce. Przeniósł się do Tulczyna i tam, w podeszłym już znacznie wieku młodą pojawiając żonę, umarł pierwszej nocy po weselu; surowa dla starych nauka. Martin, strasburczyk, majster do fechtowania i woltyżerowania. Książdz Dziewanowski był kapelanem; codziennie odprawiał mszę św. i uczył nas katechizmu. Hennequin, z nim Maisonneuve uczyli fortyfikacji, ostatni, piękną ciała postacią zasłużony się damom, został szambelanem króla, na koniec za Pawła w. mistrzem ceremonii w Petersburgu. Muller, Niemiec, metr do rysunków.

W początkach sama tylko udowodniona szlachta przyjmowana była do korpusu kadetów; król dwóch synowców swoich, Stanisława i Józefa, zapisał do tej szkoły. Sam był kapitanem tej szkoły, książę Czartoryski pierwszym porucznikiem, Moszyński drugim, Rudawski, Wielkopolanin, chorążym. Stanisław August prócz wielkich uroczystości całe życie chodził w mundurze kadeckim. Strój ten cudzoziemski, z dzieciństwa przez znaczną część szlachty noszony, niemało się przyczynił do zatracenia stroju narodowego.

Korpus kadetów składał się naówczas z 60 kompletowych kadetów i 20 nadkompletowych, podzielonych na 4 brygady, po 20 kadetów i dwóch oficerów w każdej. Brygadierami byli: Wodziński, Ciszewski, de la Lande i Ginter. Mieliśmy nadto podpułkownika Odsnitz, Prusaka, uczącego musztry. Podbrygadierami byli Ciesielski, Granowski, Frankowski i Anzelm. Tegoż roku 1770 w listopadzie, gdy pałac Kazimirowski skończonym na przyjęcie nasze został, porzuciliśmy koszary i w paradzie wojskowej przeprowadzili do niego. Tryb życia naszego był następujący. Bito pobudkę o godzinie 6: wstawaliśmy i ubierali się, o 6 1/2 obziewali nas oficerowie, potem na mszę. Po mszy każdy dostawał kawał chleba z masłem, kto miał za co, posłał do Elżbietki po kawę. O ósmej do klas. O 11 3/4 czterech kadetów i gefrejter wychodzili, brali patrontasze i broń i ciągnęli na wartę. Następowaly zmiany warty i parol. O dwunastej obiad: cztery proste, lecz zdrowe potrawy na obiad, dwie na wieczerzę. Po obiedzie do drugiej wypuszczano nas na przechadzkę w tyle do ogrodu. Od 2 do 5 klasy, potem repetycje, o 8 wieczerza; zabawy do 9 1/2 i do łóżka.

Każda sala podzieloną była na 4 klatek, dwie po sześć łóżek, dwie po cztery, jedna mała pośrodku dla podbrygadiera, Brygadierowie stali w medzaninach na górze. Dwa razy na tydzień, w dniu rekreacji, uczono nas musztry. Trudniejszą ona była naówczas jak dzisiaj. Oprócz bowiem maszerowania, zachodzenia i nabijania uczono nas handgryfów, to jest robienia bronią rozmaitym sposobem; trzeba było robić tempa na pamięć, bez żadnej komendy, patrząc na stojącego na prawym skrzydle fligelmana. Latem w czasie wakacji staliśmy w namiotach obozem dole Kazimierowskiego pałacu. Komenda do roku 1778 była niemiecku. Na rewie przed Komisją Wojskową lub gdy król zjeżdżał do kadetów, mieliśmy paradne mundury, to jest kolety z białego cienkiego sukna, z aksamitnymi granatowymi wyłogami, z galonami wokoło. Patrontasze aksamitne, pąsowe, również z galonami, i kaszkiety z białymi strusimi piórami.

Król zjeżdżał corocznie na nasze egzamina: wypytywał, rozdawał nagrody, słowem, jak do dzieła swego, czule interesował się do nas. Nie miał on jeszcze wtenczas lat czterdziestu; twarz jego piękna, szlachetna, nogi trochę za krótkie, w każdym ruszeniu powaga, z przyjemnością złączona. Często przyjeżdżał konno, z adiutantami, paziami, sześciu tylko mając ułanów; po nastraszaniu dopiero przez konfederatów powiększyła się eskorta do 24 ludzi.

Uczono nas wielu języków i nauk i dlatego w niczym głębokich nie powzięliśmy umiejętności. Największą atoli nauką, największym dobrem były upominania księcia generała Czartoryskiego, komendanta naszego. Nie opuszczał on żadnej okoliczności, by nie wpajać w młode serca nasze uczucie miłości ojczyzny, prawideł honoru i wstrętu, i oburzenia do tego wszystkiego, co przynosiło wstyd i zakałę. Dalszy bieg życia wielu bardzo kadetów dowiódł, jak

prawidła tego szanownego, najlepszego, nieodżałowanego męża głęboko w sercach ich zagnieździły się.

Jedną z wad wychowania naszego było, żeśmy na zbyt wielkich panów byli prowadzeni. Grywaliśmy komedie; umiających tańcować, wożono nas na bale po wszystkich najpierszych domach. Nie widzieliśmy, jak zbytek i uciechy; ci, co nie byli majątnymi, przyzwyczajawszy się z młodu do okazałości, pnać się wyżej, niż im dozwalała mierność majątków ich, nie umiając się pogodzić z uczciwym ubóstwem, nieużytecznym byli społeczeństwu ciężarem. Mógłbym wielu takich wyliczyć.

Książę generał Czartoryski, komendant nasz, gorliwy zachęcił nauk i literatury, pierwszy w kraju trudnić się zaczął teatrem narodowym, pierwszy sztuki dramatyczne pisał. Chciał on, by na teatrum kadeckim i przez kadetów granymi były. Grali więc kadeci *Panną na wydaniu*, *Gracza*, *Dumnego*, *Pysznoskapskiego*. Ta ostatnia oryginalna sztuka ma prawdziwą *vim comicam* i wiernym jest obrazem obyczajów czasu owego. Role kobiet przez kadetów także były grane. Grywano także i sztuki francuskie, grałem rolę hrabiny dans *L'Impromptu de campagne*. Brygadier de la Lande dyrygował teatrum francuskie. Był to uczciwy człowiek, lecz dziwak wielki i podejrzliwy aż do śmiechu. Wszędzie przeciw sobie widział sprzysiężenia. Koledzy jego, Ciszewski i Ginter, ludzie uczciwi, lecz śledziennicy, smutnie przez samobójstwo życie swe zakończyli.

W powszechnym naówczas niedostatku ludzi zdatnych i uczonych każdy Francuz był wielkim skarbem. I tak dano nam za brygadierów dwóch zawałęsanych Francuzów, Carnot i Kermowand. Niedługo po ich objęciu komend zaczęły ginać co lepsze sprzęty i bielizna kadetów; przez rok i więcej trwały poszukiwania. Odkryło się na koniec, że sami panowie brygadierowie Carnot i Kermowand okradali nas, chłopców; zdarto im mundury i wygnano z korpusu. Ostatni udał się do Gdańska, gdzie szkaradne paszkwile pisał na Polaków.

Przedniejsze zdarzenia w czasie pobytu mego u kadetów przez lat siedem pokrótce tu wspomnę. Co niedziela wyprowadzano nas za miasto na przechadzkę. Raz powróciwszy z przechadzki dość daleko za miastem postrzeżono, iż dwóch kadetów niedostawało; byli oni: Kajetan Miączyński, syn wojewody czarniechowskiego, i Rudnicki; już obydwu dorośli; na próżne były szukania; dowiedziano się później, że do konfederacji uciekli. Nazajutrz książę Czartoryski, komendant nasz, przyjeżdża w mundurze gwardii litewskiej. Wchodzi do sali, gdzie na obiad zgromadzeni byliśmy. „Mości panowie – rzekł – nie wziąłem munduru waszego, bom znalazł na nim dwie brzydkie plamy”: z tego dał nam naukę o hańbie, która spadała na żołnierza, gdy chorągwie swoje porzuca.

Cztery było tablice duże drewniane: jedna pociągnięta złotem, druga srebrem, trzecia szaro, czwarta czarno. Na pierwszej zapisywano imiona odchodzących kadetów tych, którzy sprawowaniem i nauką celowali innych, na drugiej imiona tych, którzy się dobrze uczyli i sprawowali, na trzeciej miernych, na czwartej, czarnej, tych, którzy zasłużyli na naganę i wstyd. Miączyński i Rudnicki z wyrażeniem ucieczki na czarnej tablicy zapisani byli. Miączyński nie zawiódł sądu tego w całym biegu życia swego. Rozwiązły, oszust w karty, przedajny, skończył na zaciągnięciu się do spisku targowickiego i życie haniebne bezbożną śmiercią zapieczętował.

D. 2 listopada 1771 przy pogodnym, lubo zimnym czasie, w niedzielę, wyszliśmy na przechadzkę aż do Wilanowa; znużeni, powróciliśmy późno, gdy nie we snach usłyszeliśmy bicie na trwozę, z trzaskiem otwierające się wielkie drzwi do sali jadalnej i całą gwardię litewską wchodzącą do niej. Dowiadujemy się, że król o jedynastej w wieczór powracający od księcia kanclerza Czartoryskiego porwany został od konfederatów. W trwodze i pomieszaniu przepeździliśmy noc całą, bo lubo sprzyjaliśmy konfederatom, jak nieprzyjaciołom Moskali, przywiązani atoli byliśmy do króla, jak do założyciela naszego. Nazajutrz dopiero o godzinie dziewiątej z rana dowiedzieliśmy się, że król cudownym sposobem przez Kosińskiego, raczej Kuźmę, ocalonym został; generał Coccei z chorągwią gwardii pieszej koronnej poszedł do

młynu marymontskiego, gdzie był król schroniony, i przyprowadził go do Warszawy. Okoliczności porwania tego w ówczesnych pamiętnikach dokładnie są opisane. Rzecz dziwna, że w mieście napełnionym żołnierzem moskiewskim tak śmiało przedsięwzięcie dokonane być mogło. Hajduk królewski, zasłaniający go ciałem swoim, zabitym został; król lekko w głowę cięty, pędzony na koniu przez okopy, zgubił kapelusz i trzewik. Kuźma w nocy zabłąkał się; król go zaprowadził do młynu marymontskiego i tam wymową swoją tak zmiękczył, iż z zbójcy stróżem jego stał się aż do oswobodzenia. Ciekawa jest rzecz, co by się było stało, gdyby król zginął. Choiseul, będący naówczas na czele ministerii francuskiego, nie dopuściłby może tak łatwo podziału kraju, jak go dopuścił d'Aiguillon. Tymczasem w cwał zaczęto się ubiegać z okazami przywiązania, ubolewania nad przygodą, radością nad ocaleniem dobrego pana. Napełnił się Zamek mnóstwem państwa obojga pogłowia; nie słyhać, jak łkania i łzy radosne; wydzierano sobie zboczony ubiór królewski, ściskano młynarza i młynarkę, którzy dali schronienie królowi; w wieczór miasto całe oświeconym było, i my, kadecie oświeciliśmy okna nasze, a w tych, co wychodziły na Zamek, ustroili lampami dużą cyfrę królewską. W kilka dni przypuszczeni byliśmy do widzenia króla. Leżał monarcha ten w długim pokoju garderobą zwanym, w zielonym adamaszkowym szlafroku, popielicami podbitym, z głową przewiązaną batystową chustką. Każdy z nas przystępował do pocałowania ręki królewskiej i mile był przyjętym.

Kuźma, darowany życiem, z dobrą pensją wysłany został do Włoch. W r. 1784, w czasie podróży mojej do Włoch, widziałem go w Senigallii, w czamarze z złotymi potrzebami, biorącego tytuł hrabiego. Po śmierci królewskiej powrócił człek ten do Polski i utrzymywany był od księcia Józefa Poniatowskiego; żył on do późnych lat i w roku dopiero 1822 umarł. Wspornicy jego, Łukaski i Strawiński, schwytani, sądzeni, na ścięcie i ćwiartowanie skazani. Król udawał się sam do sądu i w tkliwej mowie prosił o darowanie, równie zapewne z litości, jak dla nabycia sławy łaskawego. Po uzdrowieniu królewskim, acz już wybuchnęła wojna turecka, Warszawa atoli od bojaźni mdlejących już konfederatów uwolnioną została. Tyle doznanych od Moskwy upokorzeń nie przytłumiło zaślepionych ziomków od nałogu zbytków i żądzy zabaw. Warszawa, ledwie w połowie tak zabudowana jak dzisiaj, mieściła atoli w sobie wszystkich prawie rozlegle majątnych panów w Polsce i Litwie. Za Augustów mieszkali oni po zamkach swoich w prowincjach. Ciągły pobyt panującego w stolicy, niepewność (dla rozterek wewnętrznych) mieszkania na wsi, chęć zabaw co najbogatszych, a nawet niemajątnych, sprowadziła do Warszawy. Pałace księcia kanclerza Czartoryskiego, krajczego Potockiego, Ogińskich, Sapiehów, Branickich, Wielopolskich, biskupa krakowskiego i prymasa – po ostatnim podziale za bezcen na domy zajezdne sprzedane – bogatymi właścicielami swymi napełnione były. Przy wielu stały jeszcze nadwornych wojsk straż. Nie widać było po ulicach tyle pospólstwa rzemieślniczego i handlowego ruchu, lecz snuły się bogate, lakierowane, złociste karety z laufami i huzarami. Domy bogatych panów i stoły ich stały na oścież otwarte. Nie było już tyle jak przed laty dworzan, lecz za to kosztowniejsze nad nich cudzoziemców gromady. Polskie zwyczaje spieszenie zagranicznym ustępowały. Pani Mniszchowa, podkomorzyna koronna, pierwsza z dam polskich Francję zwiedziła modę strojów, języka i tonu paryską przywiozła do nas.

Rozdział trzeci

Dalszy pobyt w korpusie kadetów

Król sam, już nie w publicznych szkołach, lecz przez obcych wychowany nauczycieli, wiele lat spędziwszy za granicą, biegły w literaturze francuskiej, przyzwyczajony do społeczeństwa pani Geoffrin, wielce się przyczynił do wprowadzenia obcego tonu, gustów i zwyczajów. Za niego także zalotność do mężatek, wprowadzona w wyższe tylko towarzystwa za Augusta II, powszechniejszą się stała, zaletą, iż tak rzekę, była dla kobiet i mężczyzn. Surowy i niepokalany w obyczajach, póki był prywatnym, skoro się ujrzał na tronie, namiętnościom wodze popuścił. Wystrzegał się zrazu, zachowując niby wierność kochance swojej, Katarzynie II, lecz gdy od tej (zajętej już miłośkami z Orłowem) uwolnienie od stałości otrzymał, do najpierwszych pań hołd swój przenosić zaczął. Repnin, poseł moskiewski, otaczające go bojary, wodzowie z zwierzęcą, barbarzyńską popędliwością za kobietami naszymi uganiać się zaczęli. Widziano pierwszych duchownych występny mi zalotami każących świętość powołania swego. Widziano prymasów, biskupów wielkim kosztem utrzymujących kochanki swoje. Prymas Ostrowski, z ubogiego żołnierza do pierwszej wzniosłszy się mitry, całe skrzydło pałacu swego na mieszkanie dla kochanek swych przeznaczył. Dowcipna jedna dama skrzydło to prymasarnią nazwała. Nie było młodej, a nawet niemłodej kobiety, która by czciciela swego nie miała i nie popisywała się z nim przed światem.

Nieraz w dni świąteczne wychodziliśmy przed bramę koszar kadeckich, dziwiły nas bogate ekwipaże; przez kryształowe widzieć się dawały uróżowane, utrefione piękności, często kochanków swoich obok mające. Jedną z najślawniejszych naówczas była pani z Ledóchowskich Drzewiecka, podkomorzyna krzemieniecka; brat królewski, książę Kazimierz Poniatowski, podkomorzy w. koronny, przemówił ją sobie: wyszły natychmiast na nią, następujące wiersze:

Podkomorzyno! Ach, jakżeś zdradziecka,
W nocy koronna, a w dzień krzemieniecka.

Wykwintniejsze damy przybierały sobie Francuzów, sekretarzy królewskich, wojskowych, gubernatorów; tak przyszli do majątków Maisonneuve, Rieule, Glayre i inni. A tak, gdy kraj gnębiony był i niszczone przez Moskali, zlewany krwią ucierających się z nimi konfederatów, gdy senatorowie nasi jęczeli w Kałudze, w stolicy zawrót zbytków, rozwiązłych rozkosz i uciech widzieć się dawał.

Tymczasem pokój z Portą Ottomańską, oddalenie z ministerium ks. de Choiseul, który jeden wojnę tę i sprawę naszą utrzymywał, zrażały coraz bardziej mdlejące już nadzieje konfederatów. Dojrzewał niecny spisek między sąsiadami rozszarpania nieszczęsnej ojczyzny naszej. Carowa, wolna wszelkiej obawy, zadosyć czyniąc tajemnym z Portą warunkom, więzionych dotąd senatorów naszych, dwóch biskupów: Sołtyka krakowskiego i Załuskiego kijowskiego, hetmana Wacława Rzewuskiego i syna jego Seweryna wypuściła z więzienia. Wysyłała się Warszawa cała na spotkanie ich na Pragę. Dwaj ostatni udali się do dóbr swoich, biskup kijowski zamknął się w bibliotece swojej, później przez Moskalów zabranej, biskup krakowski, na nieszczęście, już obłąkania zmysłów znaki okazywać zaczął. Otworzył on dom swój, dawał liczne zgromadzenia wieczorne, na których pokazywał się z flecikiem, grając na nim rozmaite piosnki. Smutne skutki zadawanych przez Katarzynę Drugą udręczeń.

Tymczasem dotąd przez Francję tylko wspierani konfederaci, po oddaleniu p. Choiseul opuszczeni zewsząd, powoli rozchodzić się i poddawać królowi zaczęli. Nie jest w sposobności mojej opisywać dokładnie ich niektóre świetne pomysły i częste dla niedoświadczenia i [braku] jednośc porażki; już Rulhiere i Ferrand opisali je dosyć dokładnie; ukryte w rękopismach pamiętniki ojcyste (gdy dzisiejszy strach i surowość miną) obszerniej to jeszcze wyjaśnią. Odebranie z rąk moskiewskich zamku krakowskiego, długie i ciężkie w nim oblężenie pamiętnymi w dziejach naszych zostaną. Marszałek Zaremba świetnie w bojach okazałą odwagę splamił chciwym niecnych nagród poddaniem. Tułający się za granicą Ogiński i Radziwiłł powrócili do kraju i poddali się królowi. Kazimierz Pułaski, bawiąc we Francji aż do wybuchnienia wojny amerykańskiej, na nową część świata przeniósł żądzę niepodległości i za nią poległ.

Tymczasem knowany od dawna przez sąsiedzkie dwory na nieszczęsną Polskę spisek już do wybuchnięcia swego zbliżał się. Czekano chwili, aż minie ostatnie wysilenie polskiej śmiałości i odrętwiałe po nim zrażenie i słabość nastąpią. Od wieków Moskwa, przez Polskę tylko znaczenie mieć mogąca w Europie, zawieruszyć najprzód, na koniec mieć ją sobie podległą usiłowała. Ileż zdrad i podstępów, by dopiąć celu tego! Już Piotr Wielki na sejmie 1717 roku sprawił na niebacznym Polakach, by wojska swe do szczupłej garstki zmniejszyli. Odtąd August II zrzekł się wyniosłych swoich zamiarów, by Polskę silną i w rodzie swoim berło jej dziedzicznym uczynić. – Po śmierci jego już Moskwa królów wyznaczać Polszcze zaczęła. Utrzymany przez nią August III, leniwy i obojętny, przez lat 30 hulał i spał wraz z narodem, pograżonym w rozwiązłości i niedbalstwie na wszystko. Widział on zatrute ostatnie dni życia swojego wyrzuceniem z księstwa Kurlandii przez mężobójczynię Katarzynę królowicę Karola, ulubionego syna swego. Co więcej, nieprzyjazne mu wrogowie, nie czekając prędkiej śmierci, zrzucić go z tronu zamysłali.

Wtenczas to nieprzyjazne nam zdarzenie sprawiło, że młody Stanisław Poniatowski, siostrzeniec książąt Czartoryskich, rzadką naówczas w Polsce nauką i ogładą, piękną ciałą znakomity postacią, z posłem angielskim Williams do Petersburga wyjechał. Katarzyna, żona Piotra III, będąc tylko wielką księżną, zaniedbana, wzgardzona nawet od dziwnego męża swego, w samym kwiecie wieku, z burzliwymi zmysłami, z gorącą imaginacją, rzuciła oczy na młodego Polaka. W zapałach miłosnych obok przysięg wierności zająć musiała obietnica wszechwładnej kochanki do wieńca mirtów przydać z czasem i koronę królewską. Ten to wybór stał się później wszystkich klęsk naszych przyczyną. Lubo Stanisław August niezawodnie miał życzliwe chęci dla kraju, lubo w dźwignieniu go z ciemnoty, nierządu i niemocy chwałę dla siebie zamierzał, lubo miłość nauk (które posiadał) do cnych tylko czynów prowadzi, przecież przez słabość charakteru przy fizycznej odwadze, nieradką u nas, najdogodniejszym stał się narzędziem w ręku sąsiadów do spełnienia ostatniej zguby naszej. Przemoc moskiewska z niewielką liczbą sprzyjających, wbrew życzeniom większej części narodu, utrzymała na tronie Stanisława Augusta. Ostatni raz patrzono naówczas na widok, zatracony od wieków u wszystkich świata narodów, wybierania króla okrzykiem tłumów zbrojnej szlachty na koniach. Lecz w 1764 okrzyk ten był niegęsty, był tylko odpowiedzią obcym rozkazom. Ukorzoną została wyborem tym duma znaczniejszych panów w Polsce, nie cierpiących na tronie niższego, jak mniemali, od siebie. Przedniejsi byli: ks. Radziwiłł, wojewoda wileński, Branicki, hetman wielki koronny, Potocki, wojewoda kijowski, Ogiński, wielu trzymających ich stronę, wielu przywiązanych jeszcze do domu saskiego. Ustąpić oni musieli z otoczonej przez Moskalów stolicy, gotując odwet upokorzonej pychy, więcej nierównie żal zdeptanej niepodległości. Osobliwszy sprawił przypadek, iż gdy hetman Branicki, hetman wielki koronny, z żoną swoją, siostrą nowoobranego króla, Krakowskim Przedmieściem wyjeżdżał z Warszawy, nowoobranym królem patrzył na to z ganku domu ojca swego, dziś domu Mokronowskich. Radość z otrzymanej korony przytłumioną być zapewne musiała widokiem idących na wygnanie siostry i szwagra.

Przecież strona książąt Czartoryskich, od wielu lat pragnąca wydobyć Polskę z nierządu, który ją gnębił, z tej nawet przemocy moskiewskiej potrafiła korzystać. Umiała ona sprzątnąć, iż tak rzekę, przed bacnością Keyzerlinga, posła moskiewskiego, kilka zbawiennych ustaw na sejmie konwokacyjnym pod łaską księcia Adama Czartoryskiego, w r. 1764. Zniesiono na sejmie tym gryzącą istotność naszą polityczną rdzę, fatalne *liberum veto*, ukrócono nieograniczoną władzę hetmanów, zapobieżono trwonieniu skarbu przez podskarbach, i wojska, i skarb oddając pod władzę dwom nowoustanowionym komisjom, wojskowej i skarbowej. Przyznano zaprzeczane dotąd tytuły regentowi pruskiemu: króla, a carowej moskiewskiej: imperatorowej. Za co te dwa dwory najuroczyściej przez posłów swoich zaręczyły całość i nietykalność granic Królestwa Polskiego. Ujrzymy wkrótce, jak paktów tych dochować umieli.

Ważny wstęp do poprawy rządu naszego przeraził strachem zawistnych sąsiadów naszych. Każdy krok wiodący Polaków do upamiętania i porządku nienawistnym był [tym], który zamieszanem i niezgodą od dawna zgubić nas postanowili. Pycha i ślepotą ziomek naszych, nie mogące znieść Stanisława Augusta na tronie, w zniesieniu *liberum veto* i w ustanowieniu komisjów zgubę wolności widzące, niewczesne różnowierców pretensje o przypuszczenie do wszystkich dostojęstw zaburzeniem napęłniły kraj cały. Podniecali je król pruski i Moskwa, łudząc ich pierwsze i bezrozumne nadzieje. Powstały konfederacje mal-kontentów w Krakowie, Wilnie, dysydentów w Toruniu i Słucku;

Obiecała Moskwa pierwszym zniesienie [ograniczenia] *liberum veto*, strącenie nawet króla z tronu, dysydentom nadanie im wszystkich przywilejów. Uwierzyli, bezrozumni, i taka ich była w zaciętości ślepotą, iż byle dogodzić przesądom i nienawiści, nie wahali się wzywać pomocy, oddać się pod władzę tej Moskwy, przeciw której zniewagom i gwałtom kraj cały podnieść usiłowali. Zawiązała się pod tą opieką konfederacja radomska, przemieniona wkrótce w sejm, na którym przywrócono *liberum veto*, lecz nie dotrzymano słowa w zrzuceniu króla. Dogodzono w przywróceniu nierządu, lecz utrzymanie króla, bezczelne Repnina za dysydentami wdawania się, gwałt na senatorach spełniony bardziej jeszcze rozniecił gniewy i żądze zemsty. Powstała konfederacja barska: opieszale, pod ciemnymi wodzami, prowadzona wojna turecka, oddalając na chwilę wymierzone przeciw nam ciosy śmiertelne, w troistym sprzysiężonych gromie, spełniła je na koniec.

Od dawna chciwość trzech sąsiedzkich dworów knowała zamysł podziału Polski. Po prze-ważnym przez Romansowa zgromieniu Turków Katarzyna w negocjacjach o pokój wyniosłe swe odkryła pretensje; zatrwożyły one dwory wiedeński i berliński; w łupach na Polszcze postanowili szukać wynagrodzenia dla siebie. Józef II, przypuszczony przez matkę swą do rządów, niespokojny, wyniosły, chciwy zdobycz, niecierpliwy wsławienia się, pierwszy – jak mówią – w zjeździe z Fryderykiem II w Neiss, napomknął projekt zaborów na Polszcze. Chwycił się Fryderyk tej myśli i wraz brata swego, księcia Henryka, z napomknieniem jej do carowej Katarzyny II wysłał. Nie odrzuciła go Katarzyna ani też całkiem przyjęła, zostawując spełnienie projektu czasowi i okolicznościom. Najniecierpliwszy ze wszystkich cesarz Józef udał się do jezuitę, spowiednika Marii Teresy, matki swej, by panią tą z grzechu zabierania krajów nie należących do niej rozsgrzeszył, i otrzymawszy to, najprzód starostwo spiskie, dalej całą Ruś Czerwoną wojskiem swym napęłnił i obywatelom sobie posłusznymi być kazał. Król pruski surowiej jeszcze też same gwałty wyrządzał po Prusach Polskich. By bardziej jeszcze zastraszyć Katarzynę i do nieopierania się chciwym tym zaborom przymusić, Austria przymierze z Turkami zaczęła negocjować i już je posunęła daleko. Katarzyna, bitniejszego nieprzyjaciela nie chcąc ściągnąć na siebie, zezwolić musiała na większe, niż tego życzyła, wzmocnienie się Austrii i Prus. Zgodzono się więc na podział, nie zamierzając atoli granic zaborcom, tak dalece, iż Austria i Prusy coraz bardziej samowolnie posuwały granice swoje. Wyszła na koniec deklaracja podziału 5 sierpnia 1772. Deklaracje, którymi trzy dwory te niby prawa swoje ogłosiły, wzorem są bezczelności, urąganiem sprawiedliwości, pogardą rozsądku i opinii.

Nieszczęśliwy Stanisław August, zbyt za późno postrzegłszy, do czego go ślepe Moskiewie posłuszeństwo zawiodło, do wszystkich dworów zagranicznych wysłał posłów z protestacją. Obojętność, niedbalstwo jednych, słabość drugich, małe poważanie Stanisława Augusta odradziły mocarstwom mieszać się w ciężką walkę z tak przeważnymi mocarstwami.

Tymczasem 36 m. Austriaków weszło na Ruś Czerwoną, nakładając podatki i kontrybucje; król pruski od roku jeszcze 1771 męczył Prusy Polskie rabunkami i wybieraniem ludzi. Czarowa przysłała za posła Stackelberga, mniej zuchwałego jak Potemkin, mniej twardego jak Saldem, dumnego z tymi, którzy się płaszcyli, grzecznego z tymi, co się znali na sobie. Według praw dawnych zwołał król *senatus consilium*, lecz dzielące państwa zakazały senatorom z prowincji przez nie zabranych udawać się na nie: wielu wiedząc, na jak smutny cel zwoływani byli, nie przybyli do stolicy, 27 tylko senatorów znalazło się przytomnych. Odezwała się i w tych dawna śmiałość Polaków. Postanowiono ogłosić manifesta przeciw bezczelności podziału, nakazano instygatorom ścigać prawem tych wszystkich, którzy by nieprzyjacielskim mocarstwom przysięgę posłuszeństwa składali.

Nakazano sejmiki na dzień 8 lutego 1773. Natychmiast król pruski zakazał obywatelom Prus Polskich zbierać się na sejmiki. Sposób ten drugim rozbieraczom tak się okazał wygodnym, iż tenże sam rozkaz ogłosili w prowincjach przez siebie zabranych.

Stackelberg do księcia Czartoryskiego, wojewody ruskiego, w te słowa napisał: „Nie powinieś się W. Ks. M. znajdować w senacie, jeśli przeciw rozkazowi temu postąpisz, skutki nieposłuszeństwa tego okropnymi będą dla niego” Podobne rozkazy wsparte były wojskami trzech mocarstw, które stolicę obiegły i same napełniły miasto. W pozostałym kraju 32 sejmików było zerwanych, na innych niewielka w zostawianiu posłami ochota. Stackelberg ogłosił, iż sejm miał być pod konfederacją, i nim się Izby zebrały, Poniński wyznaczony marszałkiem związku tego. Poniński, urodzony z niepospolitymi talentami i wymową, straciwszy majątek, wyuzdany na wszystko, co jest niecznym, wszelki wstyd, wszelką uczciwość cheiwości i lubieźności poświęcił. Pamiętni w dziejach naszych Reytan i Korsak, posłowie z Nowogródzkiego, szlachetnej odwagi w samych początkach sejmu tego dali dowody, ciałami swymi zawałając progi, przez które narzucony marszałek miał wchodzić. Król także ociągał się z podpisaniem aktu konfederacji, tak dalece, iż Stackelberg oświadczył, iż jeżeli w dniu tym nie podpisze, 50 tysięcy wojsk sprzymierzonych wnijdzie do Warszawy i kontrybucję nałoży na miasto. Król uległ na koniec i odtąd trzy dwory rządziły sejmem.

Lubo wyrostkiem tylko byłem naówczas, trudno wyrazić, jaką boleścią te wszystkie gwałty, te bezczelne postęпки napełniały serce moje i towarzyszków moich; niedokładnie tylko i jak dzieci słyszeliśmy o nich; jakże boleśnie ten podział kraju, te gwałty, te naigrwania się z dobrej wiary i uczciwości tych, co ich bliżej doświadczały, dojmować musiały. Któż wyrazi zgrozę naszą, gdy stojąc przed kazimierską bramą patrzaliśmy na drabów moskiewskich, pruskich, austriackich, dumnym, natrząsającym się wzrokiem patrzących na uległych pod tym potrójnym, spiskiem Polaków.

Gdy masa narodu z włościan i ubogich mieszczan złożona, pogrążona w ciemnocie i niewoli, w nieczulej zostawała obojętności, gdy sama szlachta tylko uważająca się narodem straciła wszelką skutecznego opierania się nadzieję, najprzód odrętwiałość i cicha rozpacz, wkrótce, jak gdyby dla odurzenia się, pogrążenie się w zabawach i zbytkach opanowało przedniejszych Warszawy mieszkańców. Zachęcali je posłowie sprzysiężonych dworów. Stackelberg moskiewski, Rewicki austriacki otworzyli domy swoje na wieczorne zgromadzenia. Jeden Benoit, rezydent pruski, nie biorący od pana swego, jak 2500 talarów, w okazałości nie mógł im sprostać, w szkodzeniu nam nie ustępował, drugich nawet przechodził. Inni przedniejsi panowie, jak zwykle dawniej, trzymali domy otwarte. Przybył do nich nowopowstały pan Poniński, hojnie we wszystkich zbytkach wspierany przez Moskwę. W jego. to domu odnowiły się dawne Augusta II pijatyki. Zebranie majątniejszych panów w Warszawie, corocznie wpływające złoto za kwitnący w Gdańsku handel zbożowy dostarczały żywności

wyuzdanym namiętnościami. Na ziemi, kirem publicznego żalu okrytej, nie widziano, jak bezwstydnie zaloty i szumne uciechy. Stackelberg przybrał za kochankę ks. R., żonę marszałka konfederacji litewskiej. Baron Rewicki, poseł austriacki, wziął od męża panią Rudnicką, później Ostrowską. Lentulus, generał pruski, panią Oborską. Król, bracia jego, przedniejsi panowie mniej lub więcej znanym hołdownali pięknościami.

Dawano częste bale, a że wprowadzały się naówczas kontredanse i inne zagraniczne tańce, a kadeci uczyli się onych, zapraszano nas na nie. Często przysyłano karety, lecz czasem i nie. Natenczas inny mieliśmy sposób w pończochach i trzewikach przenoszenia się na miejsce tańców. Najmowali się gotowi już do tego żołnierze obok nas stojącej gwardii litewskiej i za pół złotego nosili nas na barana na bale. Lecz i te miejsca uciechy nie były wolne od gnębiącej nas podejrzliwej przemocy. Raz gdyśmy byli na balu u pani Hilzenowej, wojewodziny, w domu dziś na Komisję Spraw Wewnętrznych obróconym, zastaliśmy pałac otoczony i się całą napelnioną zbrojnym żołnierzem moskiewskim. Tak niespokojnym jest pełne popełnionych zbrodni sumienie.

Za tego sejmu w zaludnionej naówczas Warszawie otworzyło się pierwszy raz teatrum narodowe, mówię, pierwszy raz tego wieku (mamy bowiem drukowane sztuki za Zygmunta I grane). Książę Adam Czartoryski, hojny nauk zachęciiciel, pierwszym był teatru narodowego założycielem. Oryginalne sztuki jego: *Panna na wydaniu*, *Mniejszy koncept jak przysługa*, czyli *Pysznoskapski*, wiernym są obyczajów owego wieku obrazem. Nadto przetłumaczył on *Gracza* i *Dumnego*, Baudouin tłumaczył Moliera. Zabłocki i inni napisali sztuk kilka. Przedniejsi aktorowie byli: Swierzawski, prawdziwie narodowy, później przez jednego tylko Żółkowskiego zrównany, Bogusławski, Owiński, żona jego, Truskolaska, Kępiński, Witkowski. Sprowadzono później balet i operę włoską, na koniec komedię niemiecką. Wszystko to bez najmniejszego zasilenia od rządu utrzymywało się. Teatr był w pałacu Radziwiłłowskim, dziś namiestnika królewskiego. Moskale i Polacy tłumem cisnęli się nań. I tu często rozrzutnej hojności zdarzały się widoki. Wprowadzono zwyczaj ulubionym aktorom, aktorkom i tancerkom rzucać z parteru worki napelnione złotem. Poniński, generał moskiewski Romanus, inni generałowie moskiewscy, książę Marcin Lubomirski, który niezmierny straciwszy majątek, splamiwszy się jak człek i obywatel, z trzema lub z czterma rozwiódł się żonami, został na koniec żydem i, córkę sławnego Franka pojawiający, w Frankfurcie życie dokonał. Ci, mówię, i wielu innych rzucali worki złota tancerce Casacelli, Schinaglin, Bini, [wyraz nieczytelny] i sławnemu skoczkiowi Szlancowskiemu. Wiele kobiet teatralnych utrzymywanym było przez tychże rozrzutników. Ostatni raz worek złota rzucony tym sposobem rzuconym był w r. 1791 podczas konstytucyjnego sejmu Swierzawskiemu w roli starosty w *Powrocie pośła*.

Prawdziwym teatrem zbytków i rozwiązłości były reduty. Odbywały się one w pałacu Sułkowskich na Nowym Świecie, dziś już zniesionym. Wszyscy tam byli w dominach lub innych maskach, wszyscy, mężczyźni nawet, potężnie zróżowani. Nie chcący się ukrywać zapinali maski na czapkach lub kapeluszach. Dotąd stoi mi w oczach Drewnowski, sekretarz sejmowy Ponińskiego, tłusty, z ogromnym czarnym wąsem, przecinającym aż po oczy zróżowane policzki, prowadzący również tłustą kochankę swoją. Tysiąc innych pociesznych ukazywało się figur. Sale były obszerne; stały stoliki z ostrygami, pieczysem, winem szampańskim: wychylano poncz szklanicami, a gdy się głowy dobrze zagrzały, gdy zagrzmiała muzyka polskiego, pewna kłótnia o pierwszą parę i nazajutrz pojedynki na pistolety pod Jezierną. Najczęściej pojedynki te były z Moskalami. Kublicki, dworzanin księcia Czartoryskiego, kilka razy miewał je do roku i cały był postrzelany.

Mówiąc o redutach i teatrach przepomnieć nie mogę śmiesznego na teatrze zdarzenia. Stackelberg, poseł moskiewski, przywiózł był z sobą żonę Niemkę. Ta schodzące już wdzięki sztuką nadrabiać chciała. Czy to z polityki, czy z próżnowania, Potocki, krajczy wielki koronny, jął się do niej zalecać i jak się okaże, odrzuconym nie był. Raz na operze włoskiej Stackelberg wszedł do łoża żony i mocno zadziwionym został, że jedną tylko brew zastał nad

okiem jej. (Nosiła je ona, zamiast białych naturalnych, gładko z aksamitu czarnego wystrzyżone i przyklejone.) Poseł wielki szuka wszędy straconej brwi, postrzegłszy ją na koniec na czole krajczego Potockiego, przytomnego w łożu, zdejmując ją: „Znalazłem zgubę Waszą” – rzekł do żony z grzecznym ukłonem, brew czarną aksamitną podając jej na chustce. „Przecież – odezwano się na parterze – zemszczeni mężowie polscy.”

Przed kilku laty niektórzy starsi kadeci wysłani kosztem księcia Czartoryskiego na wydoskonalenie się do Paryża powracać zaczęli. Między tymi był Kościuszko, tak znakomity później w chwilach skonania naszego. Pierwszy raz go ujrzałem, gdy przyszedł do korpusu odwieźć dawnych towarzyszków swoich. Mógł mieć naówczas lat 24; oczy miał duże, smętne, twarz bladą, postać dość przyjemną. Najbardziej uderzył mnie w nim do samego pasa gruby warkocz włosów naturalnych, czarną wstążką obwinionych. W kilka miesięcy po przyjeździe zniknął z Warszawy. Wkrótce rozeszła się wieść, że się był rozkochał w córce Sosnowskiego, pisarza polnego litewskiego, i z nią uciekał: dognano go atoli i odebrano pannę. Szeptano naówczas, że Kościuszko zwierzył się był królowi miłości swoich, że król, nie umiejący sekretu dochować, chcący sobie pozyskać Sosnowskiego, ostrzegł go o uwiezieniu, tak że kochankowie nie mieli czasu dopaść granicy.

W tych to właśnie latach odkryty spisek jezuitów na życie króla portugalskiego poruszył wszystkie chrześcijańskie dwory do nalegania na Ojca św., by zniósł ten tak niebezpieczny zakon. Zbyt oni byli wynieśli, zbyt możni. U wszystkich dworów będąc spowiednikami monarchów, nie tylko sumieniem ich, lecz zewnętrzną rządili polityką. Nikt tego więcej nie doświadczył jak nieszczęśliwa Polska za Zygmunta III. Później gwałtownościami swymi oburzyli Kozaków i ukraińskie pospólstwo i odpadnięcia tego ludu bitnego stali się powodem. Oni to, opanowawszy w Polsce wychowanie publiczne, wydali w ostatnich dwóch wiekach pokolenia, co przesady, fanatyzmem, nieoświeceniem Polskę naszą zgubiły. Grom jeden rzucony z wysokości Watykanu miał ich na zawsze zetrzeć, lecz próżno; acz węgielnym kamieniem zasad towarzystwa tego było ślepe stolicy apostolskiej posłuszeństwo, nie wszędy jednak usłuchali znoszącej ich bulli papieskiej. Udali się pod protekcją odszczepieńców: Katarzyny II i króla pruskiego. Duma pierwszej, rada zawsze wyższość i panowanie swe okazać, nie opuściła okazji upokorzenia Kościoła rzymskiego w daniu opieki swej zniesionemu przezeń zakonowi. Pozwoliła więc Katarzyna jezuitom zachować kościoły i klasztory swe w Połocku, Mohyłowiu, Orszy i innych miejscach, w wydartych przez nią na Polszcze prowincjach. W tych to klasztorach, w utrzymywanych w nich seminariach, dochowywał się zakon, aż w r. 1814 wśród zwalisk świata całego miał na nowo zakwitnąć. Do tych to seminariów dążyli zapaleńcy z najoddalniejszych Europy krajów, z Hiszpanii, z Portugalii etc. W żadnym zakonie nie widziano tej tak zaciętej wytrwałości; dość było innym zakonnikom być kapłanami, służyć Bogu, mniejsza, w jakiej sukience, jezuitcie koniecznie trzeba było być jezuitą; dlaczego? bo tajne to towarzystwo, na wyniosłości i żądzy panowania wzniesione, w innym zakonie nie nasyciłoby tych pasji, nie dopięło swych celów.

Od zwalenia zakonu tego liczyć można nową epokę wskrzeszenia oświaty i nauk w Polsce. Na zwaliskach jego wzniosła się nowa, w innych krajach nie znana, magistratura wychowania publicznego, pod nazwiskiem Komisji Edukacyjnej. Zabrane ogromne dobra jezuitskie, letkim wieczystym puszczone czynszem, stały się funduszem akademiów i szkół publicznych. Zaprowadzony nowy tryb edukacji. Nie ograniczone, jak u jezuitów, w samej łacinie nauki. Obce języki, literatura, potrzebne umiejętności podług stopni szkół dawne, przygotowując całe plemię, czujące równie dzisiejsze upodlenie swoje, jak żądę wydobywania się z niego. Pierwsze w kraju osoby bezpłatnie w magistraturze tej przywodziły. Byli to: książę prymas Poniatowski, Massalski, biskup wileński, książę Adam Czartoryski, książę Stanisław Poniatowski, Chreptowicz, podkanclerzy wielki litewski. W r. 1789 i mnie tam umieszczono.

Tak więc i za tego sejmku, pod żelazną różgą trzech sprzysiężonych dworów, pod przewodnictwem najniemorálniejszego z ludzi, pod tym sejmkiem skażonym chciwością ukazały się,

zwłaszcza w początkach, dusze szlachetne, zaszyły niektóre zbawienne urządzenia. Najzbawiennejszym zapewne była wspomniana już Komisja Edukacyjna. Ustanowiono Radę Nieustającą, która między sejmem a sejmem zastępowała władzę wykonawczą; jakkolwiek błędną była ta magistratura, przyzwyczajała naród do rządu. W szczupłych pułkach, czyli raczej ramach do pułków – nie liczyły bowiem one jak po 200 lub 300 ludzi – wprowadzony tryb i karność. Odjęto królowi rozdawnictwo urzędów i starostw. Na te starostwa powyrabiali sobie, najwięcej członkowie delegacji sejmowej, prawa emfiteutyczne na długie lata. Cztery najrozleglejsze starostwa, jako to białocerkiewskie, bogusławskie, kaniowskie i [chmielnickie], dane królowi do rozdania, komu rozumiał. Białocerkiewskie, odpowiadające w rozległości swej znacznej udzielnej prowincji, dał król Braneckiemu, już hetmanowi wielkiemu koronnemu, dziedzictwem. Nigdy najpotężniejszy monarcha nie dał poddanemu swemu równie bogatego daru, przecież Branecki najczarniejszą niewdzięcznością Stanisławowi Augustowi dobrodziejstwa te odplacił, gdy w rok potem powstawszy przeciw niemu związał się z Moskwą, pojął za żonę moskiewską, jedynie, by wszechwładny wpływ do łask Katarzyny od króla przenieść do siebie. Nie dosyć na tym, niezmordowany w tych zapasach, widząc, że w r. 1791 naród w sejmie zebrany nie dał mu się powodzić, powstał przeciw niemu i na czele konfederacji targowickiej, hetman polski, zbrojną ręką walczył [przeciw] Polakom.

Na tymże sejmie Seweryn Rzewuski otrzymał buławę polną koronną i starostwo kowelskie dziedzictwem. Zakochany w tej buławie, pełen dawnych, najciemniejszych przesądów, próżny do zapamiętania, skaził na zawsze sławę ponoszonej wraz z ojcem niewoli moskiewskiej staniem się pierwszym z hersztów spisku targowickiego. Wysłano nas kilkunastu kadetów na ostatnią sesję tego nieszczęsnego sejmu. Widok króla siedzącego na tronie, otoczonego senatem i posłami, przejął mnie uszanowaniem. Słyszałem mówiącego króla za Rzewuskim, Czetwertyńskiego, co później przeszedł do Targowicy, za wolnością, Ponińskiego wychwalającego bezczelnie dobrodziejstwa przez sejm ten złane na Polskę. Dano królowi na ten raz władzę nominowania członków do Rady Nieustającej. Na tejże ostatniej sesji dał król podskarbstwo wielkie koronne Ponińskiemu. Było to oddanie owcy pod straż wilka. Tenże Poniński wystawił most na łyżwach Warszawę z Pragą łączący i w nagrodę cło od niego na lat [10] otrzymał od sejmu.

Rozdział czwarty

Dalszy pobyt u kadetów

Jak olbrzym po ciężkiej z tytanami walce, z wytoczoną krwią, utraciwszy swe siły, zemdlny płacze utraconej potęgi, tak naród nasz szlachecki, niewolą i ciemnotą stłumiwszy w włościanach wszelki duch obywatelstwa, opuszczony od wszystkich, poddał się z pokorą niezbędnemu przeznaczeniu swemu. Anglia tylko i Francja silnie podziałowi temu sprzeciwić się mogły, lecz pierwsza, korzyści handlowe przekładając nad wszystko, nie chciała ich tracić w zapasach z Moskwą, nadto, przewidując wojnę z koloniami swymi w Ameryce, nie chciała na Hanower sprowadzać wojsk pruskich. Francja po upokarzającym pokoju z Anglią, po stracie Kanady, podnosząc swą marynarkę, przewidując porę pomszczenia się w wojnie o kolonie, nie chciała popędliwego Józefa II obudzać na siebie. Szwecja, Anglia, drobne państwa niemieckie, zbyt słabe lub oddalone, lub pod przewagą sprzysiężonych dworów będące, prócz oburzenia się na nieczne gwałty, prócz nieczynnego ubolewania nic nam więcej dać nie mogły. Nadto Kaunitz oświadczał wszystkim, iż gdy trzy dwory zarówno się wzmacniały, równowaga Europy naruszoną przez podział Polski nie będzie. Słowem, napisano było w księgach przeznaczenia, iż Polska stopniami z liczby narodów wymazaną będzie; i spełniło się. Lecz jeżeli naród po tylu nawałnicach o wszelkich poruszeniach myśleć zaprzestał, duch niespokojności nie ustał w wichrzycielach. Branecki, z mdłego szlachcica wyniesiony przez Stanisława Augusta na szczyt dostojęństw i bogactw, przyczyniwszy się sam do podbicia i upodlenia kraju, obiecywał Katarzynie całować narzucone przez nią jarzmo, byle mu pozwoliła nad Augustem przewodzić. I on, i kolega jego Rzewuski niechętnie widzieli zmniejszenie przez ustanowienie Rady Nieustającej swej władzy hetmańskiej. Szaleni! jak gdyby mogła być władza jaka w kraju, który cały jęczy pod obcą przemocą; przecież niewdzięczny, zaślepiony Branecki pobiegł do Petersburga, przekładając Katarzynie, że władza hetmańska zawsze pośredniczką była między narodem i królem, że król zbyt zyskał powagi przy ustanowieniu Rady Nieustającej, że hetman, zawsze (jak przyrzekał) podległy Moskwie, jeden tylko hamulcem być może zbyt, niebezpiecznej dla Moskwy, króla przewagi. Prosił także o oddalenie Stackelberga i przysłanie na poselstwo kogo innego. Zręczne chytrego człowieka zabiegi już skutkować zaczęły, gdy Stackelberg dowiedziawszy się, jak był przez Braneckiego oczernionym u dworu swego, prosił i otrzymał pozwolenie udania się do Petersburga.

Łatwo było Stackelbergowi zetrzeć fałszywe wyobrażenia, dowieść Katarzynie burzliwe, dumne Braneckiego zamysły. Interes Katarzyny nie wymagał nowych w Polszcze zamieszek; zapewniona od Stackelberga, iż nieograniczone jej w Polszcze panowanie zachowaniem niniejszego stanu rzeczy niczym nadwerężonym nie będzie, jemu samemu styr wszystkiego powierzyła wyłącznie. Powrócił Stackelberg do Warszawy z listem do króla, w którym następujące znajdowały się wyrazy: „Posłowi memu powierzam jedynie wykonanie rozkazów moich, on jeden, gdy w imieniu moim mówić będzie, na wiarę zasługiwać powinien.”

Wszystkie te zabiegi poprzedzały czas do sejmku przeznaczony, to jest wrzesień 1776. Branecki, Rzewuski i inni ministrowie pochlebiali sobie, że na nim ograniczone ich władze odzyskają na powrót, król, który dość sobie upodobał Radę Nieustającą, choć przez nią chciał odzyskać cień panowania; lecz – smutno powiedzieć – każda strona przez Moskwę tylko celów swych dopiąć usiłowała.

Za powrotem Stackelberga wyszły uniwersały na sejm, a że poseł ten chciał go użyć na upokorzenie Braneckiego, a gwarantowane przez samą Moskwę liberum veto mogło słowem

jednym celem ten zniweczyć, postanowiono sejm ten odprawić pod zwiazkiem konfederacji. Niepotrzebnie dzieło to w samych onego początkach uczyniono niepopularnym. Rozsypane po kraju wojska moskiewskie otaczały wszędy sejmiki i wyznaczone tylko przez króla i posła moskiewskiego osoby na poselstwach utrzymywać żądały. Hetmanowie też dali rozkazy szczupłym pułkom, a nawet gwardiom królewskim do wyruszenia na prowincje dla utrzymania niby tychże sejmików. Krok niepotrzebny, chcąc bowiem zachować łaskę carowej wiedzieli wprzód, iż z wojskami jej walczyć nie odważą się. Mimo tych wszystkich zabiegów wielu posłów z przeciwnej Moskwy i królowi strony obranymi zostało. Krok w krok przemoc i zgwałcenie praw i form w całym tym dziele postępowały za sobą. Konfederacja nawet nie była zawiązaną w Izbach, lecz w pokoju królewskim, marszałek Mokronowski nie był obrany przez posłów, lecz wyznaczony w gabinecie królewskim. Dziwnym zapewne zdawać się będzie tym, którzy, czytając Rulhiere i Ferranda, Mokronowskiego jak bohatera wolności uważać nawykli, widzieć go dzisiaj narzędziem bezprawiów. Sprzeczność tę w postępowaniu uwagą tylko nad okolicznościami i stanem naszym naówczas, jeśli niezupełnie usprawiedliwić, wytłumaczyć przynajmniej można. Z podziałem kraju, z opuszczeniem go od wszystkich, z poddaniem się wszystkim woli carowej moskiewskiej nie widział i Mokronowski nadziei odzyskania niepodległości, lecz jak dobry obywatel chciał i w niemocy naszej, co można było zbawiennego, uczynić dla kraju. Widział, iż na otworzyć się mającym sejmie nie szło o ważne dla dobra ojczyzny odmiany i ustawy, szło tylko, czyli dogodzić dumie Braneckiego i Rzewuskiego lub nie, widział, iż ukrócenie jej zapobieży niepotrzebnym zaburzeniom, postanowił więc z największą z siebie ofiarą, bo z poświęceniem nabytej sławy i popularności, dopuścić się zgwałcenia praw, form i wolnych wyborów, ofiarą, której dziwić łatwo, lecz pochwalić ciężko.

Gdy się więc posłowie na pokoje zebrali, wyznaczony bez nich marszałek czytał imiona tych, którzy, z powolności swej znani, zasiadać mieli w sejmie; i zaraz im do izby iść kazał, tym, którzy podlegli byli Braneckiemu lub własnym rządził się zdaniem, z gwałtem nie znany dotąd w dziejach narodowych ustąpić kazano.

Gdybyż przynajmniej bezprawia takie użyte były na zdziałanie ważnych, zbawiennych dla kraju ustaw; bez pracy pomniejszych urzędzeń wewnętrznych, prócz interesów prywatnych, najważniejszym sejmu tego dziełem było dzikie nadanie Radzie Nieustającej tłumaczenia praw, a zatem władzę przeistaczania woli narodowej, zagarnienia władz wszystkich; i ograniczono władzę hetmanów, uwalniając wojsko od składanej im dotąd przysięgi, poddając gwardię pod rozkazy króla, inne pułki pod władzę Departamentu Wojskowego. Największa walka była o odebranie władzy hetmanom i przymuszenie ich do przysięgi królowi i Radzie. Branecki zmyślił chorego i nie pojechał na tę sesję. Król wysłał do niego p. Tomasza Ostrowskiego, będącego naówczas przy nim, który za czasów naszych umarł prezesem senatu. Wzbraniał się Branecki, Ostrowski zapowiedział mu, iż straci urząd, jeśli nie przysięże. „Nie ma krzyża” – rzekł Branecki. „Wraz go znajdziemy” – odpowiedział Ostrowski i wzięwszy leżące na stole nożyce rozłożył je na krzyż; na takim więc krzyżu, godnym Braneckiego, Branecki wierność zaprzysiągł.

Na tym to sejmie Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, w obronie dostojeństwa swego dał poznać silną i gorącą wymowę swoją. Uniósł się raz aż do obrażenia majestatu; obruszona Izba przepraszać mu króla kazała; gdy formę przeproszenia tego pisano, król (jak mi to sam później powiedział) wniósł prawo zniesienia tortur; te jednomyślnie przyjęto.

Komisje Wojskową i Skarbową zastąpiły Departamenta: Wojskowy i Skarbowy, w Radzie. Wyznaczono etatem na wojsko koronne 6 290 000 fl.; na litewskie 2 300 000 fl. Po tym skonfederowanym sejmie pięć następujących, aż do roku 1788, były wszystkie niby to wolne. Wojska moskiewskie stały ciągle. Przed zaczęciem każdego sejmu układano się z posłem moskiewskim, jakie materie do stanów wchodzić miały: były one wszystkie więcej prywatnych interesów jak dobra publicznego tyżące się. Prócz statutu ogólnych praw, które wygo-

towywać jeden sejm polecił Andrzejowi Zamoyskiemu, byłemu kanclerzowi, a drugi ze wstydem dla narodu odrzucił, dlatego że wieśniakom opiekę prawa nadano, prócz – mówię – tego ważnego, lecz upadłego zbioru praw, blahe były (bo pod obcymi rozkazami) wszystkich tych sejmów ustawy. Przeważną była strona dworu; najzupełniejszą uległością zjednał sobie Stanisław August wsparcie posła moskiewskiego. Nadto miał dwór po prowincjach poświęconych sobie dyrektorów, iż tak rzekę, wszystkich sejmików; takimi byli w Wielkiej Polsce Kazimierz Raczyński, generał ziem wielkopolskich; na Wołyniu [miał król] Olizara i Grocholskich, w Litwie Tyzenhauza, podskarbiego nadwornego litewskiego. Ten ostatni, bez nauki, z miernym wychowaniem, z mierną umiejętnością, wszystko przenikłym geniuszem swoim zgadywał i obejmował; wszystko, co przedsiębrał, tęgością charakteru swego do skutku przywoził. Szkoda, że często gwałtowne i niemoralne były sposoby, których używał, by całą Litwę podległą uczynić dworowi.

Król uczynił Tyzenhauza generalnym administratorem dóbr stołowych litewskich, ekonomów: szawelskiej, grodzieńskiej, kobryńskiej; z dóbr tych obszernych płacił Tyzenhauz królowi corocznie 120 000 czerwonych złotych. Zawiadywanie tylu obszernymi włościami, władza puszczenia ich w dzierżawę dały biegłemu i czynnemu człowiekowi [możliwość] uczynienia sobie licznej po wszystkich powiatach klienteli. Użył on ich na opanowanie wszystkich sejmików; na wszystkich rej wodzili administratorowie i dzierżawcy jego. Znikły przed tym miernym szlachcicem przemożne niedawno Radziwiłłów i Czartoryskich partie i wpływy. Nikt nie mógł być posłem, nikt deputatem na trybunał, tylko ten, którego Tyzenhauz wyznaczył. Przez klientów swoich na trybunał, cne i niecne, jak przyjaźń lub niechęć kazały, dyktując dekreta, prowincji całej stał się postrachem. Nigdy udzielne Jagiellony wszechwładniejszymi księstwa tego nie byli panami. Lecz z całą tą władzą rządzący przez Tyzenhauza Litwą Stanisław August pierwszym był tylko sługą carowej moskiewskiej.

Polityczne ujarznienie Litwy nie jednym było Tyzenhauza celem: wyniosły i trafny umysł jego do szlachetniejszych dążył. Czuł on i niedostatek swój umiejętności, i żądę nabycia ich.

Wyjechał na rok za granicę do nabycia ich. Przemysł, rękodzieła, handel stały się jednymi badań jego przedmiotami. Zbogacony skarbem nie znanych mu dotąd znajomości, gorącą zajęty chęcią zaprowadzenia do ojczyzny nie znanych jej źródeł bogactw, za powrotem swoim do Grodna zaczął wznosić budowy na rozmaite fabryki, sprowadzać zagranicznych rękodzielników. W zakładaniu tym więcej było dobrej chęci niż zdrowej uwagi. Zamiast zaczęcia od rękodzieł pierwszej potrzeby zaczął Tyzenhauz od zbytkowych. Zamiast wyrobku własnych płodów sprowadzał z zagranicy jedwabie, bawełnę, złoto i srebra. Tkał lite materie, aksamity, atłasy, bogate pasy, a cudzoziemiec – mogące się robić w kraju – sukniem, płótnem, skórą kraj nasz zalewał. Najzbawienniejszymi z zakładów jego były szkoły tak potrzebnych w gospodarstwie krajowym rachmistrzów, geometrów etc., etc. On pierwszy wprowadził do kraju porządną registraturę. Założył także korpus kadetów, ogród botaniczny etc.

Znałem Tyzenhauza w pierwszej młodości mojej. Pochodził on z dawnej kawalerów mieczowych w Inflanciech familii. Przodkowie jego znakomite w Rzeczypospolitej piastowali urzędy. On nie umiał, jak po polsku, i do wyjazdu swego za granicę chodził w narodowym stroju. Wysoki, smagły, czarniawy; bystrość dowcipu malowała się w twarzy jego i, z żywymi urodzony pasjami, lubił wszystkim dogodzić. Urząd jego, zwyczaje krajowe kazały mu być popularnym i gościnnym. W wystawionym przez niego w Grodnie pałacu na Horodnicy brzmiała muzyka, lały się wina strumienie. Szafarz sprawiedliwości, łask, urzędów, orderów; obywatele z całej prowincji cisnęli się do niego, ci nawet, co niczego nie żądali, bili czołem, by prześladowanymi nie być.

To tak nieznanne wywyższenie wzbudziło zazdrośników. Franciszek Rzewuski, marszałek nadworny koronny, dumny, próżny, samolub w najwyższym stopniu, potrafił obalić olbrzyma i urząd administratora ekonomii królewskiej dla siebie otrzymać, z tą nawet łaską, że zamiast 120 m. nie płacił, jak 100 m. rocznie. W mgnieniu oka Tyzenhauz z wszechwładnego stał się

nic nie znaczącym. Niedługo upadek swój przeżył. Runęły z nim i zaprowadzone rękodzieła; nie dźwignęli ich ani Rzewuski, ani później rządzący ekonomiami królewskimi książę Stanisław Poniatowski. Same nawet zagospodarowane przez Tyzenhauza dobra stołowe, rozdane po ostatnim podziale, rozdane na nałożników i dworaków Katarzyny Drugiej.

Wszystkie więc sejmy aż do roku 1788 okazałymi tylko były zjazdami: zwano je atoli wolnymi, dlatego że wolno było te małe drobiazgi wnosić, na które poseł moskiewski pozwolił. Drzymały rozmaite partie; całe zapasy, by utrzymać kogo z strony swojej w Radzie Nieustającej lub asesorii. Nie zbywało na bankietach. Tłało atoli przysypane popiołem obywatelstwo, wybuchało nieraz w gorących mowach przeciw uciskom stojących po prowincjach Moskali.

A tak w pierwszej młodości swojej, z zaciszy szkolnej, nie słyszałem, jak o upodleniu naszym. Wrażenie te wraz nowymi rozjątrzone krzywdami napełniło serce moje niezgasłą nigdy ku obcym ciemnościom naszym niechęcią.

Tymczasem nauki w Szkole Rycerskiej braną szły trybem swoim; nadto nas wiele uczono, byśmy w czymkolwiek gruntownie uczonymi być mogli. Nie byłem ani między najgorszymi, ani między najlepszymi uczniami. Do matematyki najtwardszą miałem głowę. Wielu atoli z kolegów moich znaczne w tej umiejętności uczyniło postępy. Brat mój stryjeczny Stanisław, Skarżyński, Kochanowski wysłani byli na rozgraniczenie zabranych prowincji. Smutny los zaiste, iż pierwszym dziełem, do którego Stanisław August wezwał wychowawców szkoły założonej przez siebie, było sypanie mogił rozszarpanej przez najeźdźników ojczyzny naszej.

Z młodych lat uczułem w sobie wielką ochotę do poezji i literatury; w szesnastym roku napisałem wesołe poema w czterech pieśniach pod tytułem Wojna kobiet. Dała do tego powód znajomość kadetów z córkami oficerów gwardii litewskiej i rozmaitych panien dworskich odwiedzających je: odwiedzali one i kadeci; gry różne, tańce, zaloty, zazdrości były treścią poema. Usłyszał o nim książę Czartoryski, komendant nasz, kazał je sobie przynieść, czytał i napisawszy na nim krytykę swoją odesłał mi je na powrót. Tym to może dziecinnym wierszom winienem wstęp do szczególnego opiekowania się mną pana tego.

Nauki i umiejętności nie pierwszą były wychowawców szkoły tej korzyścią. Droższymi były nierównie te prawidła cnoty, honoru, miłości ojczyzny, ten wstręt ku wszystkiemu, co przynosiło ohydę, które nam wódz nasz, książę Adam Czartoryski, wlewał ustawnie w serca i umysły nasze. Te to z dzieciństwa wpojone wrażenia sprawiły, iż w trudnych później przygodach, w których się kraj nasz znajdował, rzadko który z kadetów zboczył z drogi cnoty i uczciwości; wielu wstawiło się odwagą, cnotą i najszlachetniejszym w dobrej sprawie poświęceniem się.

Jeden tylko przytoczę przykład, jaką miłością ojczyzny i swobód jej [przejęci byli] w tej szkole ledwie z dzieciństwa wychodzący pacholeta. W r. 1775, gdy nas doszła wiadomość, że podział kraju podpisany został przez Ponińskiego, o godzinie 11 w nocy schwymano w bramie pałacu Kazimierowskiego małego kadeta M... i pod płaszczem jego znaleziono pałasik. Zapytany, dlaczego tak późno i bez pozwolenia chciał na miasto wychodzić: „Szedłem – odpowiedział młody Mucius Scewola – zabić zdrajcę Ponińskiego.” Napomnieli go przełożeni, że każde zabójstwo było nieodpuszczonym grzechem przed Bogiem i ludźmi, że nie do niego, małego chłopca, należało czynić sprawiedliwość i mścić się krzywdy publicznej, że gdy dziś smutna podległość nasza wszystkie prawa w niedoleżności trzyma, Bóg i sąd potomności pomszczą się krzywdy naszej. Młodzieniec kilkodniowym aresztem skarany.

W przeciągu siedmioletniego pobytu mego w Szkole Rycerskiej po dwakroć w czasie wakacji odwiedziłem progi domowe. Znalazłem w przeciągu tym licznie pomnożone rodzeństwo moje. Zostało one przy życiu aż do powrotu mego z Ameryki w r. 1807. Wtenczas z szesnaściorga nas zeszyłych w dzieciństwie zostało siedmioro. Najpierwsza przeniosła się na tamten świat Anna, będąca za panem Duninem, zostawiwszy córkę Adelajdę i syna Seweryna. Pierwsza jest dziś kanoniczką w Warszawie, brat jej kapitanem w gwardii królewskiej. Błą-

dzę: kilka lat przed nią, bo w r. 1803, żyć przestała Benedykta Krassowska, będąca za potomkiem tego, który nam — jak pisze Choisin — Henryka Walezjusza przyprowadził do Polski. Była to kobieta nader powabnej ciała postaci, rzadkiego rozumu, dowcipu i męskiej prawdziwie odwagi. Ona to w 16 dopiero roku, gdy w 1792 naród orężem chciał najazd moskiewski odpierać, z panińskich oszczędzeń swoich kupiwszy strój męski, pałasz i pistolety, w nocy, niepostrzeżona, porwawszy z stajni ojcowskiego konia, puściła się do blisko zbierającego się pułku i już była dużo drogi upadła, gdy wysłana w tropy pogoń wróciła ją do domu. Te męskie skłonności z wszystkimi płci słabej powabami czyniły, że była rzadką prawdziwie kobietą. Zachowała ona i za mężem gusta te: zawsze na koniu, gdy mąż interesów prawnych pilnował, wszystkie sprawy domowe, cały rząd, całe gospodarstwo na niej się opierało i nie było lepiej zagospodarowanego domu. Z nieutulonym żalem straciłem w r. 1821 brata mego Jana; miłość braterską odłożywszy na stronę, rzadko widziałem tak wszelkimi przymiotami obficie zbogaconego człowieka. Dobry obywatel, najlepszy ojciec, czuły brat, pilny i czynny w prowadzeniu zakłopotanych interesów, wesoły, najprzyjemniejszy w pożyciu, był on ozdobą społeczeństwa, nieodżałowaną dla mnie i dla synów stratą. Zniknęła po nim pani Hryniewiecka, na koniec brat mój najmłodszy, Kajetan. Nie pozostała z tyłu rodzeństwa, jak siostra moja Tekla, zakonnica u panien wizytek w Warszawie, i ja, najstarszy, po tylu trudach, cierpieniach zostawiony na dni niewoli, stojący w wieczności progach. Uprzedziłem czasy, prze-rwałem bieg i porządek opowiadań moich tym smutnym wspomnieniem straty rodzeństwa mego wracam, więc do porządku czasu.

W ciągu siedmioletniego pobytu mego w korpusie kadetów dwa razy w czasach wakacji odwiedziłem progi ojczyste. Znalazłem wielkie odmiany; ojciec mój dokupił w majątności swej przyległą do Skoków piękną wieś, Starą Wsią zwaną. Dom mieszkalny i ogród w Klenikach znacznie przyozdobione zastałem. Nadto założył ojciec mój w Skokach [część] pałacu dziś stojącego. Przy wielkim: rozumie i znajomościach miał szanowny mąż ten szczególne niektóre przywidzenia. I tak ułożywszy sobie, iż trzech synów jego nigdy się nie rozdzieli i wspólnie żyć i gospodarować będzie, pałac ten dla trzech razem familii wystawił, co dało mu prawdziwie kształt klasztoru; na dole jeden wzdłuż, drugi w poprzek korytarz, z małymi pokojami, czyli celkami, po bokach; w tych celach trzy familie mieścić się miały. Na górze były dwa obszerne apartamenta i sala do tańcowania z gankiem dla muzyki; w dwóch wieżach skarbiec i inne schowania. Wszystkie mury miały przynajmniej dwa łokcie grubości. Po bokach postawił mój ojciec oficyny i stajnie murowane. Wkrótce naprzeciw samego domu [postawił] kościół z organami i wieśniaków obrządku grecko-unickiego do obrządku łacińskiego przewiodł. Ujrzałem w nim przykładną wprzód pobożność posuniętą do bigoterii i zabobonności. Miał on swoje dni szczęśliwe i nieszczęśliwe, ustawiczne piechotą do kościoła wistycznego ofiarowania. się; napełniający dom jego księża zupełnie umysł jego opanowali. Śniło mu się raz, iż umarł w Klenikach; natychmiast porządny ten dom porzucił i do szczuplejszego, niewygodniejszego w Skokach, z całą familją przeniósł się. Był tam opodal ode dworu piękny dębowy lasek; ojciec mój pięknie go wyczyścił, porobił rozmaite ulice, postawił kaplicę św. Marii Egipcjanki, słup dla św. Rafała, nadto mnóstwo rozmaitych po drogach posągów malowanych, drewnianych, świętych, pustelników, w różnych postaciach, siedzących, stojących, leżących. A że przez las bity przechodził gościniec, nieraz widma te straszyły konie przejeżdżających, tak iż unosiły podróżnych i powozy łamały. Stąd ustawiczne pozwy i sprawy o ponoszone szkody. Ojciec mój wołał wszystko płacić niż świętych i pustelników swoich usunąć. W wiele dopiero lat potem brat mój, objawszy Skoki, świętych tych z drogi pozdej-mował i wszystkich pod dach w jednym miejscu złożył.

Matka moja, najlepsza z kobiet, acz przykładnie pobożna, ubolewała nad wydatkami na tyle murów i tyle świętych, lecz przekładania jej mało pomogły. Wszystko, co do jej należało dozoru i rządów, szło jak najlepiej. Nie było podobno domu obfitszego w rozmaite zapasy, a lubo dom zawsze gości pełen, wszystkiego było obficie. Bez łez wspominać jej nie mogę;

była to najlepsza i najczulsza matka; co tylko z kobiecego gospodarstwa swego zebrała, wszystko łożyła na dzieci. Ileż było radości, kiedy nas witała, ile łez wylanych, gdyśmy ją żegnali.

Wielkie to było w okolicach Brześcia zdarzenie, kiedym ja na wakacje przyjechał. Rzadkie jeszcze było wychowanie w Warszawie, rzadkie pokazanie się młodzieńca w obcym, nie narodowym stroju. Chlubił się ojciec mój widząc syna umięjącego coś więcej jak synowie sąsiadów. Sam mnie egzaminował z łaciny; nie umięjąc ni po francusku, ni po niemiecku, a pragnąc wiedzieć, jakie w tych językach uczyniłem postępi, do obcych osób udawać się musiał. Zaprosił więc do francuskiego języka pannę Zadarnowską z Brzozowca, która także pierwsza w województwie naszym chowała się u *madame* w Warszawie; ta mnie więc egzaminowała z francuszczyzny, a żeśmy się oboje uczyli i obcych tańców, a ojciec mój pragnął widzieć próbę tego, tańcowaliśmy oboje menueta i alemanda. W niedostatku muzyki panna Zadarnowska śpiewała i tańczyła razem. Egzamin z niemieckiego języka nie tak pomyślnie udał się: przywołany do tego arendarz Chaim, gdy zabełkotał do mnie gardlaną hebrajską niemiecczyzną, ledwie dziesiątą część mógł zrozumieć i nie odpowiadałem, jak z zająknięciem. Nie był kontent z tego ojciec mój. Kazał mi często chodzić do karczmy dla doskonalenia się w języku niemieckim.

Wtenczas to poznałem zwiększoną jeszcze w ojcu moim gorliwość do wiary świętej katolickiej. Nie było naówczas innych rzemieślników i krawców, jak Żydzi. Gdy dla rodziców, dla dzieci lub sług trzeba było szyć suknie, posyłano do Brześcia po krawców Żydów. Robili oni w samym dworze. Wtenczas ojciec mój przychodził z Pismem św. w rękę i zaczynał z nimi dysputy o przyjściu już Mesjasza i innych świętej wiary naszej artykułach, Z początku spierano się zwolna, lecz gdy ojciec mój zaczął z Biblii naszej cytować przepowiednie przyjścia tego proroków, a Żydzi otworzywszy Biblię hebrajską mieli zuchwałość twierdzić, że tłumaczenie nasze nie było wiernym, wtenczas żarliwy ojciec tracił cierpliwość. Mowa zmieniła się w wrzask niezmierny; raz ojciec takim zapalił się gniewem, iż, wyrwawszy z rąk krawca Jankiela Biblię jego hebrajską, wrzucił ją w ogień; lecz że był najsprawiedliwszym z ludzi i nigdy w życiu nie ukrzywdził nikogo, ochłonawszy z gniewu zapytał, wiele warta była ta bezbożna księga, i w dwójnasób zapłacił za nią Żydowi. Uważałem, iż ku piątkowi łagodniejszymi byli krawcy w dysputach swoich, lecz i w tym była rachuba żydowska; powolnością tą ujmowali sobie ojca mego i odjeżdżając do Brześcia na szabas dostawali w podarunku po parę gęsi a tyleż kaczek.

Żarliwość ta nawracania przechodziła nawet i za dom; w Brześciu po sklepach starał się nawracać Żydów, w Terespolu lutrów, Niemców. Nie ustawał nawet i w drodze, na popasach dysputując z Żydami po karczmach. Raz po długiej i gorącej dyspucie, gdy wyruszył i blisko już mili ujechał: „Stój, stój – zawołał na stangreta – przypomniałem sobie najmocniejszy argument, wracaj nazad do karczmy.” Wróciliśmy przed wrota; już mój ojciec nie wysiadł z pojazdu, lecz, wywoławszy antagonistę izraelskiego do siebie, z tryumfalnym tonem powiedział mu ten argument i już jak gdyby widział pokonanego Żyda, nie czekając odpowiedzi znów ruszył w drogę.

I któż natrzasać się będzie tej gorliwości; była ona w najlepszych zamiarach i chęciach. Martwił się tylko pobożny mąż, iż żarliwość jego uwieńczoną nie była; żadnego nie nawrócił Żyda, z lutrów jednego tylko służącego chłopca z Prus Książęcych, nazwiskiem Wentzel.

Natenczas nieodżałowany brat mój Jan i najmłodszy Kajetan chodzili do szkół, po jezuitach nowym urządzonych trybem. Moskale stali w Brześciu, najdłużej Dickert z pułkiem dragonii; tyle on na tej konsystencji zarobił, iż kupił znaczne dobra nazwiskiem Bulków, dziś własność pani Rayskiej. Odwiedzał ze mną ojciec sąsiadów i bliższych krewnych swoich; pamiętam, że gdyśmy pojechali do p. Buchowieckiego, pisarza ziemskiego brzeskiego, mającego obywatela, z wielkim podziwieniem moim zastaliśmy go bawiącego się rzemiosłem

szewskim; dowodzi to, jak nudnymi być muszą godziny na wsi tych, co ni pięknościami i płodami natury, ni umysłowym zatrudnieniem zająć się nie umieją.

Ten pisarz Buchowiecki osobliwszą znalazł sobie jeszcze zabawę. Chwytał on po miasteczkach i gościńcach wszystkich zebrzących dziadów i baby: a skoro zdolne do pracy, zapędzał do domu, kazał ich golić, dawać nowe sukmany, stare zaś łachmany prał i przetrząsał. Mówią, iż tym sposobem znalazł znaczne pozaszywane w łachmanach tych pieniądze, prócz korzyści, które odnosił z zapędzania do pracy na wsiach swoich tych czerstwych zebraków.

Nadchodził rok 1777, w którym kończyłem ostatnią, siódmą, klasę, a zatem i bieg nauk moich w korpusie kadetów. Przyjechał po mnie sługa ojca mego Gamrocki i poi odbyciu w sierpniu zwykłych publicznych popisów zawiózł mnie do domu. Nie byłem uczony, lecz obeznany z literaturą i językami; nabrałem smaku do czytania i nauczyłem się wojskowej regularności. Pasja do czytania i pisania nie odstępowała mnie przez całe me życie.

W kilka dopiero miesięcy nastąpiło z zwykłymi uroczystościami oddalenie się moje z korpusu. W dzień podobny zwykli się zbierać wszyscy kadeci z oficerami i profesorami swymi. Ci mieli wprzód naradzenie, czyli sąd względem nauki i sprawowania odchodzącego; odchodzący wychodził naprzód, czytano mu sąd jego i zapisywano na tablicy, na jakiej być zasłużył; zapisany byłem na srebrnej; oddawano mu abszyt, czyli dymisję na piśmie. Komendant krótką miał do niego przemowę, zalecając mu, aby pamiętny prawideł, jakie mu wrażono, w żadnym kroku, w żadnym postępku z drogi cnoty i honoru nie zbaczał. Szedł potem oddalający się do każdego kadeta kolejno i ścisnął go; każdy te do niego mówił słowa: „Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem” A tak od wstępu do odejścia ustawicznie nam mówiono o Bogu, ojczyźnie i cnotie. Kto ciekawy wiedzieć ustawy kadeckie i prawidła, jakie nam wbijano, niech czyta książeczkę pod tytułem Katechizm kadecki, a pozna, jaka to była szkoła. Jakoż długo przed ostatnim podziałem Katarzyna II zwinąć go kazała.

Rozdział piąty

Wyjście na Świat

Właśnie gdym przy końcu sierpnia 1777 zakończył moje nauki i powrócił do domu, rodzice moi odebrali zaproszenie od księstwa Czartoryskich, generalstwa ziem podolskich, mieszkających naówczas w Wołczynie, o cztery mile od Klenik. Zaprzężono więc sześć tłustych koni do gdańskiej karety, całej ćwiekami żółtymi obitej, z niebieską wewnątrz w floresy trywą . Szedł z tyłu wóz duży dla sług i kuchni. Jużemy w Wołczynie zastali zbierających się gości, król bowiem obiecał odwiedzić Wołczyn. Pałac w Wołczynie jest tylko o jednym piętrze, dość obszerny, mający nadto trzy dziedzińce otoczone oficynami dla dworu i gości. Pokoje pięknie były ozdobione, z dużymi portretami Augusta II i III, Karola XII, ojca i matki królewskiej. Matka królewska wymalowaną była w postaci uczącej na mapie geografii chłopczyka małego, w białym żupanie i pąsowym kontusiku. Chłopczyk ten był to panujący później Stanisław August. Król ten rodził się w Wołczynie, w domu murowanym, oddalonym od pałacu, niedaleko kościółka.

Ogród obszerny w francuskim guście, z szpalerami i wystrzyganymi bukszpanami, przezrocyste kanały ciągnęły się poniżej. Dwór książęcy acz nie mógł się równać z dawnymi panów polskich dworami, dość jednak był liczny. Marszałkiem onego był Piotr Borzęcki, ospowaty, przystojny, zdatny do prowadzenia dworu pańskiego; nosił się po polsku, bogato, z gustem. Koniuszym był Paszkowski Płomieńczyk, sekretarzami: Dulemba, Zdzitowiecki, Skowroński, Schonhauss. Rezydentami byli: Witosławski, później oboźny polny koronny, Jan Borysławski, Drohojewski, Józef Szymanowski. Przedniejsi z dworzan, których zapamiętałem: Przysiecki z Białej Rusi, Soroka, Świętorzecki, Książnin poeta, Zabłocki, Kłokocki, Kublicki, później Wyszogierd Sicheń, i wielu innych, których nie pamiętam. Chłopcami, czyli pokojowcami, acz z dobrej szlachty: Sadowski, Bielawski; ci byli pod szczególnym dozorem marszałka i za przewinienia brali plagi, ale na kobiercu.

Sprowadził był księżę do wychowania dzieci swoich różnych metrów Francuzów, jako to p. Lhuillier, sławnego matematyka z Genewy. Patouart do harfy, Norblin do rysunków, był on wybornym malarzem, malował konie Słońca do sufitu w wielkiej, sali zamkowej, sufit w Arkadii, wiele batalii i pejzażów. Dauvigny z opery francuskiej do tańców. Wszyscy prócz pensji od księcia dając lekcje na mieście z bogacili się znacznie. Nie liczę licznej liberii.

Skorośmy przybyli do Wołczyna i ojciec mój przedstawił mnie księciu Czartoryskiemu: „Mości panie podstoli – rzekł księżę do ojca mego – nie turbuj się o syna, biorę go pod moją opiekę” Księżna zaś obracając się do matki: „Nie oddamy go Wam – rzekła – aż ożenionego” Wkrótce przybył król i zaczęły się rozmaite festyny, między innymi na wsi Hrymiatyczach, którą księżna ozdobiła i postawiła tam domek. Panny Narbutówny, panny Paszkowskie i inne damy dworskie udawały żniwiarki. Księżniczki Teresa i Marianna były jeszcze dziećmi. Wieczorem bywały tańce; matka moja, która była za konfederacją barską i nie lubiła króla, jak niegdyś Madame de Sevigne, pogodziła się z nim w tańcu, ujęta grzeczną uprzejmością monarchy.

Resztę lata i jesień przebyliśmy w Wołczynie; dostatni dom, piękne ogrody, dobrane towarzystwo po szkolnym przymusie miłym uczyniły mi wstęp na świata przestrzeń. Księżę, by mnie czym zatrudnić, dał mi do tłumaczenia romans wyjęty *de la Bibliotheque de Campagne*, pod tytułem *Histoire de Jean de Bourbon, Prince de Carency*. Mógł był księżę dać mi co ważniejszego i pożyteczniejszego, lecz czyli trudną pracą nie chciał mnie zrażać z początku, czyli – jak bardziej do podobieństwa – nie sądził mnie zdolnym do ważniejszej roboty, na pomie-

nioinej przestał. Jakkolwiek bądź, zatrudnienie to wzwyczaило mnie w pracę, przeszkodziło, zem się nie wdał w złe towarzystwo, kosterstwo i inne złe nałogi, dało może wcześniej niejaką gładkość stylu.

Nie przestawałem na prozie; wrodzona skłonność prowadziła mnie do poezji; przetłuma- czyłem więc dwie pieśni *Henriady*; te nie wiem, gdzie się zadziały. Późno w jesieni księstwo z dziećmi, pierwsi ruszyli do Warszawy. Dwór po nich. Prócz powozów, którymi jechały panny, rezydenci, dworzanie, szło ośm sześciokonnnych bryk, wiozących kuchnie, kredens, piwnicę etc., etc. Ujeżdżaliśmy po pięć, najwyżej sześć mil na dzień. Nocowaliśmy raz w Sielcach, w starym, jeszcze drewnianym dworze, nim w kilka lat potem architekt Zawadzki dziś stojący pałac dla pani hetmanowej Ogińskiej zbudował.

Za przebyciem do Warszawy otrzymał księżę dowództwo nad obydwoma dywizjami woj- ska litewskiego. Berkena, który był dawniej adiutantem przy generale Vietinghoffie, w randze kapitana, Orłowskiego z gwardii litewskiej i mnie w randze poruczników, za adiutantów umieścił przy sobie. Mieliśmy 8 czerwonych złotych pensji na miesiąc, prócz tego stół, stan- cję i furaz na dwa konie, które nam księżę darował. Nie byli naówczas ludzie tak wymyślni w mieszkaniach jak dzisiaj. Jeden pokój z przegrodą dla dwóch służących wystarczał dla dwóch.

Całe naówczas wojsko litewskie prócz gwardii nie wynosiło, jak 6000 głów. Było w nim dwie brygady kawalerii narodowej: husarska i petehorska. Zrzucono już naówczas zbroje, kopie tylko zostały. Husarów przywoził Giedroyć, petyhorców Chomiński. Pierwszy w Kownie, drugi stał w Pińsku. Pułki przedniej straży, po 300 koni mieć mogące, składały się całkiem z Tatarów; i to jest, co było najlepszego. Pułki piesze nie wynosiły i po 200 ludzi, z sztabami, które do 1000 służyć mogły. Wszystkie rangi oficerskie były sprzedajne, kupowały się zwykle, za czteroletnie gaże. Moda była między młodymi panami mieć rejmenta, do naszych rang mało się kto z majątnych posuwał. Wojskowi zatem nie w wielkim byli poważaniu: wszę- dy cywilność pierwsze miejsce brała, nie było konskrypcji, werbowano wolnych ludzi.

Z tak drobnymi pułkami, z tak niedoświadczonymi wodzami, po długim niewojennym le- targu niewiele karności, umiejętności i porządku spodziewać się można było. Pułk imienia Massalskich, przez biskupa wileńskiego zaciągniony, francuskimi napełniony oficerami, nie miał, jak 80 ludzi na cztery podzielonych kompanie. Pułkownik Belcourt pierwszą kompanię grenadierów, z 20 ludzi złożoną, nazywał *mes marcassins*. Biskup Massalski obok: pastorału nosił u laski oficerskie *porte-epée*. Jeden tylko pułk gwardii litewskiej, mający na czele pru- skiego niegdyś oficera Szylbacha, dzięki księciu Czartoryskiemu, szefowi gwardii, był wże- rem karności i umiejętności; równać się mógł najlepszemu pruskiemu pułkowi, lecz i ten nie zawierał, jak 480 żołnierzy. Starał się księżę i w Litwie umiejętność wojskową wprowadzić; sprowadził z pruskiego wojska barona Griesheim za exerziermajstra. Biedny Niemiec wiele wycierpiał prześladowania i pojedynków z niesforną szlachtą naszą wojskową. I to sprawiło, że mało co potem musztrował i znalazł wygodniej siedzieć w domu księżęcia. Człowiek [ten], wieszając się w domu księżęcia, przez tysiączne śmieszności swoje był dla nas ustawiczną zabawą. Nie masz głupca, który by nie był przebiegłym i dowcipnym, gdy interes jego zacho- dzi. Takim był Griesheim, pełen próżności i tysięcy pretensji; nie dość, że wojownikiem, chciał być jeszcze literatem, grzecznym w społeczeństwach, zalotnym. Urodzony w księstwie Gota, opo- wiadał nam pustoty swoje, gdy był paziem na dworze księżęcia swego. Dawał do zrozumienia, że był pieścidle młoci pięknej, mówiąc teutońską francuszczyzną swoją: „*J'etais gate dans les dorlota- ges de la cour de Gota.*” Pisał i wiersze francuskie; król darował mu był cztery konie do pojazdu, Griesheim podziękował mu za nie piękną odą francuską, która tak się zaczynała:

*Distributeur des chevaux, vous que mon coeur adore
On bwn que je meure, ou que je vive encore
Partout ou je serai
Je vous aimerai.*

Przecież Niemiec ten, ze wszystkimi swymi śmiesznościami, Za przyjazdem do Warszawy w postaci 19-letniego adiutanta na nowy świat patrzeć, nowy tryb życia prowadzić zacząłem. Niewielkie były adiutanckie obowiązki nasze: pisywaliśmy i odpisywaliśmy do podkomendnych księcia. Jenerałom dawaliśmy tytuł Jaśnie Wielmożnych, pułkownikom Wielmożnych, niżej tych – Mnie wielce Mości Panie i Bracie. Starodawny ten zwyczaj panów polskich zachował książę aż do końca dni swoich. Co dzień. rano asystowaliśmy wstawaniu księcia, dając mu listy, jakie-były do podpisu, podczas gdy się książę fryzował. Przedniejsi domownicy i przedniejsi z gości wpuszczani byli do sypialnego pokoju, inni, zjeżdżający się nieraz tłumami, czekali w dużym: salonie; było i tam wiele zacnych i znakomitych gości. Książę ubrawszy się wychodził do nich, witał lub słuchał interesów każdego. Zabawiwszy przez czas niejaki u żony, wsiadał do karety i jechał do ojca, księcia wojewody ruskiego, już naówczas 84 lat mającego. Uszanowanie księcia dla ojca było bez granic; lubo-w czerstwości wieku, jak młode pacholę jeździł całować go w rękę i powiedzieć dzień dobry i dobranoc. Nigdy bez rozkazu nie śmiał usiąść przed nim. Zbyteczna poufałość między rodzicami i dziećmi później dopiero z innymi obcościami przyszła do Polski. Mieszkała przy księciu wojewodzie i córka, księżna marszałkowa Lubomirska, którą książę jak siostrę również codziennie odwiedzał. Książę wojewoda był jednym z najszanowniejszych i najznakomitszych panów w Polsce. Rozwaga i roztropność były celującymi duszy jego przymiotami. Ożeniwszy się z ostatnią z domu Sieniawskich i niezmierny we wszystkich częściach Polski odziedziczywszy z nią majątek, całkiem przyłożył się do zaprowadzenia w nim porządku i najlepszego gospodarstwa. Można powiedzieć, iż lubo Radziwiłłowie, Sanguszkowie, Lubomirscy, Sapiehowie, Potoccy równali mu się w majątkach, om przecież jeden był rządym i bogatym. Dwór jego był okazałym, stoły otwarte; lubiący nauki, uczonych cudzoziemców z największą przyjmował uprzejmością. W częstych za długiego życia swego wstrząśnieniach politycznych zawsze trafnie przewidywał, nie unosił się nigdy, rzadko czynnie był dzielny; więcej zatem. roztropnego niż umiającego się poświęcić obywatela imię pozyskał. Książę ten był w młodości swojej kawalerem maltańskim i służył w wojsku austriackim pod sławnym księciem Eugeniuszem. Ta to może wczesna służba wojskowa dała mu metodyczność i regularność, od których nie oddalał się nigdy. Do-wszystkiego miał wyznaczone godziny; i tak o godzinie jedynastej wyjeżdżał na spacer, biorąc z sobą adiutanta swego od. gwardii pieszej koronnej, barona de Keyzerling, i dwa nabite. pistolety, które mu pod materac w karecie kładziono. Zimą-w Warszawie, część lata w Wilanowie, drugą w Puławach przepędzał. Nuncjusz apostolski, niektórzy zagraniczni posłowie, wielu panów i dam zapraszani byli od księcia na te letnie mieszkania, Pan ten, zachowawszy wszelką moc i przytomność umysłu, dożył lat 86 i w r. 1781 żyć przestał.

Wracam do sposobu życia syna jego. O południu powracał? książę do siebie, zamykał się w bibliotece swojej i do godziny drugiej na czytaniu i pisaniu czas przepędzał. O drugiej jechał na obiad do ojca, czasem do pani hetmanowej Ogińskiej, do stryjenki swojej księżnej kanclerzowej z domu Waldstein, rzadko kiedy jadał u siebie, a gdy jadał, i nas prosił. Dzieci z guwernantkami jedli osobno. My u marszałka Borzęckiego. Nie trzeba; było naówczas niezotanym trzymać stołów. Otwarte je mieli. u księcia wojewody ruskiego Czartoryskiego, u księżnej kanclerzyny Czartoryskiej, hetmanowej Ogińskiej, kanclerza Sapiehy i innych. Zaczęły się były naówczas u króla czwartkowe uczone obiady. Bywali na nich biskup Naruszewicz, Krasicki, biskupwarmiński, książę generał Czartoryski, podkanclerzy Chreptowicz, Jakubowski, brygadier w wojsku francuskim, Łojko, Józef Szymanowski, Nagórczewski, ks. Wyrwicz, ks. Bohomolec, Trembecki i wielu innych. Dziwno, iż lubiącemu nauki królowi nie przyszło na myśl ustanowić akademii do wydoskonalenia i ustalenia języka polskiego. I temu pewnie przeszkadzała bojaźń Moskwy. Pod skromnym więc nazwiskiem obiadów zaczęto się trudnić naukami i gust lepszy wprowadzać. Na tych to obiadach czytał Krasicki swoje *My-szeidos*, Naruszewicz początki historii narodu polskiego, Jakubowski bajki przełożone z

Fontaina, ks. Czartoryski swoje komedie, Trembecki wiersze i ody do ówczasowych okoliczności stosowne. Opłacił Stanisław August wiele błędów, wiele słabości charakteru zachęcaniem nauk i daniem im pierwszego popędu; chwałę tę dzieli z nim książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, przykładem i hojnością swoją wielce muzom polskim zasłużony.

Wtenczas to zaczęło się pierwsze pismo periodyczne, na wzór „Spektatora” angielskiego, pod tytułem „Monitor”. Bohomolec przetłumaczył wiele komedii Moliera, lecz że książę, powyrzucał z nich kobiety. Pierwszy książę Adam Czartoryski, przy niektórych tłumaczeniach, prawdziwie oryginalne komedie polskie pisać zaczął. Jako to: *Panną na wydaniu*, *Pysznoskąpskiego* i *Kawę*. Zawiązała się kompania komediantów; książę zwoływał ich na próby do siebie i grać nauczał. Wyrwicz wydał Geografię powszechną; Bohomolec, chcąc uleczyć naród z zabobonu, napisał pożyteczne dzieło pod tytułem *Diabeł w swojej postaci*. Towarzystwo Elementarne w Komisji Edukacyjnej gotowało księgi do nauki młodzieży, słowem, w ciemnym gmachu narodowym, gdzie za ostatnich Augustów gdzieniegdzie tylko rzadkie pokazywały się światełka, za króla rodaka jasnym blaskiem pochodnie przyświecać zaczęły.

Zaczął się i z pięknymi obeznywać sztukami. Król sprowadził z Drezna malarza Marcellego Bacciarelli, z Francji posażnika Le Brun. Malowania, popiersia, posągi, które dziś w Zamku i Łazienkach widzimy, dziełami są artystów tych. Król kupił od książąt Lubomirskich Ujazdów, dawne niegdyś królów polskich wiejskie mieszkanie; nabył także i Łazienki. Ostatnie podniósł i ozdobił z smakiem i nadobnością, które dziś w nich postrzegamy. W Ujazdowie, wyłożywszy miliony *mutando quadrato rotundis*, po wielu latach nakładu i pracy darował je na koniec; przeszły na koszary gwardii litewskiej.

Jeśli kto kiedy czytać będzie te pamiętniki, niech mi daruje „ustawiczne z gościńca wybaczenia. Kryślę rzeczy i obrazy, jak mi je stara pamięć moja narzuca. Wracam więc na porzucaną tylekroć drogę.

Książę, objechawszy znajomości i piękności swoje, około szóstej w wieczór powracał do siebie i znów się w bibliotece zamykał, trawiąc czas na pisaniu komedij, czytaniu dziejów, mianowicie ojczystych. Mam w posesji mojej egzemplarz Długosza cały notami ręką jego na marginesach zapisany. Do pracy tej zadał sobie drugą, to jest naukę języka arabskiego. Tym końcem sprowadził sobie biegłego w tym języku Czerkiesa, nazwiskiem Tarassow; miewał także przy sobie Turczynów, nieraz derwiszów z Samarkandy, słowem, wielki gust do orientalności powziął.

My także adiutanci wiele mieliśmy zbywającego czasu od wojskowej korespondencji naszej. Mnie znów zadano pracę tłumaczenia romansu królowej Nawarry; wolne godziny schodziły na wizytach konno do różnych panien dworskich. Zaloty te były najniewinniejsze, nie bowiem wyrównać nie może szczytnej opinii mojej o cnocie i wstydzie niewieścim; późniejsze dopiero lata zmniejszyły tę zbyteczną nieśmiałość.

Lato 1778 strawiliśmy znowu w Wołczynie; przy końcu września dopiero powrócili na sejm do Warszawy. Sejm ten, podług gwarancji moskiewskiej niby to wolny, odprawił się pod łaską Ludwika Tyszkiewicza, pisarza Wielkiego Księstwa Litewskiego, który był niedawno pojął ks. Poniatowską, córkę podkomorzego koronnego, synowicę królewską.

Sejm 1778. Po gwałtownym sejmie 1776 nastąpił sejm niby to wolny: wojska atoli moskiewskie, ciągle stojące w Warszawie, nie oddaliły się. Poseł moskiewski czuwał na wszystko, przepisał, m miało być traktowanym. Jak gdyby więc podług ułożonego programu król, senat i posłowie grali swe role. Najznaczniejsza część tego sześciodzielnego sejmku zesłała na egzaminach Rady Nieustającej, Komisjów Skarbowych i zakwitowaniu ich. Czytano dwuletni protokół czynnościów Rady Nieustającej; powstawały liczne i silne głosy przeciw nadużyciom Rady tej, mianowicie wdawania się w sądownictwo i przeistaczania dekretów. Lecz ledwie podany został projekt określający władzę jej w tym względzie, natychmiast przysłaną została do Stanów nota posła moskiewskiego Stackelberga, przypominającego Stanom,

iz Rada Nieustająca wraz z atrybutami swymi zagwarantowaną jest przez najjaśniejszą monarchinię jego, że zatem ostrzega, iz nie wolno sejmowi tykać się onej. Tak przygniecione jarzmem były naówczas umysły, iz nikt przeciw nocie tej powstać nie śmiał. Chciano także powrócić królowi szafunek starostw; król wiedząc, iz byłoby to przeciwnym Katarzynie, oświadczywszy wdzięczność, prosił, aby mu szafunku tego nie powracano. W propozycjach od tronu oznajmił król, iz powierzone na ostatnim sejmie dzieło ułożenia *codicis judicarii* Andrzejowi Zamoyskiemu już przez męża tego ukończonym zostało, lecz że sama ważność dzieła tego wymagała głębokiego zastanowienia się narodu, radzi zatem, by przyjęcie onego do przyszłego sejmu odesłanym było. Zalecał król uposażenie Szkoły Rycerskiej i Komisji Edukacyjnej. Życzył także, iz gdy prawo kaduków wiele zamieszania między obywatelami sprawiało, aby postanowiono, iz ktokolwiek posiadał własność jaką przez lat 50, już tym samym żadnym prawem kłóconym w posiadaniu swym być nie mógł.

W protokole tym Rady Nieustającej pokazało się, iz dla braku kompletu wiele sesyj nie było. Na sesji 38 r. 1778 była wzmianka o potrzebie zaczęcia negocjacyj z dworem brandenburskim o zastawione niegdyś dworowi temu klejnoty Korony Polskiej. Nie ma dalej wzmianki o skutku tej negocjacji. Pogrożono i dopominanie się upadło. A tak wszystkie skarby i klejnoty polskie, nieodżałowany Szczerbiec Chrobrego, korony królów naszych zabrane przez niegdyś hołdowników naszych, książąt brandenburskich; te ostatnie *insignia regia* Prusacy w r. 1794 podkopawszy się pod skarbiec, nie naruszając zamków drzwiów, z kufców publicznych ukradli; a tak nie dosyć na wydartej ziemi przez niewdzięczników, nie wstydzili się oni kraść i ruchomości nawet. Użyty do kradzieży tej mularz, umyślnie sprowadzony ze Śląska, rzecz tę całą żyjącemu jeszcze wojewodzie Badyniemu opowiadał.

Nie od rzeczy będzie zapisać tutaj sumę percepty i ekspensy skarbu koronnego: przez lat dwa, to jest od 1 września 1776 do ostatniego augusta 1778, jak je Komisja Skarbowa czyniąc liczbę przed sejmem podała.

Dochodu więc przez dwa lata było	23 154 950 zł 9 gr.
Wydatku	23 092 867 „ 10 1/2 „

Komisja Skarbu Litewskiego zamitrażona jeszcze w rokach nie mogła z lat dwóch zupełnego zdać rachunku, można jednak za czwartą część koronnych liczyć dochody litewskie, to jest po 4 miliony na rok. Co za różnica z dochodami dzisiejszymi; wtenczas cała Polska i Litwa z rozległymi jeszcze prowincjami swymi około 14 milionów składały podatków, dziś maleńkie królestwo nasze, z ośmiu tylko województw złożone, przeszło 60 milionów ich płaci.

Niemniej ciekawymi będą etat i płaca wojsk obojga narodów. Obydwa te wojska nie wynosiły *collective* głów, jak 15 207, a to jak następuje:

Wojsko koronne	
Sztab generalny głów	37
24 chorągwi brygady wielkopolskiej	731
60 chorągwi 2 1/2 brygady ukraińskiej i podolskiej	1842
12 „ 1/2 brygady małopolskiej	363
	Suma 2936

Przednia straż	
Stempkowskiego kasztelana kijowskiego	363
Byszewskiego generał-majora	370
	Suma 733

Dragonia

Gwardia	422
Buławy wielkiej	257
Buławy polnej	242
Kozłowskiego	218
Suma	1039

Artyleria

Korpus artylerii	397
Indżynierów	12
Batalion fizylilierów	418
Suma	827

Piechota

Gwardia	1333
Chorągiew węgierska buławy wielkiej	62
Chorągiew buławy polnej	72
Pułk królowej	463
Pułk królewicza	458
Buławy wielkiej	437
Buławy polnej	444
Księcia Sułkowskiego, inspektora	308
Księcia Sułkowskiego, wojewody gnieźnieńskiego	350
Czapskiego	321
Raczyńskiego	349
Ordynacji Rydzyskiej	354
Marcina Lubomirskiego	352
Kaliksta Ponińskiego	353
Ordynacji Ostrogskiej	320
Suma	5876
Suma ogólna	1437

Nb. To było *effective*, podług etatu powinno być 12 310, ale dla zabrania przez hultajów kasy latyczewskiej, dezercji etc. do powyższej liczby zmniejszone.

Wojsko litewskie

Sztab generalny	25
-----------------	----

Jazda

Brygada usarska	333
Brygada petchorska	470
Gwardia konna	312
Pułk Baranowskiego	369
Pułk Hołyńskiego	150

Pułk Romanowskiego	156
Pułk Poniatowskiego	118
Pułk Bielaka	395
	Suma 2497

Piechota

Artyleria	123
Gwardia piesza	564
Pułk 1	220
„ 2	210
„ 3	197
„ 4	212
„ 5	165
„ 6	105
Chorągiew janczaraka	91
Chorągiew grenadierska	56
	Suma piechoty 1943
	Suma ogólna 4465

W liczbie tej niedostawało 305 głów do przepisanego etatem kompletu. Kiedy zważemy, jak szczupłe były te pułki w ludziach, a każdy z nich miał swego szefa, pułkownika, podpułkownika, majora i czterech najmniej kapitanów, łatwo się okaże strata stąd dla skarbu publicznego, lecz potrzeba było nasycać próżność młodych panów, chcących mieć rejmenta i paradować w mundurach. Taką została siła nasza zbrojna aż do roku 1788, gdzie naród, wyłamawszy się spod upokarzającej Katarzyny opieki, użył jej najprzód, by wzmocnić długo zemdlone swe siły. Ramy szczupłych pułków dzisiejszych napełniły się zwykłą w innych krajach liczbą żołnierzy.

Na tym sejmie Boskamp, cudzoziemiec, wysłany przez króla do Carogrodu z doniesieniem o wstąpieniu jego na tron, czynił przed stanami sprawę z poselstwa swego Potocki, starosta szczyrzecki, poseł mielnicki, wniósł, by król nie wysyłał za granicę posłów, tylko wybranych z rodowitej szlachty polskiej. Wniosek tak popularny silnie popartym został. Ze smutkiem atoli wyznać tu należy, iż Polska, całkiem przez Moskwę rządzona, straciła wszelkie u mocarstw europejskich znaczenie. Prócz propretora carowej Stackelberga, rządzącego w imieniu jej prowincją, Austria i Prusy miały tylko rezydentów, Anglia i Dania posłów drugiego rzędu, Francja, Hiszpania i inne mocarstwa nie trzymały nikogo. I nasz też dworek agentów mało co znanych utrzymywał po dworach sąsiedzkich. Na tymże sejmie książę Stanisław Poniatowski, synowiec królewski, nabrawszy za granicą obszerniejszych, niż zwykle u nas widziano, pojęć o ekonomice politycznej, odezwał się w te słowa:

„Ustąpiwszy spod oblicza króla, tak usilnie starającego się, aby ten sejm wolny, tak pożądanym, tak niecierpliwie oczekiwany od ojczyzny, nie stał się czczym dla Rzeczypospolitej, nie stał się dziecinny tylko obchodzeniem formalności i po sześciodzielnym konaniu nie zginął, nie zaradziwszy najpierwszym ojczyzny potrzebom, należy nam przygotować przynajmniej materię pożyteczną krajowi; między tymi obmyślić sposoby wskrzeszenia przemysłu, zapobieżenia ubożącemu nas wychodowi pieniędzy za granicę.

W liczbie sprowadzanych z zagranicy towarów są jedne, które by u nas działać można, inne, których ziemia i klima nasze nie dostarczają. Za pierwsze wychodzi z kraju corocznie 7 089 252.

Jako to:

Za fajanse i farfury	46 038
Za naczynia gliniane	31 021
Za papier	160 568
Za płótno	3 361 768
Za skóry	278 405
Za sukna	2 728 437
Za wełnę	187 280
Za wosk	23 457
Za żelazo i żelazne roboty	72 260
	Suma 7 080 262 fl.

W tymże roku wyszło z kraju pieniędzy za produkta, które ciężko lub nie podobna Polscze dostawić:

Za korzenie wszelkie, cukier, kawę etc.	6 515 991
Za porcelany	92 866
Za wina węgierskie	2 546 100
Za wina francuskie i inne	2 556 465
	Suma 11 711 422 fl.

Nie wyraził ks. S. Poniatowski, za jaką sumę wyprowadzono z Polski różnego zboża, pieńki, klepki etc. Można po części ten niedostatek zastąpić z angielskiego dzieła pana Odry pod tytułem *European Commerce*; mówi on, że w tymże roku 1778 przystawiono do Gdańska pszenicy 11 506 łasztów, żyta 7386, jęczmienia 1287, owsa 1028, grochu 299. Licząc pszenicę po 800 fl. Pol., żyto po 600, jęczmień po 500, owies po 300, groch po 600, okaże się, iż przez sam Gdańsk weszło do kraju za same zboże 14 838 380. Przydajmy do tego za pienkę, klepkę, zboże, wosk, przedane w Elblągu, Królewcu, Pilawie, Rydze etc.,

dajmy	10 000 000
	24 838 380

Bilans zatem handlu był na naszą stronę; opuścił ks. Poniatowski bogate materie, jedwabie, mody, etc., etc.; jakkolwiek bądź, nie znany był naówczas zbytek w poniższych klasach, wychód zatem pieniędzy z kraju w porównaniu nierównie był mniejszym jak dziś, gdzie żony patronów i kupców równie z senatorkami stroją się, gdzie rzemieślnicy piją kawę i wina; lecz i to przydać należy, że dziś, w r. 1823, po wprowadzeniu systemu zakazującego, nie sprzedajemy prawie nic zboża za granicę, lecz za to przez wprowadzenie rękodzieł różnych nie tylko nie kupujemy sukna, szkła, skór etc., ale je nawet za 18 milionów wyprowadzamy do Moskwy.

W mowach na sejmie tym mianych znaczny widziemy postęp w czystości języka polskiego: nie słyszano już więcej tych makaronizmów łacińskich, dziecinnych konceptów, wyrazów złego smaku, tej rozwlekłości, którymi napełnione były mowy za dwóch ostatnich Augustów. Rzadka jeszcze była prawdziwa wymowa, bo jakże być mogła pod obuchem moskiewskim, lecz mówiono już czysto i rozsądnie, odważano się nawet skarżyć na uciski wojsk moskiewskich; śmiał się z tego Stackelberg, lecz nie prześladował; dość mu było na tym, iż nic ważnego ni pożytecznego nie postanowiono dla kraju. Całe to grane drama sejmowe zeszło na roztrząśnieniu spraw Rady Nieustającej, podpisaniu kwitów dla Komisjów Skarbowych, obiadach i balach. Całe między stronami zapasy, kto kandydata swego do Rady i Komisjów utrzyma. Takim był ten pierwszy sejm niby to wolny.

Rozdział szósty

Dalsze lata młodości

Po ostatnim jeszcze podziale Warszawa była mieszkaniem, zwłaszcza w zimie, najbogatszych w kraju właścicieli; u nich tylko jednych mieścił się zbytek, oni z dworami swymi napełniali pałace, trawili najbogatsze zagraniczne towary. Bankierów: Blanka, Teppera, najwięcej do nich można było policzać. Skromną była klasa mierna patronów, kupców etc., etc. Zbytek nie przeniósł się był do klas tych: stoły ich i domy jak najskromniejsze. Dziś patron zajmuje piętro całe, stół i piwnica jego opatrzone są dostatnio, imość chodzi w koronkach i szalach, błyszczą brązy po ścianach, porcelany, kryształ na stolikach i kominach; wtenczas patron, oficjalista, choć żonaci, mieścili się w dwóch pokojach z alkierzem. Bogaci tylko trzymali karety i konie; nie wstyd było chodzić piechotą, nie było i jednego fiakra. Ustanowiono lektyki, lecz w zimie ślizgota sprawiała, że noszący ustawicznie padali i nieraz tłukli noszonych, ustały więc wkrótce. Po ulicach wiele bogatych ekwipażów, z huzarami i laufkami, lecz żadnego prawie czynnego i handlowego ruchu. Nie było ni przemysłu, ni rękodzieł, ni handlu, budowano cokolwiek domów, lecz niczym to było w proporcji stawionych dzisiaj gmachów. Zjazdy sejmowe znacznie przydawały ruchu; w czasie tylko trwania sejmu wolno było Żydom przebywać w Warszawie; po skończonym sejmie żaden w stolicy, pod największymi sztofami, znajdować się nie mógł. Dziś czwartą część mieszkańców składają. Panowie nie z tak licznymi jak przed wiekiem przyjeżdżali ma sejmy dworami. Przecież książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, przypominał ich dworem i hałastrą swoją. Pałac Radziwiłłowski, z takim dziś dla namiestnika ozdobiony bogactwem i przepychem, stał opuszczonym i nieforemnym gmachem. Sala niezmierna na górze wyporządzoną była na teatrum publiczne. Na dole, w pokojach księcia, nie widać było, jak stoły i stołki sosnowe; pokój sypialny księcia wybity był makatami; łóżko niewielkie, przy nim na ziemi potężna skóra niedźwiedzia. Na dziedzińcu porobione były ogromne szaragi z hakami, na których wisiała sprowadzona z Litwy zwierzyna, jako to: łosie, niedźwiedzie, rysie, odyńce, sarny, zające. Mazury zbiegały się na widok nie znanych sobie zwierząt!

Po sześćniedzielnej reprezentacji sejmu znów się Warszawa zanurzała w zbytkach i zabawach. Nikt nic do czynienia nie miał. Rada Nieustająca zbierała się dwa razy na tydzień; wybierano na niej kandydatów do senatorstwa lub ministerstwa, z których trzech król nominował jednego; załatwiano sądownicze sprawy lub inne wewnętrznego porządku: wszystkiemu atoli, co istotne dobro i pożytek krajowi przynieść mogło, poseł moskiewski straszne swe *veto* zakładał. Pamiętam, iż raz chciano oczyścić zawałony przez Szwedów port Połagi i rzekę Szwentę rozszerzyć. Natychmiast Stackelberg groźny list napisał do króla, strofując go, iż zamyślał o rzeczach, których Katarzyna nigdy dozwolić nie może; nie było bowiem z dobrem państwa jej, by Polska kiedykolwiek port jaki miała.

Nie tylko do publicznych, do domowych nawet rozrządzeń królewskich wdawał się poseł moskiewski. Król wielce upodobał był sobie Komarzewskiego. Człowiek ten, nieznanych rodziców, bez wychowania, usilną pracowitością swoją nauczył się języków i wiele, osobliwie w taktyce i służbie wojskowej, nabył wiadomości, słowem, był tym wszystkim, czym być można pracą bez wielkich talentów. Wy tłumaczył on z regulamentu pruskiego regulament dla wojak naszych. Król uczynił go generałem adiutantem. Aplikacja wielka, powolność, ślepe posłuszeństwo królowi uczyniły go miłym: przychylność zrodziła ufność, a ta wielki kredyt nadała. Nie wiem, co się nie podobało Stackelbergowi w uległym mu we wszystkim Koma-

rzewskim, lecz napisał bilet do króla, by go wraz oddalił od boku swego. Ileż potrzeba było listów, ile błagań, ile przeproszeń i uniżoności, by oddalenie to odwrócić.

Przy takim składzie rzeczy nie było, jakem powiedział, ni dla młodych, ni dla dojrzałych żadnego publicznego zatrudnienia; każdy czas ciężący na sobie szukał jak najprzyjemniej przepędzać. Każdy miał kochankę, którą najprzód przed obiadem odwiedzał. Jechał potem na obiad do jednego z wielkich domów, po obiedzie z rekognicją do ambasadora moskiewskiego; od niego bowiem, nie od króla, wszystkie urzędy i łaski otrzymywały się. Ku wieczorowi każdy do swojej udawał się koterii. Tam nie o obrotach politycznych państw europejskich, lecz rozmawiano o wypadkach miłosnych w Warszawie lub za granicą zdarzonych, o nowych serc związkach lub rozerwaniu onych; romans jaki francuski lub sztuka teatralna zabierała godziny. Poema ogrodowe l'abbe Delille było treścią półrocznych rozmów. Nie było cenzury, wszystkie książki wolno było sprowadzać. Jedną z potocznych naówczas zabaw było granie w towarzystwach komedyj, oper, a nawet i tragedyj; ileż poranków strawionych na próbach i przygotowaniach. Francuzi Maisonneuve i Glayre nauczycielami i dowódcami byli tych zabaw. W domu księżny Sapieżyny, kanclerzyny litewskiej, grywano najczęściej, czasem i na teatrze kadetów.

Kto miał duszę dość nieobywatelską, serce dość samolubne, by zapomniał o smutnym upodleniu i niemocy ojczyzny, kto na zmysłowych tylko przestawał rozkoszach, ten mógł powiedzieć, iż błogosławione życie prowadził, lecz kto posiadał szlachetną wyniosłość, ducha niepodległości, nienawiść jarzma obcego, żądze widzenia ojczyzny świetną i szczęśliwą, czymże były te uciechy przy widoku przebywających w kraju wojsk moskiewskich, przy nachylonym pod różgą posła moskiewskiego królu i narodzie. Ach, te to smutne uczucia ściagały mnie nieprzestannie wśród wszystkich uciech i powabów młodości. I któż się dziwić będzie tej cierpkości, tego nieprzełamanego wstrętu ku Moskalom i towarzysom haniebnego Polski rozszarpania, cierpkości i we mnie, i w rówiennikach moich tak wyraźnie widocznych. I na cożeśmy z dzieciństwa naszego patrzali: na zdrady, podstępny, obelgi, naigrwania i najboleśniejsze krzywdy. Jak szczęśliwi są ci świata mieszkance, co nie doznali jak Polacy okropnych krzywd ojczyźnie ich zadanych; wolnymi są od najprzykrzejszej szlachetnemu sercu namiętności, od namiętności, mówię, nienawidzenia.

Ten nasz stan podległości, to pograżenie w nieczułym letargu, ten sposób życia niewielu i nieważnymi przerywany wypadkami, już to w politycznych świata zdarzeniach, już w sprawach domowych, trwały aż do r. 1788, epoki Sejmu Czteroletniego, konstytucyjnego. Co się więc w tych dziesięciu latach już za granicą, już u nas zdarzyło, jakem ten czas przepędził, com widział, doświadczał, pokrótce tylko namienię.

Co do zewnętrznych zdarzeń dwa tylko wymienię: wojnę o niepodległość kolonii amerykańskich i krótką wojnę między Austrią i Prusami o sukcesję bawarską. Od pierwszego dzieciństwa mego najżywsze uczucia serca mego były: wstręt ucisku i miłość niepodległości narodowej. Dziewięć lat tylko liczyłem, gdy Paoli chorągiew powstania na wyspie Korsyce rozwinął. Z jak żywym interesowaniem się czytałem gazety donoszące nam o rozmaitych wojny tej utarczkach. Pamiętam, iż w dużym pokoju ojca mego wisiała na ścianie mapa Korsyki. Małemu ciężko było szukać na niej miejsc wymienianych w tych bojach. Sklepiłem więc kilka arkuszy papieru i całą przerysowałem ją piórem. Była ona w domu aż do pierwszego rabunku moskiewskiego w r. 1792. Zginęła wtenczas wraz z sprzętami i archiwum ojca mego. W kilkanaście lat potem pozwolił mi los przyjazny bohatera mego, generała Paoli, w Londynie oglądać. Znalazłem w nim pierwszą znakomitych ludzi cechę: prostotę i skromność; Był to mężczyzna wysoki, blady, co rzadko na mieszkańca południowego, białokorowaty; o wszystkim rozmawiał z zimną [krwią], zapalał się tylko, gdy o ojczyźnie mówiono. Nosił on szarą suknię, kamizelkę pąsową z galonem. Miał pensję od rządu angielskiego.

Już byłem dorosłym, gdy wybuchnęła wojna amerykańska; większa nierównie ważność sprawy, bo szło o wyłamanie się znacznej części świata, acz niewiele osiadłego dzisiaj, lecz w

przyszłości przez miliony mającego być zaludnionym. Charakter ludu, i. obyczajami, moralnością większego nierównie godnego szacunku niż Korsykanie; sama odległość i nowość rzeczy, wszystko to żywsze jeszcze wzbudzało interesowanie. Washington był bohaterem moim, przykład Francji wspierającej to powstanie, pisma dowcipne Franklina, dowcipna wesołość, powaga i prostota drukarczyka tego, z którą się w charakterze posła na dworze Ludwika XVI pokazał, powszechną były treścią rozmów i pochwałwszystkich. Dwaj ziomkowie moi, Pułaski Kazimierz i Kościuszko, zapaleni wolnością, zrażeni ujarzmieniem naszym, poszli walczyć na tę nową świata połowę. Nie zgadywałem naówczas, że i ja się na tę odległą krainę przeniosę, że poznam bohatera mego Washingtona, a co więcej, będę miał szczęście zasłużyć sobie na przyjaźń jego.

W ciągu tej wojny wybuchnęła druga w Europie, między Austrią i Prusami o sukcesję bawarską. Nieograniczona chciwość sławy i zaborów w Józefie była jej przyczyną; po śmierci elektora bawarskiego, ostatniego z linii panującej starszej, chciał on Bawarię przyłączyć do Austrii, oddając za to elektorowi Renu, prawemu [dziedzicowi], po wygaśnięciu starszej linii bawarskiej, kraje Niderlandii. Tak potężne wzmocnienie się domu rakuskiego obudziło zazdrość i niespokojność Fryderyka, króla Prus: zaczęło się. Przeraziła Józefa nabyta w siedmioletniej wojnie sława talentów Fryderyka; nie chciał w otwartym polu narażać się na niepewność boju, zebrawszy więc 100 000 wojska oszańcował się z nim w Czechach; również i Fryderyk, już przyciśniony latami, nie chcąc nabytej sławy przy schyłku dni swych narażać, przestał być natarczywym, ani śmiał silnych szanów austriackich szturmować, rok cały zszedł na uważaniu się, wzajemnych i podjazdowych utarczkach. Tymczasem Katarzyna nie chcąc być w tych zapasach nieczynną, więcej się obawiając Austrii niż Prus, 30 000 wojska swego na pomoc Fryderykowi ofiarowała. To zbrojne wdanie się przyspieszyło pokój i książe Dwóch Mostów przy Bawarii pozostał.

Namieniłem już, iż książe Czartoryski nad wojskiem litewskim objął komendę: często lustrował go latem; jako adiutant, podróże te odbywałem na koniu. Taborzy nasze były to prawdziwe karawany do Mekki. Oprócz bowiem licznych dworów sług, dworzan, rezydentów, adiutantów, brał z sobą książe oficerów od gwardii litewskiej, a po drodze obywateli zabierał. Tocząc się jak kula śniegu rośliśmy. Przeszło 400 koni i 14 wielbłądów liczone na taborze naszym. Poprzedzał nas stanowniczy Masłowski dla opatrzenia każdemu kwatery. Te najczęściej bywały w stodołach i gumnach. Lustracje te po Litwie, podróże później na Wołyń, Podole, Ukrainę, do dóbr księcia, dały mi poznać wszystkie prawie prowincje składające królestwo nasze. Szczęśliwe lata; młody, pełen życia i siły, przepelniająca mnie radość istnienia upiękniała wszystko, słodkie powaby na całą rozlewała naturę. Jak pięknymi były naówczas żyznych niw obszary, zielone błonia i gaje, chłodnych wód strumienie! jak pięknymi wszystkie kobiety! lecz gorącość krwi mojej wyrównywała prawie wysokiemu mniemaniu o cnocie wyższych, a srożej bojaźni uszkodzenia zdrowia z niższymi; stąd udęczone pasowania się i męki.

Pierwsza wędrówka nasza po Litwie była do Brześcia Litewskiego, Pińska, Słonima, Różany, gdzie małe nasze pułki stały. Smutno było patrzeć na krótkie te, w dwóch tylko szeregach hufce; przecież porządniejsze były niż dawniej. W Różance, dobrach księcia po hetmanie Potceju, sławnym pijaku, widziałem pozostałą po nim bibliotekę kielichów: z wielkości ich brać było można miarę o obrzydłej ojcow naszych pijatyce. Były to kielichy po dwie i więcej butelki w siebie biorące, w różne kształty kijów, pistoletów, niedźwiedzi. Niestety! w tych to niezmiernych naczyniach przepili ojcowie i dziadowie dobro, szczęście, niepodległość i całość Polski; oni spoczywają w pokoju, a my i następcy nasi za gnuśność i hultajstwo ich cierpieć musimy.

Po drodze do Pińska nocowaliśmy w Piorkowicach, majątności p. Wisłoucha, który umarł podkomorzym brzeskim. Był to prawdziwie dom staropolski, z obyczajami i zwyczajami XVI jeszcze wieku. Zastaliśmy samą imość z pannami nad ogromnymi krosienkami, wyszywające dywan na stół. Ubiór, dom, meble, wieczerza, na której krupnik z półgąsków i bigos z jabł-

kami niepoślednie miejsce trzymały, wszystko dawne. Spałem w szopie od siana, chmury niezmiernie komarów przez noc całą oka zmrzyć nie dały.

Stanęliśmy na koniec w Pińsku, miejscu równie ważnym w handlowym, jak militarnym wzglądzie. Stała tam brygada petehorska z 470 głów składająca się. Pan Susin, 60-letni porucznik, inne towarzystwo – przypominali jeszcze dawne chorągwie poważne. Chomiński brygadierem był znaku tego. Niewiele tam było w obrotach szyku i zgrabności, jeszcze mniemano, że bez nauki można się było bić dobrze. Chomiński, pierwszy faworyt hetmana Ogińskiego, który nigdy nie służył i więcej interesami hetmana niż brygadą swoją trudniący się, niewiele mógł nauczyć. Był to człowiek z wielkim dowcipem, wesoły, wymowny, niezły wierszopis, obejmujący łatwo i na wszystko puszczający się prędko; letki niezmiernie, raz konfederat, znów dworak; jemu to przypisują niewczesne powstanie Ogińskiego i przegraną pod Stołowiczami. Letkość ta sprawiła, że, uwikławszy i zrujnowawszy hetmana, sam na koniec umarł w ubóstwie. Trzymał Chomiński stół otwarty w Pińsku; stół smaczny i wykwinny był jedną z przedniej szych pasji jego. Pamiętam, iż na dziedzińcu dworku, w którym mieszkał, był duży kojec z kurczętami, które galkami w mleku gotowanymi sam brygadier karmił.

Większa atoli znajdowała się tam ciekawość, a to była panna Ogińska, już 93 lat licząca, schroniona do klasztoru pp. [...] sławna niegdyś piękność. Car moskiewski Piotr Wielki, kochał się w niej, a nawet o rękę jej starał się. Książę, odwiedzając ją, wziął i mnie z sobą. Wyszła do furty; tak była czerstwą i przytomną, iżbym jej nie dał, jak lat 60. Po kawie i konfiturach rozmowa żywszą się stała; w ciągu tej: „Pozwól, Wielmożna Pani Dobrodziejko – rzekł książę – zapytać się, dlaczego, gdy tak potężny pan, jakim był Piotr Wielki, żądał ręki jej, odmówiłaś mu ona?” „Mości Książę – zapytała nawzajem staruszka – czy masz Wasza Książęca Mość córki?” „Mam” – odpowiedział książę. „Gdyby – mówiła dalej panna Ogińska – chan tatarski prosił Waszą Książęcą Mość o którą, czy dałbyś mu ją?” „To co inszego” – odparł książę. „Przepraszam – przerwała staruszka – za mojej młodości car moskiewski był też samo co chan tatarski.”

Widziałem naówczas w Pińsku ciało św. Bobolego, w początku XVII wieku zamordowanego przez schizmatyków; ciało to już blisko 200 lat zmarłe prócz szernienia zupełnie było całe. Leżało ono – jeśli się nie mylę – w podziemnym sklepie w kościele jezuickim. Kościół ten, nadzwyczaj wysoki, ma dwoiste okna, jedno nad drugim. We wszystkich gmachach jezuickich widać, jak byli bogatymi i przemożnymi w kraju.

Pińsk położony nad Prypecią rzeką, korytem swoim i rozciągającymi się bokami obydwoma błotami aż do Dniepru, rzeką przyjmującą w swe łono rzeki Styr i inne, a łączącą się Kanałem Ogińskiego z Jasiołdą i Szczarą, a przez Dniepr z Morzem Czarnym. Gdyby się był utrzymał czujny rząd konstytucji 1791 ustanowiony, Pińsk – mówię – mógł się być stać wielkim składem i portem handlowym. Tu mógł się być połączyć handel Morza Bałtyckiego z Morzem Czarnym, Śródziemnym, południową Europą i Azją. Dotąd Pińsk, od r. 1794 pod rządem arbitralnym, któremu nic nie jest niepodobnym, nic do dopełnienia tak wielkiego dzieła nie zdziałał. Cały dziś handel Prypeci jest solą i dziegiem.

Nie masz podobno prowincji polskiej dla miłośnika historii naturalnej tak bogate posiadającej skarby jak Pińsk i jego okolice, mianowicie w ptactwie, płazach i gadach; kraj ten zupełnie jest nieznanym. Widziałem tam rodzaj bekasów batalionami zwany, tym się od innych różniący, iż każde prawie rodzaju tego indywiduum jest innego koloru i że w zaciętej i ustawicznej są z sobą wojnie.

Wiele jest wysp na obszernych Prypeci rozlewach i bagnach. Są znaczni właściciele mieszkający na nich, nie mogący się odwiedzać ni z stałą ziemią uczestniczyć, jak na dużych statkach, na kształt batów okrętowych, zwanych szualkie. Na takiej to szualce puściliśmy się na wyspę jedną o 1 1/2 mili od Pińska, zwaną Horodyszczce. Jest tam sławny klasztor ks. ks. cystersów, dostatni w obrazy i święte naczynia, lecz 45 lat upłynionych od czasu, w którym tam byłem, zatarły w pamięci, co tam było ciekawym, zmyślać zaś nie chcę. To tylko pamięć

tam, że w żegludze po tych zalewach wiele widziałem nieznanego mi ptactwa, przelatującego tam i ówdzie.

Spędziwszy tydzień czasu na lustracji brygady petehorskiej, zabawach i ucztach, wyruszyliśmy z Pińska do Słonima, miejsca rezydencji hetmana Ogińskiego. Lubo hetmani sejmem 1776 stracili już nie podległą nikomu władzę, dawne jednak przyzwyczajenie, osobliwie bogactwa Ogińskiego, czyniły dwór jego wielce okazałym. Był w Słoniem pułk pieszy z 200 ludzi buławy wielkiej i chorągiew piesza, janczarską zwana z przyczyny, iż żołnierze w niej prawdziwie po janczarsku byli ubrani. Przywodził jej pan Bułhak, człowiek dowcipny i nigdy od żartów wstrzymać się nie mogący. Pamiętam, iż gdy raz przysyłał księciu raport chorągwi swojej i różne potrzeby jej wyrażał, w postscriptum listu te słowa umieścił: „Najukochańsza janczarka moja umarła.” Janczarka ta była to własna jego żona. Dwór hetmański dawnym obyczajem wielu miał rezydentów urzędników ziemskich, między tymi: pisarz Szweykowski, Szukiewicz i inni. Lachnicki był marszałkiem dworu. Slizień, wielki oryginał, buńczuczny. Ślizień osobliwszy miał nałóg: nigdy inaczej nie mówił, jak przez partycypia. Już się zaczynała jesień. Raz gość jakiś przyjechał, a nie zastawszy hetmana na pokojach, stanął przy kominku i grzał się. Ślizień zbliża się do mnie i te słowa szepcze mi do ucha: „Jak się nazywający ten stojący, przy kominku grzejący?” Ja, ledwie się mogąc wstrzymać od śmiechu, odpowiedziałem: „Nie wiedzący.”

Ustawiczne festyny napępiały dni pobytu naszego w Słoniem: obiady, bale, teatr. Utrzymywał hetman komediantów polskich i operę włoską; w tej ostatniej znajdował się nawet rzezaniec. Teatrum było obszerne, nic na przepych onego nie oszczędzano; dawano operę włoską, w którą wchodziło polowanie, na nim kastrat śpiewał *arię di bravura* na koniu; koń, przelęknięty raptownym uderzeniem w kotły, zląkł się, zaczął się wspinać i zrzucił kastrata. Głośny śmiech widzów połączył się z graniem ogarów i najzabawniejszą sprawił scenę.

Komedianci polscy, wybrani z wieśniaków i wieśniaczek hetmana, grywali sztuki komponowane lub tłumaczone przez hetmana lub dworskich jego. Hetman do oper swoich sam komponował muzykę, dobrze bowiem posiadał tę sztukę; grał na wielu instrumentach i był wynalazcą pedałów w harfie, jak mu to encyklopedia przyznaje. Lubił alegoryczne sztuki; raz dał małą swą operę, w której osoba jedna reprezentowała rozum. Bóg wie, po jakiemu była ta figura ubrana; na czapce jednak miała jedno kończate pióro, które naówczas nosiły kobiety i zwały je *esprit*. Książę, krótkowidzący, nie spostrzegł tego. „Skądże poznać – zapytał stojącego przy sobie p. Bułhaka – że ta osoba udaje rozum?” „Czy nie uważasz Wasza Książęca Mość – odpowiedział Bułhak – że deszcz pada, a komediant miasto złotych wziął czarne buty, nie jestże w tym rozum?”

Tymczasem dzień po dniu coraz nowymi festynami zatrzymywał hetman księżęcia: przyrzekł na koniec, że go nazajutrz po rannym śniadaniu wypuści, pod warunkiem jednak, że przed śniadaniem będzie książę na tragedii *Alzyrze* tłumaczonej prozą przez marszałka jego Lachnickiego. Pierwszy to podobno w dziejach teatralnych był przykład, żeby grano tragedię o godzinie 10 z rana; lecz teatr i muzyka były jedną z pasji hetmana. Lubił on wszystkie naderby sztuki, malował pastelą wielkie bohomy, grał na wszystkich prawie instrumentach, lecz gorzej jak miernie. Komponował muzykę, pisał wiersze. Przy czystym obywatelstwie, przy najlepszym sercu, prawdziwie dziecinną miał próżność. J. J. Rousseau nazywał kolegą swoim. „Rousseau tylko i ja – zwykł mawiać – jedyni jesteśmy, którzyśmy i słowa oper, i muzykę do nich pisali.” Kanał Jasiółdę z Szczarą łączący, dotąd pod imieniem jego znany, nagroził aż nadto niewinną słabość jego. Niestaly w przedsięwzięciach swoich, w obywatelstwie nieposzlakowany nigdy, kradziony przez sługi, nie umiejący się rządzić, na kochanki, podróże, obrazy stracił niezmierny majątek, zmniejszony już jednak przez konfiskaty carowej Katarzyny II.

Wyjechaliśmy na koniec z Słonima, ja i kolega mój Berken, Kurlandczyk, obydwaj rozkochni zapamiętali. W szesnastym jeszcze roku wieku mego żona dobosza od kadetów, przystojna kobieta, pierwsza dała mi poznać różnicę między płcią męską i żeńską: skromność i

wstydlivość moja tak były wielkie, iż cała zasługa tego odkrycia jej się należy. Nieśmiałość atoli moja i, po wyjściu już na świat, bojaźń złej zarazy wstrzymywały mnie od podawania się nieuśmierzonemu żądrom moim. Rozkosz bez miłości niewiele dla mnie miała powabów. Serce atoli, czuła, gorejąca w wieku moim imaginacja każdą, byle nieszpętną, kobietę stawiały mi cudem piękności i wraz zapalały miłością; mimo tylu przed oczyma mymi przykładów nie pojmowałem, jak można było posiadać uczciwą kobietę inaczej, jak przez ożenienie. Nie widziałem więc pięknej panny przychyłnej sobie, by mi zaraz myśl żenienia się z nią nie przychodziła, i gdyby w tej chwili byli przytomni rodzice do zezwolenia i ksiądz do dania szluby, wraz bym się był żenił; lecz znajomość układów ojca nieożenienia mnie, jak z majątną, posłuszeństwo me, od którego się nigdy nie odstrychnął, prędko wracały mnie do uwagi; ustawne więc miłostki moje były jak ognie słomiane, wybuchające popędliwie i natychmiast gasnące. W Słonimie atoli, na wielkim tym zjeździe celem nowego kochania mego była dama pierwszego. rzędu, piękna, hoża, wesoła, kokietka w najwyższym stopniu. Połowę tego wystarczającym było, by mi głowę zawrócić; jakoż: zawróciła się porządnie, lecz krótkość czasu, nieśmiałość moja, może do pewnych tylko granic zachodząca kokieteria damy sprawiły, iż zakwitła ta miłość nie przyniosła innych owoców, jak żal i ciężki smutek w rozstaniu i długo potem. Alzyrka Lachnickiego i śniadanie więcej zabrały czasu, niżliśmy mniemali; wyjechaliśmy nad wieczór. Pełen miłosnych rozrzewnień, wzdychałem i wzdychałem, aż na koniec, znużony (wiele bowiem nocy na tańcach przepędzałem bezsennie), zasnąłem głęboko. Nie wiem, jak długo trwał sen, mój, lecz, nagle przebudzony, nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem. Stan snu więcej zdaje się należeć do innego jak nasze tu życia i przy ocknieniu, nim człowiek na tor zwykłych uczuć powróci, długo znaleźć siebie nie może; cóż, gdy niespodziane uderzą go widoki. Takim był stan mój, gdy raptownie otworzywszy oczy ujrzałem się wśród lasu oświeconego przez liczne pochodnie; ciężkie postępowanie bryk ładownych, te płomienie, te iskry mieszające się z opadającymi już w, jesieni liśćmi, ciemne kłęby unoszącego się w górę dymu, krzyki woźniców, wszystko to w długim i raczej przyjemnym nowością uczuć trzymało mnie omamieniu. Pamięć chwil tych w umyśle moim nic zatarła się dotąd. Te wozy ładowne, te pochodnie, te krzyki, wszystko to nic innego nie było, jak tabory dworu księcia powoli do Różanej ciągnące.

Różana z zamkiem i miasteczkiem mieszkaniem naówczas była księcia Aleksandra Sapiehy, kanclerza wielkiego litewskiego. Mąż ten z miernymi zdolnościami, lecz duszą uczciwą, bez wyniosłości, bez żadnych szlachetnych uniesień, we wszystkich ważnych kraju zdarzeniach miał się *passive*; postępował on na urzędy, bo był Sapiehą i wielce majątnym, bywał na sejmach, bo; urząd tak kazał, po sejmach wracał do Różany lub Dereczyna zanurzać się w rozkoszach, jakie dać mogą bogactwa. Stanęliśmy dość późno w Rożanie; po pierwszym przywitaniu i nieco odpoczynku zaprosił nas książę Sapieha na teatr. Sala była nowa, czysta, dekoracje świeże. Aktorowie, wychowani do tego młodzi wieśniacy i wieśniaczki księcia, grali po francusku operetkę Roussa: *Le Devin de village*, jak mi się naówczas zdało, bardzo dobrze. Po teatrze wieczera; nie pamiętam, czyśmy zabawili przez dzień, następny, to tylko wiem, że, cały zajęty piękną damą moją w Słonimie, równie jak kolega mój Berken swoją, obydwaj ciężkiej po nich nie mogąc się oprzeć tęsknocie, najęliśmy w Rożanie mały wózek słomą wypchany i nazad polecili do Słonima, by raz jeszcze widzieć boginie nasze. Atencja ta mile przyjętą była; tańcowaliśmy, szepotali do ucha, przysięgali wieczną wierność i pojechali. Książę, czyli nie postrzegł naszej wycieczki, czyli udawał, że o niej nie wiedział.

Powróciliśmy do Wołczyna, a stamtąd na zimę do Warszawy. Żyliśmy też przez tę zimę jak zwykle; wyszło tłumaczenie moje *romansu Jana de Bourbon, księcia Karensy*, przypisałem to księżęciu, który mi za to darował konia wierzchowego i znów podobną, lecz dłuższą pracę zadał. Było to tłumaczenie obszerniejszego romansu *Historii Małgorzaty, królowej Nawarry*. Tłumaczenie to kilka mi lat zabrało, zwłaszcza że przydał do niego mnogie historyczne przypisy. Zdaje mi się, że za kopię wziął od Skowrońskiego 100 dukatów. Nie wy-

bito romansów tych jak po 500 egzemplarzy; jakoż dziś już ich dostać nie można. Trwały na zawsze miłości moje słonimskie, nie przeszkadzało to jednak, bym często nie odwiedzał konno dawnych znajomości moich; miałem przy tym inne gusta, inne miłości, które mnie nigdy, dziś nawet, w 66 roku, nie odstąpiły nigdy.

Że gust ten i upodobanie odznaczającym jest rysem charakteru mego, że wypisuję w tych pamiętnikach wiernie, jakim jestem, choć to może śmiesznym i uwłaczającym zda się, namienić jednak te skłonności me muszę. Od najranniejszego, jak zapamiętam, wieku niezmiernie dzieci lubilem. Miłości te zaczynały się w szóstym miesiącu, kończyły w piątym roku. W tej porze dziecko, zaczynające już uważać i poznawać, traciło dla mnie powaby, swoje. Przekładałem nierównie dziewczynki. Te stworzenia, malujące kobietę w miniaturze, pięknnością, świeżością, niewinnym wdziękiem, słodkim uśmiechem, tchnieniem nawet swoim mlecznym przypominające aniołów silnie chwyciły mnie za serce. Godziny całe gotowym pędzić z małą, na rękę mamki, dziewczynką. Te rozwijające się w nich tak spieszenie zdolności, w tak wątplym kształcie te tak silne już pasje, ta wola niezłomna, ta żądza rozkazywania, te znów słodkie pieśczęty, ta niewymowna, w niewyraźnych, przeistoczonych słowach lubość i wdzięki, często już wtenczas zadziwiający rozum, wszystko to było i jest dla mnie silniejszą nad wszystko ponętą.

Pod tymże dachem pałacu Błękitnego, w którym mieszkałem, znalazłem te wszystkie ponęty. Uwielbioną ode mnie boginią była dzisiejsza tak piękna jeszcze, tak miła, tak godna wszelkiego uwielbienia, dziś matka dziesięciorga dzieci, wtenczas rok tylko licząca, pani ordynatowa Zamoyska, najmłodsza córka komendanta mego. Jeżeli później ciężko było widzieć piękniejszej i powabniejszej kobiety, wtenczas nie podobna było znaleźć piękniejszego i powabniejszego dziecięcia.

Są uprzywiliowane od Boga stworzenia, co rodząc się piękność z; sobą na świat przynoszą; taką była dzisiejsza pani Zamoyska. Też same duże, czarne oczy, ten uśmiech, ten wdzięk w każdym ruszeniu już ją i w kolebce zdobiły. Nosić ją na rękę, pieścić, otrzymać pocałowanie, być nawet za włosy rączką jej targanym – było dla mnie rozkoszą, jakiej może nie doznał najszcześniejszy kochanek. Chowała się ona na górze w Błękitnym pałacu, po prawej ręce od schodów, pod dozorem starej pani Pichlowej. Gdy podrosła i mówić zaczęła, dowcipne, rzadkie nawet, były jej postrzeżenia i wyrazy. Raz gdy wśród grzmotów błyskać zaczęło, rzekła mała Zosia: „To Pan Bóg mruga oczkami” Po czterech czy pięciu latach skończyły się te amory, przeniesiono ją do guwernantki starszych sióstr, pani Petit. Któż by powiedział, że doczekam widzieć ją matką dziesięciorga dzieci i jeszcze piękną. Szczęściem dla mnie, że po tym rozstaniu pani Skowrońska, żona przyjaciela mego, sekretarza książeństwa, rodząc często, coraz nowych dostarczała mi kochanek.

Tej to zimy r. 1779 książe nasz zaproszony był przez księcia Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, na akt weselny do Białej. Wydawał książe wojewoda siostrę swoją za księcia Massalskiego, syna podczaszego wielkiego litewskiego, a synowca biskupa wileńskiego. Że to było stworzenie, jakie się rzadko spotyka na świecie, nie od rzeczy będzie dać je tu poznać. Było to małe, blade, nędzne stworzenie, wychowane we Francji. Nie był tak obłąkanym, by go zamknąć, lecz dosyć, by dzięki i pocieszne widowiska wyprawiać na świecie; niektóre tylko dla ciekawości przywiode. Gdy powrócił z zagranicy i osiadł w domu ojcowskim, urzędnicy powiatowi, pamiętali znaczenia dziada jego, hetmana, hurmem przyjechali z czołobitnością swoją. Wchodzą na pokoje, szukają, nie ma księcia; idą do ogrodu, na dziedziniec, i tam nie ma; widzą tylko sług duszących się od śmiechu, aż na koniec podkomorzy wołkowyski, podnosząc oczy do góry, postrzega na dachu małego w bogatym mundurze człeczka trzymającego w rękach rozżarzony węgiel, zionącego iskry jak smok jaki. Był to książe Massalski; każdy pojmie zadziwienie tych obywateli nad podobnym przyjęciem. W r. 1775, w czasie sejmu Ponińskiego i formacji nowych pułków, stryj jego, biskup wileński, utworzył pułk mały piechoty; szefem synowca tego postanowił. Wkrótce pułk ten, jakem to już namienił, zmniejszył

się do 80 głów żołnierzy; zachował atoli sztab i oficerów wszystkich; Rullecourt był pułkownikiem, Belcourt podpułkownikiem, Frankowski majorem. Młody Massalski jako szef osobliwsze był o subordynacji wojskowej powziął mniemanie. Wypersadowany był, że książe Czartoryski, jako najwyższy wojska litewskiego komendant, mógł jemu, Massalskiemu, kazać dać kijem, on pułkownikowi Belcourtowi, Belcourt – podpułkownikowi, i tak dalej, aż do kaprała i żołnierza. To przekonanie tak było szczerym, iż raz rozgniewawszy się na Belcourta już brał się do kija, gdy ten z zimną krwią porwał drobne stworzenie za piersi i niosąc je do okna: „*Vouslez-vous, mon prince – zawołał – que je vous jette par la fenetre?*”

Wkrótce, obrany posłem, przyjechał do Warszawy i stanął na Świętojurskiej ulicy, w pałacyku Sosnowskich. Był w stajni niezmierny kozioł. Massalski, ubrany w mundur, ze szpadą u boku, postrzegłszy go wsiadł nań, wypadł na ulicę i aż na Stare Miasto, lecąc wśród śmiechu i krzyków bieżącego za nim pospólstwa.

Książe nasz z nielicznym dworem wybrał się do Białej, ja z nim pojechałem, zawsze w nadziei, iż zastanę w Białej piękność moją słonimską.

Przybywamy: ogromny staroświecki zamek już był cały napelniony Radziwiłłowskim dworem i licznie zebranych na akt ten gości. Tam to widzieć mogłem ostatki przepychu i powagi tego potężnego w Litwie domu. Prócz mnóstwa rezydentów i dworzan trzymali Radziwiłłowie nadworne wojsko swoje, wybrańcami zwane. Mieli swoich generałów, pułkowników i oficerów. Król, nawet [gdy] do starszych pisał, dawał im tytuły: Urodzonemu N. N. Jenerałowi wojsk Ks. Ks. Radziwiłłów. Znałem niektórych, jako to: pułkownika Murawskiego, kapitanów Mackiewicza, Saufplan, Tippelskirch; nosili mundury granatowe z czarnym, mieli nawet jakieś wojskowe krzyżyki. Na akt ten zebrano żołnierzy do 3000, którzy parady i warty w zamku odbywali. Przybył na akt ten weselny i hetman Ogiński, lecz z ciężkim żalem moim nie przybyła dama czułych rozmarzeń moich. Zjazd ten tak liczny w najrzetelniejszej postaci swojej wystawiał obraz dawnego przepychu i nieładu Radziwiłłowskiego. Oprócz pierwszych w dostojności osób, które mieli wyznaczone sobie pokoje, każdy mieścił się, gdzie mógł i jak mógł. Zamek biały, otoczony wałami i przekopami, z zapuszczonymi mostami, niewiele miał mieszkań wygodnych. Rozległa na górze sala z komnatami swymi bocznymi, cała zawałona portretami rodu Radziwiłłów, zaniedbana, opuszczona od dawna, nie była do użycia zdadną. Na dole komnaty, acz z dawnych bogactw przez rabunki moskiewskie obdarte, porządniejsze przecie. Pamiętam narożny gabinet, w którym ściany, sufit, podłoga całkiem były zwierściadlane. Nie powinienem zapomnieć, po obu stronach potężnej, sklepionej bramy, czarnych, okropnych więzień; tam przed 20 jeszcze laty jęczały nieszczęsne srogości księcia chorążego Radziwiłła ofiary.

Po zjechaniu się wszystkich zaczęły się między księciem wojewodą Radziwiłłem, bratem oblubienicy, a biskupem Massalskim, stryjem narzeczonego, układy o intercyzę. Wiedzieć należy, iż ród Radziwiłłowski, niezmierne po całej Polsce rozrzucone mający majątki, ma je wszystkie pod ordynacją, czyli majoratem. Ustawy rodu tego chcą, by Radziwiłłówna nie miała więcej posagu jak 200 000 fl., co w rzeczy samej na tak wielki majątek było za szczupłe. Biskup wileński, nie tylko spokrewnienia, lecz: szukający i zbogacenia, koniecznie żądał, by posag oblubienicy synowca jego wyznaczonym był przynajmniej w dwóch milionach. Radziwiłł nie przez skrzętność (hojnym był bowiem. i wspinał się bez granic), lecz przez przywiązanie do ustaw naddziadów, nie chcący nadto, by mu kto przepisywał prawa, uparł się przy swoim. Przez dni kilka trwały spory: używał biskup raz. miódopłynnej wymowy swojej, znów senatorsko-pasterskiej powagi; uparty Radziwiłł, jak rozdmuchany odyniec, pokręcał wężem, poprawiał sobolową ferezję swoją, na wszystkie głaskania biskupa był głuchym.

Tymczasem, gdy się te rokowania bez nadziei zakończenia wleką, nie ustawały bankiety i uczyty: rano, czyś przyszedł na pokoje, czy do marszałka, czy do rezydenta lub urzędnika dworu, zastawałeś śniadanie z kiełbas, zrazów, hultajskich bigosów, piwa, miodu i wina złożone; jadł i pił, kto chciał i wiele chciał. Nie przeszkadzało to obiadowi, na potężnych stołach za-

stawionemu, mniej jeszcze ogromnym spełnianym kielichom. Wieczorem bywały koncerty. Nie zapomnę nigdy duetu, który nam wieczoru jednego dali na klarynetach wojewoda Radziwiłł z hetmanem Ogińskim. Nie, nic wyrazić nie może ani wzdygnięcia słuchaczy, ni niecierpliwości hetmana, gdy wśród słodkich tonów jego Radziwiłł pisknął przeraźliwie dmuchnięciem swoim. Już sami grający, pierwsi panowie, pierwsi urzędnicy w kraju popisujący się w salach, zadziwiali niemało. Ach! nie w takich to grach jaśniali wielcy Radziwiłłów przodkowie!

Pomiędzy tłumem rozmaitych osób na zjazd ten przybyłych. uważano księdza Malinowskiego, dominikanina, i Grabowskiego, trynitarza, sławnych z zręczności swojej w sejmikowych intrygach, zauszników trzęsącego Litwą Tyzenhauza. Wysłał ich był Tyzenhauz na zjazd ten, by mieli oko tak na księcia Radziwiłła, jak i na księcia Czartoryskiego i wszelkie czynili starania, by te dwa przeważne niegdyś w Litwie rody zbyt się nie połączyły i nie zaprzyjaźniły. Mimo wszelkich ich poszeptów i starań dwaj książęta, bliscy po Wiszniowieckich krewni, dalecy od wszelkiej złej woli i zawziętości, ściskawszy się z sobą, przy poufale rozmowach i kielichach szczerą sobie przyjaźń przyrzekli.

Ostatni ten z przemożnych Radziwiłłów, jeśli nie czynami, to wspaniałą postacią, strojem, szlachetnością przypominający naddziadów swoich, ten – mówię – ostatni szczątek panów polskich, słusznie tu wizerunek swój znaleźć powinien.

Karol książę Radziwiłł, syn – z księżniczki Wiszniowieckiej – hetmana wielkiego litewskiego, był wyniosłej i ogromnej postaci; więcej sarmacką surowość i powagę niż nadobność i piękność w twarzy jego widziałeś. Na głowie wił się sieledec, ogromny wąż zwieszał się do piersi. Ubiór jego jak najwspanialszy. Jeszcze w 1778, gdy w kołpaku, w pasowej aksamitnej ferezji z diamentowym spięciem, całej sobolami podbitej, wchodził do senatu, rzekłbyś, że za Zygmunta Augusta wchodzi Mikołaj Radziwiłł. Nieuczony i miernych zdolności – ojciec jego, hetman litewski, żadnego mu nie dał wychowania – ledwie swój język i trochę po łacinie umiał. Bóg atoli dał mu serce dobre, zdrowy rozsądek, wlał gorącą miłość ojczyzny, wrodzoną Radziwiłłom popularność; tą wszystkich serca garnął do siebie. W r. 1776 młody jeszcze, jak wielu innych, dał się uwikłać w sidła moskiewskie i został marszałkiem konfederacji radomskiej. Postrzegłszy zdradę porzucił wszystko i za granicę wyjechał. Nie widziały obce kraje podobnego wędrownika. Po Niemczech, Włoszech, Francji prowadził z sobą część dworu i całej swojej wspaniałości nieświeskiej. Co za nieznanne widowisko dla mieszkańców krajów tych, co za ogromny wydatek dla Radziwiłła. Moskale zsekwestrowali obszerne dobra jego; przezorny atoli, wziął z sobą ze skarbcza przodków dwunastu z szczerego złota ulanych apostołów, na dwie stopy wysokich; tych jeden po drugim zjadał, nareszcie długi zaciągał. Gdy burze wzniecone przez Katarzynę II minęły i kraj usnął w letargu, wrócił Radziwiłł i już się czynnie do niczego nie mieszał, W początkach sejmu 1788 silnie patriotycznej trzymał się strony; wkrótce atoli dni swoje zakończył. Mimo przepychu i okazałości największej, mimo hojnych łask i darów niezmierny swój majątek mało co zadłużonym, a sławne skarby Radziwiłłowskie w klejnotach, naczyniach srebrnych i złotych, rzędach, makatach etc., etc. nienaruszone zostawił. W roku dopiero 1812, gdy Moskale ciągnęli przeciw Napoleonowi, generał Tuczak idący przez Nieśwież schwytać kazał wiernego dozorcę skarbu, wystawić szubienicę, zagrozić strykiem, aż nieszczęsny wydał, gdzie były zamurowane od wieków bogactwa: naładowano więc nimi liczne bryki i zawieziono tam, gdzie wszystkie bogactwa Polski, gdzie biblioteka Załuskich znajdują się, do krajów moskiewskich. Kazał Aleksander Tuczak tego sądzić i karać, lecz bogactwa Radziwiłłowskie nie wróciły się, zginęły na zawsze. Nie był Radziwiłł wolnym od tak powszechnego niestety w kraju naszym nałogu pijaństwa. To atoli paroksyzmami go tylko napadało; pił przez całe miesiące, przez lata, i znów przez tyleż czasów wstrzymywał się od wina. Gdy się jeszcze nie upił, lecz tylko podochocił sobie, najmilszym jego było upodobaniem opowiadać o sobie dzikie, niesłychane, nie mające cienia prawdy historie. I tak słyszałem go opowiadającego nam w Białym, że w młodym wieku uciekł od ojca i przystał do księdza za chłopca; ten go ćwiczył nielitościwie; porzucił go i dostał się za

kuchcika do dominikanów. „W podróżach moich za granicą, gdy płynąłem do Wenecji, pokazała mi się, panie kochanku (to było zwykle jego przysłowie), syrena; zaczęła śpiewać przesłicznie, potem wlaźła na okręt. Była ona, panie kochanku, gładka kobieta; diabeł mnie skusił, spaliśmy z sobą i z tego to złączenia się naszego porodziły się śledzie, których tyle jest dzisiaj.” Nie skończyłbym, gdybym wszystkie baśnie jego powtarzał: jak raz na morzu, wśród burzy, kazał hajdukowi swoim, jak gdyby zza karety, zsiąść z okrętu i podpierać ten okręt, żeby nie zatonął; w wiele lat potem opowiadał królowi, że przywoził wojskom francuskim przy szturmie do Gibraltaru; rozwodził się nad niesłychanymi czynami swymi odwagi: „Nieprawdaż?” – rzekł do stojącego przy sobie pana Morawskiego. „Nie mogę powiedzieć – rzekł Morawski – gdyż zginąłem przy pierwszym ataku.” Takie były Radziwiłła tego androny, bo dajby wielu panom naszym nic innego prócz tych śmiesznych, lecz nieszkodliwych kłamstw wyrzucać nie przyszło.

Wracam do rzeczy: przez wiele dni trwały nastawania o powiększenie posagu biskupa wileńskiego i nieprzełamana niczym stałość wojewody; wiele byłby uczynił na proste poproszenie, nie chciał uczynić na górne domagania i krzywe zabiegi. Zniecierpliwiony na koniec książę Radziwiłł naznaczył dzień szluby. Niedługo po obiedzie pani Czapska, wojewodzina malborska, siostra wojewody, księżna Dominikowa Radziwiłłowa z domu Tour Taxis, siostra druga księcia, co poszła za Morykoniego, Rzewuska, chorążanka litewska, wydana później za Rudolftoskiego, sławna generałowa Morawska, ciotka oblubienicy, wprowadziły ją do gabinetu zwierściadlanego. Ubrana w podwłóśniku białym z pysznymi koronkami, usiadła przed gotownią, od złota i srebra lśknącą się. Przez godzin dwie fryzowano ją, ubierano; gdy się ubieranie skończyło, najstarsza krewna, generałowa Morawska, włożyła jej na głowę wieniec myrtowy dużymi diamentami przeplatany. Oblubienica, od dawna pozbawiona rodziców, schyliła kolana przed starszym bratem, księciem wojewodą wileńskim: ten ze łzami rozrzewnienia dał jej błogosławieństwo ojcowskie; już prowadzono pannę młodą do szluby, gdy oblubieniec, drobny książę Massalski, nie wiedzieć gdzie się podział. Długo szukano go na próżno; znaleziono na koniec w stacji ochmistrza jego, majora Frankowskiego. Ubrany w srebrnej lamowej sukni, [z] zapudrowanymi, rozpuszczonymi włosami spokojnie jak długi leżał na Frankowskiego łóżku. „Cóż tu książę robi – zawołał major – już księżniczka ubrana, wszystko gotowe do ceremonii.” „Położyłem się – rzekł Massalski – chciałem cokolwiek utyc przed szlubem.” „Wstawaj, książę, co prędzej – zawołał Frankowski – utyjesz po ożenieniu.”

Już się skończyły oracje, już ślubna para jechać miała do parafialnego w miasteczku kościoła, już u dział na wałach paliły się lonty, już wojsko Radziwiłłowskie stało w paradzie, gdy nowa z strony biskupa zaszła przeszkoda. Z pontyfikalną powagą zatrzymał on idących oblubieńców. „Pasterską powinnością moją jest zapytać cię, książę – odezwał się do synowca – wprzód nim wnijdiesz w święty stan małżeński, czyli w artykułach wiary jesteś dostatecznie uczonym.” Tu z katechizmu zaczął mu czynić pytania; już niedojrzałe książętko brydzić zaczęło, gdy rozgniewany wojewoda jął czmychać i wzięwszy państwo młode za ręce, poprowadził je do karety.

Iskrzyła się kaplica od świateł rześistych. Ledwie mógł objąć kościół familie i gości proszonych. Gdy kapłan związał ręce oblubieńcom, odezwały się wszystkie działa, wszystkie kotły i trąby, rześisty ogień piechoty. Trzy ochmistrzynie księżniczek z wielkiego rozrzewnienia zemdlały. Radziwiłł tak był tym dowodem przywiązania rozczulony, iż każdej po 55 000 fl. wyliczyć nazajutrz rozkazał. śród huku dział i strzelby powróciliśmy do zamku, lecz już nie zastali biskupa wileńskiego; rozgniewany, odjechał. Wkrótce nastąpił bankiet weselny z prawdziwą Radziwiłłowską okazałością. Książę wojewoda, zebrani krewni pili zdrowie nowożeńców. Poszeptał Frankowski Massalskiemu, by pił z podziękowaniem. Nalał więc duży kielich i wstawszy: „Familii Dobrodziki” – zawołał. Śmiech powszechny samo strzelanie zagłuszył.

Rozdział siódmy

Dalsze lata młodości mojej

Dwa dni jeszcze zabawiwszy w Białym na ucztach weselnych, wróciliśmy na koniec do Warszawy. Wjeżdżając z Pragi na most napotkał ksiązę furmana wiozącego drzewo. „Cóż tam słyhać, mój kochany?” – zapytał. „Nic nowego – rzecz – tylko że córka księcia jenerała spaliła się” Obsłupiał ksiązę na tę okropną wiadomość i co prędzej do pałacu jechać kazał. Aż nadto sprawdziła się wieść tak okropna. Już piękna księżniczka Teresa nie żyła. Przed kilką dniami w letkiej muślinowej szacie grzała się u kominka, gdy płomień zachwycił spódnicę i w mgnieniu oka całą ogarnął. Mała jej siostra, dziś księżna Wirtemberska, panna Narbutówna, dziś Dembowska, jedne przytomne, straciły przytomność i nim jęki pałacej się doszły do starej ochmistrzyni, nim pospieszono na pomoc, już pomoc ta stała się niewczesną. Trzeciego dnia młoda ta osoba skonała w najokrutniej szych mękach. Porzuciłem ją świeżą, piękną jak pączek róży mający się rozwinąć, zastałem na katafalku, zeschlą, wybladłą, nie do poznania; tak wątłymi i niepewnymi są dni nasze.

Księżna jenerałowa ziem podolskich legła naówczas w pòłogu księżniczką Gabriellą, przez pięć niedziel tajono przed nią śmierć tę, zawsze udając, że księżniczka chora i doktor przez długi czas nie pozwoli jej wychodzić. Przyszła atoli chwila wyjawienia, i ta była okrutną; długo księżna w nieutulonym była żalu. Żal sprawiedliwy. Trudno bowiem było znaleźć osobę co do piękności i przymiotów duszy podobną. Pochowano ją w grobie familijnym u Św. Krzyża. W lat 45 potem, gdy szanownego ojca księżniczki Teresy chowano, otworzono jej trumnę; z tyłu wdzięków już tylko było trochę popiołu.

Żal po straconej najstarszej, ukochanej córce był zapewne przyczyną, iż dla rozerwania się w nim przedsięwziął na następującą wiosnę 1780 r. odwiedzić Wołyń, Podole, Ukrainę, znajdujące się w nich szkoły publiczne i dobra ojcowskie. Wybraliśmy się więc w tę podróż z licznym, jak zwykle, dworem; ten raz bardziej powiększał się zabieranymi po drodze obywatelami, liczyliśmy między nimi Motelskich, Boreyków, Dembowskich, Orłowskich i wielu innych. Gdziekolwiek były szkoły publiczne, ksiązę zatrzymywał się, egzaminował uczących się i obywatelskie im dawał nauki. Dalekie jeszcze były nauki od tego stopnia doskonałości, do którego doszły w latach późniejszych; nierównie przecież lepsze jak za jezuitów.

W podróży tej zwiedziłem najpiękniejsze, najżyźniejsze prowincje ojczystej ziemi mojej. Jakże mnie zachwyciły Puławy, acz nie tak piękne jak dzisiaj. Z jak miłym zadziwieniem po piaszczystym Mazowszu i Litwie ujrzałem bujne niwy, zielone dąbrowy, czyste strumienie Horynia, Styru, Słucza, skaliste brzegi Dniestru i nieprzejrane okiem ukraińskie stepy. Kraj ten, przez tyle wieków pustoszony przez tatarskie i kozackie najazdy, oddychać zaczął w słodczy pokoju. Bujność ziemi rozlała wszędy, obfitość. Grody jego, starożytne zamki zbudowane przeciw najazdom, rozsypane wszędy mogiły, miejsca ważnymi w dziejach naszych naznaczone pamiątkami dodawały powabów bogactwu i piękności natury; w słodkich, lecz smętnych zanurzały mię rozpamiętywaniach. Nie wsiąkle jeszcze w ziemię pod Beresteczkiem działobitnie przypominały uporczywe przez trzy dni za Jana Kazimierza z Tatarami i Chmielnickim bitwy. Ostróg – pożegnanie, niestety! ostatnie, przy wyjeździe na bitwę cecorską z piękną, nowozaślubioną małżonką swoją, księżniczką Ostrofską. Zasław, Zbaraż – siedliska przemożnych, dziś wygasłych ksiąząt tego imienia. Bar – sławny w r. 1768 powstaniem narodu przeciw obelgom i uciskom moskiewskim. Kamieniec – niegdyś przedmurze Polski, dziś z resztą kraju w ręku moskiewskich. Te rozciągle, gubiące się w wejrzeniu czło-

wieka niwy, te nieczęste siedliska i rzadka ludność, ta cichość przerwana tylko [...] niczym nie spłoszonych w lazurach niebios krążących orłów, wszystko to świadczyło, że wytopniający miecz przechodził przez te krainy.

W znaczniejszych miejscach należących do żyjącego jeszcze księcia wojewody, jako to: w Międzybożu, Mikołajowie, Zieńkowie, Granowie, zatrzymywaliśmy się dłużej. Pamiętam, że w Mikołajowie stałem w stodole u wieśniaka jednego. Przychodził tam często starzec, wiekopomny zapewne: siwa długa broda zstępowała mu po pas; dość jednak czerstwy. Był to pradziad gospodarza miejscowego. „Ojczy – rzekłem mu – wieleż już lat liczysz sobie?” „Nie wiem pewnie – odpowiedział – ale około 120, byłem bowiem masztalerzem u pana hetmana Sieniawskiego pod Widniem” – i wraz ciekawe bitwy tej opowiadał mi okoliczności; mówił nawet, że jak przez sen pamiętał króla Jana Kazimierza. Jakoż, policzywszy lata, mógł go pamiętać. Starzec ten, podług własnego jego twierdzenia, miał lat 120, rodził się więc w 1660, a Jan Kazimierz złożył koronę w r. 1668. Miał więc starzec naówczas lat osiem i mógł króla tego widzieć i pamiętać. Dziwne zaiste spotkanie między ludźmi dwóch wieków: jednym, co widział Polskę w najcięższych zapasach, wychodzącą z nich jednak bez straty, i tym, co ją widział całą jeszcze i przed starością jeszcze dożył ostatniego jej zgonu.

Gdziekolwiek zatrzymał się książę, wszyscy okoliczni obywatele zjeżdżali się do niego. Między innymi przyjechał do Mikołajowa pan Onufry Morski z młodą, piękną małżonką swoją, Raciborowską z domu. Zaprosił księcia i nas wszystkich do majątności swojej, Rajkowce. Dla zabawienia go umyślił grać komedię *Bliźnięta*, tłumaczoną przez księcia z Destusza. Dwóch bliźniaków grał pan Malinowski z Podola i ja, rolę kochanki grała pani Morska, piękna żona gospodarza. Sam gospodarz wziął na siebie skromną rolę suflera. Gdyśmy w obliczu całego Podola grać zaczęli i przyszła scena, gdzie ja mniemanej kochance mojej, pani Morskiej, klękawszy czynię oświadczenie miłości, o podziw, o pomieszanie, czuję, że mnie sufler, pan Morski, chwyta za nogę i ciągnie w swą dziurę. Śmiech powstał powszechny: pokazało się, że Morski zmyślony zapał miłości wziął za prawdziwy i, uniesiony zazdrością, przerwał go tak pociesznym sposobem.

W Zieńkowie spałem na dole, pod zamkiem, w chałupie nad rzeczką, w wielce przyjemnym miejscu. Oglądaliśmy w opuszczonym staroświeckim zamku niezmierną salę, w której, jak nosło podanie, Eudoksja, księżna Czartoryska, sławna Tatarów gromicielka, wyprawiała ucztę i tańce, mówią nawet, że sześciokonnym powozem po sali tej jeździła.

Z Zieńkowa odwiedziliśmy Kamieniec, trudną do wzięcia twierdzę, gdyby nad nią nie panowała przewyższająca ją góra. Przywodził w niej stary Witt z rodu ormiańskiego. Wzrost jego niski; czarny na twarzy, rozsądny, przebiegły, z nauką nawet otarty. Miał on pasję do medalów i liczny zbiór onych posiadał; pokazując go nam, między innymi medal sławnego pensjonarza holenderskiego de Witt, i sobie, i nam chciał wyperswadować, że to był przodek jego, Największą atoli ciekawością w Kamieńcu Podolskim była synowa starego generała. Zbyt sławną, na nieszczęście nasze, stała się kobieta ta w sprawach polskich, by dziejów jej nie dotknąć.

Zofia, nie wiem, jak ją dalej nazwać (gdyż nigdy nazwisko rodu jej nie było znajome), urodziła się w Perze, przedmieściu carogrodzkim, z rodziców greckich. Nie wiem, czy Helena, Aspazja, Lais, najświetniejsze Atenów piękności, wdziękiem i urodą przechodzić ją mogły. Nie widziałem piękniejszej w życiu moim kobiety. Do najforemniejszego składu twarzy, do najśłodszych, najpiękniejszych oczu łączyła uśmiech anielski i głos chwytny za duszę. Rzekłbyś patrząc na nią, że to żywy z nieba zstąpiiony anioł. Lecz niestety! jak zwodniczą jest powierzchowna postać. Ta tak piękna, tak czarująca postać ciała zawierała w sobie najprzewrotniejszą duszę. Boskamp, wysłany od Króla w poselstwie do Ottomańskiej Porty, znalazłszy tę piękną dziewczynę posługującą w kafenhauzie na Perze, wywiózł ją za nałożnicę dla pana swojego. Ledwie stanęła na pogranicznym miasteczku Zwańcu, gdy odgłos nadzwyczajnej jej piękności już po Warszawie się rozszedł. Padła trwoga na wszystkie kochanki królew-

skie, mianowicie na panią Thomatis panującą naówczas. Nie trudno obecnej piękności nad nieprzytomną przemóc. Wysłany goniec do Zwańca, by się zatrzymała Greczynka. Tymczasem młody Witt, syn jenerała, ujrzał ją, zakochał się i mimo wiedzy ojca potajemnie zaślubił. Któż by był wtenczas powiedział, iż ta uboga Greczynka, której teść Ormianin długo za synową swą uznać nie chciał, stanie się najbogatszą panią w królestwie. Poznałem ją niedługo po tym zamęściu i obsłupiałem jak drudzy. We dwa lata przyjechała z mężem do Warszawy; widok jej sprawił zawrót powszechny, nie rozmawiano, jak o pięknej Greczynce. Pamiętam, iż gdy raz na licznych asambłach pokazała się u pani, hetmanowej Ogińskiej, tak wszyscy stracili przytomność, iż, zapomniawszy przyzwoitości, jedni obstąpili ją hurmem, drudzy, by lepiej cudo to widzieć, na stoły i stoliki włązili.

Opuszczam ulotne niższego rzędu miłości jej na Podolu, podróż do Carogrodu, gdzie się w niej poseł francuski, pan Choiseul Gouffier, zapamiętale zakochał; uprzędam czasy i porządek pamiętników tych, bym, raz wspomniawszy o niej, choć pokrótce o fatalnym jej wpływie na losy nie tylko targowickiej linii Potockich, lecz i kraju całego nie wspomniał.

Pierwszy potężny człowiek, w którym Wittowa miłość rozbudziła, był sławny Potemkin w czasie wyprawy swojej naprzeciw Turkom, lecz łatwo zaspokojone z nią chucie przeniosły hołd jego do kniahiny Dołhoruki: złoto trzosami, garściami sypane diamenty zadowolili Wittowa, lecz wszystkie barbarzyńskiego bohatera starania nie mogły dotknąć dumnego serca kniahiny. Dla niej to ten wielowładny faworyt Katarzyny dawał nocną ucztę w gmachach wykopanych pod ziemią. Wkrótce, gdy Szczęsny Potocki wraz z Sewerynem Rzewuskim, krojąc już spisek targowicki, dla układu czego udał się do Jass, poznał tam Wittową i przy niej wolność swoją, rozum, wszelkie względy na uczciwość i przystojność utracił. Odtąd Wittowa nieodstępną mu była we wszystkich jego przygodach i podróżach; zapłacona przez Moskwę, coraz głębiej pchała go w wydrażoną przez niego samego przepaść; tak go na koniec opanowała, iż żonę (Mniszchównę), z którą czternaścioro dzieci spłodził, kupionym rozwodem oddalił i splugawioną tę Greczynkę pojął za żonę. Lecz nieszczęsnym było to stało: Szczęsny z własnym synem na cudzołóstwie spotkał żonę. Odtąd powziął dla niej wzdarcę, wyrównywującą dawnej miłości. W ostatnich latach, gdy już bolesną ciśniony był chorobą, mniemając ją, i słusznie, zdolną wszelkiej zbrodni, nie chciał jej przypuścić na oczy przez bojaźń, by go nie otruła. Córkom jeść sobie w pokoju swym gotować kazał. Umarł na koniec, okrywając ją najokropniejszymi przekleństwami.

Zostawił Szczęsny z tej Greczynki trzech synów i dwie córki. Występna żona zniszczyła testament, w którym mąż wzdarcę jej tylko i przekleństwa zostawił. Chciwa Wittowa wszystkie swe obróciła zabiegi, by największą część majątku mężowskiego zagarnąć. Posłużył jej gorliwie zyzowaty Nowosilcow, w wielkich łaskach u imperatora Aleksandra będący; podstępnie wyrobił dla niej ukaz przysądzający jej równą część z dziećmi całego majątku. Wydanie wstydu na lubieżność rozpustnika tego, obietnica wzięcia za męża, nigdy atoli nie dotrzymana, były nagrodą niecnego czynu Nowosilcowa. Dalszym kazierodztwem z starszym synem męża swego potrafiła Wittowa nabyć całego spadku jego. Lord Douglas zakochawszy się w niej znaczne stracił dla niej bogactwa; resztę dni swoich straciła Szczęsnowa na prawowaniu się z dziećmi męża i swymi; przekupstwem wygrała te sprawy, lecz wydatek na przekupstwo i pieniąctwo przeszedł wartość wygranego majątku. Bóg atoli przykładnie tyle zbrodni ukarał. Zdarł przed latami wszystkie wdzięki z jej twarzy, dopuścił na nią chorobę raka w członku, przez który tak długo grzeszyła; Szczęsnowa w okropnych mękach zbrodnicze życie skończyła w Berlinie.

Wspomniane imię Wittowej, tak przemożny, tak szkodliwy na sprawy nasze wpływ mającej, niepewność, jak długo Przedwieczny ramotę tę pozwoli mi pisać, przymusiły mnie wspomnieć brzydkie jej dzieje, uprzędzić lata i przerwać bieg opowiadań moich. Ustępy i wyboczenia takie nieraz się w pamiętnikach tych znajdują, darować mi je należy. Wracam do rzeczy.

Ruszyliśmy w głąb Ukrainy, do Granowa, dóbr niegdyś Sieniawskich, pisali się bowiem hrabiami na Granowie. O kilka mil spotkali nas Kozacy nadworni granowscy i towarzyszyli księciu aż na miejsce. Nie dochodzą do ludów prostych mody i odmiany, u ludów oglądzonych tak szybko następujące po sobie. Kozacy ci byli tacy i tak ubrani, jak kiedy przed wiekiem z Chmielnickim łotrostwa swe roznosili po tych krainach. Ilekroć przy pogodnym lata wieczorze w tych umykających się przed okiem stepach, gdzie słodkie powietrze brzękiem tylko powracającej do ula pszczoły było przerwane, ilekroć, mówię, nieraz przy mogiłach poległych przed wiekiem rycerzy słyszeć się dawały wojenne pieśni Kozaków, pieśni o bitwach ich z Polakami. Pieśni te, jak zwykle żalosne, wspominające bitwy w tychże miejscach, gdzieśmy byli, stoczone, w rzewnych pogrążały mnie dumaniach.

W Granowie, gdzie o mil wiele sąsiedztwa szukać potrzeba było, oprócz własnego towarzystwa mniej gości przybywających mieliśmy. Pamiętam, że książę czytał wtenczas *Klimakteryki* Kochowskiego, opisujące wojny za Jana Kazimierza, i opowiadał nam wieczorem ciekawsze o nich zdarzenia; zdarzało się, iż nieraz Kozacy powtarzali je w pieniach swoich, nieświadomi i my, i oni, iż w kilkanaście lat później, długo walczące z sobą, ludy pójdą pod jedno jarzmo, że później jeszcze dzieje ich znikną w tłumie dziejów tylu narodów i że może gdzieś tam tylko wspomną je w tych stepach płaczliwe pienia prawnuków.

Z Granowa umyślił książę odwiedzić nowoosiadłego na Ukrainie, tak źle głośnego potem Szczęsnego Potockiego. Wyjechał więc rozstawionymi furmankami, my po obiedzie, na letkich wózkach kozackich, tocząc się w cwał po mezmiernych równinach ukraińskich. Poznałem naówczas, co to są ukraińskie mile; mówiono nam, iż z Tulczyna do Granowa nie było, jak mil dwie, wyjechawszy atoli o pierwszej z południa, pędząc zawsze w zawód, ledwieśmy około dziesiątej rzadkie światelka Tulczyna postrzegli. Biegliśmy atoli spiesznie, jeszcze bowiem w tych czasach bojaźń rozbojów hajdamackich nie ustała była w Ukrainie, bojaźń więc ta woźnicom naszym dodawała skrzydeł.

Tulczyn, którego pałac i przyległe mu gmachy wiele morgów zabierają dzisiaj, składał się naówczas z małego miasteczka i niewielkiego drewnianego dworu. Pierwszy z panów polskich Szczęsny po tylu krwawych hajdamackich najazdach odważył się w stronach tych mieszkać. Trzeba było takich bogactw, takiej zamożności, jak były jego, żeby uskutecznić ten zawód. Zebrał on koło siebie wszystkich swoich Kozaków, zaciągnął pułk regularny piechoty, który w 4 lata później na żołąd Rzeczypospolitej wstąpił, rzucił fundamenta ogromnego dziś pałacu i tym przykładem wielu innych majątnych do mieszkania w tych długo opuszczonych stronach ośmielił. Szczęsny pokazywał nam przepyszne konie swoje tureckie i zaczęty zbiór medalów; w krajach tych bowiem, na nieprzerwane niegdyś wystawionych najazdy, bojaźń zakopywać kazała bogactwa; wyorywa je dzisiaj pług, porzący długo nie tykaną ziemię, i wiele pieniędzy, zwłaszcza późniejszych cesarów greckich, odkrywają tam codziennie.

Trzy razy potem odwiedziłem Tulczyn, raz w r. 1786, znów w 1788, na koniec w 1818. Już za trzecim razem znalazłem pałac skończony. W 18 lat potem, po śmierci Szczęsnego, zdumiewały mnie ogromne przybudowane do niego gmachy, bogactwa sprzętów i mebli, boleśniej nad wszystko uderzał dawny napis, dużymi złotymi literami umieszczony na czelnym gzymsie pałacowym: „Bodajby wolni tylko i cnotliwi w tym domu mieszkali.” I kogóż pod tym pysznym napisem w r. 1818 zastałem: generała moskiewskiego Wittgenszteina z całym sztabem jego. Napis ten bardziej skażę, jak dorosną, synowie Greczynki Wittowej. Do czegoż nie powiodła ślepa Szczęsnego pycha.

Dzień tylko jeden zabawiliśmy w Tulczynie; umyślił książę wysłać mnie w poselstwie do hospodara wołoskiego. Celem wielkiej tej ambasady było zawarcie kontraktu i sprzedaż znacznej ilości wódki z dóbr podolskich i ukraińskich. Dla zniewolenia dobrych chęci hospodara książę z grzecznym nader listem opatrzył mnie w piękny serwis porcelanowy jako dar dla panującego nad Wołoszczyzną. Już wszystko było gotowym, już, pyszny dostojenstwem moim dyplomatycznym, układałem mowę. jaką miałem na publicznej audiencji mojej powie-

dzieć, gdy w Kraśniku rozeszła się wieść, że znaczne kupy hajdamaków uwijają się nad Dniestrem koło Mohylewa. Odmienił więc książe myśl swą, zatrzymał mnie; zniknęły sny wielkiej ambasady mojej. Żal mój ci tylko pojma, co mają lat 22, żal tym większy, gdyśmy się później dowiedzieli, że wszystkie te odgłosy o hajdamakach były zmyślane.

Przez Satanów wjechaliśmy na Ruś Czerwoną, dziś Galicją przezwaną. Z jakąż boleścią postrzegłem na drugiej stronie Zbrucza utkwione drapieżne orły austriackie. Pierwszy raz ujrzałem jedną z części rozświetowanej nieszczęsnej Polski naszej. Na spojrzenie to zalało się serce moje żalem i nienawiścią.

Przejechaliśmy tylko przeze Lwów; udaliśmy się do Brzeżan, a raczej do rozkosznych przy nim ogrodów, Raj zwanych. W pośrodku rozłożonych w wachlarz sosien włoskich, zielonych smugów, czystych szemrzących po żwirze strugów wznosił się pałacyk niewielki, kształtny i czysty. Było to mieszkanie hetmana Sieniawskiego. W górze, w sali, dawały się widzieć ciekawe dawne portrety. Zamek w Brzeżanach już od czasów Sieniawskich nie zamieszkiwany, a dziś już podobno obrócony na browar; były także ciekawe obrazy i sufity; pamiętam wymalowaną białą jaskółkę zabita przez hetmana.

Odwiedzali nas w Raju okoliczni obywatele i urzędnicy rządowi. Nigdy nie zginie z pamięci mojej pan Gotschalk, kapitan cyrkułu. Pokazał się on z atencją dla księcia w świątecznych, drogiętowych sukniach, z fryzurą obficie wypomadowaną i napudrowaną; lecz dla wielkiego śmiechu uciec z pokoju musiałem, gdym postrzegł w dziurkach dwóch loków jego, zawiniętych w kształt pistoletów, zatknięte dwa paśowe goździki pachnące. Jakże to był luby ten koncept Germana.

Z żalem, prawdziwie, porzuciłem te miejsca, najrozkoszniejsze, jakie mi się tylko zwiedzić zdarzyło.

Z zbliżającą się jesienią wracaliśmy do Warszawy na czas periodyczny sejmu. Sejm ten, równie jak dawniejsze i następujące po nich, odbyte podług wydanego od Stackelberga programu, żadnej ważnej w rządzie i ustawach nie przyniosły odmiany. Odprawiał się sejm pod laską Małachowskiego, wielkiego sekretarza koronnego, który później wojewodą mazowieckim umarł.

W propozycjach od tronu zalecono: opatrzenie pensjów dla deputatów na trybunały, opatrzenie grodów powiatowych w warowne gmachy na akta i więzienia, wyznaczenie deputacji z senatu i stanu rycerskiego do przejrzenia kodeksu Zamoyskiego, już drukiem wyszłego, i danie o nim sprawy na następującym sejmie; prawa względem werbunków zagranicznych; opatrzenie skarbu litewskiego, nie wystarczającego na utrzymanie szczupłego nawet etatem przeznaczonego wojska; wyznaczenie pewnej sumy na szukanie soli, która że w wielu miejscach znajduje się, pewne były znaki i dowody.

Grano potem sejm ten jak drama jakie, sesję po sesji jak scena po scenie. Przystąpiono do obrania Rady Nieustającej: nic bardziej nie dowodzi, że wybory te miano za igrzysko tylko, jak to, że gdy rozdano posłom listy kandydatów do podkreślenia, wielu bardzo wszystkich kandydatów podkreśliło, a zatem zniweczyło je; żart szkodliwy: jakkolwiek bądź Rada ta była pod wpływem moskiewskim, przecież zarządzała krajem, a zatem mniej zawsze szkodliwą, gdy uczciwymi ludźmi napelnioną była.

W dochodach publicznych, w etacie wojska żadnej prawie od ostatniego sejmu nie było różnicy. Zalecenie od tronu, by wyznaczony był fundusz na odkrycie soli, żadnego skutku nie wzięło, równie jak zanoszone skargi na uciski stojących jeszcze po kraju wojsk moskiewskich. Słyszały stany upadlającą dla siebie historię barona austriackiego Juliusza; ten, gdy nie tylko po prowincjach, ale w samej Warszawie publicznie zaciągał ludzi do wojska austriackiego, na mocy praw narodów przytrzymanym został. Cesarz Józef II, nie w moralności, jak i inni, szukający swej sławy, mszcząc się za to, pensję z zabranego starostwa spiskiego bratu królewskiemu, księciu podkomorzemu Poniatowskiemu, dawaną zatrzymał i podług umowy wypłacać nie kazał; napróżne były wszystkie negocjacje; musiano wypuścić Juliusza i, jak inne, i tę obelgę ponieść z pokorą.

Wieczną na zawsze dla sejmu tego zostanie zaklą odrzucenie z zniewagą zbioru praw przez Andrzeja Zamoyskiego z rozkazu stanów ułożonego. Opieka w nim dla włościan zapewniona zazdrośną nieograniczonego przewodzenia nad nimi szlachtę oburzyła najwięcej. Kamiński, poseł wołyński, odwołując się do żądań współbraci swoich wzywał pomocy wszystkich, aby prawa te Zamoyskiego tak na zawsze umorzone zostały, aby się nigdy ani o uszy współczesnych, ani potomków nie obijały, w tym celu podał projekt w te słowa:

„Za podjęte prace około zbioru praw w 3 tomach przez urodzonego A. Zamoyskiego ułożonych zabezpieczamy wdzięczność, że zaś zbiór ten przeciwny jest dawnym ustawom i prawom, przeto zbiór ten na zawsze niszczymy i aby na potem na żadnym sejmie proponowane i wskrzeszone nie były, stanowimy.”

Za przeczytaniem projektu tego powszechna prawie za nim odezwała się zgoda. Posłowie: Sierakowski – płocki, Sokolnicki – gnieźnieński, Suchodolski – chełmski, wielu innych domagało się, by projekt ten bez żadnej deliberacji natychmiast w prawo był zamieniony. Jeden książę Stanisław Poniatowski, poseł warszawski, synowiec królewski, w zabranym głosie ledwie mógł otrzymać, by projekt ten do prawa wzięty był ad deliberandum i wkrótce w mniej obraźliwych wyrazach podanym. Jakoż w kilka dni powtórnie łagodniejszy wniesiony przeszedł. W osim lat później zbiór ten praw nie znalazłby tak wstydne oporu; były to ostatnie cienie ślepoty i przesądów naszych, spiesznie uchodzące przed rozlewającym się nowych pokoleń światłem.

Postanowione na przeszłych sejmach prawo wekslowe, niezwłocznie za uchybionym terminem grabiące własności i majątności dłużnika, wielu nieuważnej młodzieży przyprawiło o ostatnią zgubę majątków; wielu lichwiarzy i spekulantów posiadało tym niecnym sposobem znaczne dobra; uchwalono więc prawo zabraniające szlachcie dawania weksłów na siebie, powinności oblatowania wszystkich w grodach, nie dając im pierwszeństwa przed dawniej oblatowanymi długami.

Moszczyński poseł kaliski, wniósł, iż pan (źle później sławny Szczęsny Potocki, starosta bełski) żąda utworzyć z dóbr swoich humańskich ordynację, a to aby był na zawsze fundusz utrzymania pułku piechoty z 300 ludzi złożonego, pułku pod imieniem Potockich. Projekt ten, jak oburzający równość szlachecką, nie wsparty przez Stackelberga, nie wziął pożądanego skutku.

Podany był także, lecz nie uchwalony, projekt ustanowienia banku pożyczkowego. Pierwszy fundusz na niego miał być złożonym od kupców, w kwotach stosownych do zamożności ich: bank ten pożyczać miał na pewne hipoteki po 5 i 6 od sta, zakupywać produkta krajowe, wywozić je za granicę, sprowadzać zagraniczne towary, zakładać fabryki. Miała być komisja bankowa; naród atoli nie był jeszcze oswojony z ustawami takimi. Równie wzmianka czynioną była o ustanowieniu kompanii do oczyszczenia i kopania gór olkuskich. Czas sejmu sześcioletni, na obieraniu Rady komisarzów, na egzaminowaniu magistratur, kwitowaniu ich, na wiecznych i długich mowach (każdy bowiem z napisaną swą oracją chciał się popisać) schodzący, nie dozwalał ważniejszym materiom ni dojrzeć, ni się w prawo zamienić. Obejrzawszy się atoli na dawne sejmy, już było dosyć, że się umysły oswajały z podobnymi materiami, rozumiem nawet, że i w tym już czasie, gdyby nie było *liberum veto* i Moskwa sejmom dłużej trwać pozwalała, wiele by było stanęło ustaw zbawiennych. Uchwalono, a raczej ponowiono prawo przeciw zbyt kom, zakazujące klejnotów, koronek, bogatych materii, haftów etc., etc., znoszące oraz szlify u mundurów wojewódzkich. Nie potrzeba mi dodawać, iż ustawa ta, zwłaszcza w strojach niewieścich, zachowywaną nie była. Nadano kilka indygenatów, jako to Naranczycowi, Moskalowi, bratu Zorycza, nałożnika Katarzyny II, Tepperom, książętom. de Ligne i de Nassau Siegen. Ci dwaj ostatni nie wywdzięczyli się za nadane im zaszczyty. Książę de Ligne, w błyskawicach dowcipu swego nie zastanawiający się nad niczym, w mowach i pismach swych obraźliwie natrząsał się z Polaków. Nassau, syn naturalny książęcia tegoż imienia, z komedianki spółdony, pojawiwszy rozwódkę, księżną Januszową Sanguszkową, z domu Godzką, i znaczny odziedziczywszy z nią majątek, w ustawicznych

wędrownikach swoich często w Polsce przebywał, do interesów nawet sejmikowych przez króla był używanym. Szarlatański umysł człeka tego miotał go wszędy: był on przy oblężeniu Gibraltaru, z Bougainville odbył podróż wokoło świata, przywoził galerom Katarzyny w wojnie z Szwecją, uczeplił się książąt francuskich w Coblencz, w r. 1794 przy oblężeniu Warszawy przez Prusaków widzieliśmy tego przybranego Polaka wśród Prusaków, uwijającego się z przednimi strażami naszymi; przeniósł się potem do Napoleona i zapomniawszy o bohaterstwie jeździł skupować dla niego wina węgierskie. Osiadł na koniec w dobrach żoninych na Podolu, cały rozkoszom brzucha oddany. Straciwszy miliony żony i te, co mu rozmaici monarchowie nadali, umarł z przeładowania żołądka.

Rozjechali się posłowie; dowiedzieli się z protokołu Rady Nieustającej o uciskach handlowych, o ciemniących postojach, o wszelkiego rodzaju obelgach i naigraniach z słabości naszej, żadnymi przekładaniami nie sprostowanych; wiadomość ta tym była boleśniejszą, iż związani gwarancją moskiewską, ni wojska, ni podatków zwiększyć, ni żadnego środka do wyjścia z sromotnej tej podległości wziąć nie mogli. Zrażeni w nadziejach dobra publicznego, domowym oddawali się zatrudnieniom. Zbliżały się kontrakty dubieńskie na Trzech Królów. Mniej majątni – sami, panowie – przez plenipotentów swoich, udawali się na nie. Mimo ogólnego niebogactwa kraju, wszystko biorącego od cudzoziemców, kwitnący handel zbożowy, zbytki w wyższym tylko rzędzie znane, zostawiały znaczne sumy krążącego złota; z tymi [narabiali]: bankierowie Tepper, Blanc, Cabry, plenipotenci panów z Warszawy. Szlachta z prowincjów zjeżdżała się do Dubna, dóbr księcia Michała Lubomirskiego. Nie było naówczas tyle jak dzisiaj łotrstwa, wojny nie rozbiewały wiejskiej młodzieży, słudzy i niższe klasy, nie znając zbytków, nie szukały kradzieży i rozbojem szukania sposobów, by dogodzić wyuzdanym swym chuciom. Jeźdzono wtenczas na kontrakty w małych bryczkach; mieszczono w nich nieraz po sto i dwakroć tysięcy czerwonych złotych, nie widziano jednak przykładu rozboju lub kradzieży. Za zjechaniem do Dubna zaczynały się wypłaty, pożyczki, kupna, zastawy, wszystko w gotowym złocie, w potocznym tylko obiegu srebro widziano. Każdy z pełną kieszenią, nie płacący podatków, pewien, że na rok przyszły znów mu z Gdańska przyjdą pieniądze, hojnym był w wydatkach. Otwierały się huczne reduty, na tych banki i gry zapamiętała. Bankierowie brali i wypłacali, po 8 od sta dawali procentów, szlachta lgnęła do nich, z ciężką swą, jak się pokaże w r. 1793, zagubą.

Gdy te biesiady i facjendy odprawują się w Dubnie, Warszawa w lepszego tonu znów zanurzała się uciechach: znów romanse miłosne, towarzyskie komedie i bale. Były w modzie i loże wolnych mularzy, gdzie i damy przypuszczonymi bywały. Poniński, Mokronowski, Kurlandczyk Heyking, Maisonneuve, Aubert i inni Francuzi rej w nich wodzili, i ja z innymi zaciągnąłem się do towarzystwa tego; młodzież bawiła się i nauczała się mówić w publiczności; nigdy nie postrzegłem, żeby na zgromadzeniach tych było co przeciw religii lub obyczajom.

Zacząłem bywać po wielkich kompaniach, niestety! wzięcie w nich moje nie byłem winien żadnym przymiotom lub nauce mojej, ale młodości i talentowi tańcowania. Taniec dzisiejszy, walc, wspólny szynkowniom i pałacom, tyle młodych kobiet spychający do grobu, nie był naówczas znany. Polski taniec, kadryle, i anglezy przerywane były przez solą; tańczono menuety, almandy, kozaki, matloty etc.; młody, letki i zwinny celowałem w tych ostatnich i na wszystkich balach mieć mnie chciano. Nie potrzebowałem atoli wyjeżdżać na miasto, szukać zabawnych społeczeństw. Pałac Błękitny księcia Czartoryskiego miastem był dla mnie. Napelniali go słusznymi i grzecznymi ludźmi. Józef Szymanowski, tłumacz *Kościola w Gnidę*, autor pism wielu, z którym czuła i trwała łączyła mnie przyjaźń, mąż pełen słodczy, nauki i najlepszego tonu, Orłowski, później komendant twierdzy kamienieckiej, pod posepną postacią wesoły, uczciwy, dobry. Ciesielski, najprzód [...] potem w gwardii litewskiej będący, na koniec ochmistrz młodych książąt Adama i Konstantego, biegły we wszystkich umiejętnościach wojskowych, do śmierci gorliwie przywiązany do domu książąt, człowiek godzien najwyższego szacunku. Z rezydentów ciągle przy księciu bawiących – Ignacy Witosławski, który

potem umarł obożnym koronnym, posiadający dawną polską grzeczność, wesołość i gościnność. Niezmierna otyłość uczyniła go leniwym i ociężałym. Siedział on po dniach całych w szlafroku atłaskowym podbitym popielicami, palił tytium i grał w mariasza. Lecz nie zamykały się drzwi domu jego. Uczęszczała do niego wszystka wesoła, bogata młodzież. Granowsy, Brzostowscy, Wodziccy etc. Ileż tam pustych, lecz dowcipnych wymówił żartów, ile tam układało się szalonych partii za miastem, zawodów na koniach, podwieczorków, balików.

Pod Witosławskim mieszkał dawny sługa i przyjaciel domu książąt pan Borysławski, krewny mój, miał bowiem za sobą cioteczną siostrę moją. Był to wielki oryginał, bez żadnej prawie nauki, lecz z wielkim naturalnym dowcipem, rubaszny i w mowach swoich nie poskramiający się bynajmniej. Każdemu on dał jakieś nazwisko; i tak księżnę, że się mało pokazywała swoim i często zamykała w ulubionej wiosce swojej Powązkach, księżnę – mówię – nazywał Diczkiem, Moszyńskiego, referendarza koronnego, Szmucem. Gdy wchodził do niego biskup Naruszewicz, dziejopis i poeta nasz, w wielkiej z nim zażyłości żyjący, gdy Naruszewicz był jeszcze jezuitą, nie zważając na fiolety, też same zachowywał z nim rubaszeństwo: „Jak się masz, popie” – całym jego było pozdrowieniem.

Podeszlejszy od nich Drohojewski, sławny niegdyś na sejmikach bohater, czworograniasty, kościsty, silny, nie miał wesołości ani przyjemności powyższych. Stroił się zupełnie starodawnym polskim zwyczajem. Służył on za sekundanta w ustawicznych pojedynkach pisarza Rzewuskiego z Kozłowskim. Długo i niepotrzebnie byłoby opisywać junactwa te. Za każdym pojedynkiem Drohojewski dostawał w podarunku karabelę i ładownicę lub inną broń drogimi kamieniami sadzoną. Był jeszcze w domu księcia pan Goguel z Montbeliard rodem; dawniej w służbie, moskiewskiej, później podpułkownikiem w gwardii litewskiej patentowany. Był to człek sześć stóp ośm cali najmniej mający, znawca koni i psów, lubiący grę i zabawy, zresztą człowiek poczciwy, przyjacielski, uczynny. On to zalecił mnie niejakiemu Neuman, ten na rejszuli saskiej uczył mnie jeździć, wołyżować; płaciłem mu 5 dukatów na miesiąc.

Kniaźnin, jeden z znakomitych poetów naszych, był sekretarzem u księcia. Ustawnie pisał wiersze, i pisał je dobre; człowiek pełen słodczy, czuły, kochający się wiecznie, wielce ku mnie przychylny. Raz wśród najcieńszej zimy napisał piękną odę do wiosny i gdy ją czytał u Borysławskiego: „Nie wariatze to – zawołał Borysławski – drzy od mrozu, grzeje zadek u komina i prawi mi androny o różach, fiołkach, strumykach.” Na nieszczęście zgadł Borysławski. Poczciwy Kniaźnin, kochający kraj swój nad wszystko, z żalu po powtórny podziale Polski odszedł od zmysłów i w tym nieszczęsnym stanie życia dokonał.

Z kobiet mieliśmy: panią Parizot, będącą przy księżnie, grzeczną i wyborną kobietę, u której często trawiłem wieczory, dwie panny Paszkowskie, jedna z nich, Antonina, bardzo piękna, poszła później za generała Kurdwanowskiego, przyjaciela Branickiego; były one cioteczne siostry moje.

Dom pana Skowrońskiego, sekretarza książećcia, a raczej stancja, wszyscy bowiem wtenczas mieścili się szczupło, był miejscem, gdzie mieszkańcy Błękitnego pałacu zbierali się najczęściej. Dzień 3 i 4 grudnia, święta Ksawerego i Barbary, były dla nas dniami uroczystości i wesela. Były to imieniny przyjaciół państwa Skowrońskich, pułkownika Molskiego i siostry jego, pani Reynaszewskiej. Zbieraliśmy się wszyscy wieczorem do jednego pokoju, bo nie było innych. Nie było tam tej okazałości i wystawy, które później próżność i moda do miernych nawet wprowadziła domów. Poncz, potem wieczerza na prostym fajansie, ale jakie kwiczoły, inne przysmaki, jaka otwartość, wesołość, wzajemna przychylność; przeciwnie wszystkim wielkim dworom, nie było na naszym zazdrości ów i kłótni, wszyscy żyliśmy w zgodzie. O, chwile szczęśliwe, którym młodość tyle dodawała powabowi.

Tej zimy 1781 wydałem w czterech małych tomikach tłumaczenie moje *Królowej Nawarry*. Acz lepiej było to tłumaczyć niż nic nie robić, jak nierównie atoli pożyteczniejszą byłbym uczynił przysługę, gdybym był ważniejsze jakie dzieło do tłumaczenia przedsięwziął. Lecz powszechna letkość, amory, romanse, wszystkich rozmów ulubiona treść naówczas, powiodły mnie do tego.

W lutym odebrałem z domu wiadomość, iż dobra matka moja niebezpiecznie zapadła na zdrowiu. Mając tylko 8 dukatów na miesiąc, acz zawsze skromny w wydatkach moich, nie mogłem być w pieniądze zapasnym; sprzedałem więc wierzchowego oficerskiego konia mego, by było czym pocztę zapłacić, i ruszyłem do domu. Matka moja od niejakiego czasu zapadła była na nogi, tak że choć nie w wieku jeszcze, chodzić przestała; niedołężność powiększyła się z bólami. Acz blisko był w Terespolu dobry doktor, pan Miller, ojciec mój jednak udał się do doktora księcia, pana Goltza; od niego więc wziąłem z sobą lekarstwa. Przybywszy do Skoków znalazłem matkę moją w łóżku słabą, bez niebezpieczeństwa. Nie wiem, czyje było czulsze rozrzewnienie, czy moje z widzenia jej, czy jej, patrząc na ten dowód powinności synowskiej. Lekarstwa zdawały się pomagać, matka moja uczyła się lepiej; zabawiwszy tydzień w domu, na tyle bowiem miałem pozwolenia, wróciłem do Warszawy. Dobry książę dowiedziawszy się, na com konia sprzedał, dał mi innego.

W tym właśnie czasie wielka w Wielkim Księstwie Litewskim stała się odmiana. Wspomniałem o przeważnym wpływie Tyzenhauza w całej tej prowincji, był on tak silny, iż panowaniu równał się. Na każdym, i ostatnim nawet sejmie, gdy przychodziło *ad turnum* pierwszy poseł z prowincji litewskiej imieniem wszystkich tak zwykł się być odzywać: „Prowincja litewska w 54 kreskach *affirmative* lub *negative*” – jak podskarbi Tyzenhauz. poszepnął. Do niósł Stackelberg carowej swojej o tak wielkiej przewadze. Zatrwożyła się podejrzliwa Katarzyna i wraz napisała do posła swego, aby Tyzenhauzowi ekonomie litewskie odebrać, a przez to zniszczyć cały kredyt jego; przyczyniła się do tego zazdrość i chciwość możnych; wzięto za pozór, dla kosztownych w fabrykach zawodów, niewypłacenie jakiejś raty do skarbu królewskiego. Słaby Stanisław August, który tyle był winien Tyzenhauzowi, który w każdym zdarzeniu wynosił zdadność i zasługi jego, na pierwsze słowo posła moskiewskiego wraz wyrok zaguby jego podpisał. Oddał ekonomie Rzewuskiemu, marszałkowi wielkiemu koronne, wysłał do Grodna, ale później, sławnego Kossakowskiego biskupa, by od Tyzenhauza rządu nad tymi dobrami stołowymi odebrał. Sądził się naówczas w Grodnie główny trybunał litewski pod laską Piłsudskiego, piwniczego litewskiego. Kossakowski z rozkazem królewskim na Horodnicę udał się, otoczył ją żołnierzem, ostro nalegając, by Tyzenhauz natychmiast ustąpił. Ten, mający jeszcze cały trybunał po sobie, udaje się do niego, przekłada, że wprzód nim wyrzuconym będzie, chce się usprawiedliwić i zdać sprawę z czynów swoich. Cały trybunał prócz kilku bierze podskarbiego pod swą opiekę, wydaje wyrok, by mu czas do usprawiedliwienia był zostawiony, lecz Kossakowski – całe życie ślepy wykonawca woli moskiewskiej – pięciu tylko namówiwszy deputatów, wydaje wyrok niezwłocznego wyrzucenia i grabienia Tyzenhauza; już za rozkazem jego żołnierze do wypełnienia rozkazu tego zabierają się, gdy przyjaciele doradzili Tyzenhauzowi, by wyszedł tyłami pałacu i Grodno opuścił. Tak więc wzniesiony przez samego Stanisława Augusta do najwyższego szczytu władzy Tyzenhauz, słabością Augustuła tego, jednym słowem Stackelberga obalonym został. Był Tyzenhauz w czynach swoich nieobywatelskim, gwałtownym, w zawodach fabrycznych często mylnie widzącym, lecz inny król i w jednych, i drugich mógł, go był hamować i na prawą naprowadzając drogę uczynić go wielce krajowi przydatnym. Z upadkiem jego obaliły się wszystkie rękodzieła na Horodnicy, zamiast naprawienia zburzono, zgaszono ten pierwszy brzask świtającego w Polsce przemysłu. Przedano za bezcen Moskałom sukna, materie, wszystkie rękodzieł tych wyrobki.

Zrzucenie Tyzenhauza z szczytu wszechwładności powróciło niejakaś prowincji litewskiej swobodę. Na sejmikach mogli obywatele bez bojaźni prześladowania iść w wyborach za przeświadczeniem i skłonnościami swymi. Użył tej chwili tchnący zawsze dobrem publicznym książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, by gwałconą długo sprawiedliwość wzięść w ściśle karby; postanowił zostać marszałkiem trybunału głównego litewskiego.

Rozdział ósmy

Trybunał Księstwa Litewskiego w Grodnie i Wilnie. Bawienie tam moje

Obrany ksiązę deputatem z powiatu słonimskiego, z licznym jak zwykle dworem wcześniej na wiosnę do Grodna wybrał się. Wyporzędzono dla niego i dworu zamek królewski, w którym sejmy odprawiać się zwykły; stoi ten gmach naprzeciw dawnego zamku, w którym waleczny król Stefan życia dokonał. Widok jego na rzekę Niemen, na wesoło, daleko rozciągające się nadbrzeża onego, jest jeden z najpiękniejszych. Jednomyślnie wybrany ksiązę za marszałka, z największą przykładnością urzędowanie swoje rozpoczął. Czyjekolwiek bądź rekomendacje, od dworu nawet przychodzące, odrzucał i nie odpieczętowane zostawiał. Statut litewski wiele ma w sobie trybu angielskiego. Sąd zacząwszy namowę nad dekretem nie może się już rozchodzić, lecz ciągle siedzieć w izbie, aż do ogłoszenia wyroku: zdarzyło się nieraz, iż dwa dni i dwie nocy siedział zamknięty trybunał. Każdy więc pościel swoją tam musiał sprowadzić, ksiązę jedzenia i picia dostarczał; od dawna zwyczaj ten tak ściśle nie był postrzegany. Względem patronów również surowość. Jeden z najpierwszych, Lichodziejewski, że w mówieniu swoim wykroczył, do więzienia wrzuconym został. Na tym trybunale ksiązę w złej sprawie własnego ojca na wieżę skazał. Sława sprawiedliwości jego rozeszła się po Litwie i Polsce.

Ksiażę, nie tylko jak najwyższy komendant wojska, ale jak marszałek trybunalski, miał liczną wartę u siebie. Adiutanci jego, Berken, Orłowski i ja, tygodniami odprawialiśmy służbę, my dawaliśmy hasło, do nas ciągnący na wartę oficerowie donosili się.

Wszystko to pochlebiali młodocianej próżności mojej. Jak niegdyś klienci konsulów i maj znacniejszych obywateli odprowadzali na forum, tak my w mnogim liku prowadziliśmy księcia na sądy. Zresztą nie było wielkiego zatrudnienia. Jeśli sprawa była ważna, przysłuchiwałem się induktom rozmowniejszych patronów. Inaczej na czytaniu i wizytach czas schodził. Bytność księcia uczyniła Grodno ludnym i świetnym. Między kobietami najcelniejsze piękności były: pani Przysiecka i siostra jej, panna Wawrzecka, siostrzenice Tyzenhauza. Pierwsza do piękności łączyła dowcip rzadki i pustą wesołość. Wszystkich głowy paliły się do nich. Dom księcia był zawsze otwarty. Obiad co dnia na 60 osób. Wieczorem spacerowały do Poniemunia, Łososny lub innych miejsc; acz w lesie, częste bale i tańce.

Dwór księcia powiększył się przybyciem pana Karpińskiego w urzędzie sekretarza. Że to był jeden z najlepszych rymotwórców wieku naszego, słusznie jest, bym wspomniał o nim. Piękna oda Karpińskiego do biskupa Naruszewicza znakomicie światu polskiemu dała go poznać. Ksiażę, wszystkie talenta garnący do siebie, przyzwał go do dworu swego. Niepospolitą była znajomość z nim moja, równie jak i z innym mężem, między dawnymi magnatami polskimi rozwiązałością swoją aż nadto znanym; powyżej nie namieniwszy o tym, tutaj kładę te malujące czasy owe obrazy.

Roku przeszłego, gdyśmy byli na Rusi Czerwonej, dziś Galicją przezwaną, wstąpił ksiązę do krewnego swego Potockiego, starosty kaniowskiego. Był to mąż olbrzymiej, iż tak rzekę, postaci i równie silny, jak dorodny; choć było to w lipcu, wyszedł naprzeciw księcia w siarczystym, na bawełnie pikowanym, długim atłasowym żupanie, w krótszym kontuszu na opaszki. Na spiczastej, całkiem ogolonej głowie kręcił się siwy sieledzec, w ręku trzymał cybuch niezmierny; w twarzy surowość z śmiałością złączona, w przyjęciu poważna grzeczność.

Weszliśmy do wybielonego drewnianego dworu; izba do przyjęcia wybita makatami, piec niezmierny, za którym sześciu szlacheckich wygolonych chłopców siedziało. Obiad prawdziwie był zygmunowski; wszystko z szafranem, z korzeniami, sześć tłustych młodych dziwek, w gorsetach juchtowych czerwonych, usługiwało. W słownych już tylko dziś podaniach zostały sławne starosty kaniowskiego czyny za czasów Augusta III i Drugiego, jak w ówczesnej anarchii dokazywał na sejmikach; pił, zabijał, topił bezkarnie. Jak nieoszacowanym był w żartach swoich, jeden tylko przykład przywiode. Starosta kaniowski zabił był Żyda z miasteczka sąsiada jednego; gdy sąsiad ten domagał się o satysfakcję, starosta niezmierny wóz sześciokonny drabiasty naładować kazał Żydami swymi, wzdłuż, jeden na drugim. Przystawiony do transportu tego sługa miał rozkaz zajechnia na podwórzec szlachezca, wyrzucić ten cały ładunek Żydów i powiedzieć: „Pan mój kłania Jegomości i za jednego Żyda przysyła mu ich czterdziestu” Długo się śmiano z tak dowcipnego żartu.

Od starosty kaniowskiego księżę nasz udał się do Brzeżan; ja wiedząc, iż po drodze mieszkał Karpiński, umyśliłem wstąpić do tak sławnego poety. Już było późno w wieczór; zajechałem do skromnego białego domku, otwieram drzwi i postrzegam męża ze 30 lat mającego w podwłośniku, z rozpuszczonymi włosami, grającego na gęśli i śpiewającego. Nie można było w przyzwoitszej postawie znaleźć poety. Był to Karpiński, a choćbym o tym nie wiedział, rozmowa jego, pełna obrazów, wesoła, tkliwa, byłaby go poetą wydała. Rozmowa z nim wkrótce zamieniła się w przyjaźń. Raz tylko, w grudniu, pokłóciliśmy się grając w szachy tak żywo, iż ja szachownicę z szachami rzuciłem na ziemię; Karpiński przyrzekł, iż nigdy grać ze mną nie będzie, lecz nie wyszło godzin kilku, już szczerza zgoda stanęła. Karpiński, wyborny poeta, uczciwy, szlachetny, wielce był w umyśle niestałym, nigdy z obecnego stanu i chwili niekontent. Lat kilka pobywwszy u księcia, puścił się na przejażdżki od domu do domu zabawny, wesoły, ulotny bez miary, lubo wszędzie mile przyjmowany, nigdzie długo posiedzieć nie mógł. Po ostatnim rozbiornie król przed abdykacją nadał mu kilka włók blisko Białowieskiej Puszczy. Tam Karpiński rozpoczął gospodarować, założył niewielki domek, a że ku starości lubił wino, drzwi do piwniczki jego były w izbie sypialnej. Dożył on blisko do lat 80, zostawiwszy w poezjach swoich wiele rymów rzadkiej tkliwości i miłej, lubej prostoty.

Wracam do Grodna. Wśród paniczów rezydujących przy księciu znajdował się Michał Brzostowski, starosta puński, synowiec podskarbiego wielkiego litewskiego, lat około 20 starszy ode mnie, wesoły, dowcipny, cały poświęcony miłości i zabawom. Polubiliśmy się nawzajem i częstymi w okolice wycieczkami przerywaliśmy monotonię życia grodzieńską. Jedno z pamiętnych odwiedzin naszych było do Świsłoczy. Mieszkał tam pan Wincenty Tyszkiewicz, referendarz litewski, co był synowicę królewską, córkę księcia Poniatowskiego, generała austriackiego, pojął w małżeństwo. Nigdy podobno podobnego stadła nie widziano na świecie. Tyszkiewicz, lubo umysłu jak ciała równie tłustego, dobry jednak i rządny gospodarz, miał gusta dziwne, najśmieszniejsze w swoim rodzaju. Największym jego szczęściem, najmiłszą było zabawą rano odprawiać mszę, w wieczór przebierać się po kobiecemu. Miał zawsze garderobę gotową do tych dwóch przebrań. Przeciwnie żona jego, z najgorętszą imaginacją, cała romansowa, żywa, piękna, [z] śmiałością męską, nie lubiła, jak konie, zawody i męskie zabawy. Skoro tylko para ta z Warszawy do Świsłoczy przybyła, wraz mąż kładł spódnicę i rewerendę, żona wdziewała spodnie, frak i kapelusz, i gdy gospodarz odprawiał mszę z rana, w wieczór na kanapie w czyppku i mantelce, wiejąc się wachlarzem, kazał się w ręce całować i odbierał hołdy młodzieży, gospodyni latała po polach na koniu, przez rowy i kobylice sadziła. Wielce to nas bawiło; woleliśmy atoli latać na koniu z kobietą we fraku niż się zalecać do tłustego Tyszkiewicza w spódnicy.

Miał referendarz przy sobie księdza kanonika Łączyńskiego: był to człeczek ledwie na trzy stopy wysoki, garbaty z przodu i z tyłu, ospowaty, z niezmierną głową, dobrze jednak nałożoną; był to człowiek z nauką, dziwnie wesoły i dowcipny. Tyszkiewicz wielce go lubił. Raz przyszło mu do głowy wyprawić w Świsłoczy reprezentację publicznego wjazdu nuncjusza do

Warszawy. Natychmiast cały dwór w ruchu. Wytoczono ze stajni Tyszkiewiczowskich nadziadów karoce, kolasy, półkrytki, skarbniki. Ubrano dom paradnie. Garbaty kanoniczek miał udawać nuncjusza; jakoż zrobiono mu purpurowy mant i szatę. Wybrano dużą karetę pozłocistą, całą we szklach, umieszczono w siedzenia.; wysokie poduszki, inaczej bowiem maleńki ów. nuncjusz byłby, w niej zniknął. Tyszkiewicz wziął rolę monarchy, my wszyscy ministrów i dworskich. Wszyscy jego dworzanie i słudzy, na koniach, w powozach, wysłani byli najprzód dla pomnożenia, ile można, orszaku wjeżdżającego. Ku wieczorowi na koniec o pół ćwierci mili za miastem pokazało się na wzgórku czoło owego całego orszaku, dalej środek, cały na koniec, długim szeregiem postępujący powoli, z powagą. Trzeba było widzieć rozkosz, tupanie nogami, z radości Tyszkiewicz nie posiadał się. Bito z żelaznych móżdżrzyków, dzwoniono w kościołach. Zatoczyła się na koniec karoca przed ganek. Tam Brzostowski i ja spotkaliśmy garbatego nuncjusza, wprowadzili do audiencyjnego pokoju, gdzie Tyszkiewicz siedział na tronie. Nuncjusz miał mowę po łacinie. Komisarz Tyszkiewicza tymże od tronu, niby kanclerz, odpowiedział językiem i *credentiales* przyjął. Iluminacja i bal zakończyły uroczystości.

Bliskość Białego Stoku i przebywanie tam w lecie Pani Krakowskiej, siostry królewskiej, wkładały na Tyszkiewicza, jako mającego jej siostrzenicę, [obowiązek] odwiedzenia jej. Towarzyszyliśmy mu w tych odwiedzinach. Biały Stok, jedno z najpiękniejszych i najozdobniejszych miejsc w Polsce, lichą wioską wraz z Tykocinem Stefanowi Czarnieckiemu za znakomite jego -usługi nadany był przez króla Jana Kazimierza i po kądzieli dostał się Branickiemu w dziedzictwo. Branicki, nie najbogatszy, ale najrzędniejszy w Polsce magnat, w obcych krajach nabrawszy gustu i oświaty, miejsce to przyozdobił wspaniale.

Wzniósł pyszny gmach i ogrody rozkoszne, wymurował piękne miasteczko, użytecznymi przychodniami zaludnił. Dwór jego przechodził wspaniałością dwory wielu książąt udzielnych niemieckich. Trzymał teatr włoski i polski i pierwszy założył szkołę baletników. Żył jak pan udzielny, o wpływie jego do spraw publicznych w dziejach dowiedzieć się można, acz nieuleczony z dawnych przesądów, był jednak szczerym niepodległości ojczyzny swej miłośnikiem. Umarł w r. 1771, pochowany w Krakowie, w kościele Św. Piotra, gdzie grób jego widać; ostatni z starożytnej rodziny Gryfów. Ostatni z hetmanów, pochowany był dawnym obyczajem. Wjeżdżał mąż zbrojny do kościoła i kruszył kopię o trunę. Łamano buławę, tarczę z herbami etc., etc. Truna z trzaskiem zapadała się w podziemia.

Zniknęła z hetmanem okazałość i przepych Białego Stoku, gust jednak najlepszy i rządność zostały. Małżonka zeszłego, pani Branicka, posiadała ich więcej niż reszta rodu jej. Słodka, litościwa, pobożna i chcąca dobra ludzkości, hojna w wspieraniu jej, lecz trwożliwa i słaba, zawsze rady ulegania dawała królowi, bratu swemu. Tok życia w zamku wielce już cudzoziemszczyzny zarywał. Stół wyborny, lecz bez przepychu, dwór z osób tylko potrzebnych złożony, gdzie potrzeba jednak – wspaniałość. Z taką przyjęła Ludwika XVIII w czasie tułania się jego. W wieczór czytano wieczne dzieje panowania Ludwika XIV tyczące się. Modnie wychowane kobiety nasze nie wiedziały, nie umiały, jak to.

Zabawy takie niewiele miały dla Tyszkiewicza naszego powabów, przewidział je i przysposobił się wcześniej; wziął z sobą po kryjomu swój ornat i stroje kobiece. Z pierwszym, jak w rannych wiekach chrześcijaństwa przed poganami, tak my przed Panią Krakowską musieliśmy się ukrywać. Wcześniej więc z rana odprawiał Tyszkiewicz mszę św., a ja z Brzostowskim służyliśmy do niej. Wieczorem, nim się zebrano na pokoje, Tyszkiewicz ubrany po kobiecemu [wyraz nieczytelny], siedzący na kanapie przyjmował nas i kawą częstował.

Raz chodząc po ogrodzie wsiedliśmy na bat i garbatego kanonika wzięli z sobą. Długo pływając, kazał Tyszkiewicz zawinąć do małej wysepki, gdzie było gniazdo łabędzi, i tam gwałtem wylądowawszy garbusia odbił od brzegu. Rozgniewane łabędzie tą niewczesną napaścią rzuciły się na Łączyńskiego i tak go srodze tłuc zaczęły, iż, zlitowawszy się nad razami

jego i krzykiem, co prędzej powróciliśmy nazad i, już obalonego i potłuczonego, od śmierci może wybawili.

Powróciwszy do zamku, zastaliśmy przybyłego właśnie księcia Kazimierza Poniatowskiego, eks-podkomorzego koronnego, brata królewskiego. Był to najlekszy na umyśle, najrozwiąźlejszy w obyczajach człowiek. Przywiózł on był z sobą kochankę swoją z niskiego rodu, nazwiskiem Józefkę. Była ona małego wzrostu, kształtna w sobie, z czarnymi oczyma i włosami, twarzą pociągającą, wesoła, przebiegła. Ubrana była w zielonej spódnicy i amazonce. Nieprzyjemnym był zapewne gość taki dla tak pobożnej matrony, jaką była Pani Krakowska; udawała więc, że o gościu tym nie wie; dano jej mieszkanie w oficynie i tam jeść noszono. Książę podkomorzy, ustąpiwszy królowi panią Grabowską, z grozą obyczajów puścił się na niższe amory i aż do śmierci trwał w nich nic dobrego nie uczyniwszy w życiu.

Z Białego Stoku wróciliśmy do Grodna, gdzie wkrótce prawdziwy nuncjusz odwiedził księżęcia. Książę wysłał mnie jak adiutanta swego na spotkanie go aż do Krymek. Nuncjusz chciał mnie pięknym darem uraczyć, alem go nie przyjął. Był to monseigneur Archetti, grzeczny i uczony pałat.

W październiku zakończyła się kadencja trybunału litewskiego w Grodnie, a my aż do rozpoczęcia kadencji wileńskiej wyjechaliśmy do Warszawy, dwór cały zostawiwszy w Litwie. Wstąpiliśmy po drodze do Świsłoczy, gdzie pp. Tyszkiewiczostwo hucznie przez dni dwa podejmowali księcia. Grano komedię francuską *Heureusement*, w której ja grałem rolę Lindora. Chciano mnie koniecznie zatrzymać w Świsłoczy, lecz spieszyć musiałem na wesele kuzynki mojej, panny Paszkowskiej.

To roztrzepanie, te dziecinne zabawy świadczą, jak marnie strawione były drogie dni pierwszej młodości mojej. Sam to z zarumienieniem wyznaję i jeśli co na usprawiedliwienie moje powiedzieć mogę, to chyba nieszczęsny stan ojczyzny mojej, gdzie wszystkie drogi pożytecznego zatrudnienia i szlachetnej ambicji przez politykę moskiewską zamkniętymi były. Niewiele ni chluby, mi nadziei wskazywało powołanie wojskowe; w rządzie cywilnym znikczemnione wszystko i ślepemu obcej woli poddane posłuszeństwu; gospodarstwo wiejskie, rolnictwo jedynym było jakiegokolwiek niepodległości schronieniem, lecz tym zatrudniał się ojciec mój; nic mi nie wypuszczał, dawne powtarzając mówienie: „Jesteś w wojsku i na dworze pana wielkiego, sam dorabiaj się majątku.” W Anglii, innych zamorskich krajach, choćbym się był z niczym urodził, udałbym się do handlu, popłynął do Indii, do wyspy jakiej, pracą i przemysłem dociągnąłbym był darów fortuny; u nas handel nিকczemny, ograniczony, zostawiony Żydom, krzywdził szlachcica, trzeba więc było dzielić z innymi gnuśną nieczynność; wiele atoli szczęśliwszy od innych, że będąc w domu oświeconego, najlepszego z ludzi księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, nie patrzyłem, jak na czyny cnotliwe, nie słyszałem, jak zdania obywatelskie i święte.

Zabawiwszy w Warszawie przez niedziel kilka, głuchą jesienią pojechaliśmy do Wilna na zimową kadencję trybunału litewskiego. Przyzwyczajonego do lichych miasteczek naszych, zadziwiło Wilno obszernością swoją, wielu obszernymi gmachami. Ta dawna książąt litewskich stolica nie była zażydziona jak dzisiaj; gmachy Radziwiłłów, Łopacińskich, Chodkiewiczów, Sapiehów, Paców, Tyszkiewiczów nie były zajęte lub zrujnowane przez postoje żołdaków. Acz spustoszony, został jednak cały dawny zamek wielkich książąt litewskich i ten korytarz, którym pobożny św. Kazimierz chodził z zaniku do kościoła, i ten pałac Radziwiłłowski, w którym się pierwsze miłości Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną zaczęły. Wilno było naówczas prawdziwą stolicą Litwy, pobytem majątniejszych rodów. Zastaliśmy tam panią Tyszkiewiczową, z domu Pocięjównę, wojewodzinę smoleńską, księżnę Radziwiłłową, podkomorzynę litewską, siostrę jej, Przeździeckich, Sołtanów, Paców, Tyzenhauzów, innych dam i kawalerów mnóstwo wielkie. I tu dom księcia był otwartym, częste w nim bale bywały, tym okazalsze, im bardziej porównywano je z ucztami ostatniego marszałka trybunału, Piłsudskiego. Ten w wielkich ucztach swoich osobliwsze miał koncepta: każda po-

trawa zaprawną była kolorem munduru województwa lub powiatu jakiego. I tak barszcz był w wileńskim, sztuka mięsa w nowogrodzkim, potrawy w mińskim, mścislawskim, połockim mundurze. Sądy z równą pilnością i przykładnością jak w Grodnie odbywały się: namowy często po dwa dni i dwie nocy trwały, Młodzież obfite miała żniwa miłosne, zjechało się bowiem liczne grono pięknych, hożych pań i panien. Brat mój stryjeczny, starosta rywiatycki, deputat z brzeskiego, wiele dokazywał.

W ciągu kadencji tej przyszła wieść z Warszawy o śmierci księcia wojewody ruskiego, ojca księcia naszego. Lubo w 86 roku zgon ten nie był zadziwiającym, najlepszy z synów ciężko był nim rozżalonym, i zamknawszy się przez dni kilka, cały oddany smutkowi, nie widywał nikogo. Wkrótce potem odebrał książę list od cesarza Józefa II donoszący mu, iż chce utworzyć przy boku swoim gwardię polską galicyjską, na wzór węgierskiej, i księcia wodzem jej mianować. Długo książę wahał się z sobą. Stawał z jednej strony wstręt wchodzenia do obcej służby, z drugiej strony obawa, by odmówienie to posiadającemu znacznieszą część majątku [w Galicji] szkodliwe się nie stało, myślże gdy kraj nasz całkiem był pod jarzmem moskiewskim, podległość azjatycką, barbarzyńską, na łagodniejszą, europejską, zamieni, najbardziej zaś, że polskiej młodzieży przywodząc kształcić ją i ducha w niej polskiego utrzymać potrafi, wszystko to – mówię – skłoniło, że przyjął i na przyszłe lato przyjazd swój do Widnia obiecał. Pobyt mój w Grodnie i Wilnie, nieodstępniej mnie zbliżając do księcia, więcej jak w Warszawie, powiększył przychylność jego do mnie; zapowiedział mi, iż weźmie mnie z sobą do Widnia. Z dzieciństwa pałałem niepohamowaną chęcią zwiedzenia obcych krajów: oznajmienie to napełniło mnie radością. Chciałbym był, żeby co prędzej zesła zima i wiosna, żeby co prędzej nie znany mi kraj zobaczył. Tymczasem godziny w Wilnie nie na samych schodziły uciechach i przetłumaczyłem romans *Oblężenie miasta Kale*, i Pacowim, staroście wilejskiemu, przypisał.

Nimeśmy jednak porzucili Wilno, nim się trybunał zakończył, niespodzianie ważna przed sąd jego wytoczyła się sprawa. Niejaki Oganowski, szlachcic, lecz hultaj ostatni, długo z rozbojów i najazdów znany, dopuścił się na koniec zbrodni bestialstwa, chwytny i już z rejestru taktowego miał być przez trybunał sądzony, gdy znalazłszy sposób wymknięcia się udał się pod opiekę Massalskiego, biskupa wileńskiego. Massalski, by go spod miecza katowskiego wybawić (któż bezczelności uwierzy), zbrodniarza na księdza wyświęca. Trybunał wydaje dekret chwytności go, Massalski biskup zagraża kłutwą, wysyła gońca do nuncjusza do Warszawy, donosząc, iż powaga duchowieństwa w największym jest niebezpieczeństwie. Mimo tęgości mrozów litewskich przybywa nuncjusz do Wilna i tyle wpływem i perswazją swą czyni, iż Oganowskiego sądowi duchownemu oddają, pod zaręczeniem biskupa, iż do śmierci w ciupie miał być zamkniętym.

Po skończonym chwalebnie trybunale na wiosnę wybraliśmy się do Warszawy i [w] czerwcu wyjechali do Widnia. Pierwszy raz (książę wybrał się letko, nie wziął z sobą, jak doktora swego Goltza, sekretarza Skowrońskiego i mnie. Jechaliśmy przez Racibórz, Cieszyn, Opawę i Brunn*. Z powiększającą się drogą tą uprawą roli, bujnością jej, zamożnością miast rosło podziwienie moje, a równie i żal, że u nas tego porządku, tego w niższych klasach bytu nie widać. Zachwyił mnie Wideń, acz złego gustu, gmachami swymi i niezmierną ludnością zadziwił. Cesarz Józef często w małej kolasie, nieraz spotykany piechotą. Wszędzie go było pełno, zdawał się spieszyć z życiem i panowaniem, tak wszystko gwałtownie czynił i odmieniał. Między innymi odmianami zatrudniał się on wtenczas znoszeniem klasztorów zakonnych. Żeby lud z tą odmianą oswoić, rzucić na zakony te pośmiewisko, wydano dzieło o mniachach z rycinami, sposobem Lineusza nauczające, jak poznawać każdy zakon po kształcie kapturów, równie jak rośliny poznawają się po pręcikach i pistylach swoich. Dziwno prawdziwie, jak lud, za długiego panowania Marii Teresy do największej przyzwyczajony pobożności i bigoterii, tak łatwo z ostatniej dał się uleczyć.

Po pierwszej audiencji książę ogłoszony był kapitanem gwardii galicyjskiej w stopniu generała artylerii, czyli *Feldzeugmeistra*. Feldmarszałek Lascy w największych był naówczas łaskach Józefa II, z widoczną krzywdą feldmarszałka Laudona, sławniejszego większymi czynami wojennymi. Oddać atoli pierwszemu sprawiedliwość należy, iż co do porządku, karności i ekonomiki wojskowej wojsko austriackie wiele mu winno. Kaunitz zawiadywał sprawami zewnętrznymi. Józef II, pochlebiając próżności starca, zostawując mu powagę, nie słuchał, jak zdania swego.

Często książę proszony był na obiady do cesarza, do Laksenburga, wraz z posłami francuskim i hiszpańskim. Po obiedzie polowano z sokołem na czaple; stary poseł hiszpański d'Agui-llar, nieświadomy polowania tego, nigdy pojąć nie mógł, czy sokół łapał czaplę, czy czapla sokoła. Wielce to bawiło cesarza. Anegdotę tę mam z ust książęcia. Kiedy książę uczęszczał do dworu, ja zwiedzałem ciekawości Widnia, galerie, gabinety, arsenał, biblioteki; opisanie ich znajdują się wszędy. Byłem o 10 mil od Widnia w Neustad dla oglądania tam szkoły ry-cerskiej, pod dowództwem naówczas hrabiego Kińskiego. Tymczasem tworzyła się gwardia galicyjska. Książę był kapitanem, Rzewuski, chorąży litewski, porucznikiem, dawny austriac-ki pułkownik Sierakowski chorążym, Michał Wielhorski pierwszym wachmistrzem. Wielu Polaków już będących oficerami w wojsku weszło do tej chorągwi za prostych. Mundury ich były polskie: żupany karmazynowe i kontusze granatowe z haftem lub galonami na parade, także kurtki na dni powszednie. Broń: pałasz, ładownica i kopia. Książę miał całą ładownicę osadzoną diamentami, podobną kietę u czapki z wiszącą gruszką szmaragdową. Było to pięknie i bogato, lecz: nie równało się przepychowi stroju księcia Esterhazy, kapitana gwardii węgierskiej. Ten i koń jego cali byli z diamentów i pereł. Rzadko kiedy gwardie te prócz No-wego Roku występowały w paradzie. Nie składały się, jak z 60 gwardzistów. Po sześciu, włą-czywszy w to gwardie niemieckie, ciągnęło codziennie na wartę do zamku, do samych poko-jów cesarskich.

Przed samym wyjazdem naszym dał Józef II przykład niebaczej na stan i urodzenie su-rowej sprawiedliwości swojej. Hrabia Podstowski, Węgrzyn, rozwiązy i marnotrawny mło-dzieniec, sfalszował bilety banku widyńskiego.

Przekonanego skazał Józef II na wieczne prace w taczkach. Widziałem go ubranego i pra-cującego z innymi winowajcami. Wielce tym była oburzona arystokracja austriacka, milczyć jednak musiała.

Wróciliśmy do Warszawy w lipcu, skąd wkrótce wyjechaliśmy na sejmiki do Wilna. Książę bowiem umyślił być posłem z województwa tego na nadchodzący sejm w październiku r. 1782. Książę złożył komendę nad wojskiem litewskim, ja nie chcąc przechodzić pod innego generała, opuścić męża, który ojcem był dla mnie, nie widząc żadnego pomyślnego ni dla kraju, ni dla siebie widoku służenia dalej w wojsku, równie jak i wszystko obcej woli podle-głym, wziąłem dymisję moją.

Tyle tylko zabawiliśmy w Wilnie, ile obrządek sejmikowy wymagał. Książę jednomyślnie obrany został posłem. Nim tę stolicę Litwy opuszczę, wspomnieć muszę o uroczystości, która się w niej zeszej zimy odprawiła. Waleczny król Stefan założył w niej Szkołę Główną, czyli akademię. Wkrótce opanowali ją jezuici, przez Warszewickiego do miasta tego sprowadzeni. Łacina, filozofia scholastyczna, teologia ascetyczna – to jest, co nauczali przez blisko dwóch wieków. Za zniesieniem zakonu tego (który mimo posłuszeństwa swego papieżom zbuntował się przeciw bulli papieskiej i w Połocku się został), za zniesieniem ich, mówię, Komisja Edu-kacyjna postanowiła urządzić uniwersytet, stosownie do innych szkół głównych w Europie. Sprowadzeni biegli profesorowie z zagranicy, ustanowione fakulteta, ksiądz Poczobut usta-nowiony rektorem. Otwarcie tej akademii odprawiło się w obliczu księcia i trybunału właśnie w dwa wieki po pierwszym założeniu swoim w sposób najuroczystszy. Biegły astronom ksiądz Poczobut wyznaczony został rektorem. Znaczniejsi profesorowie byli Gilibert, Ve-miaux, Becu, Regnier, Viriot, Kluk etc. Akademia ta spieszenie wzrastała w nauki i sławę. Po

zaborze kraju Aleksander I w początkach panowania swego uposażył ją obficie i najbieglejszymi w różnych naukach obsadził ją mężami: dziś, za odmienieniem systema, fikcją buntów karbonaryzmu, mówieniem, że nauki szkodliwe, uwięzieniem przez Nowosilcowa mnóstwa profesorów i uczniów, oddaleniem od zwierzchności nad nią księcia Adama Czartoryskiego, akademia ta ostatnią zagrożona jest zagubą.

W październiku zaczął się sejm 1782 pod laską Krasieńskiego, oboźnego koronnego. W początku onego przysłała wiadomość, że cesarz Józef mocno zapadł na oczy: doktor księżęcia Goltz wynalazł czyli mniemał, że wynalazł, niechybną na uleczenie ich wodę. Księżę, chcąc okazać przychylność swą ku monarsze temu, kazał przygotować skrzynię tej wody i dawszy mi list do cesarza, gońcem posłał do Widnia. Biegłem więc dzień i noc do Widnia; stanąwszy udałem się do znajomego nam barona Kienmayer: ten mnie do hrabi Rosenberga, wielkiego podkomorzego, zawiózł. Naznaczono mi posłuchanie na dzień następujący; udałem się na pokoje, generał Clairfayt, czyniący służbę szambelana, wprowadził mnie do cesarza. Oddałem list, ten cesarz przeczytawszy zapytał mnie o zdrowie księcia, czym się trudniono na sejmie, i kilka podobnych uczyniwszy zapytań dodał: „Kiedy wyjeżdżasz?” „Będzie to zawisło od woli Waszej Cesarskiej Mości.” – odpowiedziałem. „Pojutrze – rzekł – przyjdziecie po odpowiedź”; jakoż w naznaczony dzień otrzymałem list odpowiedni i w darze złotą piękną tabakierę z emalią. Zabawiłem dzień jeszcze, a dowiedziawszy się, że przybył do Widnia z Paryża pan Michał Zabiello i zakłopotany był, jak się do Warszawy dostać, ofiarowałem mu wziąć go z sobą na powrót. Michał Zabiello, jeden z najpiękniejszych mężczyzn na świecie, tak że go we Francji zwano *le beau Polonais*, do pięknej postaci łączył dowcip, umysł z bogactwem nauką, grzeczność, przyjemność w pożyciu i najświetniejszą odwagę, lecz przymioty te zgubione były przez miłość zbytków i największe marnotrawstwo. Strwoniony dość znaczny majątek nie poskromił go w nieużytecznych, nieraz, dziecinnych wydatkach. Jak gdyby pan udzielnny, zbierał on różnego rodzaju kolekcje, najpiękniejsze edycje ksiąg, broni, brązów, kryształów, porcelan, różnych dziecinnych nawet cacek i gratów; to, mimo ustawicznych wsparć przyjaciół, do takiej na koniec przywiodło go ostateczności, iż po 22-letnim pobycie w Dreźnie i opędzaniu się dłużnikom, za wnijsciem w r. 1813 Moskali do Drezna, Repnin-Wołkoński korzystając z opuszczonego od wszystkich miasta nakazał aukcję publiczną rzeczy, ruchomości i zbiorów Zabielly, a że nie było ni kupujących, ni znawców, sam najrzadsze księgi, najkosztowniejsze sprzęty ponabywał za bezcen, wtenczas to rzadka edycja Caesara Clarke'a za 5 talarów nabytą była przez niego. W kilka lat Zabiello w największej nędzy umarł w Cieplicach (Teplitz).

Za powrotem moim do Warszawy (biegłem dniem i nocą) znalazłem sejm w największym gwarze, z przyczyny zatrzymania biskupa krakowskiego Sołtyka. Rzecz tak się miała. Szanowny ten i gorliwy biskup, po pięcioletnim więzieniu swoim w Kałudze powróciwszy do Warszawy, już zaczął dawać znaki niejakiego pomieszania umysłu. Smutne skutki ciężkiego więzienia, boleści i zgryzot przez zhańbienie ojczyzny zrodzonych. Nie uderzające zrazu były te pomieszania znaki, aż w ciągu roku 1782 coraz widoczniejszymi się stały, tak dalece, iż pasterz ten pełnienia świętych kapłaństwa swego obowiązków przestał być zdolnym. Kapituła atoli krakowska zamiast wcześniej uwiadomienia o tym rządowi i szukania, jak łagodnie z nieszczęśliwym postąpić, czekała, aż obłąkanie silniejszym się stało, i wtenczas sama przytrzymała biskupa i osadziła go w seminarium, pod pilnym dozorem. Zgromiona o to przez Radę Nieustającą, ciężkie pociski ściągnęła na siebie od sejmu. Naród, pełen jeszcze żarliwej zażyłości o najdroższe sobie prawo *Neminem captivabimus nisi iure victum*, nie zważając, w jakich okolicznościach przytrzymany był biskup, czuł tylko na szanownym kapłanie obrazę i zgwałcenie drogich swych swobód. Silne więc powstały głosy tak w sejmie, jak i w stanie rycerskim żądające niezakwitowania Rady Nieustającej, aż rezolucja jej imania biskupa uchyloną, kapituła krakowska skarana nie będzie. Była to wielce popularna materia, każdy z gorliwością i wymową swoją popisywał się. Brat mój Stanisław Niemcewicz, i starosta ry-

wiatycki, historycznie dowodził prawa królów, biskupów i kapituł; mniej w tej mowie jak w innych było deklamacyj, lecz więcej dowodów z znajomości dziejów czerpanych. Kurdwanowski i inni przyjaciele buławników dowodzili, że się to stało jedynie dlatego, że hetmanom odebrano władzę. Czytano list Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, w którym te słowa słyszano: „Jawny w tym czynie pokazuje się skutek odebranej [władzy] hetmanom, który ja tak wiele razy i tak dawno przepowiedziałem; zniknęła dziś władza hetmańska, a z nią wolność obywatelska.” Słowa te bardziej zaszkodziły, niż pomogły sprawie biskupa; więcej w nich żalu z utraconej władzy niż litości nad cierpiącym widziano, zwłaszcza że Rzewuski po utraceniu prerogatyw swoich, pobierając regularnie znaczną pensję swoją, gniewał się na naród i nigdy na sejmach nie postał. Nic bardziej najlepszej sprawie nie szkodzi jak zbyt długie jej rozcieranie; z początku publiczność gorąco obronę jej bierze, lecz gdy długie deklamacyjne mowy zawsze toż samo powtarzają, ciągle słyszeć się dają, stygnie interes, nużą się umysły i każdy końca tylko czeka. 24 sesji zeszło na zaprzeczaniu, z przyczyny tej sprawy, zaświadczenia zwykłego Radzie Nieustającej, gdy na koniec przyszło *ad turnum*, było w senacie głosów za daniem zaświadczenia Radzie Nieustającej krysek 46, za niedaniem 8. W izbie poselskiej affirmatwe 124, negatwe 36. Tu uważać należy, iż lubo w tej materii wrzały umysły, lubo jeden poseł mógł zerwać sejm, przecież taka hańba, takie stygma przywiązane było do tego zagwarantowanego przez Moskwę nadużycia, iż nikt nie poważył się.

Chybiła zapewne kapituła krakowska w uszanowaniu i delikatności winnej dostojności pasterskiemu, nieszczęściu, wiekowi, długim za ojczyznę cierpieniom, lecz niezaprzeczoną było prawdą, iż pomieszanie zmysłów biskupa nie dozwalało mu pełnić dłużej obowiązków pasterskich. Brat królewski, książę biskup płocki, wyznaczony był administratorem diecezji krakowskiej. I to niemało sprawiło zawiści. Na tych to sporach, na roztrząsaniu spraw Rady komisjów, na obieraniu nowych do magistratur członków zszedł czas sześćciodzielnny, przeznaczony sejmowi. Zapomniano zalecenia od tronu, by wyznaczyć fundusz na szukanie soli, zginęły w powietrzu skargi na uciski wojsk moskiewskich po prowincjach, na koczowania, czyli wyprowadzania ludu naszego, by zaludnić nim puste stopy państw Katarzyny. Zostawiano też same co i wprzód niedołączne dochody publiczne i wojsko z 17 tysięcy głów składające się. Czytane tylko wyznaczenie 20 000 fl. na czyszczenie rzeki Pilicy i 15 000 fl. na brukowanie ulic w Warszawie. Rzecz prawdziwie śmieszna, gdy porównamy tę małą kwotę z milionami, które dziś na te i podobne obiekta z szczupłego kraiku sypią się. Dlatego że ojcowie nasi nic nie płacili, my dziś płacimy nad możność. Na tym to sejmie zaszła ratyfikacja rozgraniczenia Serwii moskiewskiej od granic polskich. Po tym przebudzeniu i gadaniu na sejmie jak przez sen znów naród pod czuwaniem posła moskiewskiego w zwykłym swoim pograżył się letargu.

Na wiosnę wybrał się książę z zwykłym dworem przyjaciół i rezydentów, by objechać przypadłe na siebie z działu dobra wołyńskie, podolskie i ukraińskie; tę to ja podróż opisałem pokrótce wierszem w liście do przyjaciela mego Józefa Szymanowskiego. Niektóre tylko podróży tej wspomnę okoliczności. Był z nami pułkownik Molski, niezmiernie wesoły, dowcipny, wielce lubiony od księcia i mnie szczerze sprzyjający. Widząc, iż miałem już lat 24, zem porzucił wojsko i nie miał stałego celu przed sobą, umyślił mnie ożenić. Miał on krewną swoją panią Bogatkową, dwie tylko, dość majątne córki mającą. Ze był zawsze o wszystkim dobrze tuszającym ani nie lubił zastanawiać się długo, nie wybadawszy wprzód krewnej swej, umyślił zawieźć mnie do niej, bez długiego zachodu prosić o pannę i ożenić. Zaufanie jego tak szło daleko, iż już piękny pierścień do zaręczyn wzięliśmy z sobą. Dał nam książę dobrą kolaskę i sześć koni. Spadamy jak gdyby z obłoków. Nie zastajemy samej pani Bogatkowej, lecz tylko dwie dorosłe jej córki, niezbyt ładne, ale przystojne i dobrze wychowane panny. Starsza, dla której mnie Molski przeznaczył, lubo ospowata, wdzięczna i miła. Dom i ogród porządny, wszystko oznaczało zamożność. Łatwo się powzięła znajomość, a za nią wraz większe upodobanie nawzajem. Panny grały na klawikorcie, ja także dosyć dobrze, na muzy-

ce więc, różnych gierach, przechadzkach po ogrodzie schodził czas jak najprzyjemniej. Molski nie mówił, jak o przyszłym szczęściu moim w małżeństwie; przepisywał, jak miałem mieszkać, żyć, wielu sług trzymać, wiele nawet mieć dzieci. Dotąd wszystko wybornie; gdy dnia trzeciego przybywa matka, pani Bogatkowa, wita uprzejmie krewnego swego Molskiego, mnie z grzecznością i zadziwieniem razem. Wkrótce zaczęły się konferencje i szepty między panią domu, Molskim i dawnym jakimś przyjacielem domu; uważałem ja to, że panna smutna. „Coś niedobrze idzie” – rzekłem po cichu do Molskiego. „*I e un piccolo imbroglio* – rzekł mi po włosku, nucąc jak zwykle pod nosem – nic to nie szkodzi.” Zabawy nasze posepność jakąś okazywały; dano na koniec wieczerzę. Przebóg! jakież we mnie, w Molskim i pannie pomieszanie, gdy między innymi potrawami pokazała się gęś szara; Molski, ja i panna, znając, jaki w tej gęsi zawierał się wyrok, smutne między sobą zamieniliśmy spojrzenia. Mimo silnych nalegań, byśmy dłużej bawili, nazajutrz wcześniej bardzo zamiast z żoną z grochowym (jak mówią) wieńcem wyjechaliśmy. W drodze Molski wytłumaczył mi tajemnicę całą. Nie zastaliśmy pani Bogatkowej, gdyż podług zwyczaju owego czasu, nic nie powiedziawszy córce, wyjechała była o mil kilkanaście do przyjaciela i synowi jego, majątniejszemu nierównie ode mnie, przyrzekła swą córkę jak najuroczyściej; żałowała, że Molski o zamysłach swoich nie uprzedził jej dawniej. I ja żałowałem, że mnie tak porywczo woził po wieniec grochowy; lecz że zakochanie moje zaledwie wschodzić zaczęło, że Molski, acz letko, z najlepszego uczynił to serca, nie miałem do niego najmniejszego żalu i wkrótcem się z zawodu tego pocieszył, miłe atoli pannie tej zachowując wspomnienie; odtąd nie widzieliśmy się już więcej: dowiedziałem się później, iż oparła się ona wyborowi matki i nie wiem, za kogo poszła.

Towarzyszyli nam w tej podolskiej podróży mali synowie książęcia, książe Adam i Konstanty, z ochmistrem, pułkownikiem Ciesielskim, i licznymi nauczycielami swymi. Starszy, dziś tak znakomity obywatelstwem swoim, miał lat trzynaście, młodszy ledwie dziewięć. Duch wojskowości posiadał obydwóch; uczył się starszy fortyfikacyj; nie mając co robić w Międzybożu, przyszło im na myśl usypać fortecę, podzielić młodzież będącą z księciem na dwie części, jedna miała się zamknąć w tej twierdzy, druga dobywać jej. Wybrano mnie, jako uczącego się u kadetów, za jenerała artylerii i usypanie szańców powierzono. Usypałem więc z daną mi pańszczyzną strzałę (*um Flecke*) z małym przekopem; wszystko to było godne dzieła liliputezyków. Opatrzono twierdzę w żywność, która się składała z sucharków, ciast, tortów, karmelków, melonów i innych fruktów. Mały książe Konstanty i ja mieliśmy bronić fortecy, książe Adam i Molski mieli do niej szturmować: postanowiono innej broni nie używać, jak piasku i gałek ziemi. Gdyśmy się już dobrze zamknęli, okazało się z daleka wojsko nieprzyjacielskie, Molski – przybrawszy naówczas imię hiszpańskie Don Inigo Henrikes di Molo – siedział na pysznym koniu, coś na kształt złotego runa mający na piersiach; zaczęto rzucać gały ziemi, dalej garście piasku tak gęsto z obu stron, iżśmy się widzieć nie mogli; okop był łatwy do przejścia, równie łatwy szaniec do wdrapania się, piasek nie był dostarczającą bronią do odparcia wdzierających się; do ostatniej chwili nie chcieliśmy się poddać, szturmem zatem wzięta twierdza; zwycięzcy niewiele łupów znaleźli, wszystkie cukierki i torty w czasie szturmego pojadł komendant nasz, mały książe Konstanty, z młodymi towarzyszami swymi.

We 34 lata potem powracając z Odessy zatrzymałem się umyślnie w Międzybożu, by odwiedzić miejsce młodocianych igrzysk naszych. Niestety! wsiąkła w ziemię twierdza moja, nie tak jednak, by jej kształtu nie można było jeszcze rozeznąć. Odwiedziłem dawną moją kwaterę u plebana, popa, co miał tak ładną żonę, obojga już przykrywała ziemia, zwiedziłem ich pasiekę, wszystko to rzewnym wzruszeniem przeniosło mnie w dni mojej młodości. Znalazłem innego popa, przymuszonego przez Katarzynę II przejść na obrządek syzmatycki; wszędy smutne odmiany, najboleśnieszka ze wszystkich, że już to piękne Podole, ten Wołyń, ta Ukraina już były nie nasze, już były w srogich napastników ręku.

Gdyśmy się znajdowali w Kamieńcu Podolskim, odebrał książę wiadomość, iż cesarz Józef objeżdżając Galicję znajdował się w bliskości, nad Prutem. Nie chciał więc opuścić zdarzenia tego, by mu uszanowania swego nie złożyć. Pospieszyliśmy więc ku Śniatyniowi, gdzie się książę spotkał z cesarzem i jadł z nim obiad. Nie wiem, kiedy cesarz poznał się z piękną panią Wittową, musieli atoli być sobie zaznajomieni, gdyż wśród stołu przybiegł umyślny, przywożący od pani tej cesarzowi koszyk pięknych wiśni lutowych. Cesarz 100 dukatów kazał dać posłańcowi, a jedząc wiśnie i udzielając ich księciu, dał także i będącemu z sobą generałowi Kińskiemu: „Wszak i wy – rzekł mu – jesteście czcicielem tej pięknej bogini, macie więc prawo do darów jej.”

Ku wieczorowi wyjechał cesarz z księżciem na spacer, nie biorąc z sobą nikogo, nawet masztalera; poufała była między nimi, jak mi książę powiadał, rozmowa. Cesarz usprawiedliwiał się z zaboru Polski, całą winę na Moskwę i Prusy składając; dodał, iż matka jego, cesarzowa Maria Teresa, z skrupułów sumienia nigdy by była na czyn tak niesprawiedliwy nie zezwoliła gdyby był jej spowiednik jezuita nie dał rozgrzeszenia. Była to spowiedź lisa, który wraz z wilkami sprzątał drób z grzędy a winę składał na wilków.

Tak jadąc i rozmawiając przybyli do wioski ogrodzonej i zawartej wrotami. Ludzie byli w polu, nie było komu otworzyć; zsiadł książę z konia i chciał tę przysługę uczynić, ale w życiu swoim wrót nie otwierał, że nadto wzrok miał bardzo krótki, tak długo nadaremnie się silił, iż cesarz zsiadł i sam te wrota otworzył. Rozstali się na koniec z sobą; cesarz otrzymał od księcia przyrzeczenie, że następującą zimą w Widniu przepędzi.

Powróciliśmy w wrześniu do Puław, gdzie już książę z całym swym domem letnią rezydencję założył. Jak same Puławy, tak i sąsiedztwo wielce były przyjemnymi. O małe dwie mile mieszkał w Kurowie marszałek Potocki, *ad unguem factus homo*, tuż w Olesinie państwo Stanisławostwo Potoccy, którzy mnie przez lat tyle zaszczycali przyjaźnią swoją, w Calejowie pani Sewerynowa Potocka, z dalszych okolic i z Warszawy odwiedziny ustawne; czas w słodkim pędzony był towarzystwie. Księżna zajęła się przemianami i ozdobami ogrodu i domu. Zbliżał się dzień 13 października, stuletnia epoka uwolnienia Widnia przez króla Jana; dzień ten po całym kraju z największą obchodzony był uroczystością. Nie dały się w tych uroczystościach wyprzedzić prawdziwym duchem obywatelstwa tchnące Puławy. Napisałem pieśń na obchód ten, znajdującą się pono w pismach moich, księżna skomponowała do niej muzykę. Śpiewała ją młodzież nasza chórem. Była uczta, tańce, iluminacje do dnia stosowne.

Rozdział dziewiąty

Pobyty w Widniu, podróż do Włoch etc., etc.

Nie jest tu zamiarem moim opisywać obszernie przygody i postrzeżenia moje tak w Widniu, jak w innych obcych krajach, które wtenczas zwiedziłem. Znajdowały się zapisywania moje w osobnym po temu dzienniku: zaginął ten dziennik u stryjecznego brata mego, Ignacego Niemcewicza, gdy piękna majątność jego Neple w r. 1812 przez Moskali zrabowaną była; nie mogę ufać pamięci mojej, a choćby i ta usłużyła mi wiernie, niedokładnie powtarzałbym to, co inni przede mną i po mnie zwiedzający te kraje tak opisali wybornie.

Z niewielkim poczem przyjechał książe do Widnia: stanęliśmy na Kohimarku. Wiedeń, stolica tylu królestw niegdyś niepodległych, dziś, mimo różnicy mowy, charakterów, zwyczajów, jednym berłem rządzonych, mieścił w sobie najzamożniejsze królestw tych rody, uwieczniające w sobie przez primogeniturę, czyli majoraty, przodków swych bogactwa. Nigdy się tam nie zmniejszają ni rozległe włości, ni drogie kamienie, ni kosztowne sprzęty, ni rzadkie pięknych kunsztów zbiory: acz z widoczną krzywdą prawa przyrodzonego, familie te reprezentują starożytną potężnej monarchii zamożność i czynią – iż tak rzekę – honory państwa. Okazałe uczty przez nich i przez posłów zagranicznych dawane, bale maskowe, czyli reduty, do 3000 masek liczące, usunięta z zejściem Marii Teresy klasztorna posepność, wszystko to czyniło Wiedeń świetnym i wesołym. Prócz Nowego Roku, gdzie cesarz w prawdziwie monarchicznej okazał się świetności, pierwszy Józef II, nierozważnie zapewne, zniósł wszelkie etykiety, pobratał się aż nadto nie tylko z pierwszymi towarzystwami, lecz nawet i gminem. Siostra jego Maria Antonina, królowa francuska, doznała aż nadto fatalnych skutków tego ogołocenia się z majestatycznej powagi. Józef II lubił swobodność partykularnego z samowładztwem łączyć; wydawał rano najsamowolniejsze wyroki, po obiedzie mieszał się z ludem na publicznych przechadzkach, wieczorem uczęszczał na posiedzenia do hrabiniów Pergen i Thun, a choć się poufale mieszał w rozmowy, chciał by zapomniano, że cesarz przytomny, wyglądający atoli z kieszeni kawałek żelaznego berła rzucał nie jakiś przymus i zimno. Owdowiałość cesarza przyczyniała się do samotności i ogołocenia dworu. Józef II z widoków politycznych, chcąc się ściślej z Katarzyną II spojzić, wziął na dwór swój księżniczkę Wurtemberską Studgurd, siostrę żony Pawła, naówczas wielkiego kniazia moskiewskiego, i za żonę dla synowca swego, dzisiejszego Franciszka II, sposobił. Nie bywało żadnych festynów, żadnych uroczystości u dworu, w wiejskich mieszkaniach dawał cesarz poufale obiady, wyjeżdżał na polowanie jelenia *par force*, zresztą znaczną część czasu swego na objeżdżaniu prowincji swych trawiał.

Ciało dyplomatyczne składało się naówczas z margrabiego de Noailles, posła francuskiego, mającego przy sobie za sekretarza legacji pana Barthelemy, który później był jednym z Dyrektorów Rzeczypospolitej Francuskiej, z margrabiego d'Aguillar, posła hiszpańskiego. Ten w podeszłym już wieku do hiszpańskiej powagi łączył dziecinną niewinność i prostotę. Właśnie w tym czasie pokazały się balony Montgolfier i wszystkich zajmowały ciekawość. Pamiętam, iż raz na wielkim u posła tego balu, gdy przyszła godzina wieczerzy, obsłupieliśmy wszyscy widząc starego margrabię wchodzącego do tej sali i na małym sznureczku trzymającego unoszący się do góry balonik, na którym w przezroczystości napisane były słowa: *on a servi*. Margrabia najszcześliwszym był z tego konceptu.

W tymże samym gmachu na Minoritenplatz, na drugim piętrze, stał le chevalier sir Robert Keith, poseł angielski. Był to dawny, jeszcze za Jerzego II, wojskowy, zawsze w mundurze,

rano siwe swe włosy miał na papiloty zwinione. Łaskaw był na mnie i opowiadał mi swoje wojenne wyprawy. I wtenczas już Anglicy hurmem cisnęli się do Widnia, sir Robert Keith po 20 ich razem prezentował u dworu. Wtenczas to zabrałem znajomość, a później ścisłą przyjaźń z rezydentem szwedzkim panem Wawrzyńcem d'Engestróm, później posłem w Polszcze, Berlinie, Londynie, na koniec hrabią i kanclerzem szwedzkim.

Posłem portugalskim był pan Einhausen, neapolitańskim margrabia St. Gallu, sardyńskim Lomena Riva [?] weneckim Delfin, moskiewskim Galliczyn. Uczęszczałem do domów księcia Kaunitz, ministra spraw zagranicznych, Esterhazy, Lichtensztejnów, Hatzfeldów, pani Thun d'Altheim, etc., etc.

Znane są wszystkim szczególne dziwactwa księcia Kaunitz; wiekiem, usługami, wziętością swoją u zmarłej Marii Teresy, nade wszystko niczym nie zrażoną dumą, dawał on sobie nie ministra europejskiego, lecz wschodniego wezyra powagę. Różnym był sposób życia jego od wszystkich. Leżał w łóżku do godziny pierwszej z południa i w łóżku wszystkie sprawy ministerstwa swego odbywał. Jechał potem na reytschul, gdzie już nie jak stary poważny minister, lecz jak młody kozak wywijał i dokazywał na koniu. Jechał potem do pawilonu swego na przedmieściu i na oglądaniu obrazów swoich kilka godzin trawił; powracał i znów niektóre interesa odbywał. Proszeni goście (najwięcej cudzoziemcy) na obiad zjeżdżali się na godzinę 6 wieczorną, lecz czekali do 7 i dłużej. Otwierały się na koniec drzwi i pokazywała się mała figurka w niskiej, oblizanej, przyklepionej do głowy peruczce: przykrywał ją najprzód podwłóśnik z ceraty, pod nim płaszczyk, pod płaszczykiem surdut aksamitny czarny; wszystko zdejmowali, jedno po drugim dworscy i pochlebnicy, aż poczwarka ta z tyłu skór ogołocona okazała się w wiszniowej cynamonowej sukni. *Die Witwe Clary*, mała Niemeczka, czyniła honory domu. Najwięcej zapraszani byli posłowie zagraniczni i cudzoziemscy, z żonami i córkami; domownikami byli generał Burghauzen i sławny malarz batalii Casanova; rzadko kiedy mieszkańcy monarchii dostępowali szczęścia tego, traktowani zawsze z największą dumą i obojętnością. Książę Kaunitz, kiwnąwszy głową przytomnym, sam pierwszy szedł do stołu: nikt się tam nie odzywał, chyba pytany. Czasem Burghauzen i Casanova pociesznymi historyjkami starali się rozweselić księcia. Po wetach, przed samym wstaniem od stołu, stawiano przed nim szkatułę zawierającą całą jego gotownię; z ckliwością wszystkich przytomnych zaczynał książę obrządki długo trwające płukania gęby i czyszczenia zębów. Jedna tylko przejeżdżająca przez Wideń księżna Czartoryska, generałowa ziem podolskich, dała mu potrzebną nieprzyzwoitości tej naukę; skoro bowiem książę Kaunitz zaczął się do płukań swych zabierać, natychmiast księżna, nie czekając innych, wstała i odeszła.

Po obiedzie udawano się do sali bilardowej: tam już krajowcy i cudzoziemcy czekali z pokłonami swymi; książę czasem tylko z posłami wielkimi kilka słów pomówił, obracając całą uwagę na grających w bilar. W dni świąteczne napełniony był pokój, przyjętym bowiem było nie szanować, lecz czcić Kaunitza. Przecież zawołany ten dyplomata fatalny dla monarchii swojej błąd popełnił pozwalając na powiększenie Moskwy i przez ślepe chciwość podziału Polski przypuszczając ją do granic Austrii; właśnie wtenczas imperatorowa Katarzyna II przez kręte podejścia i przekupstwo w Dywanie opanowała peninsulę Krymu; z cierpkimi przekazami mówił Józef II o tym zajęciu; poeta dworski abate Casti zemścił się za nie wybornym, dowcipnym, *ad vivum* malującym obrazem Katarzyny i państw jej [w] poemacie pod tytułem *Il Tartaro* Kto chce poznać dwór i obyczaje Katarzyny, niech poema to czyta. Osłabiona Porta, ustąpiwszy już Krymu, by zaspokoić i Austrię, ustąpiła jej Bukowiny.

W ciągu zimy wyjechał cesarz dla oglądania prowincji swoich we Włoszech. I mnie mężczyłą nieustająca chęć zwiedzenia obcych krajów, lecz niedostatek pieniędzy wielką tej żądzy stawiał przeszkodę. Ojciec mój oddawszy mnie do księcia już jemu cały los mój porucił; zapas, który mi przysłał, niedaleko mógł mnie zaprowadzić. Czujne, budzone zawsze do dobroci serce księcia naszego zgadło zmartwienie moje i co prędzej postanowiło je oddalić. Ranku jednego, gdym się tego najmniej spodziewałem, przyszedł do mnie poufały księcia, Skowroński,

i oświadczył, iż księżę życzy, abym zwiedził obce kraje, i prosi, abym tymczasem przyjął od niego weksel do bankierów włoskich na dukatów 300. Pospieszyłem wylać na łono męża tego żywe uczucia radości i wdzięczności mojej.

Właśnie wtenczas wybierający się do Włoch pan Stanisław Sołtyk, synowiec nieszczęsnego biskupa krakowskiego, proponował mi, żebym w towarzystwie jego podróż tę odprawił. Niewiele zabrało czasu wybieranie się moje; mały kuferek całą mą zabrał ruchomość. Czując, iż z łaski dobroczyńcy mego odprawiałem tę podróż, nie chcąc mu być ciężarem, jak najskromniej i najoszczędniej postanowiłem ją odbyć. Wyjechaliśmy 16 marca 1784 obracając drogę na Styrię i Karyntię. Miło mi było słyszeć w prowincjach tych lud prosty mówiący słowiańszczyzną pobratnią ojczystej mowy mojej. Tak jest, mimo wszystkich najazdów, podbić, przywłaszczeń, w tobie tylko, ludzie rolniczy, zachowuje się pamięć pierwotnych pokoleń i rodów ziemi mieszkańców.

Nie zapomnę nigdy tego jasnego poranku, gdym się z ciężkością wdrapał na szczyt wysokiej góry, panującej nad Triestem: lubo gdzie indziej burzliwy marzec okrywa ziemię dżdżystymi flagami, tu już słodycz auzońskich niebios czuć się dawała. Nie zasunięty chmurami czysty lazuruowy firmament, ciepłe, woniami tchnące powietrze, bławaty polnych kwiatów, wszystko nieznanym zachwyceniem napełniło mą duszę. Karmiłem się mile uczuciami tymi, gdy raptem srebrna, nie zmierzona okiem przestrzeń morską uderzyła me oczy. Żywe słońca promienie złocistym blaskiem odbijały się o nią, las masztów okrętowych napełniał zatokę, rybitwy rzutem piorunu, z przeraźliwym krzykiem, raz wzbijały się do góry, znów w dół ciskając i krawędzie skrzydeł swoich pławiąc w wodach zmarszczonych, chybiały i unosiły swe łupy; w oddaleniu bielily się nadęte wiatrem żagle przychodzących lub odchodzących statków, zatokę portu napełniał czarny las masztów wybiegłych. Pierwszy raz naówczas widziałem morze, lubo w naturze swej ciasne w obrębach, przecież nieścignione okiem, równie jak niezmierny ocean, uroczystym przejęło mnie zadumieniem.

Triest, po łacinie Tergestum, późniejszym jest miastem we Włoszech; przed stem lat nie liczyło, jak 6000 mieszkańców, po nadaniu portowi wolności zalicza ich przeszło 30 000; port ten nie jest dla okrętów zupełnie bezpiecznym, utwierdzony zamek broni go od napaści. Miasto dzieli się na stare i nowe, pierwsze zacieśnione, piękniejsze drugie. Ma dwa lazarety i dość piękny teatr; ludność składa się z Włochów, Niemców, znaczniejsi atoli mieszkańcy mówią tylko po włosku. Co do nauk, literatury, pięknych kunsztów, niewiele tam znajdziesz pokarmu. Wszystkich umysły handlowymi zajęte sprawami. W bliskości są żupy soli morskiej. Przychodzi tam i odchodzi blisko 6000 okrętów na rok. Austria, zabrawszy Wenecję, handel tej królowej Adriatyckiego Morza do Triestu dziś przenieść usiłuje, jak gdyby nie dosyć wydrzeć niepodległość, trzeba jeszcze i zamożność zgładzić.

Zastaliśmy w Trieście wielką operę włoską. Grano tu *Didone abbandonata* Metastazjusza z muzyką Anfossi, kastrat młody Crescentini, primadonna Morychelli. Nie ma w Trieście szlachty zamożnej, bogaci kupcy pierwsze społeczeństwo składają. Znaleźliśmy tam tylko przemieszkującego magnata węgierskiego, generała Tokety; żył on z dość przystojną, tłustą Niemką, która i słowa nie umiając po polsku przybierała nazwisko pani Łubieńskiej. Rządziła ona podeszłym już magnatem jak dzieckiem; niby jak współziomka, ściśle zaprzyjaźniała się z nami. Ostrygi, nie znane mi dotąd ryby morskie, wybornymi były przysmakami.

Mało co jest do widzenia w Trieście, gotowałem się więc, czytając La Landa, do dalszej podróży mej włoskiej. Przed udaniem się do Wenecji umyśliliśmy z towarzyszem podróży mej, panem Sołtykiem, zwiedzić pobratymczą krainę Illirię, mianowicie Spalato, sławne pozostałymi gmachami Dioklecjana cesarza. W tym celu najęliśmy mały statek zwany *speronada*. Płynęliśmy ciągiem prowincji Istrii, naówczas do Wenetów należącej. Migały się przed oczyma naszymi małe nadmorskie miasteczka; Capo d'Istria, Pirano, Cittanova, Umago, Parenzo, Rovigno, starożytne swe mury i baszty odbijając o morza kryształ; tak blisko płynęliśmy miasteczek tych, iż nie tylko domy i ludzi na brzegu stojących widzieć, lecz i rozma-

wiać z nimi mogliśmy. Opodal po prawej ręce widzieliśmy dużą galerę Rzeczypospolitej Weneckiej, zwiedzającą podległe jej nadbrzeża i wyspy, odwożącą do niektórych podestów, czyli gubernatorów.

Przy letkim zachodnim wietrze zapadło słońce i my, jak w dawnych wiekach żeglarze, mając nad sobą gwiazdami iskrzące się niebo, pokładłszy się w nawie i przykrywszy płaszczami, płynęliśmy spokojnie. Pograżonych w śnie słodkim, obudziło letkie nawy trącenie. Jakież zadziwienie! gdy snem rozmarzone otworzywszy oczy, postrzegłem przy wschodzącym słońcu port, mury miasta i usłyszałem stojących na brzegu ludzi, rozmawiających po polsku. Niestety, gdzież się słowiańska nie rozciągnęła mowa, czemuż z zachowaniem jej utraciliśmy i ziemię, i panowanie.

Miasto, do którego przybiliśmy, było Pola w Istrii, Słowian niegdyś osada: dziś podupadłe jak inne Istrii miasta, godne tylko odwiedzenia dobrze dotąd zachowanej świątyni Augusta. Jest to niewielki, lecz jeden z najpiękniejszych, najlepiej zachowanych starożytności zabytków. Zastaliśmy tam architekta francuskiego nazwiskiem Belizair, który z jak największą dokładnością brał rozmiary najmniejszej części gładkiej tej budowy. Te nadobne wspaniałości rzymskiej ruiny smutne wokoło otaczało ubóstwo, jedno tylko duchowieństwo lepszym odznaczało się mieniem; smutny widok ubóstwa i zaniedbania rozweselała rozmowa z mieszkańcami w lubym wspólnym nam języku. Powróciliśmy szczęśliwie. Pyszny byłem z tej pierwszej żeglugi mej morskiej, brzegiem lądów w małej łodzi odbytej, nie przewidując wówczas, na jakie burze, na jak liczne, niebezpieczne, długie żeglugi los mnie zachował.

Wkrótce za powrotem naszym do Triestu wybraliśmy się do Wenecji w towarzystwie jenerała Fekete i ulubionego jego. Dość był obszerny okręt nasz pod austriacką flagą. Świeżym pędzeni wiatrem, z daleka tylko postrzegliśmy uciekające przed oczyma naszymi miasto Aquileia, w piątym wieku okropnie przez Attyłę zburzone. Prości marynarze z przestrachem wspominali nam o tym spustoszeniu: pamięć burzycielów świata żywiej jak pamięć dobroczyńców jego wraża się w ludzkie umysły i potomności podaje. Nic się równać nie może pierwszemu zadziwieniu, jakie w zbliżającym się do Wenecji sprawuje pierwsze miasta tego wejrzenie. Ten tłum złocistych wież, świątyń, gmachów wspaniałych wynoszący się raptownie z łona bezdennego morza. Zamiast ulic brukowanych szklane wód zwierciadła, mnóstwo snujących się po nich łodzi i gondol, czerwieniące się flagi na masztach tysięcznych, ruch handlowego miasta, wesołe pieśni przewoźników, srebrną sztabą gondol porzających morza, roje mieszkańców tam, gdzie pierwszego żywiołu człowieka, gdzie ziemi i piędzi nie widać, wszystko to w głębokim pogrąża dumanii.

Jeszcześmy się nie zbliżyli do miasta, gdy celnicy na płytkich statkach swoich wysunęli się ku nam, lecz dość było jenerałowi Fekete włożyć austriacki galonowany kapelusz, by trzodę tę odegnąć. „Biada – pomyślałem sobie – krajowi takiemu, niedługa niepodległość jego, gdy jeden mieszkaniec przeważnego sąsiedzkiego państwa taki postrach sprawuje.”

W piątym wieku, w czasie wylewu barbarzyńskich ludów na spróchniałe państwo rzymskie, okólnych brzegów mieszkańcy chroniąc się przed wytopiającym mieczem Attyli osiedli liczne wysepki adriatyckiego zatoku. Bogaci mieszkańcy Paduy byli pierwsi miasta tego założycielami. Każdy lud nadmorski łatwo się wzbija w bogactwa i potęgę. Przez wiele wieków, aż do odkrycia Przylądka Dobrej Nadziei, była Wenecja w nowszych wiekach tym, czym Tyr w starożytnych. Trzymając w ręku swych handel świata całego, zwiedzała wszystkie morza, wszystkie krainy, dawała prawa Carogrodowi, opierała się, walczyła spiknione na siebie mocarstwa. Szerząca się coraz bardziej, nienasycona zdobycz potęga rakuska (pioruny Watykanu nie dozwoliły jej rozprzestrzeniać się we Włoszech), odkrycie – jakem powiedział – drogi do Indii Wschodnich przez Przylądek Dobrej Nadziei, odkrycie Ameryki podzieliły najprzód, stłumiły później źródła potęgi jej i bogactw. Rząd oligarchiczny, podejrzliwy despotyzm w domu, trwożliwość, obojętność w wypadkach zewnętrznych, zniszczona dawna odwaga i śmiałość przywiodły na koniec ostatni upadek i królowę morza, ozdobę Włoch,

przemieniły w podupadłe, barbarzyńskie miasto niemieckie; i ten doża, co nie chciał być cesarzem wschodnim, w sześć wieków później przysiągł na posłuszeństwo rakuskiemu księżęciu.

Widziałem jeszcze Wenecję przed ostatnią jej zagładą; wszystko już w niej jednak bliskim upadkiem groziło. Zostałem dawny rząd, dawne formy, dawne zwyczaje, lecz znikła dawna potęga. Senat, bardziej zajęty, jak nieograniczoną władzę swą zatrzymać niż jak ją zabezpieczyć od coraz bardziej wzrastającej potęgi sąsiadów, dochody swe, siły morskie i ziemskie zaniedbawszy zupełnie, spuścił się na losów wolę. To miasto wodne, zachowane dotąd dawne ubiory senatorów, ich długie togi, ogromne peruki, mężczyźni w szerokich płaszczach chodzący, kobiety czarnym welonem zakryte, często cała ludność w maskach – wszystko to zdawało mi się nowym nieznanym światem. Byłem *al broglio*, gdzie cała zbierała się szlachta dla obierania kandydatów do senatu. Następowały na siebie bałwany peruk pudrowanych, wpośród nich ubiegający się kandydaci o miejsca senatorów, zginający się do ziemi z prośbami o kreski. Senat jednak, Wielka Rada, sam nawet doża pozorną tylko mieli powagę; rząd cały spoczywał w Radzie Dziesięciu. Szlachta cała zalotom, próżnowaniu, rozpuście oddana. Kto [ze] szlachty chciał się uwolnić od częstych, choć mało znaczących, publicznych narad i zgromadzeń, brał ubiór *del' abbate* i przez to już się od wszystkich powinności publicznych oddalał. Takim był Dżan Carlo Grimani, grzeczny, przystojny, dowcipny, mając lat około 40. Na drugim piętrze placu Sw. Marka są małe mieszkania casino zwane; te najmuje szlachta, w nich z kochankami swymi trawi wieczory, poufałych tam przypuszczając przyjaciół. Dżan Carlo z piękną miłośnicą swoją trzymał niepoślednią kazino. Uczęszczaliśmy tam z panem Sołtykiem, równie jak i po innych domach przedniejszych panów weneckich; musiałem sobie, stosując się do zwyczajów, sprawić *tabarro*, czyli płaszcz wenecki. Wszędzie, gdzie się tylko pokazał, częstowano kawą czarną; odmówić ją byłoby największą niegrzecznością, tak dalece, iż dnia jednego 17 kubczyków kawy moka spełnić musiałem.

Bogata jest Wenecja w piękne nader malowania malarzów własnej szkoły swej weneckiej. Titian, Tyntoreto, Paul Veronese, Schiavone ozdobili dzieły swymi sale senatu, Pańskie świątynie i przedniejszych familii gmachy. Arsenał, mennica, fabryka szkła, zwierściadeł godne są widzenia, i były zwiedzonymi przeze mnie.

Z zbliżającą się wielką uroczystością w Wenecji Wniebowstąpienia Pańskiego, gdzie doża morze zaślubia, liczba cudzoziemców coraz się bardziej zwiększyła. Uświetniło ją trzech monarchów na dzień tych przybyłych. Byli oni: Gustaw III, król szwedzki, arcyksiążę Ferdynand, wielkorządca mediolański, brat cesarza Józefa, i książę parmeński. Od wieków Rzeczpospolita Wenecka wielką w tym zakładała chlubę, by przejeżdżających przez miasto jej monarchów z największą przyjmować okazałością. I dziś na cześć kilkunastu z najpierwszej szlachty wyprawiwały zawody na morzu, zwane regaty. Są to długie, spiczaste statki, całe ozdobne rzeźbą, pozłotą wysłane i pokryte bogatymi wezłowiami i makatami; czterdziestu majtków, ubranych w jedwabie, złoto i srebro, pogania je wiosłami. Na rufie statku spoczywa na miękkich wezłowach pan regaty z przedniejszymi zaproszonymi gośćmi. Na takich to regatach siedzieli monarchowie. Majtkowie każdej innymi odznaczali się barwami. Z zazdrością ubiegano się w przepychu i szybkości robienia wiosłami. Wśród spienionego morza snuły się lotem strzał te świetne, pyszne statki. Podobne do tego musiały być rzymskie naumachie.

Prócz tych publicznych widowisk dawał jeden z Pisanich wielki bal w pałacu i ogrodzie swym, znajdujących się na jednej z wysp za miastem. Nie widziałem nigdy piękniejszego festynu. Wieczór był pogodny, blask księżycy drżącym światłem swoim odbijał się o czyste morza równiny. Wśród rozkosznych ogrodów wznosił się piękny pałac, bogato przybrany, oświecony rześisto. Otwarte okna wpuszczały powietrze tchnące kwiatem róż, jaśminów i pomarańcz, wszystkie drzewa nosiły lampy w kształt owoców, farb rozmaitych. Co tylko było piękności w Wenecji, tam. napotkałeś. Omamionym tyłu czarami noc najprzyjemniej zesła.

Teatra nie zaczynały się, jak o dziesiątej w wieczór, kończyły po drugiej z północy. Byłem przedstawiony trzem przybyłym monarchom. Najbardziej mnie uderzył Gustaw III w nowo-

wymyślonym przez siebie stroju szwedzkim, z mnóstwem orderów i diamentów. Otoczony był liczną piękną młodzieżą, familiarną z królem aż do zbytku.

Dnia jednego wśród tych uciech, gdy cały plac Św. Marka goreje w ogniach radości, gdy wszystko tchnie wesołością, rozchodzi się wiadomość, że cavaliere Pisani, jeden z najznacniejszych i najwziętszych panów weneckich, właśnie wielką ucztę mający u siebie, przytrzymanym i na wygnanie wysłanym został. Trudno było dowiedzieć się przyczyny tej surowości, najpewniejsza, iż to był rodzaj ostracyzmu, że Pisani wygnanym został za to, że zbyt był kochanym i wziętym. Zasepił mnie ten czyn gwałtowności, równie jak i więzienia dei Piombi i otwarte paszczelwów, pochłaniające tajne doniesienia. Biada mieszkańcom, biada rządowi, który na nich bezpieczeństwo swe zakłada.

Jakiegokolwiek bądź były wady rządu tego, przecież lud był pod nim sto razy szczęśliwszy, niż jest dziś pod przywłaścicielem swoim, nadto w nocy czasu gubiąca się starożytność niepodległej tej Rzeczypospolitej, tyle. wieków chwały i powodzenia, zdejmując uszanowaniem, zastanowić powinno było targającą się chciwość: lecz cóż ją zastanowi, od fatalnego podziału Polski cóż jest świętego dla królów! Z jakim żalem czuły na gwałty i niesprawiedliwości wędrownik ogląda tę panią morza pod rządem przywłaściciela, pięknie w następujących słowach lord Byron wyraził:

„Trzynaście wieków bogactwa i sławy obróciły się dzisiaj we łzy i popioły. Każdy monument, na który cudzoziemiec patrzy, świątynie, pałace, pyszne kolumny, posągi, pozdrawiane są z żalobą. Lew nawet, to pyszne Wenecji godło, ujarzmionym zdaje się. Przerażliwe bicie barbarzyńskiego bębna rozkazy tyrana powtarza codziennie, rozchodzi się po słodkich wałach pod blaskiem księżycy brzmiających niegdyś słodkimi szczęśliwego ludu pieniemi.”

Równy los dzieląc z Weneczykami, zniemczonego dziś miasta tego bez najcięższej nie mógłbym widzieć załości.

Właśnie przy końcu tych pysznych widowisk i festynów odebrał towarzysz mej podróży, pan Sołtyk, [wiadomość], iż stryj jego, ksiądz biskup krakowski, chlubne, lecz nieszczęśliwe życie swe zakończył i że przytomność jego była w kraju potrzebną: z żalem więc rozdzieliliśmy się z sobą. Pan Sołtyk do Krakowa, ja na Padwę puściłem się w dalszą mą podróż.

Zachwycający widok Brenty, gdzie pierwsza szlachta wenecka-wiejskie swe miała mieszkanie, dziś, jak mówią, pod rządem austriackim już opanowana przez Żydów; pogodne niebo, słodkie powietrze, lud wszędy wesoły, śpiewający, nie mogły całkiem rozerwać posepności mojej. Pierwszy raz widziałem się samym, kraj, mieszkańcy, niebo, wszystko było mi obce. Nie będę więc opisywał gmachów, starożytności pięknych wzorów sztuk we Włoszech: tytu opisało je dokładnie, a mnie krótkość dni moich i długie, ważniejsze przeszłości wypadki gdzie indziej spieszyć się każą. Obejrzałem Padwę, Weronę, Wicencję, żyzne, dobrze uprawne krainy; widziałem nędzne żołnierstwo Rzeczypospolitej, do niegdyś starościńskich naszych pachółków podobne. Wielką było wadą rządu weneckiego, iż szlachta i obywatele *di terra ferma* nie byli przypuszczeni do uczestnictwa rządu, jakże doń przywiązani być mogli. Lud atoli, pod ciepłym niebem niewiele potrzebujący, szczęśliwym zdawał się. W Bononii zabawiłem tydzień, pilnie wszystkie miasta tego zwiedzając ciekawości. W muzeum uderzył mnie łoś wypchany z wiszącą na karku kartką świadczącą, że waleczny nasz król Stefan Batory rzadkie to zwierzę papieżowi Sykstusowi V przysłał. Niemniej skamieniała ropucha, z której grzbietu młode, skamieniałe na samym wyjściu ropuszki.

Z Bononii wziąłem *veturina* do Florencji, ugodziwszy się z nim za drogę i stołowanie. Dla prywatnego jest to sposób wielce wygodny podróżowania. Przebywałem groźne Apeniny, nieraz pod stopy moimi patrząc na przelatujące chmury. Zdziwił mnie umiarkowany sposób życia góralów, *polenta*, czyli buchta z mąki słodkich kasztanów, na parze zgotowana i miasto noża słomą przecinana była ich całym pokarmem. Wieczna na tych górach mgła i zimno; ogromne kasztanowe drzewa okrywają ich boki. Lecz spuszczającego się z nich różny wcale

widok zachwyca. Żyzne, wesołe, pszenicą, winem, morwowymi drzewami okryte, gęste, osiadłe wioski i grody szczęśliwej Toskanii.

Uderzyła mię Florencja- pięknnością swoją; jest to jedno z miast włoskich mnóstwem pięknych posągów pod otwartym niebem przypominające Ateny i inne miasta dawnej Grecji. Kiedy patrzemy na te posągi i gmachy, na pałac Pitti, na tę sławną galerię tyle rzadkich bogactw i wzorów kunsztów zawierającą, zachwycające ogarnia nas podziwienie. I któż to wszystko nabył i zebrał; nie monarchowie, potentaci – zamożni obywatele, pierwsi Rzeczypospolitej Florenckiej urzędnicy, ten Koźma, ojciec ojczyzny, Wawrzyniec, Julian Medyceuszowie; oni to zaprowadzili nauki do Europy, oni te zadziwiające twory zebrali. Kiedy rzucimy oczy na dzieje ludów, nie w Niniwie, Babilonie, Moskwie, nie pod ciężącym berłem tyranii – w Atenach, Rzymie, Florencji, wśród słodkiej, wszystko ożywiającej wolności, zapalała się pochodnia geniuszu, pędzel i dłuto zażywiał płótno i twarde marmury. Jedna mała wyspa na Archipelagu więcej pięknych tworów wydała, więcej wsławiła, uszlachetniła godność człowieka niż cała potęga Kserksesów i carów moskiewskich, połową kuli ziemskiej rządzących.

Panował naówczas w Toskanii wielki książę Leopold, brat Józefa II, pan mądry i o dobro ludu swego dbały. Jemu Toskania winną jest wyborny swój kodeks. Widziałem go idącego za procesją Bożego Ciała z żoną i całą rodziną; nie widziałem żółtszej i chudszej familii. Dzisiejszy cesarz Franciszek mógł mieć naówczas lat 12. Ochmistrem jego był hrabia Colloredo, później sławny Manfredini, ten wychowawcowi swemu, dzisiejszemu cesarzowi, tę mądrą dawał naukę: „*Monseigneur, quand vous regnerez, ne gouvernez pas trop*” Nie bardzo wychowaniec z nauki tej korzystał. Ministrem angielskim w Florencji był le chevalier Mann, do którego posel w Widniu, le chevalier Keith, dał mi był list zaletny; od niego i od familii Al-dobrandinich wiele odbierałem grzeczności.

Zabawiwszy w Florencji niedziel dwie, na Pizę, Liworno, Sienę puściłem się do Rzymu. Zachwycała mnie żyzność i uprawa niw toskańskich, jedno pole wydawało pszenicę i drzewa morwowe, i winne krzaki, pnące się na nie w bujnych splotach z zwieszonymi gronami; jedno więc pole wydawało wino, zboże i jedwab, wszystko, co było potrzebnym do pokarmu, napoju i odzienia człowieka. Przydajmyż do tego oliwę, owoce etc., etc. Jakoż lud rolniczy toskański pracowitym jest i zamożnym. Inaczej w państwach papieskich: lenistwo, ospałość, za nimi ubóstwo kraju tego obok obfitości i bogactwa Toskanii uderza widocznie. Czyli to ziemia nie tak wydatna, czyli mnóstwo mnichów i czas na bigoterii strawiony przyczyną są tego.

Im bardziej zbliżałem się do Rzymu, tym żywiej stawały w. umyśle ważne dzieje tych pa-nów świata, ludu, który w początkach rzeczypospolitej okazał, co ma w sobie najświetniejszego bohaterstwa i miłości ojczyzny, smutnie dowiódł za cesarów, do jakiego stopnia człowiek pod berłem tyranów godność swą upodlić może. Przypomniały mi Weie dziesięcioletnie oblężenie i piękne w Liwiuszu mowy, czyli tam przenieść lub nie Rzeczypospolitej Rzymskiej stolicę. Na drodze Appii zdawało mi się widzieć zwycięskich wodzów powracających w tryumfie z podbiciów Azji i Afryki. Ze drżeniem serca wjechałem do Rzymu przez Porta del Popolo. Pograżonego w dawnych wieków wspomnieniach, długo z iluzji wyprowadzić nie mogła przeciwna im zupełnie postać rzeczy dzisiejszych. Kiedym na koniec widział zamiast konsula trzęsącego światem – szanownego tylko, lecz słabego starca, zamiast senatu – kardynałów; za którymi inni księża nosili szat ich ogony, zamiast ludu rzymskiego – różnobarwich mnichów i abatów, na Kapitolinie klasztor bernardynów, gdzie forum i rostrum Cycerona – targi na bydło, gruzy i zwaliska – gdzie pałace cesarów: „O Boże – pomyślałem sobie – jak niedościgłe są sądy twoje, wskrzeszasz, podnosisz i spychasz narody, tworzysz je i niszczysz, jak te emy letnich owadów, co się rodzą z porankiem i giną z wieczorem.”

Lecz choć Rzym przestał być panem świata, był jeszcze stolicą wiary, zachowawcą świętych, lecz ostatnich Rzymu i Grecji pamiątek, pobytam artystów, przybytkiem sztuk wyzwolonych. Gruzy jego przejmują jeszcze uszanowaniem. Ciepłe niebo, rząd łagodny, towarzysztwo artystów, cudzoziemców ze wszystkich krajów czynią pobyt w nim wielce przyjemnym.

Widowisko światowej potęgi zastąpiły święte uroczystości. Cóż może być bardziej przejmującego jak ceremonie Wielkiego Tygodnia i to błogosławieństwo, które szanowny ojciec chrześcijan, wzniesiony w całej swej pompie nad wysoki Watykan, daje światu i miastu, cóż tkliwszego jak te głosy śpiewające Miserere Pergolesa, co dziwniejszego jak ten krzyż cały w ogniach gorejący w powietrzach? Możnaż patrzeć bez łez na tego papieża, na tych blisko stuletnich kardynałów wlekących się do grobu Pańskiego, padających na twarz przed Zbawicielem swoim?

Ostatni podobno widziałem innego rodzaju uroczystość w kościele Św. Piotra. Był to hołd przez konstabla Colonna imieniem króla neapolitańskiego ze królestw Obojga Sycylii oddawany Ojcu świętemu. Na wyniosłym tronie siedział papież Pius VI Wśród świątyni, konstabi wjeżdżał do kościoła na białym koniu w bogatym hiszpańskim ubiorze i hołd oddawał. Wkrótce potem król neapolitański uwolnił się od tej uroczystości.

Cały rok prawie spędzony jest w Rzymie na religijnych uroczystościach, nie masz dnia, w którym kościół jaki nie obchodziłby święta swojego, a to z największą okazałością; najlepsi śpiewacy, najlepsza muzyka, najświeższe kwiaty mile zachwycają zmysły. Słowem, zamiast pracy, przemyślenia, ruchu, w innych napotykanym miastach, nie słyszysz w Rzymie, jak melodie głosów i instrumentów, nie oddychasz, jak wonią kwiatów; wszędy spokójność i słodkie próżnowanie, gdzieniegdzie przerwane uderzeniem dłuta, co z twardych głazów duszę bohaterów wywodzi.

Słodko lud rzymski dzisiejszy używa błogosławieństwa nic nierobienia, raz tylko w rok przebudza się i raptem z długiego letargu wpada w największe szaleństwo. Jest to w ostatki zapust. Dziwna, że w mieście tak duchownym tym pustym zabawom uroczystą jakąś nadają powagę. Senator rzymski przez Porta del Popolo sam wprowadza karnawał. Karnawał ten reprezentowany jest przez poliszynela wjeżdżającego na osła. Skoro się ten urzędnik publiczny okaże, natychmiast cały Rzym, wszystkie wieki i stany, jak gdyby ogarnione szaleństwem jakim, tysiącnym podają się szaleństwom. Majętniejsi jadą w maskach w pojazdach: woźnice i lokaje przebrani są za kobiety; poważni adwokaci przebrani za arlekinów, abusi za doktorów, wszyscy przesadzają się w dziwactwach, wszyscy noszą worki cukierków i zapalone stoczki, ciskając bombonki krzyczą: „*Ammazzato sia chi non a mocolaia.*” „Niech ginie, kto nie ma stoczka.” Trwają te szaleństwa przecz trzy dni, coraz się bardziej wzmagając w wesołość i krzyki.

Stałem w prywatnym domu, u patrona jednego, abbate Dobi; ten do powołania Cycerona łączył handel *des soaffres*, czyli wycisków na gipsie, najpiękniejszych kameów i *intaglio*. Pamiętny na szczupłe zapasy moje, nie pokazywałem się na wielkim świecie, czas mój cały pędząc na oglądaniu ciekawości rzymskich i ćwiczeniu się w włoskim języku. Wszystko obchodziłem piechotą, sprawiłem sobie po temu szare trzewiki, gardziłem skwarnym upałem. Nieraz przy chłodzie wieczora pędziłem godziny całe *in arena*, czyli [w] amfiteatrze Wespazjana: wśród ogromnych tych ruin smutnie rozpamiętywałem nad upadkiem i podległością biednej mojej ojczyzny. Nie zawiniwszy tyle co Rzym, jak on zginęła.

Starałem się poznać z żyjącymi naówczas najślawniejszymi artystami. Widziałem pracujących tak sławnego później Canovę, Pichlera, najpierwszego rzeźbiarza w kamieniach, Marchant, biegłego w *intagliach*. Stary malarz Battoni malował naówczas obraz dla królowej portugalskiej, reprezentujący Serce Jezusowe, z wielą alegorycznymi figurami. Wiadomo, iż królowa ta z zbytku nabożeństwa odeszła od zmysłów. Malarz angielski Hamilton malował czyny Achillesa w wielkich obrazach, te później pięknie sztychowane były. Odwiedziłem Tywoli, Frascati, Albano. Jakże mocno żałowałem, że nie umiał rysować; ileżkroć później powiększał się żal ten, na brzegach Niagary, nad rzeką Hudson, zwiedzając i tu, i na drugiej stronie połowie tyle pysznych widoków.

Niewielu w czasie lata znalazłem przytomnych w Rzymie ziomków moich. Byli atoli: ksiądz Kossakowski, który później umarł biskupem wileńskim, ksiądz Olszowski, acz duchowny, nie szukający wywyższeń kościelnych i przestający na ojczynej dziedzinie, pan Bzowski; więcej ich przyjechało na zimę. Bywałem w niektórych pośrednich domach. Wszy-

scy naówczas średniego staw cywilni chodzili *en abbe*: niemało mnie to bawiło widzieć abusiów wachlarze i płaszczyki swe chowających w kieszeń i tańczących menueta. Acz byłem w wieku, gdzie żądze miłosne pożerały mnie całego, unikałem i w Rzymie, bardziej jeszcze w Wenecji, wszelkich związków miłosnych; znałem siebie, wiedziałem, że związki te nie były u mnie przechodnie, że, podawszy się im, z szkodą czasu i nauki byłyby mnie daleko zawiodły. Cierpiałem męki, niekiedy tylko z łatwymi kobietami zaspokajając burzące się chuci.

Mając jeszcze na zimę powrócić do Rzymu, przy końcu sierpnia wyjechałem do Neapolu, już nie z weturynem, lecz zabrawszy się z kurierem neapolitańskim. Szczupłość ruchomości mojej ułatwiła ten układ: wyjechaliśmy wieczorem, nie zważając na *cattiva aria* bagn pontyńskich; przebyłem je zaspany. Zatrzymały mnie Gaeta i Terracina, w pierwszej leżało jeszcze czarne zeschnięte ciało konstabla de Bourbon, który zdradziwszy kraj i króla swego przeszedł pod chorągwie Karola V i poległ przy oblężeniu Rzymu. Mimo urodzenia bliskiego tronu ciało to już więcej półtrzecia wieku leży nie pogrzebione: słuszną karą dla zdrajców ojczyzny.

Przybyłem do Neapolu dnia 29 sierpnia o godzinie szóstej z rana: po tak nieludnym mieście, jakim jest Rzym, widok Neapolu, napełnionego tłumami ludu, mile zadziwia. Chęć widoku na morze przymusiła mnie stanąć w lokandzie al Santa Lucia po 8 karlinów na dzień za stół i stancję, co czyni mniej jak 8 fl. polskich. Tuk byłem znużony podróżą nocną, iż na nic nie patrząc rzuciłem się na łóżko. Przy ocknieniu najpiękniejszy widok zachwycił mnie całego; iskniąca się morza przestrzeń, w głębi wyspa Caprea, sławna wyzietecznictwami i śmiercią Tyberiusza, po prawej ręce Posylipo, po lewej dymiący się wulkan Wezuwiusza. Rozkoszną przechadzkę nad morzem, Chiaia, zasadzono drzewami, lecz zbyt upały i słone od morza powietrze nie daje im rosnąć. Na tym brzegu morza widziałem krocie lazaronów, od pasa tylko cokolwiek okrytych, leżących do góry brzuchem, siedzących, lecz zawsze nic nie robiących. Kilka muszli morskich, kawałek chleba, za bajok trochę wina i oliwy nasyci ich na dzień cały. Ach! ileż piękne klima oszczędza człowiekowi i potrzeb, i pracy, i cierpienie. U nas pod mroźnym niebem w pocie czoła haruje człowiek, by miał obfite pożywienie, dostatnią i ciepłą odzież, obydwie bowiem ostrość powietrza nakazuje. W Neapolu nie potrzebuje mieszkania, odzieży i mało bardzo żywności. Życie całe, słodkim oddychając powietrzem, spoczywa, nie znając nic lepszego, nie życząc być lepiej, podług stanu i mienia każdy coraz w rozkoszniejszej gnuśnej miękkości. Oprócz gnuśności i zabiegów dworskich jeść lody, przejeżdżać się, słuchać pięknej muzyki jedynym jest neapolitańczyków zatrudnieniem. Nie domyślają się miłości ojczyzny, wolności, szlachetnej ambicji. Ach, jak mało Don Pepe i inni [z] rewolucji roku 1822 znali swój naród, gdy mniemali, że się odważy narazić, by wolnym zostać. Od dawna wyrzekli filozofowie, że mieszkańcy pod ciepłą położeni strefą (tak Grecja, Rzym przeciwnie dowiodły) wolnymi być nie mogą; dziś atoli widzimy, że – czy pod zmarzłą, czy gorejącą strefą – wszystko pod jarzmo kark nachyliło.

Szczupłym jest port Neapolu, jak mówią, dwa tylko wojenne okręty pomieścić mogący; jakoż nie ma ich więcej król dzisiejszy; broni go Castelnuovo i kilka baterii, wystawionych od czasu, jak admirał Byng, pogroziwszy mu bombardowaniem, do neutralności przymusił.

Z klasztoru kartuzów, na wysokiej nad miastem i morzem górze, odkrywa oko jeden z najpiękniejszych w świecie widoków. Ten pod nogami hałas ludnego miasta, to morze naówczas z hukiem rozbijające się o brzeg, obok cichej samotności zakonników w smętnym pograżały dumaniu. Równie i cesarz Józef, tym pięknym ujęty widokiem, gdy się nad nim nie przestawał unosić: „*Transeuntibus* – rzekł stojący obok zakonnik – przechodzących tylko zachwyca.” Kartuz jeden umiejący cokolwiek po illiryjsku oprowadzał mnie wokoło. Zdziwiony byłem pięknnością i czystością gmachów; w kuchni gotowały się wielkie ryby morskie, piekły torty. Bogaty ten zakon nie uszedł chciwości rządu; zamknięto nowicjat, nadto 10 000 dukatów neapolitańskich bierze rząd kontrybucji od mnichów dzisiejszych. Na tejże samej górze postawił Karol V zamek zwany Castel del Elmo, a to dla utrzymania miasta w posłuszeń-

stwie, skłonnego przedtem do buntów. Stoi tam pułk Albańczyków, składający się z różnej hałastry krajów adriatyckich.

Kościół niezmiernie bogate, pięknymi przyozdobione obrazami: Caravaggio, Spagnoletto, najbardziej pośledniego od nich Solimena. Od wieków sławnym był Neapol mnóstwem patronów, tak dalece iż powiadają, że gdy gubernator Rzymu pisał do wicekróla neapolitańskiego o przedanie mu 2000 wieprzów potrzebnych na żywność do Rzymu, odpisał mu wicekról, że wieprzami służyć nie może, lecz jeżeli chce, to mu darmo przysze 2000 patronów. Poszedłem do gmachu sądowego; uderzył mnie i ogłuszył razem czarny tłum patronów wrzeszczących jak diabły jakie, ssących i męczących biednych klientów.

Capodimonte jest najciekawszym w Neapolu gmachem obrazów i innych najdroższych i najciekawszych zbiorów. Wszystkie te bogactwa są dziedzictwem po panującym domu Farnesów, zbogaconym przez papieżów. Córkę ostatniego księcia, Antoniego, pojął Filip V, król hiszpański, pień szczepu Burbonów w Madrycie i Neapolu. Prócz obrazów Tycjana, Guida, Spagnoletta, Caravaggio, Baroczio, Parmeggianino, znajdziesz tam mapę *de crystal de roche*, ważącą 1800 funtów. Gabinet medalów jeden z pierwszych, zawierający rzadkość wielką, Ottona z brązu i Pescennius Niger. Zbiór kamieni rżniętych liczy rzadkie piękności, mianowicie głowy Jowisza, Merkurego i cezara Augusta. Lubownik sztuk pięknych dni tam całe rozkosznie trawić może.

Przybył do Neapolu Angielczyk Riddel, z którym zaprzyjaźniłem się był w Widniu; stanął w teje co i ja lokandzie. Był to uczciwy, wyborny młodzieniec, poleciał zaraz na Wezuwiusz i powróciwszy nie dał mi pokoju, ażem się wybrał w tę podróż. Ksiądz Olszowski i Flamandczyk jeden byli towarzyszami mymi. Udaliśmy się najprzód do Portki, gdzie już czekał na nas obstalowany cicerone z mułami, ludźmi. Jechaliśmy najprzód na mułach, wśród kamieni lawy, wyzienionych przez wulkan. Jeden z nich miał 5 1/2 stóp długości. Na sam wierzch drapać się trzeba piechotą, ostry żwir lawowy, zwany *pazzolano*, nie tylko darł obuwie, raził nawet podeszwy u nóg, przykry wiatr północny utrudzał drogę; wszystkie te trudy podejmowane, by widzieć piękną okropność. Otaczająca wydrążoną górę skorupa ma tylko cztery stopy grubości, na tej ja położywszy się spuściłem oczy w przepaść, z której wybuchające płomień, wiatrem w różne-strony kręcone, zmieszane z czarnym dymem, wulkanowi temu postać paszczy piekielnej dawały; wyziewy rozpalonej lawy, huk padających kamieni, trzęsienie cienkiej skorupy, na której leżałem, okropnymi czyniły tę chwilę, a tak natura w najpiękniejszej krainie obok zachwycających widoków najstraszniejsze swe mięściła zjawisko.

Wyziewom wulkanu tego winni mieszkańcy Pompei i Herculanium za cezara Tyta swoją zgubę, my zachowanie najrzeczywistszych świadectw i ostatków kolonii greckich i rzymskich przed blisko 2000 lat żyjących przed nami. Zostały nam w różnych miejscach ruiny pysznych gmachów, posągi z marmurów i spiżów, greckie i rzymskie, lecz wszystko, co do domowego życia należy, co przypomina stan więcej nas obchodzący jak wyniosłość i wielkość, stan, mówię, prywatny ludzi w ich dziennym pożyciu, ich obyczaje, narzędzia, sprzęty, to w pracy życia jednego zachowało nam całe pokolenie w stanie, w jakim było w chwili okropnej swej zaguby; to wszystko winniśmy przykryciu lawą i piaskiem wulkanu Wezuwiusza. On to sprawił, że widzimy miasto całe przed 2000 lat zbudowane, przechodzimy się po ulicach, po których w tej tak odległej epoce przechodziły się twory równie jak my dziś żyjące, wstępujemy w ich domy, znajdujemy jeszcze kości ich, narzędzia, naczynia, zapasy, bogactwa. Człowiek, co tak lubi gardząc chwilą obecną przenosić się w przeszłość, jakże rzewnych uczuć doznaje w tych miejscach.

Złożono w muzeum w Portici wszystkie te zachowane ostatki, narzędzia do ofiar, popiół jeszcze i węgle, znalezione na ołtarzu świątyni jednej, naczynia gospodarskie, chirurgiczne, banie od wina, chleb skamieniały, całą nawet gotownię kobiecą.

Pod skorupą lawy, na której stoi miasteczko Portici, spuszcza się do dawnego miasta Herculanium; jedne tam tylko odkryte teatrum, nie śmiejąc odkopywać dalej, czyli to z bojaźni, by

się stojące na wierzchu Portici nie zawaliło, czyli też z niedbalstwa i lenistwa. Znalezione tam dwa posągi na koniach Balbów, ojca i syna. Pozostałe z tych gruzów malowania, acz spelzłe, dla rysunku i pięknej w składzie prostoty są wielce ciekawe.

Jeździliśmy oglądać sławne rymami poetów, zamieszkiwane niegdyś przez najbogatszych Rzymian Baiae, Misseny, Kumery, Pozzuoli, dziś tylko niestałość rzeczy ludzkich przypominające. Pałac Kazerty, wiejskie mieszkanie króla neapolitańskiego, zbyt wielkim jest gmachem dla tak słabego w rządzie politycznym monarchy. Vanvitelli był budowniczym jego. Starano się coś wystawić na kształt Eskurialu; pałac ze czterech składa się czworogranów i dziedzińców, z których jeden tylko zupełnie skończony. Są to gmachy więcej ogromem jak okazałością swoją zadziwiające. Około 500 robotników pracuje tam dziennie, między tymi widziałem wielu Algerczyków, na morzu zabranych w niewolę; dają im wolność, skoro się ochrzczą, lecz mało bardzo ofiarą tą chce się okupić.

Dzień 8 października wielką jest w Neapolu uroczystością. Król z całą rodziną i dworem wyjeżdża do kościoła Piedi Grotta dla dopełnienia w uroczystym nabożeństwie ślubów uczynionych przez jednego z poprzedników swoich; Neapol, tak zawsze ludny, w dzień ten w niewypowiedzianym jest poruszeniu. Po obiedzie otwiera się poczet przez mnóstwo karet kawalerów i urzędników dworskich, dalej w potężnych złocistych karocach król z królową, za nimi następcą tronu, za nim w również ogromnej karocy brat jego mający lat trzy, sam jeden, gubiący się, kiwający na wszystkie strony. *Baby* to zamiast uszanowanie śmiech wzbudzało. Całe wojsko w paradzie stało płotem ciągiem brzegu morskiego; ludzie piękni, dobrze ubrani, lecz przebijał się brak wojskowości, nic subordynacji, słowem, włoska arlekinada. Oficerowie maszerowali z lauframami i lokajami swymi, żołnierze zażywali tabakę, zdejmowali kapelusze i kłaniali się znajomym. Jeden pułk nasz Bielaka mógł być całe to wojsko rozpedzić.

Listy, które przywiozłem do Neapolu, od dobrej pani Stanisławowej do księżnej Belmonte, faworytki królowej, od chevalier Keith do lorda Tilney i innych, niespodzianie wprowadziły mnie na wielki świat neapolitański. Towarzystwa i zabawy życiem są Neapolitanów. Prócz zebrań u ministrów i przedniejszych panów bywa trzy razy na tydzień zgromadzenie publiczne małą składką utrzymywane, nie wiem dlaczego zwane Akademią. Prezentowany tam był obojgu królestwu. Królowa dość ładna, znana naówczas z zalotności i wielkiego wpływu na króla, później z gwałtownych politycznych czynów swoich. Brzmiał naówczas Neapol odgłosnym pokłóceniem się jej z Razumowskim, posłem moskiewskim, królowa znieść dłużej nie mogąc moskiewskich kułaków i bastonczynów zerwała z nim i wiele łożyć musiała pieniędzy, by wykraść zbyt poufałe listy, pisane do niego. Następcą Razumowskiego był Akton Irlandczyk, z kapitana okrętu tokańskiego dziś faworyt królowej i generalissimus Neapolu na morzu i lądzie. Był to prawdziwy awanturzysta z wielkim talentem, z większą jeszcze bezczelnością. Trzeba było widzieć, jak przed tym, dopiero nieznanym przychodniem płaszczyły się wszystkie *marchesi, duchi, principi*. To prawda, że więcej umiał, więcej śmiał niż krajowcy i gdyby nie ślepe oddanie się jego systema angielskiemu, a przez to chwycenie się niezgodnych z czasem kroków, byłby był w zaniedbanym królestwie zbawienne poczynił odmiany. Król wysoki, chudy, brzydki, nieumiejętny, wychowany najgorzej. Nic bowiem trudniejszego jak dobrze wychować dziecko, które wie z urodzenia, że stworzone, by rozkazywało, i które w rzeczy samej nauczycielom swoim nawet rozkazuje. Doznał tego wszechwładny minister Tanucci, ochmistrz jego. Mówią, że gdy przychodził dawać mu lekcje, król-dziecko bawiło się robieniem czekolady i przymuszało ministra do picia ośmiu filiżanek czekolady. Jakoż gdy król ten przyszedł do lat i zaczął panować, znudziły go na wstępie trudy panowania; zdawszy rządy na ministra, później na królowę, wszystkie chwile próżnym poświęcił zabawom. Polować, strzelać dzikie kaczkami, przepiórkami, nade wszystko łowić ryby – to było całego życia jego zatrudnieniem. Najpiękniejszym rządzącym krajem, nie wiedział, jak używać hojnych natury darów, bez żadnego gustu do sztuk pięknych, nie wiedząc podobno,

co byli Grecy i Rzymianie, nie zajął do Portycji, zostawiał kraj w gnuśności i feodalizmie XI wieku; rolnictwo, handel w letargu. Dzikie kaczkę i ryby więcej go trudniły jak ludzie.

Szczególniej uczęszczałem do księżnej Belmonte Pignatelli, pierwszej damy dworu i po-wiernicy królowej: od niej wiele otrzymałem ciekawych kraju tego wiadomości, o których nie widzę potrzeby wspominać. Monsignor Saluzzi, wyznaczony nuncjuszem do Polski, z którym poznałem się był w Rzymie, dał mi listy do ciotki swojej, margrabinie Gensano. Była to staruszka pełna grzeczności, słodczy, a co rzadko we Włoszech, pełna nauki. Znajdowała się ona w czasie trzęsienia ziemi w Kalabrii i ledwie z życiem spod gruzów wyciągniętą była. Jedną chyba Francuzką tak oświeconą, tak miłą mogła być w pozyciu. Poznałem, abata Zurillo uczonym i jednym z pierwszych antykwariuszów. Książę Canditto, powracający z Francji, do dowcipu włoskiego cały ton i grzeczność pana francuskiego łączący, zaprzyjaźnił się ze mną. W pięć lat później ujrzałem go w Warszawie, gdy na poselstwo do Petersburga jechał. Poznałem go u lorda Tilney, o którym pokrótce namieniłem winieniem.

Lord Tilney, jeden z bogatych panów angielskich, jak wszyscy Anglicy biegły w autorach klasycznych, dla gustu przeciwnego naturze (a ten kryminalnie karany jest w Anglii) przymuszony uchodzić z kraju, osiadł we Włoszech, gdzie gust ten nie oburza nikogo. Kiedyś go widział, już był starcem, a nie mogąc się brzydkiej lubieżności podawać więcej, oddał się całkiem niemniej żywej swej namiętności, obżarstwu i próżnowaniu. Najlepszy kucharz najlepsze gotował przysmaki; uczeni, weseli, grzeczni byli uczestnikami stołu jego. Mieszkał na Chiaia, widok mając na morze. Rano przejeżdżał się po rozkosznych okolicach Neapolu, po obiedzie zasiadał w wygodnym krześle i przez duży *telescope* patrzył na iskrzące się przed sobą morze, wyspę Kaprę, Procidę, Ischię i przelatujące okręta i statki rybackie. Wieczorem udawał się na operę. Tak w słodkim próżnowaniu schodził dzień za dniem; jakże smutnie byłem zadziwiony, gdy nazajutrz po dniu, w którym byłem u niego na obiedzie, dowiedziałem się, że lord Tilney, uderzony apopleksją, skonał w minucie i Bóg wie, gdzie z tych rozkoszy światowych przeniósł się. Taka jest dni naszych niepewność.

Między sławnymi naówczas w Neapolu mężami poznałem margrabię Caraczioli, znanego z dowcipu swego, przyjaciela del abate Galiani, jeśli można, dowcipniejszego jeszcze, pana Denon, sekretarza przy w pośle francuskim, hrabi Clermont-Tonnerre, niepospolitego lubownika, artystę, który napisał podróż do Egiptu i za Napoleona tak marną grał rolę. Z artystów z profesji nikogo nie było znakomitego w Neapolu; śpiewaczka atoli Cattellini i buffo Casaniello, pierwsza wdziękami i głosem, drugi nieporównaną grą swoją słusznie między pierwszych aktorów liczyć się mogący.

Dnia 23 września przytomny byłem cudowi warzenia się krwi św. Januariusza; cud tak niepojęty samo tylko do świątyni sprowadził pospólstwo; przed zaczęciem trzech dziadów kościelnych, dobrze ubranych, wyniosło tyleż popiersi z czystego srebra ulanych świętych i patronów miasta. Wszyscy kłaniają się św. Januariuszowi; wynosi ksiądz ampulkę dużą, pełną zsiadłej krwi świętego, i gdy ją ksiądz przeciw świcy obraca, pobożni wzdychając, krzyżując, płacząc jedni pochlebnyimi słowami zachęcają świętego do spełnienia cudu, niektórzy grożą mu nawet. Trwało cztery minuty, nim krew rozrzedza się i warzyć zaczęła. Na ten widok radosne łkania i krzyki napełniły świątynię.

Obejrzałem piękności Neapolu, wzięła mnie chęć oglądania Sycylii i Malty. Księżna de Belmonte wyjednała mi listy od wicekróla do Palermo i Messyny; zamówiłem z księdzem Olszowskim miejsce na okręcie i gdy powracamy, spotykamy dwóch Anglików Cunningham i Bidolph; tych raz tylko widzieliśmy w towarzystwie. Zapytali, skąd idziem. „Od okrętu – rzekłem – na którym dziś w wieczór wypłynę do Palermo.” „I my z tobą” – rzekli bez najmniejszego rozmysłu; jakoż wraz polecili po tłumoczki swoje. Jedliśmy razem obiad, w wieczór, pożegnawszy się z przyjacielem moim kapitanem Riddel (którego już więcej nigdy nie ujrzałem), podnieśliśmy kotwicę i w drogę puścili.

Rozdział dziesiąty

Sycylia i Malta

Wieczór pogodny, oświecony blaskiem księżyca, odbijającym od brzegu, wystawił nam Neapol w najpiękniejszym widoku; mieliśmy przed oczyma rozkoszne miasto, wznoszące się w amfiteatrum; domy oświecone ogniami, zarnki S. Martino, Castel Nuovo, Kap Misseny, Baje, z drugiej strony Wezuwiusz i u spodu onego Portici, stojące na zasypanym niegdyś Herkulanum. Widok ten, mile zachwycając zmysły, w tysiącnych zagłębiał uwagach. „Jestże kraina – rzekłem – słodszy, pogodniejszy oświecona niebem, obfitszymi od natury obdarta darami? Mieszkańcy jej oddychają powietrzem tchnącym jaśminami i kwiatem pomarańcz, nie znają ni ciężkiej pracy, ni srogich zimy cierpkości, dni ich schodzą na próżnowaniu i zabawach. Sąż oni szczęśliwi? Są zapewne, jeżeli szczęście od zmysłowych rozkosz zależy, lecz jeżeli człowiek czuje godność i wyższe powołanie swoje, jeżeli w głębokich prawdach lubi się zaciekać, jeżeli w swobodach, niepodległości, potędze ojczyzny swej osobistą pychę i wyniosłość swą zakłada, możeż znajdować chlubę w widzeniu się mieszkańcem kraju gnuśnego pod rządem samowładnym i niedoleżnym razem, który każdy śmiały najeźdźca w dni kilka pod jarzmo posłać może, w kraju, który ni biegłego prawodawcy, ni wielkiego wodza, ni znakomitego artysty nie wydał, kraju, na koniec który niczym chlubić się nie może, co dzieci jego, co naturę ludzką oświeca i podnosi.” W czasie pobytu mego w Neapolu zdarzały się okoliczności, które mnie w świetnym dla próżności zawodzie postawić mogły; Bogu dzięki, żem się im oparł, że omamiające zmysły rozkosze Neapolu nie zatarły w mym sercu obowiązków dla rodzinnej mej ziemi; to z mrozami i sosnami swymi, że swoje, głośniej do uczuć mych wołało.

Przez noc wiatr mieliśmy słaby, tak iż nazajutrz wyspa Kaprea jeszcze była widoczną. Dni 25 i 26 spędziliśmy na morzu, bawiąc się już to igraniem delfinów, już oryginalnością towarzyszków podróży. 27 z rana stanęliśmy w porcie Palermo, którego widok przypomina nieco Neapol, z tą różnicą, iż sadzone drzewa lepiej tu rosną. Na samym wstępie smutna zaszła nas wiadomość, iż trzeba było udać się do urzędu *sanita*, dać się obejrzyć i wysiadywać tygodniami kwarantannę. Czas ten odosobnienia ze światem na morzu nie był przyjemnym. Dwie tylko mieliśmy rozrywki, jedna męczarnie kanonika z Bononii, który od wyjazdu swego z Neapolu, wstydząc się odbywać potrzebę natury *in conspectu adstantium*, kręcił się jak wąż, druga codzienne odwiedziny pana jednego z Palermo; ten, zbudowawszy sobie maciupci okręcik na wzór wojennego i uzbroiwszy się w małe mosiężne harmatki, mało co większe od pistoletów, podsuwał się pod statek nasz i wydawał mu bitwę *tirant des bombes*, raz strzelając z harmatek swoich z jednej strony, znów z drugiej. Huk tych harmatek stłumiony był głośnym śmiechem i tego, co szturmował, i tych, co byli szturmu celem. Rozmawialiśmy także z dwoma okrętami z Marsylii obok nas stojącymi. Przyszła mi na koniec myśl napisania do arcybiskupa Palermo, msgr Sanseverino, i posłania mu listów moich zalotnych. Grzeczny ten i ludzki prałat nie tylko że mi przysłał obiad z kuchni swej, ale nadto wyrobił skrócenie kwarantanny. Jakoż dnia 1 października odebraliśmy wesołą wieść, że już na ląd wysiąść nam wolno było. Korzystaliśmy z niej co prędzej, a tu zaledwie tłumoczek mój złożyłem w lokandzie, tejże samej, gdzie stał Brydone, wraz wybiegłem na oglądanie miasta. Prócz przedniejszej ulicy, dzielącej miasto na dwoje, długiej na milę włoską, prowadzącej do morza, inne ciasne są i brukowane najgorzej. Wiele jeszcze widzisz w Palermie pamiątek przebywania tam Maurów. Pałac wicekróla postawiony był jeszcze przez Rogiera z pokolenia Normanów,

ten, rycerskim owych wieków zawiedziony tu duchem, wydarł Saracenom piękną tę wyspę. Najlepiej ocaloną starożytnością saraceńską jest pałac de Zisa, jest na nim napis u góry, którego nie wyczytano dotąd. Kościołów mnóstwo bogatych, bez gustu. Zalecające listy moje były do księcia Portena, księżny St Michelli, Isnello Belvedere, Villa Rosa, arcybiskupa Sanseverino, od wszystkich doznałem największej grzeczności i uprzejmości. Włosi, wstrzeźmieli, oszczędni w jedzeniu, w ucztach nie zakładają gościnności, uprzejmymi są jednak i społecznymi; wieczorne posiedzenia, teatr, przejażdżki, w tym się zakładają ich atencje. Nie zapomnę przejażdżki równie milej z towarzystwa, jak z miejsc, które odwiedzeń naszych były celem. Przyjechały po mnie księżne Montevago, Chymini, czternastoletnia małżonka, już matka, bardzo ładna, pusta i żywa, i benedyktyń Gravina z domu książąt Orsini (nie masz bowiem we Włoszech kompanii bez księdza). Pojechaliśmy do *casino* księcia Paligonia; wszyscy, co opisywali Sycylię, rozciągle mówią o niepojętych dziwactwach księcia tego w ozdobieniu tej wiejskiej zaciszy. Co tylko obłąkanie i najdziksza imaginacja utworzyć mogą, to tam książę Paligonia za ozdobę umieścił. Pojąć nie można, jak pan mieszkający w kraju sztuk i starożytności wzgardził nimi, by się monstrami najdzikszyimi otaczać. Idzie się do pałacu ulicą monstrów, jedno od drugiego dzikszych, między tymi są abusie z żabimi głowami, toż samoć w pałacu, a nawet i kaplicy; „*Non aveva altro piacere* – mówili przytomni o księciu tym – *oltre divertirsi con queste bestialita*” Smutek, odraza, gniew nawet biorą patrząc na te szaleństwa. Obficie nagrodzony byłem za przykre w tym miejscu wrażenia widokiem bliskiej zaraz willi księcia Nalguarnera [?] tam najpiękniejsza natura połączona z gustem najlepszym. Morze, skały, doliny, wioski, rozkoszne gaje i łąki mile zachwycają oko; nie pamiętam, bym przyjemniejsze miejsce widział kiedy.

Dla guzdralstwa Anglików moich późno wybraliśmy się, by odwiedzić dwa sławne klasztory benedyktyńów: di St Martino i Monreale. Niezmierne są bogactwa pierwszego, klasztor wielki, wesoły, piękny. Każdy mnich musi być dawnym szlachcicem, bierze tytuł *escellenza*, ma kamerdynera, lokajów i stół osobny. Organy najpiękniejsze. Stamtąd, już po omacku, darliśmy się przez skały do Monreale, drugiego benedyktów klasztoru. Cienie nocy posepnych miejscu temu dodawały powabów. Klasztor ten jest fundacją Wilhelma Dobrego, grób jego, kolumny z granitu, mozaiki, srebrna mensa godnymi widzenia miejsca te czynią. Król znaczną część dochodów opactwa tego na skarb swój zabrał.

W Palermie widzieć już można żyźność i obfitość, choć źle uprawnej, szczęśliwej tej krainy. Uderzały mnie wielkością swoją owoce i bydło. Widziałem cytryny 8 cali długie, winne grona, których każde ziarno tak duże jak śliwka, ogromne pomarańcze i granaty.

Słabość księdza Olszowskiego przymusiła go powrócić do Neapolu, z dwoma więc Angielczykami mymi puściłem się na objażdżkę wkoło Sycylii. Roztropność, uwaga na niepewność krótkich już dni moich spieszyć się każą do ważniejszych życia mego przygód – pokrótce tylko wspomnę o znaczniejszych wyspy tej miejscach. Mało jest podobno krain na świecie wystawiających nam razem tyle pięknych położen natury i tyle pysznych ręki ludzkiej pamiętek. Przyświecające nieba Sycylii równie są czyste i jasne jak te, co nad Auzonią jaśnieją, góry jej równają się prawie Alpom, wokoło otacza je morze, w pośrodku gubiąca się w obłokach, śniegami okryta Etna, wrzące w wnętrzościach swoich karmiąc płomienie, jak okropny kaganiec oświeca tę wesołą i żyzną krainę. Cóż, gdy zasięgniemy myślą dawności cywilizacji jej, bohaterów, których wydała, gmachów, posagów, obrazów ozdabiających niegdyś zamężne i ludne jej miasta, wszędzie geniusz kierując się w wolności tworzył cuda. Obok ostatków pamiętek greckich spotyka podróźny gmachy późniejszych wieków, dzieła geniuszu Saracenów i Normandów, na gruzach świątyń pogańskich bożyszcz kościoły Boga i Maurów meczety. Nigdzie nie zostało tyle śladów narodów, które posiadały Sycylię; w zwyczajach, obyczajach, mowie znajdziesz Greków, Kartagińczyków, Rzymian i Saracenów pamiętki. Wszystko to nadaje Sycylii ciekawe, interesujące znamiona. Kogóż nie zadziwi wspaniała świątynia o 14 pysznych kolumnach, komuż nie przywiedzie na myśl tego posagu Diany, któ-

ry Verres gwałtem mieszkańcom miasta tego wydarł. Drepani, pamiętne igrzyskami, przez pobożnego Eneasza, na pamiątkę Anchizesa, ojca jego, wydawanymi. Niedaleko miasta wi-
dać wyniosłą niezmiernie górę, na której stał niegdyś kościół Venery Eryciny.

*Tunc vicina astris Ericino in vertice sedes
Fundatur Veneri Idalia.*

Virgi.

Po dwugodzinnym po stromej górze drapaniu się wdarłem się na koniec na szczyt najwyższej skały po Etnie, lecz zamiast świątyni bogini miłości nie znalazłem, jak liche miasteczko i mieszkańców, nie piękność, lecz nędzę, lenistwo, i ciemnotę oznaczających. Mężczyźni w półkapotach z kapturami, kobiety całe kitajką lub płachtą zakryte; wszystko w nich surową mistyczność oznacza. Odosobnieni od świata, nie schodzą na dół, jak tylko po żywność. Niektórzy nigdy nie zstąpili z swej skały i jak pierwsi mieszkańcy Othaity z zadziwieniem poglądali na mnie. Otwarty i piękny widok z tej skały nagradza utrudzenie; z jednej strony odkrywa oko znaczną część Sycylii, z drugiej morze i wyspy Egades. Nad miasteczkiem jest jeszcze skała i na wierzchu jej ostatki zamku normandzkiego. Tu ze wszech stron nie ujrzałem, jak czarną przepaść i wichrem pędzone ciemnych chmur kłęby. Zimno tak było przenikliwe, wicher tak tęgi, iż bojąc się, by mnie w przepaść nie porwał, pospieszyłem na dół.

Wieczorem byliśmy na teatrum, ofiarowano nam łożę, lecz że od dawna nikt w niej nie był, znaleźliśmy drzwi jej zabite deszczkami, wzięliśmy się do roboty i oderwali deszczki; tu znowu bieda, nie było siedzenia; postrzegłszy to siedzący kawalerowie trepańscy w parterze powstali i z wielką grzecznością podali nam do góry ławkę, którą my wciągnęliśmy do łoży. Co za różnica od dawnych greckich wydawanych w Sycylii widowisk.

Wiedzieć należy, iż w Sycylii nie ma dróg, którymi by pojazdem jechać można, całą podróż odbyliśmy na mułach, które od miasta do miasta najmować trzeba było, zawsze prawie z oszukaniem przez mieszkańców. Marsala i Mazara nic nie zawierają ciekawego; mieliśmy w nich gospody gorsze od najgorszych karczem naszych żydowskich. Jadąc na mułach brzegiem morza, zanurzony w dumaniach, powiększonych przez jednostajny szum bałwanów, raptem uderzony byłem widokiem ogromnych ruin na oddalonym pagórku; ruszyliśmy w tę stronę; były to smutne ostatki zamożnego niegdyś miasta Selinontu, ostatki po kilkukrotnym burzeniu zadziwiające dziś jeszcze. Są to trzy świątynie niezwykłej wielkości, tak iż w jedną fugę kolumn doryckich plecami zmieścić się mogłem. Po dwakroć burzyli je Kartaginowie; mówią, że Annibal zaprzęgał słonie do kolumn tych i tak je obalał. Selinont sprzymierzył się był z Pyrrhusem; 249 lat przed Chrystusem znów je Kartagińczykowie zburzyli ze szczętem i mieszkańców do Lilibei przenieśli. Deptaliśmy po gruzach, gdzie chodzili Pyrrhus i Annibal, jedliśmy obiad na obalonej kolumnie 9 stóp diametru mającej. Te kolumny, te niezmierne w nieładzie sterczące rozwalone kamienie smutnie przypominały i śmiałość, i niestałość ludzkich przedsięwzięć. Ze wszystkich pozostałych nam starożytności najogromniejsze w Selinoncie zostały.

Ledwie nas przewodnicy od miejsc tak pamiętnych oderwać mogli. Już około północy przyjechaliśmy do Sciacca (*Thermae Selimuntinae*), sławne niegdyś przez swe kąpiele. Nazajutrz jechaliśmy wilgotnymi nizinami i widzieli mieszkańców zatrudnionych żniwami ryżu. Ku południowi usiadłszy na snopach ryżu obiadowaliśmy; żniwiarze, acz obfici w wino, przez żaden sposób nie chcieli go nam za pieniądze udzielić. Zawsze piękną krainą i brzegiem morza zbliżaliśmy się do Dżirdzenti (*Agrigentum*). Wszędzie drzewa figowe, oliwne, aloes, migdały, kasztany, karuba, pola żyzne, wszystko nędznie uprawne. Wjechaliśmy w góry i, spuszczając się z jednej, u spodu napotkaliśmy rzeczkę, w której muł niosący rzeczy nasze ugrzązł i strachem przeraził towarzysza mego, pana Cunningham. Był on wielkim miłośnikiem muzyki; gdzieśmy się tylko zatrzymali, dobywał skrzypców i niemiłosiernie rzępolił;

postrzegłszy niebezpieczeństwo muła, z całej siły wołać zaczął na sługę naszego: „*Giuseppe, lasciate tutto al diavolo, badate al violino.*”. Szczęściem skończyło się na strachu.

Agrygent (dziś Dżirdzenti) dla pysznych pozostałości świątyń swoich zatrzymał nas dni kilka. Zatrzymał nas najprzód piękny sarkofag za chrzcielnicę służący dzisiaj; widać na nim w płaskorzeźbie historię Hippolita i Fedry, dzieło doskonałe i pełne ognia. Wyszliśmy potem za miasto oglądać zwaliska przemożnego niegdyś miasta Agrigentum. Widzieliśmy tam ledwie nie zupełnie zachowany w całości kościół Concordii. Kościół Junony Laciny 16 jeszcze całych kolumn zachował, wiatr atoli od morza nadpsuł je znacznie, w tej to świątyni znajdował się sławny obraz Junony przez Zeuxis. Kościół Herkulesa jedną tylko zachował kolumnę. Największy ze wszystkich kościołów, Jowisza Olimpickiego, już cały w gruzach; zdaje się, iż ziemia, zmordowana dźwiganiem ciężaru takiego, zwała go; dwa kapitele i ułamki kolumn dają miarę olbrzymiej wielkości jego; kolumny miały 16 stóp wielkości, każda fuga ma półto-rej stopy otwartości; inne świątynie były: Wul-kana, Cerery, Castora i Polluksa. Na cmentarzu reformatów widziałem drzewa palmowe, owoce ich jednak nie dojrzewają.

Alikant, dawniej Gela, sławny z wybornych win swoich; około Biskary jechaliśmy przez żyzne pola należące do szlachty; zaniedbane i nieuprawne. Nie zebrane oliwki padały na ziemię, rozpęknięte dojrzałością jabłka granatne, nie zerwane ręką ludzką, wylewały na próżno purpurowe swe soki; gdzieniegdzie widać było małe plantacje tabaki i bawełny. Smutne nad tym opuszczeniem uwagi rozrywało śpiewanie przystawionego do mułów naszych chłopca. Głowę mając nabitą Teokrytem, sądząc, że pasterz ten podobną pocie temu skotopaskę śpiewać będzie, pilnie nadstawiłem ucha, lecz jakie było zadziwienie, gdy treścią sielanki tej były siedem karlinów, które pasterz ten siostrze swej ukradł. Obiadowaliśmy w Likadii, miasteczku na niezmiernej górze; po obiedzie, za ledwie wyjechaliśmy z lichego miasteczka Likadii, obfita ulewa przymusiła nas nazad powrócić; tu zgodzeni w Biskaris do Katanii przystawcy mułów i sławny ów śpiewak uciekli i do szukania nas innych mułów przymusili.

Z trudnością znaleźliśmy nędzne konie, bez kułbaki, munsztuków; mgła gęsta ćmiła powietrze, ziemia tłusta, rozkiszła wczorajszym deszczem, trudząc drogę, przypominała kochane Podole i Ukrainę; zostawiwszy na boku Leontini, kolonię Ateńczyków, ściągnęliśmy na noc do Beveri. W austerii, za całe apartamenta mieliśmy obszerną stajnię; zawieszona u pułapu lampa światło smutne rzuciła, stoły, łóżka, zydle w apartamencie tym były murowane. Osim mułów, pięciu Sycylianów i nas trzech – wszystko to leżało pokotem. W tym to jednak miejscu, w bliskim Beveri jeziorze, okopcony Pluto piękną Prozerpinę porwał.

Nazajutrz, po opadnięciu mgły, odkryliśmy miasto Katanię, mające za sobą okropną i czarną Etnę. Katania nowym jest wcale miastem, wystawionym po ostatnim wyziewie w r. 1689. Ulice jego piękne i szerokie, domy, dla trzęsienia ziemi, niskie. Udałem się natychmiast z listami do księcia Biscari. Mąż ten ozdobą jest i zaszczytem Katanii; cnotliwy, uczony, gościnny, wszystkie dobrego obywatela posiadający przymioty. Prezentowałem mu moich Angielczyków. Widzieliśmy obszerne i ciekawe muzeum jego, wazy Etrusków, brązy, lampy, posągi, zbiór medalów do 14 tysięcy sztuk wynoszący. Ciekawy zbiór wykopanych zabawek dzieci greckich i rzymskich; widziałem tam też same koniki, wózeczki, lalki, którymi dziś dzieci nasze bawią się. Książę Biskari dał mi egzemplarz dziełka o tych zabawkach, pod tytułem *Dei Trastulli dei antichi Bambini*. Widzieliśmy ciekawe muzeum benedyktynów. Na wieczór byliśmy u księcia Biskari; zgromadza on w domu swoim, co tylko jest najznakomitszego w Katanii nauką lub urodzeniem. Nazajutrz gotowaliśmy się do podróży naszej na szczyt góry Etny; noc tak mieliśmy burzliwą, iż rozumiałem, że się Katania zapadnie; nazajutrz uciszyły się wiatry, zeszło słońce w całym swym blasku i pozwoliło nam puścić się w podróż.

Cała stroma wyniosłość góry Etny na trzy dzieli się krainy: spodnia ciepła, średnia umiarkowana, najwyższa nieurodzajna i wiecznymi śniegami okryta. Puściliśmy się na mułach z przewodnikiem Emanuele Ferri. Od miejsca, gdzie się wstęp góry zaczyna, do samego kra-

teru liczę mil włoskich 30. Obwód cały Etny ma mil sto, obwód krateru dwie i pół, prostopadłej wysokości góry mil trzy. Znalazłszy wśród potraconych dzienników podróży moich dość całe opisanie Etny, kładę je w nocy poniżej.

Wzięliśmy w Katanii statek mały, zwany *speronada*, i, płynąc dzień i noc całą, nazajutrz, dnia 25 października, ujrzelśmy się w porcie Serakuzy. Im bardziej myśl moja napełniona była dawną potęgą i zamożnością miasta tego, tym smutniejsze wrażenie sprawił widok upadku onego. Z pięciu miast, z których się niegdyś Syrakuzy składały, jedno tylko, nazwane Ortygia, jest dziś zamieszkane. Karol III, król hiszpański, silną wystawił tu twierdzę. Mieszkańcy noszą postać ubóstwa i choroby; między bogatymi i ubogimi najpospolitszą chorobą są parchy. Irlandczyk jeden, komendant fortecy, był cyceronem naszym. Zaprowadził nas do latomii, czyli wydrzeń w skale, z których brano marmury i w wykutych lochach więźniów wojennych strzeżono. Najznaczniesze z tych wykuć nazywa się Uchem Dionizego; tyran ten bowiem, obyczajem wszystkich tyranów, przez tajemne otwory podслуchiwał, co jeńcy mówili. Tu jeńcy ateńscy powtarzając rymy Sofokla i Euripida cieszyli tęsknotę niewoli swojej. Obok miejsca tego jęków widać ostatki teatru. Widać jeszcze mnóstwo grobów dawnych, niektóre z ozdobami, w tych to miejscach znalazł Cycero grób Archimedesza ze sferą, w którą wpisany był cylinder. Chcąc nagrodzić Irlandczykowi grzeczność jego, zaprosiliśmy go na *speronadę* naszą na obiad, przygotowawszy wprzód wyborne ryby morskie i baryłkę przedniego wina małmazji. Postanowiwszy sobie być szczerym w opowiadaniu przygód życia mego, nie mogę zataić zbytku, którego się w biesiadzie tej dopuściłem.

Składała się uczta nasza z trzech królestw składających wielką Brytanię. Towarzysz podróży mej, Bidulph, był Anglik, Cunningham Szkot, zaproszony komendant Syrakuzy, Irlandczyk, jak *contentino* jakie los i mnie, Sarmatę, przydał do nich. Lubo Brytańczykowie moi zwyczajnie swoim tylko mówili językiem, przecież przez wzgląd, że mowa ich nie znana mi była, postanowiono mówić po włosku. Obiad był, ile miejsce pozwalało, wyborny, Giuseppe gotował go, wszystko miasto masła z świeżą oliwą. Wety, jakich gdzie indziej trudno, świeże granaty, pomarańcze, figi, migdały, winne grona; rozmowa żywa dotąd, gdy się znaczna część antaliku malagi wychyliła, stała się wesołą, wkrótce pustą, szaloną na koniec. Anglicy moi, dobrze umiejąc po grecku, zaczęli deklamować wiersze Teokryta, przywozić sławne czyny w Sycylii i Serakuzie zdarzone. Zaczęliśmy wychylać zdrowia Teokryta, Agathokla, Hierona, Archimeda, Marcellusa, Timoleona i innych bohaterów greckich i rzymskich. Zaczęliśmy za toasta dawać sentymenta. Nie zapomnę nigdy, gdy przyszła kolej na dobrze podchmielonego już Irlandczyka, że ten spełnił następujący sentyment: „*Adultery and Assassination*” Głośny śmiech i aplauzy towarzyszyły zdrowiu temu. Wkrótce Cunningham zaczął się rozrzewniać i płakać nad wspomnieniem Arethuzy: wypiliśmy duszkiem po trzykroć zdrowie jej i postanowili wraz nimfę tę odwiedzić. Zawrócone winem głowy i chwiejące się nogi pod nami z trudnością podróży tej dozwoliły dopełnić. Przyszliśmy na koniec nad brzeg sławnego źródła bogini. Tu ja, nie chcąc w szaleństwie tym w tyle pozostać: „Wszyscy podróżujący do Sycylii – zawołałem – przychodzą odwiedzać źródło Arethuzy, nam coś więcej uczynić należy; proponuję, abyśmy ubrani jak jesteście, weszli w jej wody.” Zaledwie powiedziane, już było spełnione; weszliśmy więc, rozgrzani winem, po piersi, w wodę: starszym, mniej silnym, kąpiel podobna śmiertelną stać się mogła, nam nic złego nie stało się. Lecz nie tu pijaństwa koniec; zapadało słońce; wspomniał Irlandczyk, że wieczora tego dawano operę; natychmiast proponuje Bidulph, abyśmy wylazłszy z źródła, cali zmoczeni, szli na tę operę. Jakoż poszliśmy. Łatwo sobie wystawić można zadziwienie Włochów, gdy nas postrzegli taczających się po parterze i wodę ciurkiem lejącą się z nas. Ulitowani nad stanem naszym, kazali nam otworzyć łożę. Dotąd nie wiem, jaką sztukę grano i co się z nami stało; nazajutrz obudziliśmy się w *speronadzie*. Do takiego zapomnienia przywiodła nas nieuważna młodość, zbytek wina i romansowe wspomnienia Syrakuzy.

Zostawały nam jeszcze do oglądania niektóre ciekawości w mieście i za miastem miejsca, gdzie niegdyś stała potężna Syrakuzka. W mieście kościół Minerwy, obrócony dzisiaj na klasztor, zachował dawne swoje kolumny. Podobnie przemieniony na cześć prawdziwego Boga kościół Diany, gdzie Syrakuzanie odprawiali święto tej bogini, gdy żołnierze Marcella wdarli się na mury. Stamtąd wzięwszy łódź udaliśmy się przez Sinus Sicania i rzekę Anapo na miejsce dawnego miasta. Widzieliśmy *planta papyrus*, który dawni używali do pisania. O pięć mil od miasta przybyliśmy do lądu, na pola, gdzie leżały wojska Marcellusa, na gruzy, z których Archimedes tyle klęsk zadawał Rzymianom. Zostały tam jeszcze dawnego miasta wieże i bramy, wśród bluszczów i zielsk dzikich rozwaliny pysznych niegdyś gmachów. Długo chodząc i rozmyślając nad tak strasznymi w dziejach ludzkich zmianami, nie postrzegliśmy, jak słońce zapadło i w zupełnej zostawiło nas ciemności. Znużeni, siedliśmy na kamieniach w nadziei, że kto nadejdzie i pokaże nam drogę do dzisiejszej Syrakuzki. Noc głębiej jeszcze zanurzyła mnie w posepnych dumaniach moich. Skrzydlata myśl, przenosząc mnie w dawne i dzisiejsze wieki Sycylii, dawną jej pychę, chwałę i potęgę obok dzisiejszej nędzy i nikkzemności stawiała. Czymże jest, pomyślałem, dzisiaj ta przemożna i kwitnąca wyspa? Gdzie są te możne rzeczpospolite? Gdzie te grody, z których krocie tysięcy wychodziło zbrojnych mężów, gdzie te świątynie ozdobione pędzlem Zeuxisa i Praxitela dłutem? Gdzie wielcy mężowie, co tę ziemię wślawili? Powie kto, że czas i najazdy wszystko zburzyły; lecz jak dawno najazdy i wojny ustały, jak dawno święty pokój panuje. Czemż nie wracają za-
możność, potęga i sztuki nadobne, co wszystko w ubóstwie i poniżeniu trzyma? Łatwa odpowiedź: z wolnością wszystko się wzniosło i zakwitło, z rządem samowładnym i feudalnym wszystko upadło. Zżałowiały żyzne niwy, zniknął handel, lud pogrążony w ciemnocie, a gdy oświeceni chcieli ten stan nędzy odmienić, nie znaleźli odwagi i wsparcia w ciemnych, zgniecionych niewolą tłumach; powstałi mocarze znad Dunaju i Wołgi i podniósłszy żelazne swe berła rzekli: „Nie wolno wam być wolnymi i szczęśliwymi, jesteście trzodą stworzoną, byście dla nas pracowali, dla nas cierpieli, na nasze skinienie wyrzynać się dali. Dla nas władza, potęga, bogactwa, dla was nędza i posłuszeństwo.”

Smutne te dumania przerwał szczęśliwie pasterz trzodę swą do zagrody goniący; ten nam ukazał drogę. Jeśli cień Archimeda unosił się naówczas nad dawną ojczyznę jego, jakże się zdziwił, że przyszedł czas, że północny wędrownik z kraju, którego nie znał nazwiska, deptąc po gruzach Syrakuzki błędzić i pytać się będzie, gdzie Syrakuzka.

Będąc tak blisko Malty, nie można było oprzeć się żądzy widzenia jej. Wypłynęliśmy w *speronadzie*; pierwszy raz doznałem, co to jest burza na morzu; po opisanie jej odsyłam do Virgilego: niebezpieczeństwo nasze tym było większe, im mniejszy, słabszy i łatwiejszy statek do zalania; ledwieśmy się schronili do najbliższej zatoki; tam przepędzili noc i dzień jeden. Ruszyliśmy znowu o północy, lecz znow burza przymusiła nas do szukania schronienia w Capo Pontano [?] miejscu niemieszkalnym i smutnym. Lubo zajaśniała pogoda i czas służył, kapitan przez bojaźń korsarzów angielskich nie śmiał się wyruszyć, jak nocą; wiatr pomysłny przed wschodem słońca jeszcze zaniósł nas do Malty.

Już od przyjazdu zadziwia wyspa ta potęgą twierdz swoich: potrójne i poczwórne krzyżujące się działobitnie w krótkiej chwili zgruchotać, zatopić by mogły okręt, chcący gwałtem wniknąć do portu: przecież szczęście i śmiałość Napoleona, słabość wielkiego mistrza Hompescha w 1797 łatwym uczyniły zajęcie tej wyspy.

Oddałem zaletne listy moje bailly Bellmont, który wieczorem zaprowadził mnie do w. mistrza, księcia de Rohan. Był to mąż pół wieku liczący, przystępny i miły. Daje mu się tytuł *eminenza*. Przyjmuje wieczorem, pokazując się trzy razy; raz dla kawalerów, drugi raz dla komandorów, trzeci raz na koniec dla *bailly*, najwyższych urzędników zakonu; każde pokazanie się nie trwa, jak dwie minuty, lecz między jednym i drugim pół godziny upływa. Mało jest na wyspie szlachty, i to ubogiej; lud już znacznie Afrykanów zarywa. Szczupła ta wyspa cała jest kredą pokryta; nie wydaje zboża, jak na trzy miesiące żywności, trochę bawełny, poma-

rańcz i owoców, przecież mnóstwo komandorów, bogatych *bailly* czyni ją bogatą i piękną. W kawalerach zbrojnych mnichów uważać można; też sama co w klasztorach wyniosłość i zazdrość: ubóstwo i ambicja sprowadzają kawalerów do Malty, albo żeby być żywionymi kosztem zakonu lub by wcześniej torować sobie drogę do wielkiego mistrzostwa. Bogaci komandorowie i *bailly* nie mający żon i rodziny, dla górzystości miasta nie mogący trzymać ekwipażów, dochody swoje obracają na stoły. Jakoż w biesiadach nigdzie podobnego zbytku widzieć nie można. Mając listy do najpierwszych urzędników zakonu, przez dni dwanaście pobytu mego codziennie od nich zapraszany byłem. Co wyspa sama, bliskie brzegi Afryki, Sycylia, Hiszpania, Francja najlepszego wydają, to wszystko na stołach ich widzieć można było. Zapisać powinienem osoby, od których tyle gościnności i uprzejmej grzeczności doznałem: generał galer Frelon, *bailly* d'Orace de l'Ostange, d'Ollómieng, de La Houssage, S. Romano, syn naturalny księcia Modeny, M. de Pierreverd, siostrzeniec sławnego admirała de Suffren; Pierreverd zginął w wyprawie pana de la Perousa. Zastałem tam dawną moją w Widniu znajomość, Ferdynanda Waldstein, co się później ożenił z Rzewuską, herszta targowickiego córką.

Łatwo sobie wystawić można, jaki jest ton kraju, w którym kobiety nie pokazują się w towarzystwie, gdzie tłumy dwudziestoletnich najwięcej Francuzów zbierają się razem. Raz, gdym jednego z nich wypytywał się o Malcie: „*J'aurai l'honneur – me repondit-il – de satisfaire votre curiosite en peu des mots. Les hommes sont sots, les femmes laides et malades, le pays Stenie ne produisant rien, beaucoup de jeunes gens qui s'ennuyent.*”

Pałac wielkiego mistrza obszerny bez okazałości, katedra piękna, posadzka jej cała złożona z flizów mozaiki florenckiej; każda z nich jest grobowym kamieniem jednego z kawalerów, imię i herb jego wyrażająca. Jest to duża otwarta księga śmierci.

Miasto portowe, gdzie mieszkał wielki mistrz, zowie się La Valette. Stolica wyspy, Melita, o kilka mil włoskich odległa. Wielki mistrz był tak łaskaw, iż przysłał karetę, by mnie i towarzyszków moich tam zawieźć. Miasto dość czyste i piękne, sławne grotą, w której św. Paweł mieszkał. Domy wiejskie wielkiego mistrza S. Antonio i Baschetto w pięknym położeniu. Widziałem tam lasek pomarańczowy, kwiat wonny, owoc smaczny, lecz wszystko mniej piękne jak nasze dąbrowy.

Le chevalier de Pierreverd zaprowadził nas do kolonii Indianów, których *bailly* de Suffren ściągnął z Indii Wschodnich do Malty dla zaprowadzenia tam uprawy bawełny i fabryki muślinów. Uderzyli mnie ludzie ci smagłą, ciemną, śniadą postacią swoją, doskonałym kształtem członków, rzadką pięknnością i ogniem dużych czarnych swych oczu; kobiety wcale ładne i ujmujące, lubiące ozdoby. Uszy, szyje, palce u rąk i u nóg obciążone kolczykami, łańcuszkami, pierścionkami. Pierwszy raz także zdarzyło mi się widzieć w Malcie żywych sępów i afrykańskie gazele, czyli kozy lotne niezmiernie. Siły zbrojne zakonu składają się dzisiaj z jednego okrętu od 60 armat, trzech fregat i czterech galer. Dwa razy do roku odprawują się wyprawy przeciw niewiernym, z małym atoli płonem. Wzięci w niewolę jeńcy traktowani są z ludzkością; po większej części służą u kawalerów, chodzą wolno, mając tylko około kostki u nogi żelazne łańcucha ogniwo. Piękny pułk piechoty, najwięcej z Francuzów złożony, składa Valetty załogę. Cały zakon dzieli się na rozmaite języki, jeśli dobrze pamiętam, następujące: Provence, Auvergne, France, Castille et Portugale razem, Arragon, Italie, Baviere et Pologne razem, Allemagne. Kawalerowie obierają wielkiego mistrza.

W Agrygencie spotkaliśmy tylko, w Malcie ściślej poznali z panem Cambel, bogatym Angielczykiem, jednym z najgrzeczniejszych ludzi, jakich mi się napotykać zdarzyło. Miał on z sobą malarza i antykwariusza. I on, i towarzysze moi korzystali z listów zaletnich, które z sobą z Neapolu i Palermu przywiozłem; wszędzie przeze mnie wprowadzeni byli. Pan Cambel, chcąc się odwdziżyć, ofiarował mnie i towarzyszom moim miejsce na najętym przez siebie marsylskim okręcie. Razem więc wróciliśmy do Syrakuzy i znów na tydzień usadzeni na kwarantanie. Mniej atoli jak zwykle kwarantana ta była nam przykrą. Pan Cambel był

światły, grzeczny, uczony, wesoły, mile z nim czas przechodził; piękny w postaci, młody, nie dziw, że miał wiele miłosnych awantur; godny pamięci bilet Wenecjanki jednej do niego w tych krótkich słowach: „*Capriccio mi prende, voglio parlarti, disponete de l'oro.*” Nie zdarzyło mi się później w dalszych podróżach moich napotkać go; wdzięczne zachowałem wspomnienie lubego charakteru jego.

Powtórna w porcie Syrakuz odprawiliśmy kwarantanę na przeciwnej pustej [stronie] wysypki Ortygii, gdzie musiała stać dawna twierdza Płymarenia; wolno nam było chodzić po tej wyspie. Acz w połowie listopada, dzień był tak piękny i ciepły, jakiego wśród lata u nas rzadko jest widzieć; poszedłem więc z antykwariuszem pana Cambel przechadzać się po tej niegdyś gmachami okrytej wyspie. Długo chodząc wśród gruzów, postrześliśmy kamień wyniesiony nad trawę: odwaliliśmy go i z radością wniknęliśmy do grobu postrzeegli; spuściwszy się weń, znaleźliśmy miejsca na trzy urny; grób ten okrągły miał 10 stóp diametru, 5 wysokości. Jakież popioły zawierał? gdzie się one podziały? tam, gdzie popioły tych, co ziemię tę deptali, co tymże co my w tej chwili oddychali powietrzem, gdzie popioły Pyrrhusa, Annibala, Marcella, Archimeda etc. złączyły się z żywiołami i w inne przeszły twory. Dalej idąc znaleźliśmy wiele pięknych ułomków marmurów, kawałek nawet posadzki. Pewien jestem, iż rząd nie tak gnuśny i niedbały, jak jest dzisiejszy, kopiąc w tych miejscach wielkie odkryłby skarby; lecz jakże ma się tym trudnić, gdy zaniedbuje ważniejsze źródła bogactw, gdy wszystko pod fiskalnością i monopoliami, gdy zboża bez okupionego pozwolenia sprzedać nie można, gdy nie dozwolono uprawiać trzciny cukrowej dlatego, iż gdyby miano własny cukier, dochody z sprowadzonego zmniejszyłyby się.

Z niemałym żalem rozstaliśmy się po skończonej kwarantanie z grzecznym panem Cambel i znowu wzięwszy *speronadę* puściliśmy się do Taurominium. Ludne to niegdyś miasto ledwie dziś 2000 dusz zawiera; z jednej strony niezmiernie czarne otaczają ją skały, z drugiej posepna, kurząca się Etna. Największą tu ciekawością jest najlepiej dotąd zachowane teatrum; na wszystkich innych pozostających nie dostaje proscenium, tu zachowana całkiem niewielka scena, lecz obszerne w gradusy amfiteatrum dla widzów. Wolne niegdyś Grecji i Sycylii miasta zapraszały się nawzajem na dawane przez nie widowiska publiczne; cnota gościnności nie tylko między prywatnymi, lecz i między ludami świętą była, zmacniała związki przyjaźni, podwajała słodycz życia. Przenosiło się miasto do miasta, w festynach i wesołości trawiono chwile bez żadnych przeszkód i podejrzeń; dziś niech jeden cudzoziemiec przybędzie, iłoż otoczony szpiegami: tysiące zbrojnych drabów nie dosyć podejrzliwych zabezpieczają. Lubo już był 18 listopada, tak było ciepło, iż kapaliśmy się w morzu.

W nocy rozwinęliśmy żagle, pomyślny wiatr szybko nas do Messyny posuwał. Nie zapomnę nigdy tej nocy. Drżące firmamentu gwiazdy przeziebrały się w niebieskiej morza przestrzeni; po lewej ręce czarne skały Sycylii, po prawej Kalabria i nad przepaściami Scylli i Charybdy błyszczące się w Reggio światelko; przede mną sterczące gruzy, przed kilka miesiącami trzęsieniem ziemi zwalone: ileż te wszystkie widoki budziły uwagę i uczucie, mógłże sen osiąść na moich powiekach!

Widok obalonego trzęsieniem ziemi grodu strasznym jest dla wszystkich, cóż dopiero dla nieprzyzwyczajonego do podobnych nieszczęść mieszkańca północy. Nad pysznym portem Messyny stał jeszcze w półkłęgu rząd pięknych gmachów, *palazzo* tu zwanych, lecz górne ich piętra, strącone, zawały ulicę; w gmachach tych, w obalonych świątyniach widać jeszcze było na pozostałych polach malowania *al fresco*, tu i owdzie złociste ozdoby, wszędy smutek i pomieszenie. Najbogatsi panowie mieszkali w drewnianych, naprędce wystawionych budach; tam przy wieczornych zgromadzeniach słyszałem nieraz gitarę i smutne sycylijskie pieśni, których treścią było trzęsienie ziemi. Okropna ta klęska ugodziła Sycylię i Kalabrię dnia 5 lutego 1783. Znajdziesz dokładne opisanie jej w dziele kawalera Dolomieu i wielu innych.

Przeciwnie wiatry przymusiły mię wśród tych smutnych zwalisk przez dni 10 pozostać. Messyna jest jednym z najhandlowniejszych miast w Sycylii. Wyprowadza zboże, oliwę, wi-

na, jedwab, owoce, mannę zwaną *culabriną*; mannę tę wydaje drzewo, sącząc przez nacięcia gumę, używaną w lekarstwach. Owoców takie mnóstwo, iż skrzynia cytryn, 1400 zawierająca, sprzedaje się po 10 florenów polskich; lecz nieludność, brak dróg w całym królestwie, fiskalność, monopolium na ryby nawet gniecie przemysł, mieszkańców w lenistwie i ubóstwie trzyma. Dnia 28 listopada powstał wiatr pomyślny; szczęśliwiej niż Ulisses przebyłem Scyllę i Charybdę; obudzono nas w nocy, by widzieć wulkan Stromboli, jak fuczał, jaki gorejący bez przerwy. Nie z góry, lecz z boku wybucha pąsowy strumień płomieni i wijąc się po czarnej lawie, jak gdy hartują żelazo, z rzyganiem wrzuca się w morze.

Nazajutrz po prawej ręce ujrzelśmy wyspy Lipari, wydające siarkę, wina zwane małwazje, rodzynki małe i duże, figi, przewyborne melony. Tu interesujący uderzył mnie widok: dwa białe gołębie wiatrem daleko uniesione od brzegów, zmordowane, już by były zginęły, gdy pływająca po morzu deska poddała im ratowania się sposób; usiadły więc na nią; rozshukane fale, podnosząc je i zniżając, spieszenie ku łądom pędziły: jak gdyby dwóch kochanków, Opatrzność i te ptaszyny strzegła.

Wyplłynawszy z golfu Policastro, postrzegliśmy wkrótce wyspy Caprę, Procidę i Ischię. Dnia 30 listopada zawinęliśmy na koniec do Neapolu; po 24-godzinnej obserwacyjnej kwarantanie wysiedliśmy na brzegu; z jakąż radością znalazłem tu przyjaciela mego, pana Józefa Szymanowskiego.

*O qui complexus, et gaudia quanta, fuerunt
Nil ego contulerim iucundo sanus amico.*

Lubo pierwszą bytnością oglądałem już Neapolu ciekawości, chęć jednak pozostania dłużej z przyjacielem, od zimy słodkie nad wyrazy miasta tego niebo skłoniły mnie miesiąc tu jeszcze zabawić. Raz jeszcze obszedłem z przyjacielem Neapol. W dzień św. Adama, imieniny wspólnego mecenasa naszego, księcia generała Czartoryskiego, generała ziem podolskich, daliśmy sobie małą ucztę w Pompei; nigdy Pliniusz, co tutaj zginął, święta Trajana nie obchodził radośniej; był z nami ksiądz Manugiewicz, dzisiejszy biskup sufragan warszawski. Chodziliśmy często na sądy neapolitańskie; nigdzie sprawiedliwość gorzej sprawowaną nie jest: możniejsi panowie wasalów swoich na urzędy sędziów promowują; każdy szlachcic w feudum swoim jest królem, ma prawo nad wasalami swymi życia i śmierci. Częste są sprawy o przemycania, wszystko bowiem, nawet śnieg na górach, jest pod monopolium.

Będący w Neapolu o Bożym Narodzeniu nie powinien opuścić widzenia przepiów, czyli po naszymu jasełek. Niegdyś pierwsi panowie, dziś tylko bogaci kupcy ubiegają się w przepychach. Kosztują niektóre do 4000 dukatów; wystawiają one Betlejem z okolicami onego; cały pejzaż, skały, lasy, łąki, zdroje, figury 3 królów, pasterzy, aniołów najdoskonalej są utworzone.

Przy końcu grudnia porzuciliśmy rozkoszny Neapol i puścili się na karnawał i na post wielki do Rzymu. Znalazłem w tym mieście wielu rodaków, panią Grabowską, ulubioną królowi, z piękną jej córką, później panią Krasicką, i siostrzenicą, panią Gutakowską (obydwie w kwiecie młodości zeszyły), państwa Raczyńskich i wielu innych. Obchodziliśmy i objeżdżaliśmy razem ciekawości *extra et intra urbem*. Prezentowałem się kardynałowi de Bernis, posłowi francuskiemu. Dom jego był najokazalszym w Rzymie. Służył on (jak się mówi we Włoszech) księżnie Santa Croce, znanej z zalotności swojej. Raz w poufałości zapytał jej kardynał: „*Cara principessa, dite mi il vero, quanti amanti avete avuto?*” Przez dziesięć minut myślała księżna chcąc wierną liczbę podać, rzekła na koniec: „*Quarante sept, tous heureux*” Rząd papieski jest wielce łagodny, a w obyczajach aż nadto pobłażający. Nigdzie nie widziałem w duchowieństwie większej rozwiązłości jak w stolicy wiary. U tego to kardynała znajomy mój abate Bargiani ciekawą o zeszyłym papieżu Ganganellim powiadał mi anegdotę. Sprzysiężenie jezuitów w Portugalii przeciw życiu królewskiemu, intrygi ich od tylu wieków po Hiszpanii i

po innych dworach w taką niespokojność wprawiły królów i ministrów, iż serio o zniesienie zakonu tego u papieża starać się zaczęli. Minister hiszpański Monino, znany później pod nazwiskiem Floridablanca, naj usilniej o to nalegał, a znając, iż mnich Buontempi całą ufność u Ganganeilego posiadał, ujął go i przez niego bullę skasowania zakonu tego wyjednał. Lecz wkrótce, bojąc się zemsty niebezpiecznego zakonu, bullę chciał cofnąć, lecz już wysłaną była. Od tej chwili papież trwożyć się zaczął, zdawało mu się widzieć św. Ignacego grożącego mu zemstą, zdawało mu się, że widział na Monte Cavallo siedzących na dachu jezuitów płomień na niego zionących. Uczuł na koniec boleście w kiszki i czy był, czy się mniemał być otrutym. Król hiszpański, dowiedziawszy się o tym, przysłał mu lekarstwo na truciznę, wielkie sprawiające poty; nie przestając na tym czynił papież gwałtowne przechadzki, głowę nawet palił na słońcu; było to nadto na osłabionego 70-letniego starca. Po pięciu miesiącach choroby wyzionął życie jeden z najlepszych i najoświecześniejszych papieży.

W Kapitolium dwie starożytne rzeźby najwięcej mnie uderzyły. Wilczyca, karmiąca Romulusa i Rema, z brązu, z znakiem piorunu na udzie, taż sama, która w dzień śmierci Cezara przez piorun była rażoną. Sarkofag z najdowcipniejszą w płaskiej rzeźbie alegorią, wyraża ona bieg życia ludzkiego: Prometeusz tworzy człowieka, Minerwa wkłada mu duszę pod postacią motyla, podczas gdy Urania uważa, pod jaką rodzi się planetą. Jutrzenka i Zachód oznaczają wschód i zmierzch życia człowieka. Diana, bogini nocy, wyjmując z głowy jego motyla, rozdziela duszę z ciałem, Merkury, z kaduceum w ręku, jedne dusze wpycha do piekieł, drugie do niebieskich mieszkań porywa. Wyznać należy, iż religia pogan, acz ze wszech miar fałszywa, była jednak wielce poetyczną.

W zapusty otworzyły się teatry; nie wolno w Rzymie kobietom wstępować na nie: zastępują je nierównie więcej gorszące twory, to jest rzeźby; w operach, komediach, baletach wszystkie role kobiet udawane są przez nich; twory te żadnego rodzaju, nie czyniąc żadnej iluzji, okrutne ich tylko przypominają kalectwo.

Z prawdziwym żalem przyszło mi porzucić Rzym, niegdyś panią świata, zbiór tyle wielkich wspomnień i dziś przez te wspomnienia, przez drogie swoje ostatki, przez wzory wszystkiego, co jest najpiękniejszym w sztukach, miłe dla lubiącego dumać siedlisko. Miasto nie-ludne dziś i spokojne, poświęcone pysznym obrządkom duchownym i sztukom. Ileż razy zdarzyło mi się w dni letnie przechodzić najpierwsze ulice, nie spotkać nikogo, nie usłyszeć głosu żadnego, [tylko] pracę słabego uderzenia dłuta, co bóstwo jakie wywodziło z marmuru. Tu przynajmniej sztuki piękne, pyszne ostatki, słodkie nieba cieszą mieszkańca Rzymu z utraconej dawnej wielkości; lecz cóż pocieszyć może Polaków? Zboczyłem z drogi, by widzieć sławny spad wody w Terni. Włosi niejakaś chlubę narodową przywiązują i kiedy ujrzą cudzoziemca, to mu czynią pytanie: „*A veduto la maraviglia?*” Piękna tam jest dzikość położenia, wspaniały zrzut wody, lecz w ogromie jakaż z Niagarą różnica!

Acz późno nad wieczór przybyłem do Spoleto, nie mogłem przewieść na sobie, bym nie odwiedził ziomka mego, pana Potockiego, który na wysokiej skale między pustelnikami reguły św. Izydora obrał sobie mieszkanie. Z wielką trudnością przykrymi ścieżkami wdrapałem się na skały te. Co za widok zachwycający! Z jednej strony u spodu otwarte na kilkanaście mil uprawne żyzne krainy, z drugiej góry cyprysami i jodłami okryte; kościół i domy pustelników dość oddalone od siebie. Pustelnicy ci żadnej nie podlegają regule. Każdy, otrzymawszy pozwolenie, zajmuje domek z ogródkiem, uprawia go, żyje ze swego. Nie potrzeba być duchownym, żeby tam być przyjętym. Sześciu, z rozmaitych narodów, znajdowało się wówczas na tej pustyni. Niesmak nawałności światowych, poznanie jego próżnością żądza spokojności u portu życia sprowadza tam długo burzami miotanych. Czemuż we wszystkich krajach nie ma podobnych zgromadzeń. Przez dwa dni zatrzymał mnie Loret; ksiądz Laudanowski z powiatu pińskiego pokazywał mi święte miejsca tego ciekawości i skarby. Był on penitencjariuszem narodu naszego; nauczył on mnie, iż ksiądz Cywiński, pierwszy penitencjariusz polski, przybywszy do Loretu w połowie szesnastego wieku, z hojnych jałmużn panów pol-

skich zakupił grunt, na którym zasadził winnicę. Wyborna na nim muszkatela czyni 3000 florenów dochodu; ten na opatrzenie pielgrzymów naszych jest obracany. Opuszczając wyliczanie niezmiernych bogactw, w drogich kamieniach, złocie i srebrze, znajdujących się w Lorecie, o tych tylko namienię, które królowie nasi i panowie przysłali. Statua mała św. Władysława przez Władysława Warneńczyka przysłana. Duża lampa srebrna, piękną robotą zrobiona, przez Zygmunta III. Dwa ornaty, całe pięknymi szyte perłami, przysłane przez Jana Zamoyskiego, chorągiew wielkiego wezyra przez króla Jana pod Parkanami na Turkach zdobyta. Chorągiew ta, przez śp. generała Dąbrowskiego wzięta, znajduje się dzisiaj w domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

Postępując dalej pięknym krajem, nadbrzeżem Adriatyckiego Morza, widziałem piękne miasta o dwie mil polskich zaledwie odległe od siebie. Ankona zamożna handlem swoim, ozdabiana jak najlepiej zachowanym dotąd łukiem tryumfalnym z białego marmuru Trajana. W Senigallia (Sena Gallica) przyszedł do mnie jegomość w węgierce, z złotymi potrzebami; poznałem, że Polak, pytałem, kto by był, odpowiedział, że Kosiński, ten sam, co porwał w r. 1772 Stanisława Augusta, strzegł go potem w młynie marymontskim i życie mu ocalił. Stanisław August wyznaczył mu dość znaczną pensję i w Senigalii osadził. Człowiek ten, niskiego urodzenia, był najprzód masztalerzem u generała Wodzickiego, poszedł potem do konfederacji, podjął się zuchwałego czynu; nie dosyć jednak zakamieniały, by się wymowie królewskiej zmiękczyć nie dał, nie spodziewał się on nigdy pędzić resztę życia pod szczęśliwym Auzonii niebem. Włosi, widząc go dobrze ubranego i nic nie robiącego, mniemali go być szlachcicem i nazywali: *Signore conte* Kosiński tytuł ten przyjmował. Przeżył on króla, a nie odbierając pensji wrócił do Warszawy. Książę Józef Poniatowski wiernie mu ją wypłacał; umarł w r. 1822.

Wyborny jest sposób wędrowania po Włoszech weturynami, czyli furmanami; jedzie się powoli i kraj dobrze uważa; kiedy furman popasa muły swoje, podróżny ma czas obejrzeć ciekawości miasta, pomówić w kafenhauzie z pędzącymi tam życie Włochami, zasięgnąć od nich wiele miejscowych wiadomości. Włosi niezmiernie są dla cudzoziemców grzeczni; wielu uczonych, dobrze kraj swój znających, łatwo nauki swej udziela.

Do Rimini, niegdyś Ariminum, wjeżdża się piękną tryumfalną; bramą, wystawioną na cześć Augusta; miasto to, dziś dalekie od morza, było niegdyś [jednym] z przedniejszych portów Rzeczypospolitej Rzymskiej. Widać stąd na wysokiej górze miasto i małą Rzeczpospolitą San Marino. W wieku, gdzie zawziętość na: wolność i niepodległość żadnemu ludowi wrodzonych praw tych używać nie dozwala, gdzie Wenecja i Genua poszły pod jarzmo, gdzie Szwajcary obcym rozkazom ulegać muszą, zakątek wolny San Marino świętą jest ciekawością; chciałem już wówczas tym dziś jedynym wolności relikwiom cześć moją oddać, lecz był to marzec, śniegi tak nawalnie zasłały drogi i góry, iż w żaden sposób dostać się na szczyt ich nie mogłem. Na kilka mil włoskich przed Ceseną przejechałem most na rzece Pisatella, był to niegdyś sławny Rubicon, z wzdargą zakazu senatu rzymskiego przez Cezara przebyty. Jakież okropne wojny krok ten jeden sprowadził; podeptana nim wolność rzymska już się nie podniosła więcej. Równie sławną jak Rubikon będzie Berezyna nasza; w jej to topieliskach ugrzęzła na długo niepodległość narodów.

Przejeżdżając przez Lombardię coraz bardziej czułem ostrość północniejszego klima: choć przy końcu marca, wszystko było pod śniegiem; w Pannie oddałem hołd nieśmiertelnym dziełom Correggia. Jakże dziś smutna Ferrara; kędyż wiek zalotny Ariostów i Tassów. Jak niesprawiedliwym dla ojca chrześcijaństwa gwałtem oddalił Klemens VII ród Estów, by księstwo to sobie przywłaszczyć. Jakże żyzny i uprawny jest Piemont; wołałbym tę szczupłą krainę nad całe carstwo moskiewskie. Turyn, jak gdyby pod sznurem w jednym dniu budowany, zachwyca pięknością swoją. Jak niegdyś Rousseau, poszedłem do kaplicy królewskiej słuchać mszy i przewybornej muzyki; widziałem całą rodzinę królewską; król, dobry i dbały o dobro ludu, powszechnie jest kochanym. Widziałem kościół Superga z grobami królów o pięć mil

od miasta postawiony. Widok na Alpy i Włochy zachwycającym jest. Czemuż tak piękna, tak sławna kraina, podrobiona na części, jęczy pod obcym berłem!

Potężna Napoleona ręka nie zniżyła była jeszcze Gór Alpejskich, nie uTORowała drogi Simplonu: trzeba się było drzeć po tych Alpach, przebywać przykrą górę Cenis, przebywać ją wśród śniegów i wiatrów. Przecież dnia 2 kwietnia 1785 puściłem się w tę podróż na mułach. Padał śnieg gęsty, dał mroźny wichur, nieraz grożący w okropną zdmuchnąć nas przepaść. Przebyliśmy wieś La Ferriere i miejsce La Grave Croix, jest tam gospoda dla ogrzania podróżnych, dalej kościółek ze szpitalem, gdzie zmarłych lub zawałonych śniegiem podróżnych chowają; tu wśród nocy wysłuchawszy mszy – zamiast chórowych pień dęcie tylko słychać wiatrów – od miejsca *la ramassaie* zwanego wsadzono nas na małe saneczki i spadem góry zrzucono na dół; sanki moje zaczęły już zbiegać na bok; skoczyłem z nich, przewodnik uchwycił mnie, porwał na górę i tym od śmierci wybawił. Sama młodość mogła być tyle trudów wytrzymać. Dziwiłem się patrząc na mieszkańców tych lodowatych, nierodzajnych skał, jak gdy tyle żyznych krain niezamieszkałych na świecie, tu ludzie mieszkają. P. Condamine liczy wysokość góry Cenis 1490 sążni, Mont-Blanc 2426.

Przejechałem ubogą Sabaudię, spotykając kupy Savoyardów z małym zarobkiem swoim powracających do progów ojczystych. W miasteczku zwanym Pont Beau Voisin wjechałem do Francji.

Rozdział jedenasty

Francja i Anglia

Dnia 7 kwietnia 1785 wjechałem na ziemię francuską, do prowincji Delfinatu; po górzystych Włochach mile ujrzałem się w równinach, przypominających mi położenia kraju mego: gdzieś tam nawet dwory podobne do mieszkań naszych szlacheckich. Najwięcej uderzyła mnie na samym wstępie do kraju tego powszechna grzeczność Francuzów, w najniższych nawet klasach. Jest to zapewne mniej skutkiem wrodzonej uprzejmości jak wyższej cywilizacji i starannego z dzieciństwa wychowania. Na wszelkiej usłudze nie kosztującej pieniędzy polegać możesz u Francuzów. Po drogach, ulicach, sklepach, wszędy ochoczą grzeczność i uprzejmość spotykasz, nie znajdziesz tego w ludzie naszym; nie jest on zapewne pośledniejszym w dobroci duszy, schodzi mu na wyższej cywilizacji i wychowaniu.

Lyon, drugie we Francji miasto, zamożne przez jedwabne fabryki swoje, ma piękne gmachy, plac Bellecour obszernością swoją przechodzi wiele innych. Zastałem tam pana Gilibert, który w akademii wileńskiej katedrę historii naturalnej i botaniki zapełniał. Rad był mnie widzieć; spędziliśmy wieczór jak dwaj ziomkowie, wielkie bowiem uczony ten człowiek przywiązanie zachował do Polski. Znany jest z dzieła *Flora Lithuanica*. Z Lyonu nająłem do Paryża *diligence* za 100 franków, oprócz bagażu; ten płaci się osobno i drogo. Sposób ten podróżowania, acz utrudniający nieco, wielce jest dla cudzoziemca przyjemnym i pożytecznym. Powozy te są zawsze napełnione ludźmi świątymi i tak wiele znającymi kraj swój jak żadnej nie mającymi wiadomości o obcych. Francuzi najłatwiejszym są do zaznajomienia się ludem i nim do nich przemówisz, już gotowi całe życie swe opowiedzieć tobie; zwracając ich od tej gadatliwości do rozmów ważniejszych, wiele się można od nich nauczyć; przejeżdżałem przez Chalon, Auxerre, Autun, Melun, i Sens, kraj piękny, żyzny, lud przemyślny, choć uciśniony. Wszystkie bowiem ciężary publiczne z wyłączeniem próżnej i próżnującej szlachty na lud pracowity zwalono. Jakże okropnie za tę niesprawiedliwość pomścił się lud ten, lecz pycha, zapamiętałość, upór szlachty nie chciały tego przewidzieć, nie chciały temu zapobiec.

Jechaliśmy mimo umajonego pięknymi gajami Fontainebleau, mieszkania wiejskiego królów francuskich, pamiętnego zręczeniem się w tym miejscu korony Napoleona, pamiętnym wiernością rycerstwa naszego, które nieszczęśliwego do ostatka nie opuściły. Coraz gęstsze wsie, zamki, ogrody zapowiadały bliskość stolicy.

Jakież były poruszenia moje wjeżdżając do grodu, którego z pierwszej młodości mojej nauczyciele moi francuscy jak stolicę świata uważać mi kazali; literatura, piękne sztuki, teatry, społeczeństwa paryskie, wszystko to przez metrów moich, przez damy nasze brane było za najdoskonalsze na świecie wzory. I ja, niegodny, przybliżałem się na koniec do tego wszystkich doskonałości przybytku; jakże się okaże dzikim, głupim, niezgrabnym. Napełnionego tą trwogą, wielki poszostny korab, czyli *diligence*, dnia 16 kwietnia 1785 nad wieczór wwiózł mnie do Paryża. Uderzyły mnie wysokość domów, tłumy snującego się ludu i wśród błota na ulicach zalatujące zapachy z sklepów perfumów *jonquille* i *frangipane*. Stałem rue Traversiere w hotelu Richelieu. Nazajutrz ujrzałem ulicę moją napełnioną karetami i ludem, tłoczyli się wszyscy do jędrnego naprzeciw domu. W domu tym leżały obumarłe zwłoki rządzącego niedawno Francją ministra, księcia de Choiseul. Lubo w niełasce u dworu, miał on za sobą całą opinię publiczną; pierwszy raz opinia ta tak śmiało wbrew iść dworowi odważyła się. I jam go szczerze żałował; gdyby był księżę Choiseul został w ministerium, biedna ojczyzna moja rozszarpaną by nie była.

Nie będę opisywał ciekawościów Paryża; wszyscy w nim byli lub o nim czytali. Czas nagli mnie do bliżej tyjących się kraju mojego zdarzeń. Zapiszę tylko pokrótce niektóre uwagi i zdarzenia, sławiące Paryż w różnej wcale jak dzisiaj postaci.

Zawrót wędrówki do Paryża nie był jeszcze powszechnym u nas; mało ziomków zastałem w nim, między innymi mieszkającego tam prawie Potockiego, starostę urzędowskiego, Życzynskiego i Bielawskiego, którego szal rymotwórstwa i zalotności tak śmiesznie sławnym później uczynił. Miło mi było ujrzeć tam, dawnego profesora mego u kadetów, mr Dubois. Był on ochmistrem u państwa Rosambo, którzy w okropnej rewolucji głowy pod miecz katowski oddali. Sama pani Rosambo była córką sławnego pana de Malesherbes, co tak chwalebnie bronił nieszczęsnego Ludwika XVI. Pan Dubois, najśłodszy, najlepszy człowiek na świecie, poznał mnie z niektórymi uczonymi i zalecił pani Fanny de Beauharnois, autorce romansu *Stefania* i wielu innych, co poniedziałek dającej dla uczonych obiady. Przyjęła mnie z zwykłą Francuzom grzecznością i na przyszły poniedziałek zaprosiła.

Jestem z natury nieśmiały, najmniejsza zarozumiałość zawsze daleką była ode mnie; z niewypowiedzianą więc trwogą zbliżałem się do pani Beauharnois, rue du Sac, na ten obiad uczony. Jakże – myślałem sobie – ja, niegodny, tak tępy, tak mało uczony, znajdę się w poczcie tylu zawołanych dowcipów: wchodzę, zastaję pana le Mercier, autora wielu tragedii, pana d'Arnaud, co *pisał* *Le Comte de Comminge et Les Epreuves du sentiment*, pana Bitaubee, tłumacza Homera, mr, jeśli się nie mylę, La Bretomere, który dowodził, że wszystkie ma świecie języki pochodziły *du bas breton* Le chevalier de Cubieres, wielu innych, których nie pamiętam. „Mr Niemcewicz” – rzekła pani de Beauharnois przedstawiając mnie tym panom; nawiasem spojrzano na mnie i skłoniono się. Wkrótce dano do stołu. Natężyłem uwagę, otworzyłem uszy moje, by słuchać mędrców wyroków. Niepotrzebnie atoli. Mało się odzywając uczeni ci zajadali i pili lepiej ode mnie. Przy końcu dopiero uczy zaczęto rozmawiać; rozmowa ta była wzajemną zamianą, handlem wzajemnych pochlebstw i komplementów. Pani domu, hrabina Beauharnois, była drugą Sapho; zaproszeni goście nieśmiertelnymi przez dzieła swoje. Uważałem i wtenczas, i później, iż ten był ton społeczeństw francuskich; skutek wrodzonej w tym narodzie próżności i wygórowanej cywilizacji; nicht pochlebstw tych całkiem za gotowe pieniądze nie bierze, miłość atoli własna część ich za należytość swoją uważa. Nic nie powiedzieć, co by kogo zmarszczyć tylko mogło, i owszem, pełną garścią sypać pochlebstwa gładkie, dowcipne, to jest, co Francuzi nad wszystkich umieją. Wymienne zadowolenie handel ten grzecznych oszukiwań powszechnym i kwitnącym czyni.

Hrabina de Beauharnois, stryjenka tego, co później był wicekrólem włoskim, już i wtenczas była niemłoda, nie chciała atoli przypominać tego; zawsze modnie ustrojona, potężnie wyróżzowana, trawiła nocy na pisaniu wierszów, większą część dnia na spaniu. Wiersze jej nie były najlepsze, stąd zoil jakiś napisał na nią, jeśli dobrze pamiętam, coś na kształt tych wierszów:

*Fauny aussi belle, que sage,
A cependant deux travers,
Elle fait son visage
Et ne fait point des vers.*

Małą tą śmieszność nagradzała pani Beauharnois pięknymi duszy przymiotami; dobra, przyjacielska, ludzka; w różnych później odwiedzeniach moich Paryża zawsze równie uprzejmą, zawsze życzliwą trwała dla mnie. Prócz obiadów dawała ona wieczory, zawsze atoli bez kobiet. Te były wielce przyjemnymi: jak niemało Francuzek, posiadała ona sztukę opowiadania, historie jej i anechdoty, może wiele razy od innych słyszane, przyjemną były dla mnie nowością. Raz zacząwszy opowiadać historię jedną przerwała ją raptem i po chwili zamyślenia: „*Cette histoire* – rzekła – *appartient a Madame Dubocage.*” Zdziwiony zapytuję

po cichu pana de Cubieres, co by to znaczyło. „Trzeba, żebyś wiedział – poszepnął mi – że pani Beauharnois i Dubocage podzieliły między siebie wiele dowcipnych historii i że tych, które pani Dubocage opowiada, pani Beauharnois opowiadać nie wolno, i tak nawzajem”; a tak błyskotki nawet dowcipu mają wyłącznych właścicieli swoich.

Zmordowawszy pamięć oglądaniem biblioteki, galeriów, muzeów, lubiłem przechodzić się po Tuileries. Raz, gdym się tam po prawej stronie ogrodu przechodził, zbliżył się do mnie stary kawaler św. Ludwika. „Widzę – rzekł do mnie – że jesteście cudzoziemcem, ostrzec więc was muszę, iż na wiosnę przechodzić się należy stroną ogrodu od rzeki, latem tylko tu, gdzie chodzisz, oddalacie się więc stąd, gdyż sztych z was będą”; podziękowałem mu za przestrożę. „Możeszli być – pomyślałem sobie – by niewoli mody i w przechadzkach nawet poddawać się należało?”

Palais Royal z młodymi, po wycięciu dawnych, drzewami, z nowymi, ładnymi, lecz nie wspaniałymi budowlami, jest jedynym miejscem na świecie. Na dole znajdziesz wszystkimi, co pomyślisz, towarami napełnione sklepy. Pod wystawami wokoło i w ogrodzie chaos wszystkich narodów, wieków i stanów, tłum lubieżnych, sprzedajnych dziewcząt i młodzież kupująca rozkosz. Nie wiem, czy w świecie jest drugie miejsce podobne.

Dnia 15 maja jeździłem do Wersalu, by widzieć dwór cały i uroczystość orderu św. Ducha. Odprawiłem podróż tę w dużej karecie; towarzysze moi szczebiotali cały czas; była z nami jedna Francuzka z ulubionym swoim, ten trzymał na palcu ulubionego jej kanarka. Cała kompania nie rozmawiała, jak o rozkoszy z widzenia wkrótce króla i rodziny jego, śpiewano piosnki, kazano nawet śpiewać kanarkowi *pour la sante du roy, du dauphin, des mesdames, de mgr le duc de Normandie*. Któż by powiedział, że siedm lat nie upłynie, a lud ten, tak wesoły, tak letki, tak uwielbiający panujących nad sobą, najokropniejszych nad nimi dopuści się zbrodni. Lud francuski jest to wielki skład saletry i prochu, leży długo spokojny, lecz jedna iskra zamienić go może w nieuhamowany pożar.

Nienasyceń nigdy Francuzi wpatrywaniem się w króla swego tak się tłumnie zjechali, iż ledwie w kaplicy dość miejsca znaleźć mogłem, bym i ja, cudzoziemiec, mógł spojrzeć na niego: wspaniałe są ubiory kawalerów orderu św. Ducha. Król z bracią swymi, Monsieur i le Comte d'Artois, siedzieli na krzesłach; król, już niezmiernie otyły, zasypiał często: *les badauds francois* każde ruszenie jego pilnie uważali unosząc się nad wszystkim. Nie słychać było, jak poszepty: „*Le roy se mouchie, le roy parle a Monsieur, le roy croise ses jambes, le roy s'endort*”; któż by był naówczas powiedział, iż w siedm lat później tenże sam lud, z taką czcią uwielbiający króla iswego, na morderczy zgon jego z obojętnością patrzeć będzie.

Opuszczam wspaniałość gmachów i ogrodów wersalskich. Cienie wielkich mężów i sławnych za Ludwika XIV piękności jeszcze się w nich przechodzić zdają. Po obiedzie byłem w kaplicy królewskiej na nieszpórach, król całe je przespał. Zadziwił mnie książę Orleanu, ojciec źle sławnego Egalite, niezmierną otyłością swoją. Wtenczas dopiero dowiedziałem się, że kardynał książę de Rohan, jako wielki jałmużnik celebrować mający, już ubrany w kapłańskie szaty i wychodzący do mszy zaaresztowanym został. Powodem do tego niepojęte, płocne, niezgodne z wiekiem i dostojeństwem wdanie się w konszachty z awanturnicą jedną i wplątanie w to królowej. Życzący historię tę wiedzieć niech czytają pamiętniki de l'abbe Georgel, madame Campan i inne. To pewna, że awantura ta obruszyła wielce publiczność na królowę, do wzgardy tronu i tragicznych później wypadków wielce przyczyniła się. Ku wieczorowi wyszedłem z drugimi do ogrodu, by widzieć delfina i Madame. Czekaliśmy długo; otworzyły się na koniec dolne podwoje, wypadł chłopczyk 5 lat mający, w majtkach, orderze św. Ducha i św. Ludwika, trzymający kota pod pachą; z nim siostra jego, dziś madame d'Angouleme. Francuzi jęli płakać *en voyant cette douce esperance de la France*. Niestety! jak smutnie zawiedzione nadzieje.

Już wtenczas widzieć można było, jak nieuważa i letkość króowej słały drogę do smutnych zaburzeń. Kupiła ona od księcia Orleanu St-Cloud, pospolitowała się nadto, grając *en comite*

secret komedię, zamykając się *en Petit Trianon* z panią de Polignac, mme de Vaudreville i kilku wybranymi.

Nie opuściłem nic, co było godnego widzenia w Paryżu; szczupłe zapasy moje nie pozwalały mi pokazywać się ni u dworu, ni w pierwszych towarzystwach. Chęć poznania wybornych dzieł Rasina, Cornela, Moliera często mnie prowadziła na teatr; by chęci tej dogodzić, musiałem pierwszym ujmować potrzebom; i tak chodziłem do małej gospody na obiad po 22 *sols*, by tego wieczoru być na teatrze: wstrzemięźliwość zbawienną była i workowi, i zdrowiu.

Tak wiele w młodości mojej mówili mi Francuzi o niesłychanym wrażeniu, jakie mi uczyni *le premier coup d'archet du Grand Opera*, iż gdy przyszedłem widzieć wielką operę Armidę z muzyką Glucka, to pierwsze przeciągnięcie smyczka niewiele mnie uderzyło; mniej jeszcze, przyzwyczajony słuch mając do włoskich głosów, zachwyciły mnie wrzeszczenia p. Cheron, Legros, Rousseau. Podobało mi się granie pani St Huberty; ona to pierwsza wprowadziła na teatr ubiory prawdziwie greckie. Naśladował ją Larive, na teatrze francuskim wydoskonił bardziej nieśmiertelny Talma. Jeśli mi się nie podobało śpiewanie francuskie, zachwyciły mnie dekoracje, ubiory, tańce. Już wygnane ze sceny rogówki, z którymi nie tylko kobiety, ale mężczyźni nawet niedawno grywali i tańcowali.

Więcej nierównie powabów miała dla mnie Komedia Francuska. Zastałem jeszcze na niej aktorów dawnej wybornej szkoły francuskiej, Larive, Brissart, pani St Val, Preville, Dugazon, Dazincourt, madame Contat, Devienne, Olivier, Vestris, Mole, Fleury, St Afale etc., etc. Znalazłem się raz na parterze z starym kawalerem św. Ludwika, który mi powiadał, iż znajdował się na pierwszej reprezentacji *Elektry Crebillona*, również starego widziałem później księcia de Richelieu, który znał dobrze Ludwika XIV. Rozmawiać z osobą, która pamiętała wiek prawie cały, rozmawiała z tymi, którzy od wieku prawie w popiołach, do głębokich dumień było powodem.

Przybyli właśnie wtenczas do Paryża państwo Izora; pan Izora był chirurgiem hetmana Braneckiego; człek biegły w swej sztuce i poczciwy. Sama, dzisiejsza księżna Zajączkowa, była córką p. Pernette, zawiadującego domem hetmana Ogińskiego. Jakież dziwactwa los ślepy wyrabia! Któż by wtenczas powiedział, iż żona cyrulika jednego zostanie wicekrólową, pierwszą panią w kraju, co więcej, iż do 75 roku zachowa czerstwe zdrowie, wdzięki i skłonności wiośnie tylko życia należne.

W towarzystwie więc państwa Izorów, dziś księżnej namiestnikowej, najawszy razem pokorną kolasę, zwiedziłem okolice Paryża, St-Cloud, Chantilly, Ermenonville, St-Denis. W Chantilly wszystko przypominało Wielkiego Kondusza, w Ermenonville Roussa, w St-Denis spoczywały jeszcze całkiem popioły królów francuskich; któż by powiedział, iż w lat kilka ręką świętokradzką rozsypane będą w powietrze. Z jakąż zapalczywą popędliwością na winnych i niewinnych mści się lud długich ucisków swoich!

Rok dopiero upłynął po wynalezieniu balonów przez Montgolfier, już powietrzny ten żeglarz przeleciał był cieśninę Kaletu, gdy chcący go naśladować Pilatre de Rozier i Romain, wzniosłszy się jak on na powietrze, ujrzeni balon swój w płomieniach, padli i na miazgę zgruchotani zostali: widać grób ich przy balonie nad morzem. Wieść ta okropna była treścią rozmów wszystkich towarzystw, wszystkich kafenhauzów. Te napelnione są zawsze mnóstwem ludzi w próżniactwie żyjących w Paryżu. Żadne miasto nie liczy ich tyle. Wszyscy, co mają wysłużoną pensję, co dali zbiory swoje *a fonds perdu*: na wielki procent z stratą kapitału z życiem, zbierają się do Paryża, chodząc po publicznych ogrodach, restauratorach, teatrach, kafenhauzach, wleką dzień za dniem. Oni to sędziami są sztuk teatralnych, roztrząsicielami wszystkich zdarzeń politycznych. O wszystkim mówią z zapalem, często z uprzedzeniem sądzą. Są i wyższego rzędu próżniacy; takim jest pan Beaujon, bankier dworski, iż lichego stanu do największych przyszedł bogactw. Miał on rozkoszny dom za Champs. Elisees, po pani Pompadour kupiony, drugi za miastem, La Chartreuse zwany. Co zbytek i lubieżność

wymyślić mogą najwykwintniej szego, w domach tych i ogrodach znalazłeś. Byłże właściciel tych niezmiernych bogactw szczęśliwym? – Posłuchaj: nie liczył jeszcze 50 lat, a już zniechęcony, syty wszystkiego, zbytciem rozkosz osłabił życia sprężyny, co mówię, samo życie już zbrzydził. Nie żył, jak samym mlikiem, nie pił, jak wodę z pomarańczowym kwiatem. Pamiętam okrągły salon jeden, w pośrodku którego na czterech sznurach różami okręconych wisiała kołyska, również różami wysłana. Kładł się w nią pan Beaujon; cztery nagie, umyślnie do tego trzymane dziewczyny, kołysały go. Urząd *d'une berceuse de monsieur Beaujon* pilnie był szukany, przynosił bowiem 13 000 intraty. Wśród tych wszystkich rozkosz pan Beaujon nabrzmiały, smutny, poziewający, nie zawieść – politowanie wzbudzał.

Cagliostro, sławny oszust, w sprawie *du collier* kardynała Rohan uwięzionym został. Przeszedł rozkaz królewski do parlamentu, by sprawę tę sądził, a że królowa, choć niewinnie, wmieszana w nią była, radzono królowi, by osobny sąd wyznaczył do tego, lecz sprawiedliwy ten pan, nie chcąc, nie cierpiąc cienia stronnictwa, chciał, by sprawę tę zwyczajny parlament roztrząsał i sądził; królowa przez wysłaną z parlamentu deputację badaną była. Nie pierwszy to przykład; żony Karola VII i Ludwika XII przed parlamentem stawały. Czas okazał, że awanturka Lamotte całej tej smutnej historii była sprawczynią.

Widziałem rewię gwardiów francuskich i szwajcarskich; była to raczej feta dworska jak popis wojskowy: wojska pięknie ubrane stały w paradzie, żadnego obrotu, żadnego ruchu nie czyniąc; król okazał się w paśowej sukni z złotymi galonami, otaczali go książęta krwi, królowa z księżnymi Provence i d'Artois w otwartych przejeżdżała się pojazdach. Na tym skończył się popis; pruski lub moskiewski oficer patrząc na to: Jak łatwo – rzekłby – pobić to wojsko. Zaczekajcie lat kilka, Prusacy, Rakuszanie, Moskale; za lat kilka odpowiedzą wam Francuzi, że nie opiętość, wyprężystość, lecz umiejętność wodzów, odwaga i zapal żołnierza odnoszą zwycięstwa.

Wkrótce potem królowa, porodziwszy księcia Normandii, do wyvodu z wielką pompą wjeżdżała do Paryża, *les dames de la Halle* i dość z pospólstwa wyszło naprzeciw niej; widać było, że oklaski jak u nas były przez policję nakazane; wszystkie błędy rządu przypisywano tej biednej, choć może płochej królowej. Po obrzędku kościelnym pani ta jadła obiad w Tuileries, wieczorem była na operze, co także źle przez publiczność wziętym było.

Chodziłem często na sądy parlamentu w Pałacu Sprawiedliwości. Przystępy do tej świątyni Temis nic nie mają poważnego: sklepiki ładnych kupcowych, uśmiechających się do parlamentowych peruk, nie wzbudzają żadnych uroczystych wrażeń. Podobała mi się wymowa pana Gerbier, najslawniejszego wtenczas patrona; ambona duchowna i kratki sprawiedliwości jednym tylko były naówczas dla wymowy polem, gdy inne otworzyły się, widzieliśmy, że Mirabeau i Vergniaud wznieść [się] umieli do szczytności i mocy Demostenów i Cyceronów. Pamiętam, że będąc raz na tych sądach zapytałem stojącego przy mnie Francuza, *ou se tenait le lit de justice*. „*Je vous repondrai comme Fenelon – me repondit-il – c'est la ou la justice dort.*”

Choć mało w pieniądze zapaśny i do największej przymuszony oszczędności, nie mogłem się jednaik oprzeć żądzy uczynienia w podróży mojej jakiego zbioru. Jakoż skupowałem dość tanio portrety sztychowane królów i znakomitych mężów polskich. Najwięcej ich było Jana III; pod jednym, sztychowanym w Anglii, ten był napis:

*Great champion of the cross, whose glorious name
Outshines all heros in the books of fame,
When future ages shall thy picture see
And read the wonders of thy galantry
On bended knees they must thy shrine adore
When buffled Mahomed shall be no more.*

Na próżno cesarz Józef II kazał wyrzucić [...] z arsenału wiedeńskiego; uwieczni to tylko podłą niemiecką niewdzięczność, nie ujmując chwale bohatera tego. Za powrotem moim do Polski całą tę kolekcję portretów polskich, przyłączywszy do niej posłanie wierszami, ofiarowałem księżnie Czartoryskiej, generałowej ziem podolskich; znajduje się ona dotąd w świątyni Sybilli.

Porzuciłem Paryż tak, jak się porzuca galerię pięknymi napelnioną obrazami: ujrzałem się w innym, małym, lecz niemniej ciekawym świecie, to jest w *diligence*; składały się różne sprzeczne sobie oryginały. Francuzka sucha, brunetka, oczy żywe, wesoła, pusta, Angielka jasnowłosa, białość i różowość swą [w] ogromnym zatopiła kapeluszu, dwóch Anglików, jeden Amerykanin, metr od włoskiego języka, Żyd z Holandii i ja. Między Paryżem a Chantilly spotyka oko bujne niwy, lasy, umyślnie zapuszczone knieje; stada bażantów, trzody zajęców zasłaniają drogi, skaczą, latają pod nosem ubożego rolnika, który, dotknąć się ich nie mogąc, patrzy na pożerane prac swoich plony. Za Klermont zaczyna się kraj piaszczysty, i tym uboższy, im się dalej wjeżdża w Pikardię. Amiens i Montreuil ubogie miasteczka, Boulogne nad Morzem zamożniejsze jest nieco, przez połowę zamieszkaną przez Anglików. Współtowarzyszka podróży mojej Francuzka, która, nigdy nie wyruszywszy z Paryża, nigdy nie widziała morza, ciekawą była widzieć je; prosiła mnie, bym ją na brzeg zaprowadził; ciekawy i ja byłem widzieć, jakie wrażenie żywioł ten sprawi na niej. Morze, dość mocno rozkołysane, z hukiem wały swe rozbijało o brzeg. Francuzica patrząc na ten przerażający widok rzekła z uśmiechem: „*Que c'est joli*”; byłaby to swe wrażenie wytłumaczyła po chińsku, a wraz bym zgadł, że Francuzka.

[Z] Boulogne pojechaliśmy do Kale, miasta w guście angielskim zabudowanego. Czekając na przyływ morza poszedłem na komedię; sala nędzna, klarynet i dwoje skrzypców składały orchesterę. Zasłona niezgrabnie wyrażała bohaterów miasta tego, którzy się za ocalenie współziomków swoich Edwardowi III na śmierć oddali. Podniosła się: jakież było zadziwienie moje, gdym postrzegł tych samych aktorów, którzy przed 4 laty grali w Grodnie podczas trybunału. Monsieur de Rochambeau, który tak dzielnie wstawił się w wojnie amerykańskiej, rządca całej Pikardii, znajdował się w łożu: mile podnosiły się oczy moje na tak dzielnego męża. W pół sztuki dano nam znać, że wsiadać na okręt potrzeba; bez żalu porzuciliśmy liche widowisko; po drodze zastępowały nam orszaki ubogich, bosy, w łachmanach, nie płaczącym głosem proszące o wsparcie, lecz śmiejąc się i śpiewając piosnki wesołe. „Jakże zazdrościć trzeba ludowi temu – pomyślałem sobie – nędza nie oddała od niego wesołości, szczęśliwszy wśród niedostatku jak tyle milionowych posepnych bogaczów.” W porcie ledwie do krwawej nie przyszło bitwy między dwoma kapitanami, angielskim i francuskim, z których każdy chciał nas przewozić; z trudnością uspokoiliśmy tę kłótnię; nazajutrz rano ujrzelśmy się w porcie Douvres u brzegów Albionu.

Przejeżdżałem z Niemiec do Włoch, z Włoch do Francji, nigdzie jednak sprzeczność we wszystkim dwóch krajów sąsiedzkich tak mnie nie uderzyła jak na wstępie do Anglii. Niebo, kraina, domy, ludzie, charaktery ich, obyczaje, wszystko tu inne. Wszędzie czystość i chędo-gość, domy niewielkie, niepobielane, bez wrót, z małymi o dwóch kolumnach gankami, ruchu niewiele, obok pracy, bez zbytku swoboda i dobre mienie. Zdaje się, że nie ma różnicy w wiekach ni we płciach; starcy, młodzież, kobiety, dzieci nawet, wszystko serio, zamyślane, poważne. Co za różnica letkiej, pięknej karety dilihansu, dużych koni, drobnych postilionów od tych ciężkich ogromnych zamków, którymi się jeździ po Francji; kraj tak piękny, tak żyzny, tak dobrze uprawny, tak świeżo zielony, iż chcąc się powabami jego do woli nasycić wysiadłem z karety i umieściłem się na koźle. Zatrzymał nas Kanterbury, raczej wspaniała cnego gotycka katedra. Tu popoiły długo walczących z sobą książąt York i Lankastru dziś spoczywają z sobą; lecz nade wszystko uderza oczy grób Henryka Czarnego, księcia Walii, syna Edwarda III. Na tronie, pod baldachimem leży pancierz jego, szyszak, rękawice nawet. Ach, jak dobrze jest być wyspą; jakby to wszystko dawno rozszarpane było, gdyby Anglia,

jak my, wśród drapieżnych i najezdniczych ludów położoną była. Tu spoczywa także Tomasz Beket, arcybiskup i męczennik. Kształt kościoła katolicki dotąd, lecz znikły wszystkie dawne ozdoby. Zamiast ołtarza ambona we środku, na niej predykant wykładający ludowi słowo boże, dalej lud cały wznoszący razem pienia swe do Boga.

Puściliśmy się w dalszą drogę; była to niedziela, a zatem wszędy spokojność największa. Przejeżdżając przez miasteczko, przez otwarte okna widać było familie, dwoma tylko zajęte powinnościami, czytaniem Biblii i piciem herbaty. Ciemna dymu opona rozciągająca się po całej atmosferze, wśród gęstej mgły przebijające się, jak tylko zasięgniesz okiem, wieże, gmachy i domy, w środku tych srebrne pasmo Tamizy, zapowiadają, że się zbliżamy do stolicy handlu świata całego. Takim słusznie Londyn nazwać można. Inne narody przedzielają morza, ich morza łączą z wszystkimi świata krajami, wszędy prawie z osadami własnymi. Nie masz kraju, który by tu swoich nie wysyłał płodów, nie masz kraju, do którego by Anglicy swoich nie wysyłali rękodzieł. To sprawia, że Londyn najbogatszym i najludniejszym jest miastem na świecie. Ufność publiczna w bankach, kredyt kupców zapewniony najściślejszą rzetelnością podwaja te bogactwa, kartki papieru reprezentują sztaby złota i srebra. Bank londyński nie miał naówczas w obiegu, jak 10 000 000 funtów sterlingów w biletach; za połowę tego co dzień na Bursie odbyło się kupna i sprzedaży, nikt jednak jednej guini nie wyciągnął z kieszeni. Sala, w której bilety banku zamieniano na złoto, ma kilkanaście stolików, na każdym leżały góry złota, nikt jednak nie przyszedł ich zamieniać. Widziałem w podziemnych sklepach leżące na półkach jak duże tablice czekolady; były to cegiełki złota, te, gdy potrzeba, biorą, topią i wybijają. Ileż kupców w Londynie bogatszych nad wszystkie całej Polski bogactwa.

Przecież nie znajdziesz tam zbytków i wystawnej wytworności jak u nas. *Comfort*, wygoda, pierwszym jest Anglika celem, mieszkać czysto, mieć dobrą odzież, dobre łóżko, stół zdrowy i posilny, nade wszystko swobodę i osobiste bezpieczeństwo, to jest, w czym szczególnie zakłada; gardzi kryształów i brązów cackami, lecz na publiczny użytek, na nowy wynalazek, na wsparcie nieszczęsnych nie skąpi swych zbiorów. Ten duch umiarkowania i szlachetności znajdziesz we wszystkich społeczeństwa oddziałach. Panowie, oprócz tłumnych zgromadzeń, raut zwanych, skrzętnie żyją w Londynie: cała ich wspaniałość jest na wsi i tam drogie zbiory sztuki, tam pańska gościnność.

Stanąłem najprzód w małym domku, u osiadłego tam Polaka, krawca rogówek damskich, lecz wkrótce pan Kołaczkowski znalazł mi lepsze mieszkanie u pana Parker, wyrzynającego pieczętka na Oxford Street. Widziałem w tym domu wzór uczciwości i lubej prostoty mieszczan angielskich. Płaciłem za stół i stancję półtora gwinei na tydzień, co do 60 florenów naszych wyniesie. Miałem za to dobre dwa pokoje, herbatę z grzankami na śniadanie, *roastbeef*, rybę, pudding, kartofle na obiad i znów herbatę na wieczór; gospodarz mój był razem konstabel, czyli urzędnikiem dobrego porządku. Do niego nocni stróżowie przyprowadzali schwytych na ulicy złodziei, włóczęgów, płochę dziewczyny; przytomny nieraz byłem sądom jego: dobry ten człowiek rzadko kogo winnym uznawał. Przypadek zalecił mnie wielce tym dobrym ludziom; raz, gdym sam siedział w *parlour*, z którego okno wychodziło na ulicę, a za szkłem onego rozstawione były pieczętka, kamienie etc., złodziej przechodzący uderzył pięścią w szybę i do zabierania kamieni brał się; wypadam, złodziej porzuca okno, ucieka, gonię za nim, lecz go tracę w tłumie przechodzących: nie zginęła, jak jedna pieczętka; ta czujność moja u obojga wielką mi łaskę zjednała. Starsza ich córka była na edukacji we Francji, młodsza, Fanny, trzy lata liczyła; z dzieciństwa lubiłem małe dzieci, rozrywką moją było bawić się z małą Fanny, nauczyłem ją udawać scenę *Lady Macbeth*, kiedy to przez sen z świecą wychodzi: mrs Parker poglądała na mnie z czułym zadziwieniem, jakem się mógł taką pustotą bawić, na samym mr Parker podnosiła się kasztanowata peruczka od śmiechu. Wkrótce przybyła do domu miss Wright; była ona wychowana w klasztorze we Francji i tam przeszła na rzymskie wyznanie: była to zapalona głowa; nosiła na piersiach ukryty portret Pretendenta w mi-

niaturze i cała mu była oddaną. Gospodarstwo moi uważali mnie jak jednego z rodziny, znajomości ich były znajomościami mymi; bywaliśmy nieraz na ucztach u stelmachów, muzykantów etc. Znalazłem w Londynie państwo Sewerynostwo Potockich; ci mnie zaznajomili w wyższym społeczeństwie kręgu, najwięcej u lady Penn, gdzie księżę Walii, członki opozycji Fox, Burke, lord North, Convey i inni uczęszczali. Księżę Walii był naówczas młody; słyszał, że dobrze tańczył kozaka, prosił, by mógł widzieć taniec nigdy nie widziany przez niego; tańczyłem więc z panią Sewerynową, lubo ta chodziła tylko; tak się następcy Wielkiej Brytanii podobało, iż prosił, abym go kilku kroków nauczył. Zostawałem na wieczerzach z kompanią królowic, w jednym kubku piliśmy wszyscy porter. Rozmowy te, tysiączne anechnoty dosyć zabawne prowadziły nas do późnych godzin. A tak, zdarzało się, iż w jednym dniu jałem gęś pieczoną z rzemieślnikami, a wieczerzałem z królewiczem, z następcą tronu przemożnej Anglii.

W towarzystwie pana Kołaczkowskiego, dobrze już znającego Anglię, obchodziłem wszystkie Londynu ciekawości, widziałem Westminster, gdzie się *populus, late Rex* zgromadza, pyszną świątynię onego, gdzie popioły tysiąca królów i bohaterów leżą; mniej lub więcej pyszne zdobią te grobowce; odwiedziłem Bursę, gdzie kupcy wszystkich narodów zamieniają plody świata całego, tę wieżę, raczej więzienie stanu, skąd tylu nieszczęsnych na rusztowania wywiezionych było. Zachwycił mnie szpital dla majtków w pysznym pałacu Greenwich: 2000 marynarzów wspaniale jest tam utrzymywanych; z hojną wdzięcznością wypłaca się im rząd za trudy, rany, za bogactwa, zwycięstwa, nabycia, chwałę, którą sprowadzili na Wielką Brytanię. Jest tam także szkoła dla synów majtków w bitwach poległych. Przyjęli Angliacy ten chwalebny zwyczaj od Greków. W Atenach podczas najuroczystszych świąt herold wstępował na kazalnię, przedstawiając ludowi dzieci obywateli za ojczyznę poległych, pokazując ich uzbrojonych od stóp do głów, wołał głośno: „Te młode sieroty, którym szlachetna śmierć porwała ojców, opuszczeni, znaleźli na łonie ludu ojca czulego: ten im dał wychowanie. Pod szczęśliwą wieszczbą wyzwalamy je dzisiaj, upominając ich, aby przez cnotę, obywatelstwo, odwagę stali się godnymi pierwszych w rządzie dostojeństw.”

Na posiedzeniach parlamentu w dzień obrania Lorda Mayor poznałem najznakomitszych naówczas w Anglii mężów: lord Thurlow, kanclerza, z potężnymi czarnymi oczyma, w niezmierniej peruce, podobny był do lwa; lorda Mansfield, pierwszego sędziego; wysoki, chudy, już bardzo podeszły, najbiegły w prawie, nieskazitelny, stracił on dom i całą swą bibliotekę w szalonym powstaniu ludu wiedzonego przez lorda Gordon. Widziałem i tego demagoga, rudy, niepoczesny, piegowaty, bez żadnej szlachetności w twarzy. Na uczcie Lord Mayor w Guildhall pan Pitt siedział naprzeciw monumentu wzniesionego tam na chwałę ojca jego, lorda Chatham. Ta cześć narodu dla ojca jakąż pobudką była dla syna. Jakoż, zagrzany żądzą chwały, z pierwszej młodości wstąpił w jego zawód, w 22 roku już był pierwszym ministrem; wymową swą, nieugiętą stałością wytrzymał okropne burze, uporem pogrążył Anglię w niezliczonych długach.

Słyszałem mówiących Foxa, Sheridana, Burka, lord Gray. Pierwszy otyły, z dużymi oczyma, czarną brwią szeroką, unosił się i piorunował, Sheridan, z trądem na twarzy, mówił z przekąsem, Burke z ogniem, Grey z łatwością. Nieraz Fox, całą noc grając w karty, umył się tylko i tak był świeżym, przytomnym na sesji jak najwstrzemięźliwszy. Nie był zapewne w obyczajach przykładnym, uczciwy jednak, tak łatwy, miły, pociągający, iż przyjaciele ubóstwiali go prawie. Pitt także był miłośnikiem kielicha i często z panem Dundas lord Melville na pomoście okrętów indyjskich porządnie sobie podchmiewał; niezgrabny, dziki w społeczeństwie, potężnym, zadziwiającym był w parlamencie.

Posłem naszym naówczas w Anglii był pan Bukaty, wyborny człowiek, z Litwina zupełnie przerobiony na Anglika; przejął ich zwyczaje i sposób życia; on mnie zaprowadził do chevalier d'Eon, który za czasów Ludwika XV przez lat 20 i więcej kryjąc płeć swoją uchodził za mężczyznę, służył w wojsku, bił się na wojnach, odbywał poselstwa; kłótnia dopiero z księ-

ciem de Guiche odkryła, że był kobietą. Jeden Ludwik XV był tylko w sekrecie; nastawano jednak, by wziął suknie kobiece. Już w tym ubiorze widziałem pannę d'Eon. Pod spódnicą atoli i *caraco* została postać, ruch i zwyczaje męskie. Miała ona na sobie kątowy kitajkowy ubiór z falbalami, krzyżyk św. Ludwika na boku. Włosy już siwe zaczesane w tupecik. Śmieszne było słyszeć tę kobietę mówiącą: „*Quand j'étais capitain des dragons, a la bataille de Rossbach etc; etc*” Nogi zawsze rozstawione, pięści do góry, głos męski. Co ją do tajenia tak długo płci swej przymusiło, wiedzieć nie można. Zostawiła kilkanaście tomów pamiętników swoich.

Poznałem także pana Wilkes; długo znany w parlamencie z śmiałych sporów swoich z ministrami, umilił na koniec; był szeryfem Londynu; widziałem go wyzwajającego czeladników rzemieślniczych na majstrów.

Jenerał Pasquale Paoli, sławny obrońca niepodległości Korsyki, z znaczną pensją od rządu mieszkał w Londynie; z dzieciństwa wielkie mając dla niego uszanowanie, widziałem go z ukontentowaniem. Był on wysokiej postaci, choć Włoch, biały i jasnych włosów, słodki, uprzejmy, miał na sobie szarą suknię z pąsową z złotym galonem kamizelką.

Z panem Sewerynem Potockim objeżdżałem Bath, Bristol i najpiękniejsze panów i kupców wiejskie mieszkania. W Bath poszliśmy do sławnego admirała Rodney, który nad trzema flotami, francuską, hiszpańską i holenderską, odniósł zwycięstwo i trzech różnych admirałów wziął w niewolę. Był to mały, suchy człowieczek, lecz pełen ognia. Na balu w Bath u wód podług zwyczaju mistrz ceremonii wyznaczył mi małą miss, z którą cały wieczór musiałem, tańcować. Rozważny ten i przywiązany do porządku naród w uciechach nawet swoich ma przepisy i prawa i te zachowuje ściśle.

Na teatrze jaśniała nieporównana pani Siddons w całym naówczas kwiecie piękności i talentu swego, brat jej Kemble, Henderson, Smith, Palmer. Dziwne zaiste wrażenie sprawiły na mnie sztuki dramatyczne i aktorowie angielscy. Z upodobaniem słuchałem na scenie francuskiej pięknych rymów Rasena, Woltera, Kornela, unosiły mnie one, dotykały, lecz nigdy do łez nie rozrzewniały serca mego; przeciwnie, acz mało jeszcze umiejący po angielsku, gdym widział sztuki Shakespeare, Otway etc., łzy moje strumieniem się lały. Zdaje się, iż ze wszystkimi błędami swymi bliższe są natury, wystawują nam znajomsze czasy, mieszczą nas w położeniach często przez nas samych doznawanych, a przez to obchodzą, poruszają nas więcej jak wystawiane na scenie francuskiej bajeczne bogów i bohaterów przygody. Nadto deklamacja angielska więcej się zbliża do naturalnej mowy. W widzach też sama wolność co i gdzie indziej panuje. Przed zaczęciem sztuki odzywają się na wyższych gankach rozmaite piosneczki, w parterze bez żadnej ceremonii mieszczanie zdejmują okrągłe peruki swoje i chustką spocone wycierają głowy. Niemiły aktor nieraz zarzucony jest pomarańczami, w czasie zatargów, hałasów nie potrzeba żołnierzy, *constable* z białą laseczką w imieniu prawa zatrzymuje występного. Tym sposobem uśmierzają się najgwałtowniejsze ludu uniesienia. Wszystkie zgromadzenia, wszystkie publiczne uciechy nie znają, co to jest bagnet.

Miłą na zawsze zachowam pamięć pobytu mojego w Anglii. Widziałem w tym kraju wszystkie błogosławieństwa rozsądnej wolności, czystej moralności i oświeconej religii. Na widok równości wszystkich przed prawem, równości w używaniu swobód, otwartej do najwyższych dostojeństw najniższemu drogi, na widok posuniętej do najwyższego stopnia cywilizacji przemysłu, wynalazków, na widok ogólnej pomyślności i potęgi, któż nie przyzna, iż to jest najpierwszy naród na świecie. Porzuciłem go z żalem, porzuciłem ze łzami dobre gospodarstwo moje, państwo Parker. Miłym mi jest dotąd wspomnienie ich; nigdy i dziś zapach węgla ziemskich nie zaleci mnie, by mi wraz nie stała w pamięci Anglia i ten kominek, przy którym z gospodarstwem swym i małą ich Fanny tak miłe i swobodne chwile spędzałem.

Rozdział dwunasty

Dalsza podróż i powrót

Piękną poczwórną kareta (takie są bowiem wozy pocztowe w Anglii) już późno w listopadzie puściłem się do Harwich, tam wsiadłszy na pakiebot, wycierpiawszy przez trzy dni dość burzliwą żeglugę, przybiłem na brzegi Holandii do Helvelslus. Zaginęły wszystkie notaty tej mojej holenderskiej podróży; pamiętam, że wysiadłszy na brzeg, do Delft piechotą przebierać się musiałem, że mnie niezmiernie uderzyło i te, i inne małe miasteczka holenderskie z czystymi domami swymi, jak gdyby co dzień były myte i malowane; obok nich pochody (*trottoirs*) wysadzone różnej farby kamieniami, a często małymi kaflami w kostkę. W każdym domu miejskim jest jedna izba chędoźniej jak wszystkie inne przybrana. Ta dwa razy tylko w życiu otwiera się: wtenczas gdy się gospodarz żeni i wtenczas gdy umiera. Jest to ustawne podoczne *memento mori*, które w noc nawet szlubną rozkosz przytępiać musi. Po gospodach mniej usługowej atencji, grzeczności jak w Anglii, lecz za to większe zdzierstwo. W Hadze zastałem hetmana Ogińskiego, dobrego, zawsze grzecznego i zawsze mażącego palcem brzydkie pastele. Nie pomału mnie tam zabawiły wózki zaprzężone psami, wiozące ryby od morza.

Amsterdam w proporcji równie handlowym jak Londyn zdaje się miastem. W Londynie widać handel i arystokrację, w Amsterdamie kupiectwo same; równe dostatki, mało wspaniałości; w życiu prywatnym aż do sknerstwa posunięta oszczędność. Odwiedziłem domek w Saardam, gdzie sprawca wielkości moskiewskiej i zguby naszej, Piotr Wielki, zrzucił łuskę barbarzyństwa i w europejskich ćwiczył się naukach i sztukach. Zwiedziłem i inne miasta; wszędy widać starożytność i zamożność dawnych książąt Burgundii. Miasta te w XV wieku już były tym, czym są dzisiaj. Przed Anglią, Francją tu się wszczął handel, rękodziela i tyle przemysłu rodzajów; tu kwitnęły sztuki, lecz literatura, nie znana reszcie świata, więcej się przykładała do zgłębnienia, objaśnienia, wydawania klasyków niż do wydoskonalenia własnego języka. Zadziwiony byłem widzieć w małych nawet gospodach dawne portrety pięknym flamandzkim malowane pędzlem: Wanduyck, Rubens, Rembrandt, Paул Peter Bergen równie prawie jak oręż i muzy kraj ten wślawili. Duch kupiectwa i żądzy pomnażania cały naród ogarnia; o każdym Holenderczyku słusznie powiedzieć można *amore senescit habendi*. Miał i ten naród piękne swe w dziejach epoki; dość wspomnieć długie ich wojny o niepodległość. Święte Przymierze sławną tą rzecząpospolitą przemieniło w monarchię. Przyłączone atoli do niej Niderlandy niełatwo się z Holandią spajają Przez Bonn, Ratysbonę, Noremberg, Linz dążyłem do Widnia, gdzie się spodziewałem zastać J. O. księcia jenerała Czartoryskiego. Znajdując się w samo Boże Narodzenie w Norembergu wszedłem rano do kościoła luterskiego; zadziwiłem się nie pomału, widząc bambizów luterskich w naszych ornatach, odprawujących *species* mszy św.; nauczyłem się później, iż w niektórych miejscach w Niemczech lutrzy wiele zatrzymali obrządków Kościoła naszego.

Z Widnia razem z księciem, jako dawny adiutant jego, powróciłem do Puław; przyjęty od całej familii jak gdyby jeden z jej grona. Odwiedziłem progi ojczyste: ojciec mój chciał mnie koniecznie ożenić, lecz że osoba, którą mi stręczył, lubo zacna i [ze] znacznym posagiem, nie lgnęła do serca mego, poszedłem za radą księcia, dawnego wodza mego, który mnie życzył pozostać w domu jego, nabierać potrzebnych wiadomości do wstąpienia w zawód publiczny. Rozmowy męża tego, świątłych mężów w domu jego przebywających, bogata biblioteka, miejsce najprzyjemniejsze, życie swobodne łatwo mnie do przemieszkiwania w Puławach skłoniły. Jużem nie zastał Marii, córki starszej księcia: w niebytności mojej poszła za księcia

Ludwika Wurmberskiego; ten, w r. 1788 wszedłszy w służbę naszą, przy otwarciu kampanii 1792 haniebnie nas zdradził. Stało to zatrulo całe życie nader pięknej i dobrej osoby: nastąpił rozwód; pozostały syn, dziś w służbie naszej, w złych skłonnościach swoich ojca jeszcze przewyższył. Księżna generałowa, matka jej, lubo już przeszło 40 lat licząca, dziwnie jeszcze była ładną i pociągającą; przepędziliśmy karnawał w Sielcach, u hetmanowej Ogińskiej, stryjecznej siostry księcia; lubiąca kompanię i zabawy, żyła ona jeszcze dawnym polskich pań zwyczajem. Dom jej zawsze pełen nie tylko sąsiedztwa, ale osób z Warszawy i dalekich stron zjeżdżających się i po kilka tygodni mieszkających. Czas na zabawach trawiony, komedie, bale, przejażdżki. Trzymała pani Ogińska panny na respekcie, jedna piękniejsza od drugiej; celniejsze wdziękami były: Kielczewska, Niezabitowska, Bębnowska, Dorewska. Wszystkie miały czcicieli swoich, bez naruszenia w niczym uczciwości i przystojności. Kielczewska wzbudziła w księciu najżywsze uczucia; pasja przez wiele lat zakłócała spokojeść jego. Niestety! na miłościach, festynach, zabawach pędziliśmy chwile, nie przewidując, jakie zawieruchy i kłęski już były za pasem.

Przez więcej dwóchletni pobyt mój za granicą stan nasz polityczny nie odmienił się w niczym. Taż sama niedołęznego, taż sama podległość carowej moskiewskiej. Na naleganie prowincji litewskiej sejm 1784 złożony był w Grodnie: prócz fatalnego w 9 lat potem sejmu, pierwszy raz za panowania tego zebrał się naród w tym mieście litewskim. Jak na innych poprzednich, i na tym nic nie stało ważnego. Chomiński, człowiek rzadkiej wymowy i objęcia, lecz letki, rozrzutny, obrany marszałkiem. Stackelberg, poseł moskiewski, w propozycjach od tronu nic istotnie ważnego dla kraju umieścić nie dozwolił. Indygenat dla księcia d'Anhalt, zmniejszenie cła od towarów moskiewskich, to jest, co w nich czytamy.

W raporcie roztrząsającym sprawy Rady Nieustającej najlepiej widzieć można słabość, nierzemność, podległość nieszczęsnego kraju, na ucisk i natrąsanie sąsiadów skazanego. Cóż w tym raporcie widzimy? Skargi o wkraczanie samowolne, o uciski wojsk moskiewskich i za całą na to przez Stackelberga odpowiedź, iż tak okoliczności wymagały – powiększane przeciw traktatom cła na obcych komorach, a domaganie się o zmniejszenie cnych na naszych, wpadania na ziemie polskie, koczowania chłopów, branie gwałtem na rekruty. Na koniec (któż uwierzy), przeistaczania dekretów sądowych, skoro tylko dysydent jaki poskarżył się posłowi moskiewskiemu, że nie był kontent z wyroku. Wojsko w Koronie i Litwie razem nie wyniosło 18 000 głów. Dochody z Korony trzynaście milionów, z Litwy pięć. Dziś, ledwie w czwartej części dawnej Polski, dochody te wynoszą do przeszło 60 milionów, wojsko do 34 000.

Na tym to sejmie źle potem sławny Szczęsny Potocki, naówczas wojewoda ruski, przez zausznika swego Moszczyńskiego korpus nadworny piechoty z 400 głów złożony i 24 sztuk małych dział Rzeczypospolitej darował i kosztem swym utrzymywać przyrzekł poty, póki wojskom na Ukrainie stojącym dowodzić będzie; inaczej pułk ten na żołd Rzeczypospolitej przejść miał, z zabezpieczeniem atoli, iż pułk ten tytuł imienia Potockich nosić . i szefów Potockich mieć wiecznie będzie.

Naród, odwykły od dawna od tak wspaniałych obywatelstwa darów, z wdzięcznością przyjął Szczęsnego ofiarę: odtąd stał się on celem popularności. Dalecy od tłumaczenia krzywo dobrych zamiarów, odważemy się niektóre nad tą hojnością uczynić uwagi. Więcej w tym darze było blasku niż szczerzej przysługi. Pułk, co Szczęsny dawał, już dawno dla bezpieczeństwa jego na Ukrainie był zaciągnionym, już dawno przez niego opłaconym, dziś dany Rzeczypospolitej, również bezpieczeństwa jego przeciw hajdamakom pilnował, również przez niegoż był dowodzonym i przez krewnych na potem posiadany być miał. Więcej zatem chluby niż rzetelnej dla ojczyzny hojności w darze tym było. Jednakże przykład ten obudził miłość własną młodego Kazimierza Sapiehy, który także 12 dział przez siebie i z herbem swoim ulanych Rzeczypospolitej darował. Ten książę Sapieha, syn ulubionej niegdyś królowi z Branekich Sapieżyny, wojewodzicowej mścisławskiej, w 17 roku wieku swego, już był

generałem artylerii litewskiej. Urodził się on z piękną ciałą postacią, z łatwym pojęciem, z rzadką płynną wymową. Wuj i matka, nie znający, jak własną wyniosłość i zyski, zawsze na złą ciągnęli go stronę; i byłby się może dał uwieść, lecz przeważał wstyd opinii publicznej nad złymi radami, letkością i słabością.

Na tym sejmie książe de Nassau-Siegen, z pobocznego łoża, sławny po okręgu świata awanturzysta, pojawiwszy rozwódkę z Godzkich Sanguszkową, wzięwszy z nią znaczny majątek, indygenat szlachectwa otrzymał. Żle później za łaskę tę Polszcze odwdzieczył.

Stanisław August, acz corocznie biorący ze skarbu publicznego 8 000 000 florenów polskich, nadto 2 000 000 mający z dóbr stołowych, zawsze przecie był potrzebnym i dłużnym; by długi te zapłacić, wniósł Granowski, poseł lubelski, by podatek od duchowieństwa nazwany *subsidium charitativum* na lat dziesięć na zaspokojenie długów tych obrócić. Więcej podobno pochlebna uległość jak miłość sprawiła, iż projekt ten jednomyślnie w izbie poselskiej przyjętym został. W senacie dwa tylko głosy, z których jeden Szczęsnego Potockiego, znalazło się przeciwu. Głos ten był pełen pochlebstwa, uszanowania, różny wcale od zuchwałych i groźących listów, które w czasie Targowicy osiem lat później tenże Szczęsny pisał do króla.

Nie pierwszy to ani ostatni raz opłacała Rzeczpospolita groszem publicznym marnotrawstwo królewskie na kobiety, malarzów, pochlebców i inne niepotrzebne zbytki. Jedną z przyczyn upadku naszego była rozrzutność pana tego. Gdyby był z dziesięciu milionów dochodu rocznego trzy tylko na rok odkładał na ważne, stanowiące przygody, jak łatwo w r. 1791 i w 1792 mógł był skarbami tymi ująć sobie Zubowów, Bischoffswerderów, a przez nich odwrócić śmiertelny cios od Polski, jak łatwo, jak skutecznie mógł był skarbów tych użyć w wojnach w tychże latach o niepodległość naszą toczonych. Lecz Stanisław August z miłymi w społeczeństwie przymiotami nie miał żadnej w trudnych czasach potrzebnej królom cnoty; w pokoju lubieżny i marnotrawny, w wojnach pierzchliwy i słaby: powinien był panować w silnym i ustalonym państwie; byłby zachęcał nauki; nam, zepsutym, ledwie wychodzącym z anarchii, otoczonym chciwymi, zdradliwymi sąsiadami, innego męża potrzeba było.

Nie dostawało jeszcze jednej dla Polski zniewagi: nie dosyć było posłowi moskiewskiemu rozkazywać królowi i Radzie jego Nieustającej, odważył się sam na sejmie podawać projekta, nakazywać zwalenie dekretów trybunału, *ultima* instancję. Wyjednał sobie od króla Czerniszew, generał moskiewski, przywilej na mniemaną lenność Czamokamionka, do dóbr starostwa białocerkiewskiego należąca. Trybunał przekonawszy się, iż dobra te były częścią do Białocerkwi, częścią do dóbr ziemskich Tulczyn należące, przywilej, jako podstępnie i nieprawnie otrzymany, skasował. Ten to więc dekret chciał Stackelberg, aby sejm skasował i Czarną Kamionkę Czerniszewowi oddał. Po przeczytaniu noty tej gwałtowna wrzawa powstała, wśród powszechnej przez tyle lat uległości dał się raz jeszcze słyszeć wstręt nie cierpiący obelgi. Czerniszew miał indygenat polski, odezwał się więc pan Boniecki, poseł chełmski, iż gdy pan Czerniszew wbrew kardynalnym prawom używa obcej przemocy, a zatem popełnia *crimen status*, jak zdrajca przez instygatora do sądów sejmowych był zapozwany. Odezwanie się to dowodzi, że czucie niepodległości nigdy całkiem nie wygasło w sercach Polaków. Po długich wrzawach zgodzono się, by marszałek sejmowy odpisał posłowi moskiewskiemu, iż naród, trzymając się wiernie praw kardynalnych, przez samą imperatorową zagwarantowanych, praw nie pozwalających wzruszenia dekretów trybunalskich, do tak nadzwyczajnych żądań przychylić się nie może. Podobną rezydent pruski Bucholtz podał o skasowanie trybunalskiego dekretu notę i podobną odpowiedź odebrał.

Lata 1786 książe z całą swą rodziną, żoną, dziećmi, przyjaciółmi, dworem raz jeszcze udał się na objazdkę rozległych dóbr swoich na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, Rusi Czerwonej, dziś Galicją przezwaną. Było nas około 400 koni i więcej stu osób. Przyjemniejszej, zabawniejszej wędrowki nie będzie podobno: wszędy festyny i uczy. Z Kamieńca wybiegliśmy odwiedzić Szczęsnego Potockiego, w Białej Cerkwi hetmana Braneckiego, obydwóch naówczas, równie jak i książe, w opozycji królowi, a raczej Moskwie. Właśnie się naówczas zaczął

otwierać handel na Morzu Czarnym przez Cherson. Wina Grecji, płody Francji przychodziły tam przez Marsylię i po Ukrainie i Podolu rozchodzić się jęły. I Branicki, i Szczęsny, obydwaj byli ujęci wdziękami księżny, ubiegając się w atencjach i zalotności. Z nimi odwiedziliśmy Kijów, przez Jana III niebacznie przedany Moskwie. Widzieliśmy w pieczarach pływających w oliwie świętych syzmatyckich. Tam poznaliśmy młodego Daszkowa, syna tej, co się tak dzielnie przyczyniła do uduszenia Piotra III i wsadzenia na tron mężobójczej Katarzyny: miała ona potem urząd probierki zdolnościów tych, których Katarzyna wybierała za nałożników swoich; a jak gdyby nie dosyć na tym dostojęństwie, jak gdyby carowa ta chciała dowieść, że kobiety nie tylko do berła, ale do wszystkich urzędów są zdadne, carowa ta – mówię – uczyniła panią Daszków prezydentem Akademii Petersburskiej; dziwno, że nie powierzyła jakiej kobiecie dowództwa nad wojskami swoimi.

Znajdując się w Dłużku pod Kamieńcem, wzięła chęć księżnę odwiedzenia po drugiej stronie Dniestru miasta tureckiego Chocimia. Wybraliśmy się z nią, ze smutkiem odwiedzając Cecorę, sławną zgonem walecznego Żółkiewskiego. Byliśmy u baszy, traktowani kawą, lulkami, obdarzeni pięknymi chustkami. Pozwolił basza księżnie widzieć swój harem; kilkanaście kobiet było w nim zamkniętych, jak nam księżna powiadała, więcej otyłością jak wdziękami świętych. Postrzegła księżna, że i basza, i kobiety jego byli smutni i jak powarzeni. Po wyjściu z domu: „Dlaczegoż – zapytała księżna Tataro dawniej osiadłego w Polsce, tłumacza naszego – dlaczegoż basza jest tak smutny?” „Nic to – odpowiedział tłumacz – oto basza rozumiejąc, że jedna z ulubionych żon jego była mu niewierna, kazał jej kamień uwiesić do szyi i wrzucić w Dniestr; dziś przekonał się, że podejrzenia jego były fałszywe, i dlatego trochę markotny, ale to przejdzie...” Gdyby tak wszystkie niewierności karano, niestałoby kamieni do bruku.

Zastaliśmy we Lwowie cesarza Józefa II; greczny w posiedzeniu, w politycznych, wewnętrznych sprawach aż nadto ruchawy, wszystko spieszący, nieraz gwałtowny, co fatalne skutki, a może i zbyt wczesną śmierć przywiodło na niego. Zjechaliśmy na jesień na sejm do Warszawy. Sejm ten 1786 w nieczynności swojej podobien był poprzedzającym, tym tylko różny, że Branicki, hetman zuchwalszym niż dawniej pokazał się w powstawaniach swoich przeciw królowi. Człowiek ten, hojniejszymi niż jakikolwiek w świecie obywatel okryty od króla bogactwami i dobrodziejstwami, śmiał w obliczu stanów królowi powiedzieć: „Całuję potężną i dobroczynną rękę nieśmiertelnej Katarzyny II za dobrodziejstwa, którymi mnie okryła, co mam, to z jej łaski” A tak dumny Branicki wolał się okazać zwolennikiem obcej monarchii niż wdzięcznym królowi swemu. I mógł być zuchwałym, pojął bowiem siostrzenicę Potemkina, wielowładnie naówczas Moskwą rządzącego.

Szczęsny, Branicki, wiele innych z opozycji matadorów powracając z sejmu wstąpili do Puław i jak najwspanialej przyjęci byli. Skomponował był poeta Książnin operę *Matkę Spartankę*, tchnącą miłością wolności i najgorętszym obywatelstwem. Z uniesieniem przyjętą była; grała ją sama księżna, jej dzieci i my wszyscy. Tu przyznać należy, iż poseł moskiewski, tak czujny, tak zazdrosny wszystkiego, co by tylko podległość naszą Moskwie osłabić lub ważne jakie dobro Polsce przynieść mogło, dozwalał szerzyć się dobremu wychowaniu, szlachetnym obywatelstwem i wolności uczuciom, czyli to przez nieprzezoność, czyli też, że zbyt był pewnym zupełnego narodu ujarzżenia.

Dnia 10 marca roku 1787 pan Stanisław Potocki, naówczas podstoli koronny, jadący do Francji, proponował mi, bym w towarzystwie jego podróż za granicę odprawił. Nie mając co innego robić, chętnie się dał namówić. Zastaliśmy w Paryżu księżnę marszałkową Lubomirską, świekrę pana Potockiego, i dom jej stał się naszym. Była to niepospolita osoba, pełna światła, nauki i uprzedzeń razem; gwałtowna w upodobaniach do osób i znów niechęciach ku nim, szlachetna, dobroczynna, hojna nad wszystkie wyrazy i znów, z niezmiernym urodzoną majątkiem, w bojaźni, że z głodu umrze; nie wierząca w łączy bieg czasu, nie cierpiąca przeszłości, zawsze tylko obecną zajętą chwilą, zawsze chciała być młodą i, nieuważną na lata,

żyła jak młoda. Głowę mając nabitą zalotami i wspaniałością wieku Ludwika XIV, wszystko, co polskie, niemiłym i nieświeżym jej było. Jakoż więcej 30 lat ostatnich długiego życia swego za granicą spędziła. Zakończyła życie w Widniu roku 1815. Jej hojność, dobroczynność, litość sowiec nagrodziły niepojęte niektóre narowy.

W domu tej księżny poznałem wiele głośnych naówczas osób: hrabiego d'Estaing, d'Angiviller, l'abbe Morellet, pana Jefferson, później prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, d'Houberville, antykwariusza, monsieur Denon, madame Lebrun, David, Robert, Greuze – malarzy, madame de Bouffiers, Durfour, Dillou Flou [?] l'abbe Delille, i tylu innych. Nie trzeba mówić, jak miłym było towarzystwo osób tak dobranych. Wtenczas to zaczęły się spory między parlamentem i królem, wygnanie parlamentu do Troyes i znów przywrócenie go, wtenczas z głośnych i śmiałych mów, z jakiegoś głuchego waru w umysłach można było przegłądać tę okropną burzę rewolucyjną, która niedługo potem Francję i świat cały tak okropnie wstrząsnęła.

W najpiękniejszą porę roku, bo w maju, wyjechaliśmy z księżną do Anglii, obejrzeni jej ciekawości, zwiedzili piękne jej wiejskie siedliska; byłem w parlamencie właśnie, gdy sławny Edmund Burke poniósł do izby parów zaskarżenie swoje przeciw Hastingsowi, wielkiemu rządcy Indiów Wschodnich. Poznałem księcia de Portland, lorda Szelburn etc. Miło mi było odwiedzić dawne gospodarstwo moje, państwa Parker. Niestety, nie żyła już mała Fanny, a starsza córka poszła za sawanta portugalskiego Mendoza.

Sprzykrzyła się panu Stanisławowi Potockiemu Anglia, porzuciwszy więc księżną, przez Birmingham udaliśmy się do Francji. Birmingham był jeszcze naówczas nieznacznym miasteczkiem. Wtoczono w wieczór karetę naszą na statek, nazajutrz rano ujrzelśmy się w Dieppe. Przebyliśmy żyzną i obfitą Normandię i stanęli w Paryżu. Zapomniałem powiedzieć, że za pierwszym jeszcze przybyciem naszym do Paryża miasto to obok politycznych zdań zajęte było magnetyzmem Mesmera. Żywa imaginacja księżnej naszej gorąco chwyciła się tych nowości. Na stolikach obok łóżka jej stały wazony z magnetyzowanymi krzewami; jedne końce nitek przywiązane były do tych krzewów, drugie do włosów księżny: zapewniała księżna, iż tym sposobem bardzo już przerzedzone włosy jej obficie odrosły. Niejaki pan Lamotte, jeden z pierwszych uczniów Mesmera, zupełnie poświęcił się magnetyzowaniu księżny i pana Potockiego. Wzięła go z sobą księżna do Anglii. Na morzu chciał Lamotte magnetyzować okręt i wiatry; zabobonny kapitan Cornu ledwie go nie wrzucił w morze. Ileż razy siedzący w karecie księżna, pan Potocki, l'abbe Piattoli, Lamotte, młody książę Henryk Lubomirski i ja na rozkaz Lamotte braliśmy się za ręce i tworzyli łańcuch magnetyczny; wszyscy czuli rozmaite wzruszenia, ja tylko jeden uznany byłem *rebelle au magnetisme*.

Za powrotem wszystkich do Paryża zakwitł magnetyzm więcej niż dawniej; Lamotte codziennie rano magnetyzował księżną. Po mieście w kilku miejscach pozakładały się *des baguettes magnetiques*. Były to niewielkie kadzie napełnione tłuczonym szkłem i trocinami żelaza; w pokrywie kadzi wytoczone były dziury i wkładano w nie skrzywione pręty żelazne, do tych przywiązywane sznury, które siedzący wkoło kadzi prawowierni opasywali wokoło siebie. Do jednego z tych domów magnetycznych pociągnął mnie z sobą pan Stanisław Potocki. Nie wiem, czy natężonej imaginacji chorych, czyli skutkom magnetyzmu przypisywać należy to, com tam widział. Wielu wpadało w sen twardy, niektórzy gadali, ci się porywali, inni aż w konwulsje wpadali. Nieraz mistrz magnetyzował zamki ode drzwiów i natychmiast magnetyzowane osoby porywały się, chciały wychodzić, lecz skoro się zbliżyły do drzwi tych, jak gdyby magiczną uderzone siłą, cofały się nazad. W lat 30 potem większe nierównie cuda magnetyzmu widzieliśmy, osobliwie w Niemczech; w somnambulizmie będące osoby przepisywały dla pytających się ich chorych lekarstwa, czytały brzuchem mając oczy zamknięte, co więcej, przenoszone były w zachwyceniu w świata przyszłego dziedzinę; co więcej, na tym jeszcze świecie będące, miały stosunki z osobami od wielu już lat zmarłymi. Przyszłość dopiero nauczy, jak wiele w tym wszystkim jest prawdy.

Czytającemu te pamiętniki moje, częste podróże, swobodne zabawy, zdawać się będzie, że chodził drogą wonnymi kwiatami usłaną; niech wie atoli, że w obcych krajach, porównując kwitnienie i zamożność ich z ujarzmieniem i ubóstwem naszym, w domu, patrząc na dumne przewodzenia Moskwy nad tronem i narodem, ileż piołunów lało się w kielich wesela mego! Mimo młodości, w której wszystko tak łatwo jest pogodnym, chmury smętności otaczały nieraz skronie moje.

Oprócz literackich zabaw nieużytecznym było życie moje: przestałem tłumaczyć romanów; ostatnim był: *Oblężenie miasta Kale. Duma Żółkiewskiego*, tragedia *Władysław pod Warną* pierwsze były oryginalne produkcje moje. Niebieskie oczy żyją dotąd, lecz biała niegdyś ręka innemu oddana; w ulotnych miłościach na próżno trwałego szczęścia szukałem; doznałem, co niewiara, co męczarnie zazdrości. Urodzony w innym, niepodległym kraju, mógłbym być wniknąć w pożyteczny zawód jaki, w ujarzmionym nie piąłem się do urzędów i znaczenia, których tylko przez podłość dostąpić można było.

W obcych nawet krajach zamknięta droga do sławy. Od siedmioletniej wojny drzymała Europa; w wojnie bawarskiej w roku 1778 Austriacy okopani w obozie, stary Fryderyk dawnych laurów nie śmiejący narażać, uważali się przez rok nawzajem i za wdaniem się Moskwy spory swe traktatem cieszyńskim, ugodnym sposobem skończyli. Wojna amerykańska zbyt oddalona od nas; odpoczywały mocarstwa jak ocean przed powstać mającą burzą. Wśród ciszy tej Moskwa jedna nie zwolniła kroku w olbrzymich swoich postępach. Polskę uważając jak swoją, całą swą dumę i chciwość obróciła ku wschodowi. Równie wyniosły, zagorzały jak Katarzyna, dawniej nałożnik, dziś poufny, Potemkin wspierał ją w przedsięwzięciach i dokaazywał, bo chciał uporczywie.

Cieężko było bez oburzenia na siebie świata całego kusić się o Carogród: zaczęto więc od Krymu i Kubania. Podstęp i chytryść przygotowała pozory, dokonały śmiałość i szczęście. Sahin Gerey wpływem Katarzyny wyniesiony był na godność chana Krymu. Słaby i lubieżny, łatwo się dał uwieść uludzeniom Katarzyny; wysłała ona do niego dwóch agentów (Wasilek i Konstantynow), by mu rozkosz i zbytków europejskich dać poznać ponęty. Zasmakował w nich Sahin Gerey, odstąpił dawnych mużulmańskich obyczajów i przyjął nasze. Już nie ścierwo końskie, lecz przysmaki kuchni paryskiej, już nie koń, lecz karetka wprowadziły się do Krymu; co więcej, namawiają go agenci, że prosi o rangę w wojsku Katarzyny. Ta czyni go dowódcą gwardii preobrażeńskie i order św. Anny przysyła. Z podziwieniem ujrano mużulmana zrzucającego zawój, golącego brodę, słowem, przemieniającego się w generała moskiewskiego.

Zbłąźniwszy do ostatka monarchę Krymu, ściągnąwszy nań nienawiść i pogardę narodu, pieniędzmi i darami wznieca Katarzyna bunt w Krymie; brat chana, Bati Gerey, nie domyślając się podstępu, staje na zbuntowanych czele. Jak niegdyś w podniecanych przez nią konfederacjach i zamieszkach naszych, pod pozorem utrzymania pokoju posyła Katarzyna wojska swe do Krymu; Potemkin spieszy na miejsce, Bati Gerey zrzeka się wszelkich pretensji. Wraca na tron Sahin Gerey. Nie tego chciała Katarzyna; powiększa siły swe na granicach Ukrainy polskiej i daje rozkaz posłowi swemu w Carogrodzie wymagać od Porty, iż jakimkolwiek Krym podpadnie krajowi, Porta w to mieszać się nie będzie; nadto namawia chana, by ustąpienia Oczakowa domagał się od Porty.

Napełniona Porta zniewagą na propozycje takowe wysyła baszę, by opanował wyspę Tymań; Sahin Gerey wysyła do niego posła, aby ustąpił; basza za całą odpowiedź głowę posłowi zdjąć kazał. Natenczas Moskale, niby mszcząc się urazy sprzymierzeńca swego, rozlewają się po całym Krymie; generał Balmen przymusza Tatarów do wykonania wierności carowej, Suworow podbija Tatarów Kubanu i Budziaku; Potemkin, zapędziwszy się aż za Kubań, przymusza do posłuszeństwa sułtana Bati Gerey i wszystkie hordy błędzące po rozległych tam stepach. Przymuszono na koniec panującego w Krymie Sahin Gerey do zrzeczenia się Krymu za pensją 800 000 rubli. Nieszczęsny ten bałwan, tułając się długo po Moskwie, udał się na

koniec do wyspy Rhodu i schronił do domu konsula francuskiego. Turcy, sprawiedliwą zapaleniem zniewagą, upatrują czas, gdzie się konsul oddalił, zdejmują z domu jego herb Francji, wpadają i duszą zmiennika.

Odurzona, odrętwiała Porta tak głośne zgwałcenie praw boskich i ludzkich poniosła w milczeniu; równie jak i przy podziałach Polski, i przy zajęciu Krymu wydała Katarzyna usprawiedliwiający swój manifest: „Lubo ostatnia wojna i najświetniejsze zwycięstwa wojsk naszych już nam były i wtenczas dały prawo do Krymu i Kubanu, przecież niepoohamowana żądza nasza pokoju skłoniła nas do zostawienia ich przy Porcie: przecież wrodzona niespokojność Tatarów, bunt ich (przez nas samych wzniecane) przymusiły nas do wielkich wydatków i utrzymywania w tych stronach wojsk naszych; nie licząc strat w ludziach, w samych pieniądzech wydałyśmy więcej dwunastu milionów rubli. Chcąc zatem ustrzec się nadal od wszelkich zatargów z Portą Ottomańską, postąpić, jak nam i państwu naszemu przynależy, postanowiłyśmy zająć na zawsze i przyłączyć na zawsze do państw naszych Krym, wyspę Taman i Kubań, a to jak sprawiedliwe wynagrodzenie za poniesione straty iłożone starania około pokoju i uszczęśliwienia ludów tych.”

Możnaż się tak bezwstydnie, tak często naigrawać z zdrowego rozsądku i wszelkiej uczciwości; jakimże czołem mogą monarchowie wymagać moralności w ludziach, karać w nich najmniejsze przestępstwo, gdy sami podobne gwałty i bezprawia nie tylko popełniają, lecz usprawiedliwiają je ważą się.

Katarzyna, odurzywszy wszystkich krokiem tak śmiałym, zbyt oddalona od wszystkich, by się prędzej spodziewać napaści, z strony tylko Szwecji była niespokojną: by się zabezpieczyć i zowąd, proponowała Gustawowi III spotkanie się z sobą w Fredrikshamn. Udała się więc w to miejsce z tłumem dam i kawalerów. Najęto dwa domy i połączono je galerią, którą monarchowie schodzili się z sobą. Nie było ułudzeń, których by ta sztuczna nie użyła kobieta; nakłoniła Gustawa do przedłużenia, w czasie wojny amerykańskiej zawartego, traktatu zbrojnej neutralności, a obietnicą pomocy w zawojowaniu Norwegii wymogła, iż Gustaw w wojnę jej z Portą wdawać się nie miał. Bogate nawzajem dawszy sobie upominki, rozmarzeni projektami nowych podbić, rozstali się z sobą.

Rozdrażniony gabinet angielski tym wzrostem potęgi, tym wznowieniem zbrojnej neutralności, usiłował podniecić Portę do wojny: lecz próżna Francja dla zyskownego handlowego traktatu, Austria darem Bukowiny, prowadzona może bojaźnią, by Moskwa wojną tą bardziej się jeszcze nie wzmogła, wstrzymała Portę. Zamiast wzięcia się do oręża Porta, nieprzygotowana, widząc liczne wojska moskiewskie na granicach Krymu i Wołoszczyzny, podpisała pokój ustępujący Krym, Kubań i panowanie na Morzu Czarnym.

Sułtan Irmetii i Georgii, tymiż ułudzone sposobami co chan Krymu, kraj swój poddał pod berło carowej. Równymiż podstępami Potemkin 60 000 Kozaków zaporoskich w pustyniach Krymu osadził. Katarzyna nadała mu imię Tawryczeskoj. Lecz nie te jedne czyny gwałtowne na łonie pokoju stały się w Europie: dopuszczając się ich, Katarzyna ważne zyskała powinność, lecz cóż zyskał tłusty Fryderyk Wilhelm, gdy siostry swej kobiecą chcąc nasycić zemstę najechał Holandię i dla powiększenia prerogatyw szwagra wszystkie prawa narodów zgwałcił bezczelnie; powinna była Francja ująć się za Holendrów; wojną tylko mogła była zaprzętnąć burzące się w łonie swym umysły, wojną tylko przytłumić pożar, który się już w wnętrzach ich zajmował, lecz arcybiskup de Sens, kardynał de Lomenie, człek niezdatny i słaby, wszystko poświęcił, by wojny zagranicznej uniknąć; uniknął jej, lecz wkrótce ujrzał ją w domu.

Nabycie Krymu i Kubaniu zdawało się nasycić już lubieżności tylko oddaną Katarzynę, lecz nabycie to nie było dostatecznym, by nasycić zawsze wyniosłe i niespokojne Potemkina żądze; nie już co do potęgi i bogactwa nie mając do życzenia, wzdychał za chwałą wojenną, za trzema łokciami orderu wojennego św. Jerzego; nie cierpiał, że go miał Romancow, a on go nosić nie mógł; by go mieć, trzeba było wziąć twierdzę lub wygrać bitwę, by wygrać bitwę, trzeba było mieć wojnę; wojnę więc postanowił i miał ją.

Przyciśnioną Katarzynę wiekiem, oddaną raz lubieżności, znów smutkom i trapiącym przeszłych zbrodni wspomnieniom, ciężko było Potemkinowi do krwawych, niepewnych może nakłonić zawodów. Powtarzali jej nieprzyjaciele Potemkina, że kraj był bez handlu i zapasów, wycieńczona długimi wojnami ludność, wsie i grody zniszczone. Kłótnie i zazdrości między zmieniającymi się co rok nałożnikami, strata sług dawnych, sług, co udusiwszy Piotra III wynieśli ją na tron, często carowę w ciężkim pogrążały strapieniu. Panin i Jerzy Orłów umarli z zazdrości. Aleksy Orłów, dawny jej kochanek, z którym kilkoro dzieci spłodziła, zrzekłszy się praw w sercu, zachował całą zuchwałość ulubionego kochanka. Raz wesołej poufałości przybierając ton dawny, nazywał carowę Katynką lub Katuszką, znów głośnie czynił jej zarzuty, na które drętwieli dworacy: przywiózł był z sobą ten Orłów doktora, raczej awanturzystę, Żangossy, ten z carową również poufały ton biorąc, gdy widział ją smutną, chwycił ją za rękę i ciągnąc ją za sobą: „*Pajdy gulat, Katinka – mówił do niej – gulaj, a budiesz zdorowa.*”

Ten smutek Katarzyny, przytomność Orłowów, poszepty nieprzyjaznych powiększały niepokojność Potemkina; wiedział on, iż nie było sposobu odzyskania nad nią swej władzy, jak oddalić ją z Petersburga. „Mówią ci, carowo – rzekł do niej – że kraj, twój nieludny i nędzny; pojedź zobaczyć i dawne prowincje, i nowe krainy, świeżo do państw twych przyłączone, a przekonasz się, jak mało nieprzyjaciołom moim wierzyć należy.” Postanowiono więc zwieźć Ukrainę i Krym.

Potrzeba roztargnienia, chęć okazania się w progach imperium tureckiego skłoniły carowę do tej podróży, a może i uśpione zajęcia Carogrodu obudziły zamysły. Od dawna przeznaczała ona na tron wschodni drugiego wnuka swego, wielkiego księcia Konstantego; w tym celu dała mu mamkę Greczynkę, otoczyła Greczynami, tak iż mały książę łatwo już tym językiem mówił; miał on w tej podróży towarzyszyć carowej; nagła choroba odry przeszkodziła temu.

Dnia 18 stycznia roku 1787 puściła się Katarzyna w tę podróż; prócz Potemkina towarzyszył jej panujący naówczas Mamonow, nałożnik jej, wielu dworskich, dam, posłowie: francuski de Segur, austriacki Stahremberg i angielski Harris. Prawdziwie jak do opery przygotowane były do tej podróży czarujące dekoracje i ozdoby. Tysiące koni na każdą stację spędzano, sanie szły dniem i nocą, w trzydzieści sążni paliły się stosy drzew; na noclegach stały wybudowane umyślnie domy.

Po wszystkich miasteczkach nakazane iluminacje i bale, z daleka spędzany lud miał rozkaz radosne wydawać okrzyki. Po ambonach nawet nakazywały popy w imieniu Chrysta, by wszędy Katarzynę przyjmowano nie tylko jak panią, lecz jak bóstwo jakie.

Zmienił się widok ten za wjechaniem do guberni kijowskiej, Stary zwycięzca Turków, Romansow, był jej rządcą. Zazdrosny Potemkin sławy wodza przytrzymywał wypłaty, wszelkie na drodze stawiał mu przeszkody, by się tam nie tylko w świetności, lecz w porządku nawet nie okazało. Nie napełniono pułków, nie ubrano ich, nie dano pieniędzy na wystawienie domów, poczynienie potrzebnych w Kijowie przygotowań. Nigdy zawiść między dworakami nie okazała się skuteczniej.

Święty lodami Dniepr zatrzymał Katarzynę w smutnym Kijowie. Lubomirscy, Sapiehowie, Potoccy, Branicki pospieszyli na oddanie hołdu tej, której poprzedników przodkowie ich tylekroć mieczem karcili. Katarzyna, przejeżdżając przez stare mieścisko z posłem francuskim i angielskim, zapytała ich, co myślą o Kijowie. Odpowiedzi ich malowały rzetelny każdego narodu charakter. „*C'est le souvenir et l'esperance d'une grande ville*” – odpowiedział dworak Francuz; „*Detestable*” – rzekł opryskliwym głosem Angielczyk.

Dnia 6 maja, gdy już cała natura świeżą okryła się zielonością, a raczej, gdy Potemkin wszystkie na drugiej stronie Dniepru poczynił dekoracje, carowa na 50 galarach udała się do Krzemieńczuku, naprzeciw Kaniowa na polskiej stronie położonego. Oprócz młodości i piękności – rzekłbyś – że to Kleopatra płynęła. Już tam oczekiwał na nią, niegdyś wyniesiony

przez nią na tron, w kilka lat stracony z niego, dawny jej lubownik, Stanisław August. Kazał on wspaniale oświecić wzgórze Kaniowa i sam wkrótce na galerię carowej pośpieszył. Ci, co tam byli przytomni, powiadali mi, że spotkanie między kochankami, którzy przez lat blisko 30 nie widzieli się z sobą, z początku dość było zakłopotane; udali się na rozmowę do osobnej komnaty; rozmowa ta trwała pół godziny, przerywana ustawnie wpadaniem tam faworyta Mamonowa, czyli to było udawanie zazdrości, czyli – jak podobnie – chęć pokazania Stanisławowi Augustowi, jaka konfidencja i poufalskość panowała między carową i nowym jej nałożnikiem. Jaka była między nimi rozmowa, wiedzieć nie można; z pewnością atoli wnosić wolno, że z strony Augustuła były żale i prośby, z strony Katarzyny zapewnienia o dalszej protekcji. Rozrzewień nad dawnymi miłościami zapewne nie było między starym królem i starą carową, po której sercu galopowało tyłu i tyłu kochanków. Przytomni to jeszcze dodawali, że gdy król odjechał, Katarzyna rzekła: „*Ho! quil a change* – przydała potem: – *il doit dire la meme chose de moi*”

Król nasz musiał być ujmującym; niezmiernie podobał się Potemkinowi, który, jako mający indygenat i dobra w Polsce, pocałował go w rękę; słyszałem później z ust króla, iż po pierwszym przywitaniu Potemkin wraz na teologię naprowadził rozmowę; lubił on zaciekać się w tajemnicach i mistyczościach. Między rozlicznymi projektami: bycia księciem kurlandzkim, królem polskim, może i carem, nieraz przechodziło mu przez głowę zostać archimandrytą, a nawet i prostym popem; wkrótce niespodziana śmierć przerwała te zamysły; zgon niewczesny dla nas, albowy był bowiem nie dopuścił podziału Polski, albowy był sam choć nad częścią jej panował.

Zamyślał Stanisław August spieszącemu do Katarzyny II cesarzowi Józefowi drogę zająć, gdy niespodzianie dano mu znać, że monarcha ten już się na dziedzińcu jego znajdował; król ledwie miał czas wybiec naprzeciw niemu. Uściskali się obydwaj. August nie taił mu obawy nowego podziału; zapewnił go cesarz, iż wioski jednej nie dozwoli oderwać od Polski. Ujrzymy wkrótce, jak synowiec jego, Franciszek, wiernie przyrzeczeń tych dotrzymał.

Im bardziej carowa postępowała ku południowi, tym przygotowane, czarujące widoki bardziej zastanawiały jej oczy. Na nadbrzeżach Dniepru wznosiły się z tarmi porobione wsie i miasteczka, gnano z daleka trzody ludzi i podobnego im bydła, które się kupami snuły i znów, przebiegając naokoło, w innych miejscach też same okazywały się; przez tę obłudę pustynia stała się kwitnącą krainą; a czy oszukana, czy lubiąca się oszukiwać carowa dziwiła się, jak prędko pod starannym rządem Potemkina stepy przemieniły się w kraj żyzny i zaludniony. Dodać należy, że te wszystkie gwałtem potworzono dekoracje znaczne sumy kosztować musiały; tak by było zapewne w każdym innym kraju, lecz w niewolniczym, jak jest Moskwa, kij wszystkiego dokazał.

Cesarz Józef II, pod imieniem hrabiego de Folkensztejn, czekał już na carową w Chersonie: nie było zabiegów, uniżenia, żeby monarcha ten nie używał, by Katarzynę oderwać od Prus i najściślej z nią złączyć się sojuszem. Chciwość zdobycz prowadziła go do tych podłości; chciał koniecznie wspólnie z nią powiększyć państwa swoje oderwanymi od Porty prowincjami. Mieszał się wraz z dworakami na pokojach jej, całował jej rękę, pochlebiał Potemkinowi, Mamonowowi. Wszystkie te uwielbienia były jak najfałszywszymi; zazdrosny Józef szczęścia i powiększeń Katarzyny w głębi serca nienawidził ją jak najgoręcej.

Też same okazałości co po drodze czekały Katarzynę w Chersonie: spychano tam nowozbudowane okręty, stały wojska na nowo ubrane, jaśniała brama tryumfalna od wschodu, z napisem po grecku: „Tędy prowadzi droga do Bizancjum” Mnóstwo cudzoziemców napełniało Cherson; między tymi liczono książąt de Ligne, Nassau, Mirandę. Wszystkie Europy i Azji narody otaczały Katarzynę, do sytości uraczoną się widziała; nic hojnym więcej nie czyni jak upojenie powodzenia; rozdawała Katarzyna otaczającym ją dworakom i awanturzystom cudzoziemskim ordery, łaski i niezmiernie trakty ziemi w Besarabii i Krymie. Jeden Suworow o nic nie prosił: „A wy nie prosicie mnie o nic” – zapytała go Katarzyna. „Pozwól, pani –

odpowiedział znany z dziwactwa swego wódz – że prośby moje podam na piśmie” Jakoż podał je, były następujące: 1. aby go carowa nigdy nie prosiła do siebie na obiad; 2. aby go nie oddawała pod komendę szambelanów, 3. aby długi jego zapłaciła: długi te wynosiły 14 rubli. Zasługi i znów dziwactwo Suworowa sprawiły, iż prośby te, pełne ostrej krytyki, acz u mściwej kobiety, uszły bez kary.

W Krymie zajechała carowa do Bachczyseraj; mieszkała w pałacu chana, tam gdzie tyle jęczało piękności, stara panująca baba podawała się tysiącnym rozkoszom. Spędzone Tatary wyć musieli radosne okrzyki swoje. Właśnie wtenczas Józef II odebrał wiadomość o buncie Brabantu; nie przewidując, ile powstanie to sprawi kłopotów, pojechał jeszcze z carową do Krymu, widział w Połtawie reprezentacją bitwy z Karolem XII. Coraz serdeczniej zaprzyjaźniali się z sobą monarchowie; mówią, że Józef II przyrzekł carowej pomoc swą w zdobyciu Carogrodu, co dziwniejsza, że oboje, pełni samowładnych zasad, zamyślali o wskrzeszeniu dawnych rzeszopolit greckich.

Niedługo przed wyjazdem do Krymu Bezborodko, przez Potemkina dany Katarzynie do spraw zagranicznych, chciał się pozbyć niemiłego sobie Bakunina, będącego na czele wydziału tego; wzięto za pozór wyjazd za granicę Bobrowskiego, bękarta carowej, i dano mu go za ochmistrza; powstał na jego miejscu, równie z niemoralności, jak dumy i zuchwałych czynów swoich, nowy godny Katarzyny minister.

Markow, syn chłopca jednego, wychowany u Galliczynów, wzniósł się stopniami do pierwszych w Europie legacji; rozwiązyły, podobał się rozwiązłemu Bezborodku; używał on go w poselstwach, wyniósł potem na stopień sekretarza stanu; w czasie ostatniego podziału Katarzyna, wydarłszy księciu Czartoryskiemu starostwo kamienieckie i latyczowskie, jemu je dała dziedzictwem. Nieprzyjaciel zawzięty Polaków, równie przez chciwość, jak nienawiść stał się gorliwym poradcą zupełnego podziału Polski. Po upadku Napoleona, gdy Księstwo Warszawskie stało się łupem Moskwy, doradzał Aleksandrowi, iż nie było innego sposobu odjęcia Polakom wszelkiej nadziei odzyskania kiedykolwiek ojczyzny ich, jak przenieść całą szlachtę polską na Sybir, tam im wyznaczyć grunta, a opuszczone po pradziadach dziedzictwa nasze rozdać między familie moskiewskie. Te tak dumne, okazałe podróże Katarzyny nad granicami Porty, zimowy jej z cesarzem Józefem, zgromadzone liczne wojska nad Dniestrem obudziły nieczułość Turków; przejęte praktyki moskiewskie w Grecji, Egipcie, Smyrnie, ton dumy na rozkaz Potemkina przez Bułhakowa przybrany w Dywanie, najwięcej poduszczenia Anglii i Prus, przywiodły ją na koniec do ostatecznych środków. Reis-Efendi podał Bułhakowowi notę, w której sułtan domagał się, by konsul moskiewski z Multan był oddalonym, by wojska wyciągnęły z Georgii, by okręta moskiewskie przechodzące przez Dardanelę były trzęsone etc. Bułhakow żądał czasu, by na żądanie to odpowiedzieć. Zezwolono najprzód, przysłano potem, że niepotrzebna zwłoka; ogłoszono wojnę; Bułhakow zamknięty został w Siedmiu Wieżach i wraz znaczne wojska pod Oczakow i setna flota na Morze Czarne wysłane były.

Ostatki roku 1787 zeszły na przygotowaniach wojennych i gabinetowych, rok 1788 z zapaleniem wojny między Porta i Moskwą, we Francji, Polsce, Szwecji zaczął rozwijać tę wojnę dla nas (najprzód pomyślnie; w końcu zgubne wypadki, które długo wstrząsając świat cały, acz upadkiem Napoleona przytłumione nieco, gwałtowne jeszcze w przyszłości zapowiadają burze i ważne odmiany. W roku 1788 zaczęło się życie moje publiczne, ciężkie prace, obozy, więzienia, wygnania; odetchniejmy nieco, nim (jeśli Bóg życia dozwoli) w dalszym opowiadań tych ciągu do tych smutnych przystąpiemy wypadków.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

1788. – Na łonie skrępowanej obcymi więzami ojczyzny mojej, wśród powszechnego letargu, na roztargnieniach młodości spędziłem najpiękniejsze lata moje i jużem wiek męski zaczął. Nieraz jednak wśród wesołych chwil poranku życia, wśród tłumnych zabaw zwrot na upodlenie kraju mego zachmurzał mnie smutkiem i ciężkie wyciskał westchnienia. Przyszła na koniec długo oczekiwana chwila, gdzie zbieg politycznych w Europie wypadków szczęśliwszą przyszłość obiecywać nam zdawał się.

Nieprzerwane pomyślności i zabory Katarzyny II, podróż jej do Krymu, chełpliwe jej odkazywanie się bycia wkrótce w Carogrodzie, zawiść tak dumnej wielkości, a nawet prywatne niektórych monarchów urazy, czarną nawałnicę zbierać na nią zaczęły. Anglia, Prusy i Szwecja, wkrótce do związku swego wciągnawszy Portę Ottomańską, o ukróceniu przeważnej jej potęgi silnie zamyślać zaczęły. Tkwiła w pamięci Anglii utworzona przez Katarzynę w czasie wojny amerykańskiej zbrojna neutralność i świeżo przez p. Segur zawarty zyskowny z Francją traktat handlowy; stał w oczach muzułmanów długi poczet strat, klęsk i poniżenia. Gustaw III, chciwy powiększenia i sławy wojennej, pałał żądzą ujrzenia się co prędzej na polu sławy; król pruski, upojony łatwym powodzeniem napaści swej na Holandię, rozumiał, że o wszystko kusić się może; nie lubił on nigdy carowej, tkwiła w-pamięci osobista uraza, którą nie od rzeczy będzie przytoczyć. Fryderyk II, w którego politykę wchodziło w ścisłych związkach trzymać się z carową, następcę tronu, dzisiejszego króla, wysłał był do Petersburga. Panin, minister zagranicznych spraw carowej, całkiem Prusom oddany, starał się młodego księcia jak najbardziej zalecać. Młody ten pan był wysokiej postaci, silny i otyły. Raz gdy carowa grała w karty, wyprężony książę naprzeciw niej stanął; Panin zbliżywszy się do Katarzyny, chcąc go może do tajnych względów zalecić: „*Madame–dit-il–il faut avouer, que notre cher prince de Prusse a l'air d'un Hercule...*” „*Dites plutot: de sa massue*” – odpowiedziała carowa. Słowa te, acz może niegłośno wyrzeczone, nieugojoną ranę zostawiły w sercu księcia.

Wyznać należy, iż sprzysiężenie to słabych, zawiśnych i urażonych monarchów na Katarzynę słabło i jak najniezręczniejszym było prowadzonym; zamiast użycia samych sił swoich, zamiast przeszkodzenia ścisłym związkom między Katarzyną i Józefem – chcieli oni, by kto inny kosztem swoim zamysły ich spełniał, i wybrali do tego tylekroć łamanego przez Moskwę nieprzyjaciela, Portę Ottomańską. Podżegana przez tyle mocarstw Porta wydała wojnę tak niespodzianie, iż zarozumiała, uśpiona wśród powodzenia, zbytków i lubieżności carowa nie miała ni przygotowanych wojsk, ni żywności, ni pieniędzy i gdyby z kim innym, nie z Turkami, miała do czynienia, gdyby niepolitycznie zagorzały Józef II nie przyszedł jej na pomoc, wiele z podbić i sławy swojej utraciłaby była. Zaczęła się ta wojna z okropnym krwi wylewem: Potemkin, zamiast złączenia sił swoich z Rumiancowem i wyparcia z Wołoszczyzny Turków, rok cały leżał pod nędznym zamczykiem Oczakowa; lecz cel życzeń jego spełnił się; straciwszy kilkadziesiąt tysięcy ludzi przy tym szturmie, otrzymał order św. Jerzego.

Tymczasem Anglia i Prusy, zawsze kogo innego wysyłając na harc, zapaloną głowę Gustawa łatwo podniecili do wojny. Wyniosła Katarzyna, mimo wszelkich od posła swego w Sztokholmie ostrzeżeń, nie chciała nigdy wierzyć, by tak słaby w porównaniu jej monarcha odważył się targnąć na nią; w tym zaufaniu, ogołociwszy Petersburg i szwedzkie granice z żołnierzami wysłaniem ich przeciw Turkom, miała już całą flotę swoją wysłać na Śródziemne Morze, gdy Gustaw w podanej jej nocie pysznie domagał się, by w dniu jednym carowa ustąpiła z całej Finlandii i pod pośrednictwem jego pokój z Portą zawarła. Gdyby był Gustaw cztery dni tylko później z deklaracją tą wstrzymał się, flota moskiewska byłaby już wyszła na morze, Petersburg i wszystkie porty moskiewskie, zostawione bez żadnej obrony, stałyby się

łupem Szwedów i przez 30 lat zdobyta Katarzyny sława zgasłaby była na zawsze; lecz i tu szczęście przywłaścicielki przemogło wszystkie ludzkie rachuby.

Ten spisek możnych monarchów przeciw Katarzynie, obarczenie jej przez dwóch nieprzyjaciół, tocząca się wojna oporem, bez ważnych jak dawniej zwycięstw, radością i nadzieją napelniły serca Polaków. Na wszystkich twarzach zajaśniała wesołość; huk dział szwedzkich w Fredrikshamn, odbijający się w Petersburgu, przerażający carową, najśłodszy był dla nas odgłosem. „Przyszła chwila oswobodzenia ojczyzny” – mówiliśmy sami do siebie. Przyjaciele dworu mówili, iż carowa, przyciśniona okolicznościami, chce ulżyć haniebną gwarancji swojej zasady. „Obejdzie się bez tego – mówili drudzy – Prusy pomogą nam do zupełnego jarzma moskiewskiego zrzucenia” W tym stanie były umysły, gdy wyszedł uniwersał królewski na sejm walny, po św. Michale w roku 1788 zacząć się mający.

Zwykle przed każdym sejmem zaczęły się układy względem wyboru posłów, tak u dworu, jako też u możnych dworu przeciwników. Na czele opozycji liczonego księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, cierpiącego z upodlenia króla, lecz pałającego czystym płomieniem dobra publicznego. Nie takimi byli: Branecki, acz okryty dobrodziejstwem, nieprzyjazny królowi, lecz całkiem Moskwie oddany, ostre dokuczanie królowi udając za żarliwe obywatelstwo; Szczęsny Potocki, próżny bez granic, gotów czy przeciw Moskwie, czy z Moskwą trzymać, byle tylko pierwszy przewodził; Seweryn Rzewuski, polny hetman, zbyt skąpy, by miał zwolenników, jaśniejący jednak pamięcią więzów moskiewskich, w nadziei że przyszła chwila odzyskania celu najdroższych życzeń jego, to jest władzy hetmańskiej, lubo na dawniejszych nie bywał sejmach, postanowił zjechać na ten i do wspomnianych już panów przyłączył się. Z Szczęsnym byli ukraińscy zwolennicy jego, z Braneckim rozwieźli i niecni, zdrowa i oświecona część narodu trzymała się księcia Czartoryskiego. Król był na czele ślepo powolnych Moskwie i jak na przeszłych sejmach, tak i na następującym obiecywał sobie mieć najmniej trzy części sejmujących.

Wtenczas to książe Czartoryski, generał ziem podolskich, i marszałek Potocki proponowali mi, bym został posłem, a że z województwa mego brzeskiego litewskiego już się byli książe Sapieha i Matuszewicz Tadeusz podali za kandydatów, radzili mi, bym się starał w Inflanciech. Nim atoli zbliżyły się sejmiki, (książe Czartoryski, potrzebujący dla zdrowia jechać do wód pyrmonckich, podróż tę proponował mi z sobą. Przejeżdżaliśmy przez Berlin, Hanower; w Pyrmoncie prócz rozmaitych narodów znaleźliśmy dziś panującego króla, naówczas królewicza pruskiego; był on naówczas w pierwszej młodości i jak [w] wieku takim, pustym niezmiernie; pamiętam, jak uchwyciwszy porucznika od huzarów, równie jak sam młodego, wciąż długiej, ogromnymi drzewami wysadzonej tam ulicy jak zapamiętały walcował; była z nim i siostra jego, królowna Frederyka, wkrótce potem za królewicza angielskiego, księżęcia de York, wydana. Właśnie wtenczas powstawać zaczęło krwawe łuno wkrótce wybuchnąć mającej rewolucji francuskiej; prócz kończyn atoli Europy, to jest Moskwy, świat był spokojny.

Za powrotem od wód do Puław znaleźliśmy tam księcia Ludwika Wurtemberskiego, który przed czterema laty pojął był za żonę córkę księcia, księżniczkę Mariannę. Pierwszy raz ujrzałem naówczas to sadło niemieckie, które później zdradziło haniebnie i żonę, i nową ojczyznę swoją. Opatrzony listami księcia do wojewody brzeskiego i braci jego, przemożnych w Inflanciech, wkrótce wyjechałem na sejmiki.

Po pierwszym zaborze kraju i odpadnięciu ostatka dawnych Inflant od Polski nie została przy Polsce, jak duża łąka do prowincji tej niegdyś należąca: Inflanty atoli – jak dawniej odpadnięto od Polski: Czernihów, Starodub, Smoleńsk – zachowały prawa wybierania posłów. W Inflanciech atoli liczba obiegających, może 50, składała się z możnych i zacnych obywateli: Borchów, Felkerzambów, Szadurskich, Weysenhoffów, Kublicrich, Putorów; posłowie ci, najczęściej nominowani od króla, dla ceremonii tylko zjeżdżali na miejsce. I tą razą przysłał król Platera, starostę inflanckiego, z listą nominowanych od siebie: jakoż ci by-

liby się utrzymali, gdyby nie zdarzenie, mnie nawet do tej chwili tajne. Już Plater okazał był list królewski i imiona kandydatów, już obywatele zwykłą powolność swoją okazywali, jużśmy się wszyscy zjechali na łąkę, już, mimo obstawania przy nas familii Siebergów, przeciwnicy nasi ogłoszonymi być mieli, gdy Michał Zabiełło okazał list Potemkina, zalecający obywatelom inflanckim, by tenże Zabiełło, ja i kilku innych posłami wybranymi zostali. Obsłu-
piał na ten list Plater i zauszniczy jego. Korzystając z trwogi tej podkomorzy Plater propono-
wał imiona nasze za posłów; imieniem Potemkina jak głową Meduzy obkamienieli wszyscy, nicht obraniu naszemu nie przeciwił się; zgodnie więc posłami wykrzyknięci byliśmy.

Wytlumaczyć tu należy, jakim sposobem ja, tak później nienawisny Moskwie, bez mojej wiadomości nawet za jej wpływem utrzymałem się posłem. Michał Zabiełło, jeden z najpięk-
niejszych mężczyzn wieku swego, długo bawił we Francji; nauką i polorem tej świata stolicy udoskonalił dane mu z przyrodzenia dary. Posiadał on wiele znajomości, dokładnie autorów klasycznych; łatwo mówiący, grzeczny, przy godności w całym ułożeniu posiadał dar podoba-
nia się. W całym życiu rozrzutność bez miary przyprowadziła go do nędzy; wysypawszy krocie, umarł w ubóstwie w Teplic roku 1816. Zabiełło, w czerstwości naówczas wieku, od-
wiedził był roku tego Potemkina w Kijowie i łatwo umiał mu się podobać; łatwo, zamierzysz-
szy już być posłem, wyjednał sobie list zaletny do obywateli inflanckich, aby go i kogo on zaleci, posłami obrali; umieścił i mnie Zabiełło na liście swojej. Wcześniej postanowiwszy na urzędzie tym jedynie mieć na celu dobro ojczyzny mojej, gdy tam nie było niepodległej woli obywateli, lecz ślepe tylko posłuszeństwo, nie wahałem się korzystać z błędu przemocy. Pierwszy raz na tym sejmiku miałem mowę podziękowania i nieźle mi się udało. Obrano na-
ówczas następujących:

z K o r o n y

Potocki, starosta babimoski, później kasztelan lubelski
Borch, kanclerzyc koronny

z L i t w y

Michał Zabiełło, generał-major
Julian Ursyn Niemcewicz

z I n f l a n t

Weyszenhoff Józef
Kublicki

Czyli to dane Stackelbergowi, posłowi moskiewskiemu, instrukcje łagodniejszego w Pol-
szcze postępowania, czyli usprawiedliwione przez tyle lat uprzedzenie, że i bez wielkich na-
tężeń wszystko się, jak zwykle dotąd, podług woli carowej odbędzie na sejmie, to pewna, iż
nigdzie gwałtownej nie używano przemocy i że Szczęsny, Branecki na Ukrainie, Podolu i
Wołyniu, księżę Czartoryski w Lubelskiem utrzymali na poselstwach przyjaciół swoich. W
Litwie i innych prowincjach wielu godnych obywateli obranymi zostało. Zjeżdżający się z
południowych prowincji na sejm zatrzymywali się w Puławach. Przybyli tam: Szczęsny Po-
tocki, Branecki i Rzewuski. Wśród uczt i zabaw naradzano się o przyszłym sejmie. W Bra-
neckim widać było szalbierstwo i zawziętość na króla, w Szczęsnym próżność, bez złej woli
niedojrzałe wszystkiego pojęcie, w Rzewuskim nieuleczoną fiksję odzyskania władzy het-
mańskiej; we wszystkich w jednym tylko zgodność, to jest położenia tamy wpływowi dworu;
w nas, nie-magnatach, powszechnym czuciem było: pamięć klęsk i upokorzeń poniesionych
od Moskwy i gorąca żądza wydobycia się spod jej jarzma.

Świetniejszą jeszcze niż lat poprzednich okazała się Warszawa na tym, roku 1788, zjeździe
sejmowym. Prócz osób należących do Stanów ciekawość i nadzieja wielkich i pomyslnych

wypadków ze wszystkich części rozległej jeszcze naówczas Polski co najmożniejszych i najznakomitszych w kraju zebrali obywateli. Nie miała jeszcze naówczas Warszawa tyle domów, ile ich dzisiaj widzimy, lecz pałace panów nie były obrócone na austerie, a zbytek okazałych i obszernych mieszkań nie przeniósł się był do oficjalistów, patronów etc. Ci sienią, izbą i alkierzem kontentowali się. Rząd niewielu miał tylko urzędników, nie znano, co to są biura; załoga w stolicy niewielka i po koszarach mieszcząca się; nie znano kwater ani jenerałowie nie zabierali pałaców i piąter w tych. Mniej majątni posłowie mieszkali w klasztorach lub skromnych po mieście stancjach. Każdy własną piędzią mierzył swą możność, wszyscy zadowolnionymi byli.

Przed otwarciem jeszcze sejmu otworzyły się u przedniejszych panów wielkie towarzyskie zgromadzenia. Miło było widzieć w zebranych tam posłach grono, a raczej wybór ludzi, po większej części młodzieży, najznakomitszych urodzeniem, wychowaniem, światłem, gorącą żądzą dobra publicznego zagrzanych. Z niektórych tylko osiwiiałych głów nie ustąpiły przesady; w tych, co już od jezuitów wychowanymi nie byli, lepsze nauki; podróże za granicę, czytanie dzieł wybornych na miejscu przesądów zagnieździły zdrowe prawidła, szlachetność w postępkach i chęć zmazania wstydu, ciemnoty i upodlenia swych ojców.

Zaczęły się w gabinecie narady względem aktu konfederacji; król używał całej swej łagodności i perswazji ku zjednoczeniu umysłów. Poseł moskiewski Stackelberg widząc, iż przeciwniem się swoim na próżno tylko naraziłby powagę swoją, nie śmiał mu się przeciwieć. Król nie mówił, jak o zbawiennych dla kraju widokach; oddalenie *liberum veto* przez akt konfederacji zjednoczyło wszystkich umysły.

Zaczął się więc sejm dnia 6 października 1788 od zwykłego w kolegiacie Św. Jana nabożeństwa. Znany z dowcipnych pism swoich ksiądz kanonik Jezierski miał kazanie, Szczęśliwe tema wzięwszy z Pisma świętego: „*Praebete aures vos, qui continetis multitudines, et placetis vobis in turbis nationum, quoniam data est a Deo potestas vobis, et virtus ab altissimo. Qui interrogabit opera vestra, et cogitationes scrutabitur*” Po przywitaniu króla i rozdzieleniu się Izb, sprawdzeniu obieralności, nie było sprzeczek w obraniu marszałka; Potocki, starosta szczerzecki, ustąpił pretensji swoich w najzepsutszych nawet czasach jaśniejącemu cnotą swą Stanisławowi Małachowskiemu, referendarzowi koronnemu; między innymi i ja wyznaczony byłem od Izby do doniesienia o tym królowi. Na następującej sesji, dnia 7 października, gdy się już obydwie połączyły Izby, król wezwawszy Izby mówił o potrzebie związania Izby aktem konfederacji; projekt więc aktu tego czytany był. Pierwszym w nim celem było pomnożenie sił zbrojnych narodowych i ulepszenie ustaw wewnętrznych; a gdy w konferencjach jeszcze nad tym aktem książę Józef Czartoryski, stolnik litewski, nie odstępował od wniosku, by we wszystkich materiach kryski sekretne były zastrzeżone, król, lubo sprawiedliwie obawiał się, jak przez ten środek większość partii jego zmniejszy się, pozwolił, by go dodać. Uchwalony więc jednomyślnie wśród okrzyków radości akt konfederacji wraz przez króla i stany podpisanym został. Jeden Rzewuski, hetman polny koronny, słysząc, iż w konfederacji tej nic o przywróceniu władzy buławom wspomnianym nie było, niezmierną chustką obwinął szyję i udając ból wielki gardła, nie podpisawszy konfederacji z Warszawy wyjechał; długo potem wicherząc w Widniu i Petersburgu, nie wrócił do kraju, aż na sejm targowicki.

Jeszcze sejm czynów swoich nie zaczął, gdy na sesji 13 [października] Mniszech, marszałek wielki koronny, oznajmił, iż oddaną była do łaski nota posła pruskiego do zgromadzonych stanów. Ludwik Buchholtz, rezydent pruski, z rozkazu dworu swego oświadczał w tej nocy, iż jeszcze przy końcu sierpnia dwór petersburski doniósł dworowi jego, iż imperatorowa zamierza zawrzeć odporne przymierze z Rzeczpospolitą Polską przeciw wszelkim wspólnym nieprzyjacielom; nie widzi król J. M. pruski, jacy to są nieprzyjaciele, gdyż dwór jego i wiedeński dochowują wiernie traktatów, Porta Ottomańska najwierniejszym jest sprzymierzeńcem; gdyby przeciw niej nie zaczęta Polska uzbrajać się miała, ostrzega król J. M. pruski o niebezpieczeństwie, o jakie by niesforne te wojska, już szczęśliwie wojujące, Polskę przez

wpadnięcia przyprawić mogły, a wtenczas i król pruski, troskliwy o całość prowincji swoich, musiałby wziąć zbrojne przyzwoite środki, że jeżeli przymierza potrzeba, król J. M. pruski ofiaruje swoje i wszelkie gotów jest wziąć środki, by Polskę postawić w stanie niepodległym, silnym i rządym. Po notach przez lat [kilka] groźby tylko lub rozkazy zawierających nota, w której niechęć ku Moskwie, a przychylność ku nam tchnęła, z radością przyjętą była. Dopraszano się o wydrukowanie i rozdanie jej i wraz podkanclerz ksiądz Garnysz do propozycji od tronu przystąpił. Krótkie były propozycje te; radził król, by celem postawienia Rzeczypospolitej w stanie godnym niepodległego państwa powiększyć wojsko; o poprawie rządu, zastraszony od Stackelberga, nie śmiejący targnąć się na gwarancję moskiewską, tak dla nas zgubną, nie odważył się wspomnieć, z lekka tylko napomykając niektóre potrzebne w sądownictwie poprawy; radził także, by celem ułatwienia przychodzących pod decyzję stanów materii sesje prowincjonalne, na których by się wszystko wprzód roztrząsało, wprowadzonymi były.

Po przeczytaniu tych propozycji wniósł Suchodolski, poseł chełmski, aby wojsko przysięgło na wierność skonfederowanym stanom; trzy dni upłynęły na mowach domagających się tej przysięgi i twierdzących ją za niepotrzebną; wrodzona od wieków w Polakach troskliwość o wolność i bezpieczeństwo swoje, chęć wielu popisywania się z wymową sprawiały, iż mów tych było bez końca; w tym bardziej stawali się mordującymi, iż wszystkie prawie te mowy nie z pamięci, lecz czytane były z karty; *in turno* nawet czytano arkuszowe mowy. Stańło na koniec znaczną większością, by departament wojskowy w imieniu wojska przysięgł.

Tu Walewski, wojewoda sieradzki, wniósł zastrzeżony przy początku obrad projekt od siebie, aby ante omnia materie wojskowe wziętymi były, doniósł oraz, iż gdy już na sesjach prowincjonalnych powiększenie wojska do stu tysięcy ugodzonym zostało, domagał się, by wola ta stanów w prawo zamienioną została. Tu wśród głosów rzewnej radości na zapytanie marszałka po trzykroć te słowa: „Zgoda”, słyszeć się dały, i w jednej chwili sto tysięczne wojsko uchwalonym zostało. Jawny dowód, jak ognistym jest naród nasz we wszystkich szlachetnych uczuciach swoich, jak pełnym uniesienia, gdziekolwiek idzie o dobro i chwałę imienia polskiego. Był to dzień prawdziwej radości i szczęścia, wszyscy ściskali się i winszowali sobie.

Na tejże sesji, 20 października 1788, czytana była odpowiedź na podaną notę króla pruskiego. Król i stany, wyrażając w niej w najpochlebniejszych wyrazach wdzięczność swą za interesowanie się króla sąsiada do dobra i całości Rzeczypospolitej, oświadczały, iż projekt przymierza z Rosją ani wprzód do Rady Nieustającej, ani dziś do stanów skonfederowanych podanym nie był. Gdyby to później nastąpić miało, rzecz ta, z natury samej publiczności obrad sejmowych, utajoną nie będzie, a wtenczas stany, stosując się do praw niepodległości, wezmą środki, które, dogodne dobru ojczyzny, na szacunek i przyjaźń jego królewskiej mości niezawodnie zasłużą.

Coraz widoczniejszą stawała się odtąd chęć dworu berlińskiego wpływania do obrad sejmowych, ujmowania sobie umysłów, a nade wszystko rozjątrzenia nas przeciw Moskwie. Od dawnych czasów królowie pruscy, niegdyś hołdownicy nasi, dziś panów swoich za nic mając, nie trzymali w Polsce, jak małych rezydentów, z szczupłą nader pensją 3000 talarów; takim był niedawno Benoit, Blanchot, takim dziś Buchholtz. Że dwory berliński i wiedeński przyrzekli byli Katarzynie II nie mieszać się w niczym do spraw polskich, i owszem, cały jej kierunek jej zupełnie zostawić – rezydenci pruscy byli najniższymi sługami wielkiego posła moskiewskiego; takim był nade wszystko Buchholtz; nie miał on nie tylko innej woli, ale nawet innego stołu, jak Stackelberga. Przesłany rozkaz, by przeciw niemu działał, stropił go niezmiernie; nie mógł pojąć, jak mógł z nim chodzić w zapasy: zakłopotenie jego było widoczne; przywyknienie, uniżone skłonności jakieś ciągnęły go do niego, rozkazy dworu oddalać się kazały. Przesłano nawet Buchholtzowi kilkaset talarów, by dla znacniejszych w sejmie dawał obiady. Tu nowy kłopot: Buchholtz nie jadał, jak z traktierni albo u Stackelberga, nie

miął ni sreber, ni najmniejszych porządków; popożyczał więc, kupił cokolwiek fajansu i wina, i obiad w domu dziś Frenkla wydał; byłem na nim, prawdziwe widać tam ubóstwo i nowość w trzymaniu domu. Stół wąski, jak w refektarzu, czarne na nim z piwem i winem butelki, potrawy jak zwykle w garkuchniach niemieckich, w gospodarzu kłopot największy. Po obiedzie w rozmowie z nami widać było nieśmiałość i bojaźń, gdy nieprzychylnie o Moskwie odezwać się przyszło. Jakoż wkrótce dwór berliński poznał, iż nie takiego w dzisiejszym składzie człeka potrzeba mu było w Warszawie, i wkrótce – na nieszczęście nasze – przysłał Lucchesiniego. Zaledwie 100 tysięcy wojska z radością i uniesieniem uchwalonym było, gdy zewsząd obudziła się troskliwość o środki, jakimi by bezpieczeństwo obywateli zabezpieczyć od ucisków żołnierskich. Długo trwała sesja 21 października. Radziszewski, poseł starodubowski, podał projekt odbierający władzę nad wojskiem departamentowi wojsk w Radzie, a przenoszący go do mającej się ustanowić oddzielnej Komisji Wojskowej, z cywilnych i wojskowych osób złożonej, zapewniającej wszelkie obywatelom bezpieczeństwo. Przypominano w licznych głosach w ostatnich wiekach doznawane od skonfederowanych pułków bezprawia, uciski i gwałty. Jezierski, kasztelan łukowski, dziwaczny, lecz dowcipny starzec, wyrzekł te pamiętne słowa: „Ustanowiliśmy wojsko, a jednomyślną zgodą panu swemu i sobie łzy radości wycisnęli, teraz myślimy, byśmy znów na to wojsko nie płakali. Cóż czynić należy? oto, przyjąwszy służbę, trzeba mu kondycje wypisać, kemu ma być posłusznym, jak swoich panów szanować, jak rolnika oszczędzać, bo ten jest właściwie żołnierza panem, a szlachta tytułarną, bo rolnik trony umacnia, nas karmi i odziewa, i jest świata dobrodziejem” Pierwszy raz na tej sesji mówiłem i ja. Suchorzewski, później targowiczanie, żelował niezmiernie. Już dla późnej dnia pory król ministerium wołał do tronu i miał sesję solwować, gdy księżę Czartoryski, stolnik litewski, poseł wołyński, doniósł stanom, iż odebrał list, do porządkowej komisji województwa wołyńskiego przez moskiewskiego generała amszefa pisany, w którym groźnie domaga się od Wołynia o przystawienie 15000 podwód na przewiezienie magazynów z Połony i Smotrycza, grozi nawet egzekucją wojskową; obawa tej egzekucji, większa jeszcze bojaźń ściągnięcia przez to napaści tureckiej, godne zastanowienia stanów. Krok ten i ton generała moskiewskiego dowodził, że w czasie nawet, gdzie chciano łagodzić umysły, długie przyzwyczajenie w Moskalach do niepoczytania za nic samowładności naszej od gwałtów wstrzymać ich nie mogło. Na głośne domaganie się listy te (gdyż i drugi podobny był z Podola) czytany były. Król przewidując, jak żywe uczucia wyrazi owych sprawią w sejmujących, oświadczył, iż skarga o to przez kanclerzów podaną będzie posłowi moskiewskiemu i skutek onej doniesiony stanom; to wyrzekłszy solwował sesję na dzień 27.

W następujących sesjach toczyła się jeszcze materia, komu władza nad wojskiem powierzona być ma. Otwarcu Moskwy przyjaciele: Ożarowski, Kossakowski, większość ministrów, senatorów, wielu posłów, przeciwni się komisji; długie i rozwlekłe głosy przerwane były doniesieniami pieczętarzów o nowych nad Dniestrem uciskach, o przemycaniu markitanów wspartych żołnierzem moskiewskim, o krzywdach na koniec od wojsk austriackich pod księciem Koburgiem i wysłanych na koniec przez pana Stackelberga sztafetach do grafa Rumiancowa, by nadużycia te poskromił. Sesja dnia 3 listopada trwała od godziny pierwszej po południu aż nazajutrz do godziny czwartej z rana; taka była świerzbiączka gadania, nawet *in tur-no*. Propozycja, czyli władza nad wojskiem ma być powierzona departamentowi w Radzie, czyli Komisji Wojskowej.

W głośnych kreskach było w senacie i ministerium za departamentem 70 *negative*; za Komisją 19. Stanu rycerskiego za departamentem 79, za Komisją 95. Większość za departamentem 35.

W sekretnych kreskach wszystkich wotów było 262, z tych za departamentem 129, za Komisją 140; a zatem jedenastu głosami utrzymała się Komisja; co najwięcej, niebezpieczeństwo dla strony moskiewskich kreszek sekretnych stało się widocznym.

Ustanowiona nowa Komisja z 18 osób, z których dwunastu cywilnych, sześciu wojskowych, opisaną była w sposób zapewniający cywilnym obywatelom wszelkie przeciw nadużyciom wojskowym bezpieczeństwo: ustanawiając ją jednak oddzielnie od Rady, oderwano jeden konar od drzewa ogólnego rządu; byłby to wielki błąd, by na zawsze tak zostać miało, lecz był to tylko poprzedniczy krok do zwalenią później całej niemiłej krajowi Rady Nieustającej; osobne komisje w czasie najwyższej władzy trwającego sejm pod okiem onegoż zawiadywały publicznymi i wewnętrznymi sprawami. Powszechną troskliwość w zabezpieczeniu się wojska przez przysięgę stanom, opisanie go najdokładniej przypisać należy tej bojaźni, którą zbytnia podległość króla z Radą swoją rozkazom moskiewskim sprawiedliwie wzbudzała w narodzie.

Po uprzątnieniu tego zatrudniającego wszystkich przedmiotu następne sesje schodziły na rozmaitych rozstrzygniętych na wszystkie strony wnioskach i projektach. Suchorzewski – jeszcze dobry naówczas – radził, by złożono kwartalne podymne na zakupienie broni i potrzeb wojskowych; Szczęsny Potocki wyrwał się z wystawieniem statuy Stefanowi Czarnieckiemu; wielu domagało się, by się u posła moskiewskiego domagać, by wojska imperatorowej wyszły z krajów Rzeczypospolitej. Matuszewicz, poseł brzeski, wniósł projekt nieustannego sejm. Sesja dnia 6 listopada pamiętną była podaną notą przez posła moskiewskiego, w której wyraża, iż gdy widzi, że wiele podanych na sejm projektów przeciw się zagwarantowanej przez sąsiedzkie dwory formie rządu roku 1775 ustanowionej i wywraca rząd ten zupełnie, oświadcza zatem poseł, iż imperatorowa nie będzie mogła patrzeć na najmniejsze zgwałcenie zagwarantowanego przez nią rządu, tylko jak na zgwałcenie traktatu roku 1775.

Po przeczytaniu tej noty wielu posłów z żywością odezwało się o głosy; król, przewidując zapalczywą burzę, wezwał ministerium i w pamiętnym mówił sposobie.

„Że w chwili tak pomyślnej trzeba jak najroztropniej postępować, ani popędliwością psuć zaczętego szczęśliwie dzieła. „Jestem – mówił – przyjacielem Rosji, bom przekonany, że nie masz mocarstwa, którego by interesa mniej się spierały z naszymi jak Moskwy; nie należy jej drażnić popędliwością. Wiem ja, że się wystawię złym tłumaczeniom, ale przyjdzie czas, i niezadługo może, gdzie mi podziękuje naród, żem wolał być dla niego prawdziwie użytecznym niżeli w gorących jego zapędach jemu przypodobanym. Radzę więc, by panowie marszałkowie wraz z ministrami zatrudnią się wygotowaniem najprzyzwoitszej posłowi rosyjskiemu odpowiedzi i by dać czas po temu, solwuję sesję na 10 listopada.”

Pokazały następne lata, iż sprawiedliwe były przestrogi króla, lecz wtenczas, gdy Prusy i Anglia oświadczały się z swoją pomocą, gdy niepomysłna wojna ze Szwecją i Porta nie dozwalała Moskwie wyrzucić sił swoich na Polskę, gdy okoliczności sprzyjały, gdy cały naród żywą pałał niepodległości żądzą, groźby moskiewskie obrażają, a głos królewski trwożliwym tylko do podległości nałogiem zdawał się. W kilka dni dopiero podaną była stanom odpowiedź na notę posła moskiewskiego. Wyrażano w niej, iż ustanowienie Komisji Wojskowej, gdy jest tylko wewnętrznym zrzędzeniem, zabezpieczającym karność wojska i bezpieczeństwo obywateli, że jeżeli odmiana jakiego prawa roku 1775 zdawać się będzie stanom dążącą do polepszenia wewnętrznego rządu, pewna jest Rzeczpospolita Polska, że imperatorowa z wrodzonej sobie wielkomyślności i przyjaźni dla Polski ukontentowanie swoje z lepszym bytem Rzeczypospolitej łączyć będzie. Negocjacje w tym względzie z imperatorową i sąsiedzkimi dworami za najprzyzwoitszy środek upatruje. Wyrazy mniej spodziewane umieszczone w nocie wielkiego posła wzbudziły czułość narodu, a dzień odstąpienia przyjaźni tak wielkiej monarchini Rzeczpospolita w chęciach swoich oddalając poczytałaby go za dzień powszechnego żalu.

Gdyby Katarzyna nie wiecznego nierządu i słabości, ale życzyła dobra Polski, skwapliwie byłaby się chwyciła podanej w tej tak grzecznej i umiarkowanej nocie myśli otworzenia negocjacji o sposoby poprawienia nierządu naszego; ale duma i zawziętość wzgardziły środkami takimi. Na tejże sesji podana nota do Stackelberga o ewakuację wojsk moskiewskich.

Do końca roku 1788 trwały bez przerwy prawie obrady sejmowe i naradzania się nad opisaniem Komisji Wojskowej; było wielomówstwa bez końca. Mierzejewski i inni partyzanci hetmana Braneckiego starali się odzyskać, ile można, z utraconej na sejmie 1776 władzy hetmańskiej; na próżno jednak. Na dniu 26 listopada odezwał się znów król pruski dziękując stanom za przyjazną odpowiedź na notę jego pod dniem 12 października, pochwalając oraz sposób, w którym stany na grożącą notę posła moskiewskiego odpowiedziały. „Spodziewa się król J. M. pruski – mówił poseł jego – po roztropności i stałości Sejmujących Stanów, iż Stany nie zatrzymają się w czynieniu w rządzie swoim tych odmian, które za pożyteczne uznają, że się nie dadzą zastraszyć przytaczaniem gwarancji 1775. Gwarancja ta bowiem przez jedno tylko mocarstwo (moskiewskie) podpisaną była.” Ostrzegał minister pruski, aby Polacy nie dawali się uwodzić odgłosem krzywdzącym dwór pruski, który nie ma na widoku, jak rzetelne Rzeczypospolitej szczęście.

Widziemy z tej noty, jak nieustannie król pruski wzbudzał nieufność i niechęć naszą ku Moskwie, a przeciwnie, ku sobie stanów uczucia wzniecić szukał. Sama Moskwa postępowaniem swoim na Podolu cierpliwość naszą codziennie drażniła. Suchodolski, poseł chełmski, któremu w owych czasach obywatelskiej gorliwości zaprzeczyć nie można, Suchodolski, mówię, domagał się czytania raportu generała Lubowidzkiego, stojącego nad granicą podolską. Donosił on w nim, że Moskale jeszcze na Ukrainie naszej przebywają, mają swoje magazyny, co więcej, niesforne ich kupy rabują i wybierają ludzi na rekrutów, że Turcy równie przez niewiadomość wpadłszy do granic naszych zrabowali wieś Świnną. Suchodolski w ciągu mowy żarliwie rozwodził się nad niebezpieczeństwem cierpienia dłużej wojsk moskiewskich w granicach Rzeczypospolitej, przez co i Turcy wpadać do nas nie przestaną, i król pruski, gdy domaganie się jego w Petersburgu o wyjście z Polski Moskali próżnym się stanie, równym prawem jak Moskwa do Polski wkroczyć może. Król, chcąc 20 głosom nad tą materią koniec położyć, udał się do zwykłego środka i sesję solwował. Na dniu trzecim grudnia sejm prorogowany został aż do ukończenia przedsięwziętych materii. Na dniu 10 grudnia wysłani zostali do [dworów] wiedeńskiego, pruskiego, petersburskiego, wersalskiego i angielskiego pełnomocni posłowie. Szczęsny atoli Potocki, już obojętną grający rolę, nie udał się na to poselstwo; wolał, i owszem, wkrótce nie jak poseł, lecz udzielne mocarstwo, sam z Petersburgiem traktować. Ustanowione prawo o niebraniu pensyj od zagranicznych podobno do krzywoprzysięstwa tylko było powodem, ci bowiem, co byli tak podli i wyrodni, że je brać śmieli, odważyli się i po przysiędze brać je. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, uczynił ofiarę wystawienia legionu z 6210 ludzi, tak piechoty, jak i jazdy, na usługi Rzeczypospolitej, generał artylerii Szczęsny Potocki przyrzekł dać 10 000 broni, ale dopiero na sejm następujący, księżna Sanguszkowa, marszałkowa wielka litewska, wdowa, ofiarowała klejnoty swoje, wielu posłów i obywateli złożyło pieniężną składkę. Na dniu 16 grudnia wyznaczona ze stanów Deputacja do Spraw Zagranicznych; ta druga gałąź oderwana od ogólnego rządu prędko zgon Radzie Nieustającej zapowiadać zdawała się. Jakoż odtąd sejm przez sądownictwa objął najwyższą władzę nad krajem. Ostatniego dopiero grudnia skończyło się opisanie Komisji Wojskowej i wybrani do niej członkowie. Sześcią niedzielne, ceremonialne, pod obcym jarzmem [sejmy], nic ważnego nie mogące objąć z rządu, nie dały Polakom, jak Anglikom, nauki obradowania; każdy paragraf projektu do naprawy, z kilkudziesiąt artykułów składającego się, osobno był roztrząsany, najczęściej *ad turnum* idący, znów w tymże *turnum* rodził niezliczone mowy; troskliwość o swobody, niedowierzanie królowi, nieprzepisany porządek obradowania, często chęć popisywania się z wymową ciężkich, szkodliwych w dzisiejszych okolicznościach zwłok były przyczyną; lecz przy tym ileż obywatelstwa i prawdziwej gorliwości, ile ofiar szlacheckich. Nienawiść ku Moskwie, wraz nowymi pomnażana obelgami, coraz nowymi od króla pruskiego ośmielana zapewnieniami, coraz zuchwalszą stawała się. Przywykli nawet długo do ślepej podległości zrzucić ją zaczęli, i większość członków niepodległych już więcej w sejmie wątpliwą nie była. Publiczność, tłumami napeł-

niająca ganki i ławki izby obrad, odgłosem zniewagi i ohydy okrywała tych, co się jeszcze za Moskwą odzywać ważyli. W tych czasach napisałem dwie polityczne bajki, jedną *Zięba i sowa*, drugą *Gmach, podupadły*. Pierwsza była aluzją do przeciwnych tonów dwóch ministrów, moskiewskiego i pruskiego, druga zmierzała do tych osób w stanach, które różnymi sposobami skrycie własny interes w publiczny wmieszać usiłowali, wcześniej tylko drzwiczki przysposobiali sobie. W następnych czasach, aż do dzisiejszego, często ja stosownie do okoliczności pisałem polityczne apologi, w *Bajkach* moich zawierające się. Z końcem upływającego już roku zlimitowany sejm do 7 stycznia 1789. Dla uchwalonego 100 000 wojska rozkazano pożyczyć za granicą trzy miliony, kazano złożyć tymczasem podymne, nałożono niektóre podatki od urzędów i orderów, postanowiono dobrowolne składki; wszystko to niewystarczające na uchwaloną liczbę wojska. I tu sprawiedliwie sejm winić można, iż wraz dziesiątego grosza nie uchwalił, nie wybrał, nie zaciągnął wojska. Wojsko to wcześniej zaciągnięte miałoby czas wyćwiczyć się, być gotowym do odparcia najazdu. Lecz któż widząc wplątane w niepomyślną wojnę Moskwę i Austrię, obydwie zagrożone przez króla pruskiego i Anglię, napaści spodziewać się mógł? Nadto nie obwarowana przepisami forma postępowania sejmowego obszerne stawiała pole skrytym stronnikom moskiewskim, gdy nie mogli przeszkodzić dobrym ustawom, oddalać je przynajmniej przez zwłoki. Jakoż w ciągu całego sejmku zdradna ta polityka nikomu tajną nie była.

Przeszkody te i wielomówstwo tak były mnogie, iż diariusz sejmowy, sesje tylko od siódmego stycznia do trzeciego lutego 1789 zawierający, składa duży drukowany tom *in folio*. Nie trzeba atoli rozumieć, by brakło na prawych mężach, ustawicznie przypominających stratę czasu, zwracających uwagę do przedmiotów wojskowych i skarbowych; lecz – jakem powiedział – sejm wziął na siebie cały rząd krajowy: przerywały materie wojskowe nowe coraz doniesienia, to listy od komendantów na granicy, znów noty domagające się wyciągnięcia wojsk moskiewskich, wyprowadzenia nawet ich magazynów; i o dziwo, odpowiedzi na nie Stackelberga jak najłagodniejsze, znów bulle papieskie za nietykalnością dóbr duchownych, to projekt sejmu nieustającego, znów domagania się o zniesienie Rady Nieustającej, znów instrukcje dla wyjeżdżających za granicę posłów. Sejm nasz był jak ten pan, co, w najmniejsze szczegóły gospodarstwa sam wchodzi, opóźnia i zaniedbuje najważniejsze przedmioty; wszystko to pochodziło od nieprzyzwyczajenia narodu do stałego i trwałego rządu, od tej nieufności, którą król, otoczony stronnikami Moskwy, wzbudzał jeszcze. Częstkowo – jakem powiedział – zasilano skarb, po trochu powiększono wojsko. Podatek dziesiątego grosza szóstego dopiero kwietnia uchwalony, z wybiegami, które chciwość z uszczerbkiem skarbu publicznego zręcznie potrafiła wcisnąć, zrzucając na innych to, jak na starostów, duchowieństwo etc., a zmniejszając sobie ciężary. Poprzedzające podatku tego wybierania lustracje wpłynienie onego do kas oddalały na długo. Uchwalono tymczasem ofiarę na rok jeden kominowego i podymnego z warunkiem przynoszącym chlubę sejmowi, by dwory, nie zaś poddani, opłacali je. Kto wspomni, jak w dawniejszych wiekach wszystkie poborowe uchwały sejmowe na samych tylko kmieci zwalane były, uzna z radością, jak w pokoleniu dzisiejszym uczucia ludzkości nad samolubstwem i dawnymi przesądami wzięły już górę. Nakazano zaciągnięcia kawalerii narodowej i innych pułków. Uboczne przygody przerywały nieraz te tak chwalebne ustawy. Donoszono ze wszech stron, że czerńcy, czyli popi moskiewscy, przebrani za dziadów chodzili po wsiach naszych i buntowali pospólstwo; wyznaczono po temu indagacyjną komisję. Niemałą w obradach publicznych sprawiło przerwę oskarżenie przed stanami przez woj. Suchodolskiego Adama Ponińskiego, podskarbiego wielkiego koronnego, źle sławnego sejmu 1775, o zdradę i wszystkie bezprawia. Niewinną w tym zdarzeniu stałem się przyczyną wielomówstwa Suchodolskiego: gdy o mającym się wnieść zaskarżeniu tym mówiono, rzekłem, że w Anglii Edmund Burke, gdy Hastingsa oskarżał, wciąż przez trzy godziny mówił; „Ja zaskarżając Ponińskiego – przerwał Suchodolski – mówić będę godzin cztery”; jakoż dotrzymał słowa, mówił godzin cztery i kwadrans. Zbyt liczne, jawne, okropne były

zbrodnie Ponińskiego, by prócz brata mógł się kto za nim odezwać. Z pierwszych – przez przedajność swą – panów w Polsce już przez marnotrawstwo ujrzał się bez najmniejszej piędi ziemi; jak nieposesjonata kazano chwycić, dwakroć uciekał i dwakroć schwytany i pod sąd sejmowy oddany, skazany na utratę czci i sławy, i wszystkich urzędów, i zaszczytów. Uwolniła go potem Targowica; Moskwa pensję zwróciła, lecz marnotrawstwo i pijaństwo do tego przywiodło go ubóstwa, iż w roku 1802 znaleziono go bez duszy w jednym z rynsztoków ulic warszawskich. Kiedy zważymy ten okropny jego koniec zastanowiemy się, w jakich zgryzotach, w jakim upadku zamknęli dni swoje Szczęsny Potocki, Rzewuski, Branecki, Kossakowski, trudno nie uznać, iż jest Bóg oddawca kary za zbrodnie, Bóg w następnych nawet pokoleniach sięgający przodków zbrodnie. Szczęsny, dziesięć milionów liczący dochodu, umarł w najcięższych zgryzotach, świadek kazirodztwa syna swego z powtórna żoną, Wittową. Rzewuski, cel wzgardy świata, umarł nędznie, a żona jego rozproszyła złym rządem dwudziestomilionowy majątek i dzieci zostawiła w ubóstwie. Branecki pijaństwem nie mógł oddalić zgryzot ani się pocieszyć z powszechnej wzgardy. Kossakowscy, Ożarowski na szubienicy życie skończyli. Czemuż przykład ten nie zastrasza podłych i przedajnych dzisiaj. *Discite iustitiam moniti, et non temnere divos.*

Rada Nieustająca, cel długiej i powszechnej nienawiści, posiadająca najdzikszą w świecie prerogatywę tłumaczenia podług woli swej praw, na zawsze zniesioną została. Sesja ta była burzliwą i długą. Stronnicy moskiewscy użyli wszelkich środków, by się temu sprzeciwić: bojaźń zapewne ściągnięcia zemsty Katarzyny, i niepłonna, jeśli – jak czas pokazał – przewidywali dobrze, oporu tego była przyczyną. Gdy przyszło *ad turnum*, ogółem głosów za zniesieniem było 120, przeciw 11. Niewotujących 62, nieprzytomnych 43. Stały podatki od przywilejów, od papieru stemplowanego. Wyznaczono komisje po wszystkich województwach i powiatach do wyciągnięcia inrty z dóbr ziemskich i duchownych celem dopełnienia podatku dziesiątego grosza. Z zapłonieniem wyznać tu należy, iż wielu w podawaniu swych więcej pamiętało na siebie niż na ojczyznę. Pozwolono zaciągnąć za granicą 10 milionów florenów polskich.

Dnia 27 lipca odjętą została królowi jedna z prerogatyw tronu: gdy bowiem doświadczenie na tym sejmie nauczyło, iż w najważniejszych a niemiłych decyzjach król w zwłokach szukał lekarstwa i sesje solwował, postanowiono, aby odtąd za zezwoleniem tylko stanów sesje solwowanymi bywały.

Po zwaleniu Rady Nieustającej sejm, uwolniony od bojaźni, by ofiary jego na złe użytymi nie były, nie przestawał czerpać we wszystkich źródłach, by skarb publiczny napełnić. Porównano więc dochody biskupów, biorąc dobra ich na skarb, dając prymasowi dwieście, innym zaś biskupom po sto tysięcy na rok, pozwalając im oraz w sumach tych brać dobra, jeżeli zechcą. Zaczęto wraz od biskupstwa krakowskiego i wzięto znaczne biskupstwa tego dobra z kopalniami w Kielcach, Suchedniowie etc., etc., etc. Tym więc prawem rząd pozyskał kruszce, tak dziś staraniem księdza Staszycza zagospodarowane i korzystne.

Przy końcu lata roku 1789 już nie w oświadczeniach, ale szczerze przychylnych radach dał król pruski dowód, że chce widzieć ustalone losy i niepodległość naszą; nim bowiem z propozycją traktatu odezwał się do nas, nie mogąc polegać na nie ugruntowanym i – iż tak rzekę – na powietrzu wiszącym rządzie naszym, żądał, by stany wyznały deputację do utworzenia projektu rządu przyszłego, który by nosił w sobie rękojmię stałych i niewzruszonych prawideł. Wyznaczono więc deputację w tym celu; znajdował się w niej sławny w konfederacji barskiej Krasiński, biskup kamieniecki, uleczony z dawnych przesądów, lecz nie z słusznej nienawiści swojej ku Moskwie; stale do dworu saskiego przywiązany.

Wzięty pod decyzję stanów etat wojskowy; nigdy widoczniej nie okazały się wady sposobu obradowania naszego: w Anglii i innych reprezentacyjnych krajach wniesiony projekt do prawa po przeczytaniu i rozdaniu onego członkom powierzony jest deputacji, która nad nim rozważa, i, dobrze wytrawiony, całkiem pod decyzję Izby przynosi; wolno wtenczas podawać

poprawy, lecz z poprawami tymi lub bez nich projekt całkiem przechodzić powinien. U nas przeciwnie: każdy artykuł projektu osobno decydowany być musiał; nieraz *turnus* schodził na patrontasze i kamasze; najnieznośniejszym w tej materii etatu był pisarz koronny Kazimierz Rzewuski. Z każdego drobiazgowego przedmiotu drobiazgowy umysł jego ważną sprawę utworzyć umiał, a choć nigdy wojskowo nie służył, chciał przekonać stany, że wojskowość posiada dokładniej nad wszystkich; i to wszystko w mowach nadętych, bez sensu, które słuchając, ledwie od śmiechu wstrzymać się można było. Przy najpozorniejszej postaci, wszystko w tym człeku było krzywe i niewdzięczne, i rozum, i postępowanie aż do ostatniego kresu życia.

Skończyły się na koniec długie rozprawy nad liczbą, płacą i etatem wojsk obojga narodów. W Koronie uchwalono kawalerii narodowej po 1819 ludzi 8 brygad; sześć pułków lekkich piechoty po 1369 głów. Piechoty 18 pułków po 2153 głów. Artylerii 3326 głów. Komput ogólny wojska koronnego 65 928 głów. Te kosztować miały 31 110501 florenów, groszy 29.

W Litwie dwie brygady kawalerii narodowej po 2421 głów, sześć pułków jazdy, gwardia 313, inne po 1098 głów. Piechoty gwardii 568, artyleria 1661, osim pułków piechoty po 2153, strzelców 2392, ogółem 32 664 głów, mające kosztować 15 265 048 florenów, 21 1/3 grosza.

Suma wojska w Koronie i Litwie 98 596

Płaca na nie 46 375 580 florenów 20/60.

Jak nierównie bogaciej wojsko nasze płatnym jest dzisiaj, w roku 1824, następujące dowiedzie porównanie:

W roku 1789 98 596 głów kosztowało 46 375 580 florenów

W roku 1824 30 000 głów kosztuje 30 000 000.

Lecz pierwszy etat układał naród z wszelką przezornością i ekonomiką, dziś składa go mაცოცა rozrzutność. Szkoda, że kilku z sejmujących, odstąpiwszy szlachetnego przy otwarciu sejmu postanowienia niekorzystania w niczym z dochodów krajowych, zamówili sobie miejsca generałów, brygadierów, a nawet majorów w nowozaciągającym się wojsku.

Po ustanowieniu wojska i podatków na nie znów zwróciła się troskliwość obywatelska na środki, jak przy tak ogromnej sile zbrojnej zabezpieczyć bezpieczeństwo i spokojność domową. To dało powód do ustanowienia po województwach komisjów cywilno-wojskowych, najprzód w Litwie, później w Koronie. To więc, co sławny Turgot przez administrację prowincjonalną zamyślał we Francji, wykonany zostało w Polsce. Niezmierny zaiste postęp w kraju przez tyle wieków do nieporządku i wyuzdanej swawoli nawykłym, widoczny dowód rozszerzonej oświaty i niewygasłej dobra publicznego miłości. Przez ustanowienie komisjów tych, przez przewleczenie przez cały kraj ogniw łańcucha wiążącego się z rządem powszechnym, wszystko razem powiązane, spokojność obywatelska zabezpieczona, żadne nadużycie przed okiem rządu ukrytym nie było.

Ustanowienie to uważam za jedno z najważniejszych i najbawienniejszych uchwał sejmu naszego. Ktokolwiek zechce opis ich przeczytać, przekona się, z jaką przezornością nad wszystkim zastanawiano się. Rekrut, kwaterunki, magazyny, sądy między cywilnymi a wojskowymi, wszystko na koniec, co do dobrego porządku i pomyślności kraju i każdej z osobna prowincji ściągało się, zabezpieczonym tam było.

Zakończył sejm posiedzenia swoje tegoroczne przyjęciem stałych zasad do poprawy rządu przyszłego służących: nie wazono się jeszcze w tych zasadach obalać miłego Polakom, chlubnego w teorii, zgubnego w doświadczonej tylekroć praktyce prawa obieralności królów; wiele atoli szkodliwych dotąd ustaw odsuniętymi od nich było. Zniesione *liberum veto*, postanowione sejmy zawsze do zwołania gotowe. Najwyższa prawodawcza władza przy sejmie, wykonawcza w straży przy boku króla będącej; sprawy jej podległe roztrząsaniu sejmów; sejmy pod zwiazkiem konfederacji uchyłone na zawsze, a gdyby gwałtem narzucone, za nieważne uznane.

Rozdział drugi

1790. Nim przystąpimy do czynów sejmowych w roku 1790, przyzwoitym będzie skreślić pokrótce obraz znakomitszych w Europie zdarzeń, wpływu ich na sprawy nasze, zastanowić się nad duchem publicznym, dworem królewskim i tonem towarzystwa w Polsce.

Dotąd zmowa trzech potężnych mocarstw na Moskwę wzbudzała w Polakach najżywsze oczekiwania, zwracała na siebie uwagę całej Europy. Od roku i więcej nieznanne, gwałtowne wzruszenia we Francji powszechną bacność dzielić zaczęły. Rewolucja ta źródło swe wzięła w przygotowanych do tego od wieku umysłach, w rozszerzeniu światła, które i ludowi samemu wady rządu jego poznać dały, w rozrzutności dworu i rządu, a zatem bankructwie. Gdyby naówczas, czyli to przy zwołaniu *les notables*, czyli później stanów królestwa, szlachta i duchowieństwo nie było się okazało tak uporczywym przy niesprawiedliwych przywilejach swoich, gdyby wspólnie z resztą narodu ciężary publiczne znosić było chciało, jakkolwiek w skarbie publicznym wielki był deficyt, niezliczone bogactwa i zasoby Francji, wsparte hojnością obywatelską, dostarczyłyby były łatwo potrzebom publicznym; lecz – jakem powiedział – upór szlachty i duchowieństwa, zwalający całe brzemie długów i podatków na niższe klasy, znalazły w tych klasach odpór, który stopniami podkopał filary władzy najwyższej, obalił wszystko, co było świętym i upoważnionym wiekiem. Co za różnica między Francją i Polską. W pierwszej szlachta wyłamuje się spod powinności czynienia najmniejszych ofiar ojczyźnie, w Polsce szlachta, uwalniając rolników od ofiary tej, sama ją wyłącznie bierze na siebie. Tu atoli wyznać należy, iż pierwsze Zgromadzenie Narodowe, pomiędzy szlachtą nawet, złożone z ludzi światłych, prawych i dobrze ojczyźnie swojej życzących, byłoby nawet publiczną doprowadziło do portu, gdyby książe Aureliński, z zgubą króla drogę sobie torując do tronu, nie stał się wodzem wichrzycielów wszystkich i nie zaprowadził przez to rzeczy do gwałtowności, które wstrząsły i krwią zboczyły świat cały.

Początki atoli czynów Zgromadzenia Narodowego wzbudziły w nie zaślepionej przesądami publiczności europejskiej powszechne interesowanie się. Widok narodu uwalniającego się spod nieograniczonej królów swych władzy, ogłaszającego światu zgodne z zacnością natury ludzkiej prawidła, zachwycał dusze szlachetne i gorące; uprzedzeni z pogardą i natrząśaniem patrzyli na prawidła te. Pamiętam, iż przyszły z Paryża do Warszawy tabakierki, na których wierzchu drobno wyryte były ogłoszone przez Zgromadzenie francuskie prawa człowieka. Wielu z nas miało tabakierki takie. Postrzegł jedną z tych tabakierek sekretarz nuncjusza papieskiego Mascardini i przeczytawszy ledwie do połowy: „*Che legge buffone*” – zawołał i z pośpiechem oddał tabakierkę.

Z najlepszymi chęciami gwałtowne postępowanie cesarza Józefa Drugiego na mniejszym pomiarze podobnie wstrząśnienie wzbudziło w austriackich Niderlandach. Zgwałcenie przywilejów prowincji tych w edykcje Entree Joyeuse zwanym, reformy w duchowieństwie obrzyło uprzywilejowane klasy. Duchowieństwo użyło nad pobożnym ludem wpływu swojego, adwokat Van der Noot stanął na czele ludu; wypędzono rakuskie załogi; król pruski, rad, że rywala swego, Austrię, nowego nabawi kłopotu, powstanie to podnieca; Józef II przymuszony był wrócić przywileje, tak jak zabraną Węgrom koronę musiał nazad odwozić do Budy, przykład dla wszechwładców, by porywczowie nie targali się na umowy z ludami swymi. Brak atoli umiarkowania w Flamandczykach zepsuł oswobodzenia dzieło: nie przestając na odzyskaniu przywilejów, na wprowadzeniu potrzebnych ustaw i popraw, zaczęli małpować Francuzów, słuchać wniosków demagogów swoich, by sprawę, już niekorzystną ni szlachcie, ni duchowieństwu, obmierzło; szlachta ta i duchowieństwo popychały ślepe pospólstwo, zastraszających i niemiłych monarchów. Rad był król pruski z pozoru tego, by się wycofnąć z danych

obietnic pomocy. Cesarz Leopold odzyskał na czas Niderlandy, lecz Francja pogodziła wszystkich, podbiwszy i zabrawszy je na siebie. Dziś złączone z Holandią osobne państwo składają.

Choć ważne, oddaleńsze atoli, mniej wpływu na przeznaczenia nasze mające przygody mniej nas zajmowały jak to, co się z sprzysięgłym na zgubę naszą nieprzyjacielem, co z Moskwą się działo. Cieszyliśmy się z pierwszych szlchetnych ustaw Zgromadzenia francuskiego, lecz gdy to przemieniło się w Konwencję, gdy jakobini nad samymi prawodawcami górę wzięli, gdy wszędy wolność i bezpieczeństwo obywatelskie zgwałcone, wraz tak niecne, gwałtowne, krwawe czyny wzbudzały w Polakach ohydę i wzgardę.

Wróćmy się do walk Katarzyny z Portą i Szwecją; acz miłość własna i wojska tej monarchini okropne ponosiły ciosy, powodzenia atoli Szwedów i Turków nie odpowiadały gorącym życzeniom naszym. Jużemy powiedzieli, jaki błąd popełnił Gustaw III wydając wojnę, nim flota moskiewska wyszła na Morze Śródziemne, kilka dni później ujrzałby się był panem wszystkich jej portów bezbronych. Na lądzie, to przez chytrą moskiewską, to przez nieposłuszeństwo własnego wojska, obiecywanych sobie laurów nie uszczknał. Wylądował był Gustaw w Finlandii; generał moskiewski Michelson, ten sam co Puhaczewa złapał, nie miał, jak 1500 ludzi do zakrycia prowincji tej; to, jak tylekroć widzimy w dziejach moskiewskich, chytrą i podejście zastąpiły sił niedostatek; Michelson zmyśla list od gubernatora Fredrikshamn do siebie, w którym gubernator donosi mu, iż z 12 000 wojska śpieszy mu na pomoc; niosący list ten umyślnie tak był naprowadzony, by wpaść na czaty szwedzkie; przejęty list, Gustaw uwierzył, a widząc znacznie przewyższające siły, odciągnął.

Katarzyna, przez wojnę turecką ogołocona z potrzebnych sił do oparcia się napaści szwedzkiej, udała się do zdrad i podejść. Godny wszelkiej ohydy wyrodek szwedzki, nazwiskiem Sprengtporten, nie wiem, za jaką od króla swego urazę, porzucił ojczyznę i w służbę moskiewską udał się. Zdrajca ten wybuchnienie między dwoma krajami wojny za pomyślną porę do nasycenia zemsty swej obrał. Oświadczył więc Katarzynie, iż przez dawne związki swoje z oficerami wojsk szwedzkich wie, jak byli przeciwnymi tej wojnie, i łatwo ich skłonić może do oparcia się onej. Krzyże, ruble, łaskawe zachęcenia i obietnice propozycji tej były odpowiedzią. Wkrótce skutek złośliwe, występne praktyki Sprengtportena uwieńczył. Gustaw znajdował się pod Fredrikshamn. Rozkazał jenerałowi Siegeroth wylądować z wojskiem swym z drugiej strony miasta, dać znać wystrzałem z działa, by król z drugiej strony w tymże czasie szturm przypuścił. Wiatry przeciwne wstrzymały nieco Siegeroth, wylądował jednak, dał znak umówiony, lecz gdy król naprzód wojsku iść każe, występuje przed szyki pułkownik Hastesko, mówiąc, iż z tej strony szturm byłby nadto niebezpiecznym. „Chcę być słuchanym” – odparł Gustaw: na te słowa wielu innych oficerów wyszło naprzód i oświadczyło, iż prawa krajowe nie dozwalały królowi bez zezwolenia sejmu zaczepnej wojny prowadzić. Gustaw odzywa się do żołnierzy, lecz już duch buntowniczy wodzów zaraził szeregi. Pułk Hastesko pierwszy broń złożył, za nim inne. Sprawiedliwy gniew i żałość przejęły serce Gustawa; posłał rozkaz, by Siegeroth odwiódł swe wojsko, sam cofnął się do Kamieńgrodu, nazajutrz zbuntowanych oficerów kazał odwieźć do Sztokholmu; przyjął ich lud z okrzykami obelgi i wzgardy, pierwsi ze szlachty zatajoną radością; wątpić bowiem nie można, iż magnaci radzi by byli odzyskać berłem nawet nie ograniczoną władzę senatu i że woleli tu władze i pensje moskiewskie niż niepodległość kraju swojego.

Przyzwoiciej zapewne uczyniłby był król szwedzki, gdyby, wierny nadanej przez siebie samego konstytucji, zwołał był sejm, przełożył mu dogodną porę odzyskania strat ciężkich od Moskwy; gdy tego nie uczynił, do sejmu należało w innym czasie dopomnieć się o zgwałcenie prawa, nie zaś do zbrojnego, stojącego naprzeciw zawziętego Szwecji nieprzyjaciela; nie na uciśnienie Szwedów, lecz na upokorzenie dumy moskiewskiej prowadził swe wojsko Gustaw; i byłaż to pora dla Szwedów wypowiadać posłuszeństwo królowi, który za zabory, krzywdy i obelgi narodu szwedzkiego chlubną szukał odnieść zemstę.

Nie tu się zastanowiły zdradliwe podejścia Katarzyny. Nie mogąc odciągnąć od wojsk swych przeciw Turkom potrzebnych sił do popierania walki swej z Gustawem, zdradą samychże Szwedów, poduszczeniem dawnych ich nieprzyjaciół starała się dręczyć króla szwedzkiego. Na mocy trwającego jeszcze między Moskwą i Danią traktatu żądała Katarzyna zawarowanego w tymże traktacie posiłku. Wierna sojuszom Dania odmówić go nie chciała. Książę Karol Heski, teść króla duńskiego, wysłany został do Norwegii. Na głos jego, tchnący zwykłą między sąsiednimi ludami nienawiścią, uzbrajają się Norwerczykowie, napadają na nieprzygotowane szwedzkie prowincje i już się do Gothenburga zbliżają. Gustaw co prędzej wysłał gwardie swe na wzmocnienie miasta tego załogi, sam udaje się do Dalekarczyków, w ciężkich razach ostatniej królów szwedzkich ucieczki. Na głos jego 3000 góralów tych porywa broń, naśladują ich mieszkańcy poblizszych prowincji; lękając się atoli, by siły te nie dość wcześnie ściągnęły, przebiera się i z jednym tylko adiutantem w nocy u bram Gothenburga stawa; po długim niedowierzaniu wpuszczono go na koniec. Mimo atoli przytomności jego i ciągnącego wojska Gothenburg musiałby się być poddać, gdyby nie śmiała przytomność umysłu posła angielskiego w Danii, Elliot; ten, jak później admirał Nelson, porzuca Kopenhagę, przebiega Szwecję, stawa na obozie księcia duńskiego, oświadcza mu, iż jeśli nie odstąpi od oblężenia i nie wyciągnie wojsk z kraju szwedzkiego, Anglia wszystkie duńskie okręta przytrzymać każe, wyszle nadto eskadrę, by bombardować Kronsburg; Elliot przez swą śmiałość, przez pogrożki, nie nakazane sobie od dworu swego, wybawił Gothenburg i uwolnił Szwecję od niebezpiecznego nieprzyjaciela.

Rozjątrzony Gustaw buntami, które Katarzyna w wojskach jego wzniecała, również podnieceniem Danii przeciw sobie, nie oddychał, jak zemstą. Eskadra moskiewska stała w zatoce Kopenhagi, gdzie ją lody zatrzymały przez zimę. Stary Sprengtporten posłem był szwedzkim w Kopenhadze; Gustaw nie sądząc go zdatnym do uknowanego przez siebie zamysłu, wysłał, niby do pomocy, niejakiego Albedyhia z stopniem sprawującego interesa. Ten wkrótce wita w swym domu poufałego królewskiego Benzelstierna; obydwu pod pozorem operacji handlowej kupują od kapitana irlandzkiego O'Brien okręt i z góry 12 000 talarów płacą mu, i obowiązują się na piśmie drugie tyle zapłacić, jeżeli zamysł ich przyjdzie do skutku. Napęniają okręt ten okseftami smoły i wódki, zlecają mu z pierwszym pomyślnym wiatrem wychodząc z portu okręt ten zapalić. Gdyby okropny ten projekt skutecznym został, nie tylko moskiewska, lecz i duńska nawet flota poszłyby były w perzynę.

Wielomowny Irlandczyk wygadał się z swym kontraktem przed przyjacielem swoim, nazwiskiem Tost. Ten, zdjęty zniewagą na czyn tak zdradny, odkrył go rządowi. Wysłano, by natychmiast trząść okręt O'Briena i samego przytrzymać. Majtkowie duńscy, pobudzeni od Moskali, rzucili się na dom Albedyhia; poseł moskiewski Krudener, przebrany za majtka, powitaniu temu przywodził, lecz Albedyhl i Benzelstierna potrafili umknąć do Skanii.

Takimi to sposobami ci monarchowie, ci pasterze ludu, mający dawać przykład narodom cnoty i moralności, najmniejsze wykroczenie przeciw nim w ludach swoich karzący surowo, walczyli z sobą. Ileż psoty ich wyrządzane sobie nawzajem kosztowały nieszczęsnym poddanym.

Quidquid delirant reges, plectuntur Achivi.

Dawniejsze Moskali powodzenia przeciw Turkom, lubo nie tak natarczywie i świetnie, powtarzały się i teraz. Moskale, przymuszeni wyciągnąć z Polski, wyprowadzić nawet magazyny swoje, niemało znajdowali trudności prowadzenia wszystkiego z głębi swych prowincji lub też drogo zakupywania żywności na naszej Ukrainie i Podolu; lecz jakichże trudności nie zmoże despotyzm. Repnin, Sołtykow, Suwarow, Kamieńskoj w wielu bitwach pokonywali Turków: ci wetowali to sobie na Austriakach, którzy jak na j niepomysłnie j wojnę tę wiedli. Wojna ze Szwedami na morzu odmiennym toczyła się szczęściem. Gustaw i książę Nassau

nawzajem ciężkie zadawali sobie kłęski. Gustaw wylądował 5000 ludzi blisko Petersburga; trwoga w tej stolicy była powszechna. Katarzyna, bawiąca w Carskim Siele, sekretnie przygotowane miała konie, by do Moskwy uciekać. Lecz i tu wybawiło ją nieodstępne jej nigdy szczęście. Książę Sudermanii, brat króla szwedzkiego, chciał w samym Rewlu walczyć flotę moskiewską, i zawiódł w zatokę Wiburga i flotę, i galery swoje; zamknęli go w tym golfie Czyczagow i Nassau i byłiby flotę szwedzką zupełnie znieśli, gdyby byli przesmyk, którego flota szwedzka mogła się wymknąć, umocnili działobitniami; zaniedbanie to dało sposobność Szwedom ująć z niebezpieczeństwa z stratą kilku okrętów i galer. Reszta galer szwedzkich schroniła się do Swenskasund, ścigał ją Nassau, lecz, nie mając z sobą poradcików swoich de Winter, Litty, i Voraye, na głowę zbitym został straciwszy połowę galer swoich i 10 000 ludzi. Nassau odważnym był aż do zuchwalstwa, lecz nieumiejętny, letki, i próżny nad wszystkie wyrazy, choć nigdy nie służył na morzu, nie wahał się i w tym zawodzie szukać chwały i zysków. Zarozumiały kłęką swą, że Moskale przez zazdrość sławy jego dali się pobić umyślnie, napisał do imperatorowej:

„Madame, j'ai eu le malheur de combattre deux elements, les Suedois et les Russes, j'espere que Votre Majeste me rendra justice.” Ciekawa jest odpowiedź Katarzyny, była ona taką: *„Vous avez raison, parce que je veux que vous l'ayez. Ceci est aristocratique, mais c'est ce qui convient dans le pays ou nous sommes. Comptez toujours sur votre affectionnee Catherine.”*

Trudno wyrazić, z jaką niecierpliwością wśród obrad naszych. sejmowych oczekiwaliśmy wiadomości z teatrum toczącej się naokoło wojny; szczęśliwe wypadki napełniały nas niepojętą radością, niepomyślnie wracały bojaźń, byśmy mimo wszelkich usiłowań naszych nie wpadli w świeżej jeszcze tkwiącą w pamięci smutną podległość; na tę bojaźń, na te smutne przeczucia nieprzyjazne Moskwie dwory biegłych nam w posłach swoich przysłali lekarzy. Najbieglejszym był Lucchesini, na miejsce Buchholca. od króla pruskiego przysłany. Nie można było lepszego do okoliczności uczynić wyboru. Dostyc było spojrzeć na Lucchesiniego, by poznać, że Włoch, chudy, oliwkowaty, z dużym okiem czarnym – drugie bowiem stracił w doświadczeniach chemicznych – posiadał nieustanną niespokojną czynność, pilną na wszystko, co się działo, uwagę, z taką troskliwą gorliwością, iż rzekłbyś, że nie było nadeń troskliwszego o dobro Polski Polaka. Dodaj do tego obszerną naukę, dowcip, ujmującą wszystkich grzeczność, znajomość politycznych obrotów, w długim z Fryderykiem Wielkim obcowaniu nabytą. Z takimi darami, z zapewnieniami – których nie skąpił – o niczym niewzruszonej przychylności i pomocy pana swego Polakom, nie dziw, że serca i ufność wszystkich Lucchesini umiał sobie pozyskać. Nie przestawał on ubolewać i przypominać nam krzywdy, zniewagi, obelgi, którycheśmy doświadczali od Moskwy. „Fryderyk Wilhelm – mówił on – nie szuka innej chwały, jak zasłonić Europę od chciwości, pychy i przemocy północnych barbarzyńców; powrócić Polsce jej potęgę, sławę i wolność za najpierwszy uznał do tego środek. Chwila obecna jedyną jest do osiągnięcia celu tego: Katarzyna, uwikłana w niepomyślną wojnę z Porta i Szwecją, ułagodzeniem się swoim, ofiarą nawet z Polską przy mierza chciałaby raz jeszcze Polaków omamić, lecz Polacy nadto są oświeceni, by doznane mu z nienawiści i zdrad swoich nieprzyjacielowi na chwilę ufać mogli.”

Hailes, poseł angielski, z zimną, angielską rzetelnością zapewnienia te i nadzieje tym bardziej wzmacniał, im mniej Anglia Polakom z nieprzyjaznych chęci znaną była. W ściślejszej ja z Hailes żyłem poufałości; ileżkroć zdarzyło mi się obawy moje jemu powierzać: „Nieczynnymi was widzę – mówiłem mu – w wspieraniu Turków i Szwedów, walka ich z Moskwą wątpliwą toczy się koleją, jeśli wy sami nie uderzycie na nią, wątpić nie można, że wytrwałość, potęga i szczęście Katarzyny przemogą słabszych Turków i Szwedów, a wtenczas któż nam zaręczy, że i król pruski, zawsze tylko powiększenia swego chciwy, nie opuści nas i z Moskwą się nie złączy.” „Widzę – odpowiedział Hailes – iż doznane tylekroć nieszczęścia i zdrady oddalają od was tę ufność, którą jeśli nie w osobach życzliwych wam monarchów, to przynajmniej w widocznych ich pożytkach i w składzie okoliczności mieć powinniście. Potę-

ga i duma Moskwy nienawistniejszą jest Anglii, Porcie, Prusakom i Szwedom niżli – jeśli można – Polakom. Wkrótce poczwórny alians między tymi mocarstwami i Polską proponowanym będzie, a wtenczas będzieszże się jeszcze lękał?” „Czekam tego” – odpowiedziałem z radością.

Ścisłej jeszcze związany ze mną Engestróm, poseł szwedzki, którego przed dziesięciu laty poznał był w Widniu; człowiek, ze wszech miar uczciwy i prawy, serdecznie nienawidził Moskali; mowy jego gorętszymi były nad wszystkie.

Ach! jak łatwo jest dzisiejszym zoilom wyrzucać sejmowi naszemu nieprzezorność i ła-twowierność; gdyby byli patrzali naówczas na powszechny zapał nie tylko sejmu, lecz Polski całej, na hojne ofiary, które co dzień składano, gdyby słyszeli powtarzane co dzień i publicznie, i prywatnie zapewnienia posłów sprzymierzonych dworów, że nigdy sprawy naszej nie opuszczą, wierzyliby jak i my. Ani wątpić należy, że w chwilach tych posłowie ci i dwory ich szczerymi byli w oświadczeniach swych, później dopiero zdradliwe mściwej Katarzyny podstępny widokami nowych na Polszczyźnie zaborów do wstydliwego wiarołomstwa przywiodły Fryderyka Wilhelma II. Niemało powiększyło ufność naszą naówczas przybycie do Warszawy posłów od wszystkich prawie zagranicznych mocarstw; dotąd bowiem sąsiedzkie tylko dwory trzymały u nas rezydentów swoich. „Liczeni więc jesteśmy – mówiliśmy sobie – za niepodległy naród, gdy monarchowie reprezentantów swoich przysyłają do nas. Zamian rządzącego nami propretora moskiewskiego, mamy posłów szanujących i tron, i naród. Szczęśliwe skutki gorliwych usiłowań naszych.”

Nie od rzeczy będzie skreślić wizerunki mieszkających naówczas posłów zagranicznych przy dworze warszawskim. Monsignor Saluzzi, z pierwszych w Neapolu rodów, był nuncjuszem papieskim. Poznałem go przed czterema laty w Rzymie, właśnie gdy na nuncjaturę do Polski był wyznaczony. Był to piękny i poważny prałat, lecz największa słodycz w charakterze i twarzy łagodziła tę powagę. W rokowaniach swoich z nami pamiętał, że Rzym nie był tym dzisiaj, czym był za Grzegorza VII. Interesował się on do powodzeń naszych, w głębi serca nienawidził Moskali. On to – na żądanie królewskie – po ogłoszeniu konstytucji trzeciego maja 1791 wyjednał u papieża, że święto świętego Stanisława, patrona Polski, z ósmego na dzień trzeci przeniesionym było. Nic w tym dziwnego, dziwniejsze nierównie, iż we dwa lata potem, po obaleniu konstytucji przez Targowicę, na rozkazy syzmatycznej Katarzyny tenże niemylny papież, cofnąwszy świeżo wydaną bullę, znów dzień świętego Stanisława dnia ósmego maja obchodzić kazał.

Austria, ściśle trzymająca z Moskwą, nie śmiała wysłać pełnomocnego posła, zostawiła od wielu lat mieszkającego tu p. De Cache. Był to Niemczyk niepoczesnej wcale postaci, od 40 lat używany przez dwór swój w ostatnich zawsze dyplomatycznych urzędach; nie wzniósł się nigdy wyżej jak na dostojęstwo *d'un charge d'affaires*, uniżoności i podległości zachowując nałóg, był wiecznie służalcem i stołownikiem Stackelberga, a jak Niemiec, z natury nieprzyjacielem Polaków. Nikczemnie płatny, wziął sobie do pomocy za 3 dukaty na miesiąc wałęsającego się po Warszawie Niemca. Nie było. to tajnym Deputacji naszej Spraw Zagranicznych, łatwo więc, dawszy 10 dukatów na miesiąc czeladnikowi De Cache, w tydzień odbierała kopie wszystkich jego raportów do Kaunitza dawanych. Przy nienawiści ku Polsce zdumiewać się należało nad grubą niewiadomością i wcale opacznymi wyobrażeniami, które nikczemnik ten posyłał dworowi swemu.

Miał on w instrukcjach, by się zawsze trzymał sprawy moskiewskiej; gdy ta zaczęła się walić gwałtownie, zbliżył się z uszanowaniem do księcia Adama Czartoryskiego jako kapitana gwardii galicyjskiej. „Mości księżę – rzekł mu – trzeba, żebyśmy partię naszą austriacką złączyli z ruską...” „Partię austriacką – zawołał księżę – i któż w niej jest, ja, waćpan i pudel jego.” De Cache ten przed kilku laty dopiero umarł w Warszawie w zgrzybiałym wieku.

Mówiliśmy już o Stackelbergu; lubo władza reprezentanta Katarzyny, niezmiernie wyznaczone mu dochody łatwo go, wzbily w dumę i pychę, umiał się jednak miarkować z tymi,

k którzy sobie uchybiać nie dali; pogarda jego była widoczną dla pochlebców i płatnych zwolenników; ci, co godność swoją zachować umieli, zawsze poważanymi byli od niego, więcej nawet jak podle ulegające mu pany, a nawet i król sam. Stackelberg przez lat 15 najrozkoszniejsze życie prowadził; łatwa jest rzecz rozkazywać, przyjemna być słuchanym, pochlebna widzieć tłumy garnące się do siebie, widzieć oddawaną sobie cześć winną tylko monarchom. Wszystkie płcie i wieki były na rozkazy jego; do domowników i spraw domowych królewskich mieszał się zuchwale, świadkiem tego zachowane w bibliotece puławskiej listy jego do króla, między tymi list groźny, gdy się dowiedział, że król i Rada zamyślali o oczyszczeniu rzeki Święta i podniesieniu Połagi; [była ona] jedynym kątkiem, przez który Polska przytykała jeszcze do Bałtyckiego Morza. Boleśnie nader musiało być Stackelbergowi widzieć się odwołanym z tak rozkosznej posady. Dokazał atoli tego nie lubiący go Branecki i Bułhakow na miejsce jego przysłały. Stackelberg w ostatnich chwilach życia swego stracił zupełnie pamięć. Kazano mu jechać do wód karlsbadzkich; po drodze w Dreźnie, gdy w licznej znajdował się kompanii, przysłała do niego pani Ożarowska, ostatnia kochanka jego; Stackelberg patrzył na nią obślupiały i jak gdyby jej nie znał. „*Comment – dit madame O. – vous ne me reconnaissez plus?*” Po długim zastanowieniu: „*A, a –* zawołał dawny ambasador – *je vous reconnais, nous avons couche ensemble*” Łatwo zgadnąć można zawstydzenie damy.

Przybył Bułhakow już nie w charakterze wielkiego posła: był on niegdyś sekretarzem ambasady Repnina, posłany dalej do Carogrodu i przy ogłoszeniu ostatniej wojny zamknięty był podług zwyczaju tureckiego w Jedykale, lecz na wstawienie posła francuskiego wypuszczony. Był to prawdziwy, z wierzchu tylko ostrugany Moskał, przy udawanej prostocie całą chytrą i fałszywość narodu swego posiadający. Zdaje się, że w instrukcjach jego te tylko były słowa: dysymuluj i czekaj. Żadnej w domu jego okazałości, tłumy pochlebców już się tam nie cisnęły. Zupełnie nawet zaprzędani Moskwi, jak to Branecki, Kossakowscy, Ożarowski, kanclerz Małachowski, Raczyński, już tylko tajemnie, a często nocami, zbierali się do niego na konferencje.

Cała okazałość dyplomatyczna przeniosła się do posła pruskiego Lucchesini. Ten już nie jak pretor, lecz jak szczery Polaków przyjaciel przyjmował wszystkich: któż by wtenczas mógł wierzyć zdradzie.

Monsieur de Ste-Croix, który od rewolucji przyjął był imię Descorches, był posłem francuskim; nie było od Augusta III posła francuskiego w Warszawie. Był to człowiek przejęty całkiem duchem uchwalonej naówczas konstytucji, nie jakobin jednak.

Zawieruchy i zapasy jakobinów z Ludwikiem XVI we Francji nie dozwoliły mu być ni wiele znaczącym, ni czynnym.

Również od Augusta III nie widziano w Polsce posła hiszpańskiego: ostatnim był sławny hrabia d'Aranda. Okazał się ten poseł dzisiaj w osobie pana Normandes. Był to człowiek miernych talentów, lecz uczciwy: był wprzód posłem w Petersburgu; przywiózł z sobą mnóstwo ametystów, w które zwykł się był stroić. Pamiętam, iż gdy pierwszy raz przyszedł Normandes na sesję sejmową, przypomniał sobie, iż niegdyś cortessy tak jak my dziś otaczali królów hiszpańskich, rozrzewnił się aż do łez. Tak silną jest pamięć swobód we wszystkich narodach.

Od wielu lat przyjaciel mój Laurent Engestrom był posłem szwedzkim; wspólny interes, wspólna ku Moskałom nienawiść ściśle nas z tym godnym człkiem łączyła. Poślubił on sobie Polkę, pannę Chłapowską, i związek ten aż do dziś dnia trwale go do Polaków przywiązał. Wiernie do księżęcia Sudermanii przywiązany, wywyższył się za rządów jego na stopień kanclerza królestwa. Syt wielkości i nieoddzielnych od nich mozołów, porzucił dwór króla dzisiejszego (Bemadotte) i w dobrach żony swej, Jankowicach w Wielkiej Polsce, osiadł. Mówiąc o nim, niech mi wolno będzie przywieść pocieszoną dosyć anegdotę. Był jeszcze naówczas źle później sławny Suchorzewski zażartym Moskwy nieprzyjacielem; w każdym głosie swoim te słowa powtarzał: „Bijmy Moskałów”; był oraz żarliwym wszystkich wolności

szlacheckiej przesądów obrońcą. Gdy wieść przyszła, że w ciągu wojny z Moskwą Gustaw III, znajdując szlachtę swą krnąbrną, Izbę ich na sejmie żołnierzem otoczyć kazał, oburzony Suchorzewski na gwałt podobny zbliżył się, zapieniony od złości, do posła szwedzkiego i rzekł mu: „*Votre roy est uatre lettres.*” Każdy Polak zrozumie, że się toaczy: k...

Pan Burke, z przodków angielskich, lecz urodzony na małej duńskiej wyspie Ste-Croix w Ameryce, był posłem duńskim. Był to człowiek zimny, ostrożny, niezmiernie skrycie, jak i dwór jego, trzymający z Moskwą. Na pozór w nic się nie wdawał, po kryjomu znosił się z Bułhakowem. Niedawno umarł na poselstwie we Francji, pojawszy za żonę Włoszkę, panią Smith, dawniej nałożnicę hetmana Ogińskiego.

Ostatni w stopniu, gdyż tylko rezydent, lecz szanowny przez wiek, długie doświadczenie i cnoty pana, którego reprezentował, był pan Essen, rezydent saski, od dawna zamieszkały w Warszawie. Był to starzec więcej 76 lat mający, znający dobrze sprawy polskie i przedniejszych jej czynników. Stary, złożony podagrą, nigdy on nie wychodził od siebie i dotąd był prawie nie znany. W czasie dopiero sejmu dawni przyjaciele domu saskiego zaczęli się zbierać do niego; i mnie tam pan d'Engestrom, poseł szwedzki, zaprowadził. Był to starzec rzeźwy jeszcze, jak dwór jego umiarkowany i ostrożny niezmiernie. Rad był widzieć przychylność naszą ku panu swemu, a nawet nienawiść ku Moskwie. Nie zapomniał niegodnego obejścia carowej z królewicem Karolem w Kurlandii, nigdy atoli nic nie wyrzekł, co by nam pewną nadzieję dać mogło, że elektor saski przyjmie polską koronę; było to skutkiem instrukcji Marcoliniego, faworyta elektora, przez bojaźń czy przez interes zupełnie poświęconego Moskwie i zaszczyconego orderem jej św. Jędrzeja.

Prócz dyplomatycznych obowiązków, które dotąd były niewielkie, zarządzał Essen pałacem i ogrodem Saskim, dotąd do elektora należącymi. Dla strzeżenia tego ogrodu, pałacu i jurydyki został jeszcze od Augusta III szwadron dragonii saskiej, pałowe mundury z felpowymi zielonymi wyłogami noszący. Był to szwadron nieśmiertelny, nigdy się nie zmieniający i już tylko z kilkudziesiąt starców złożony. Pałac Saski stał zawsze zamknięty. W roku 1811, gdy król Fryderyk August na użytek Liceum Warszawskiego przeznaczył, zbierała się Komisja Edukacyjna w gabinecie toalety żony Augusta III, córki Józefa I, cesarza. Gabinet ten z pozłacanymi lamperiami, miał jeszcze szafkę z zwierściadlanymi drzwiczkami i w niej podstawki, na których niegdyś peruki królowej polskiej wisały. Systema dzisiejsze Wojskowe wyгнаło nas z pałacu tego. Tam więc, gdzie przed laty August III w największej okazywał się pompie, dziś wydarci z rąk matek rekruci tłumami pakowani są. Insze pokoje teatrum i komediantkom francuskim zostawione.

Namieniwszy o zagranicznych posłach przysłanych do dworu naszego, słuszna jest, byśmy wspomnieli i o tych, których król i sejm do postronnych wyznaczili mocarstw.

Antici, Włoch przewrotny, którego król kardynałem mianował, od lat wielu mieszkał we Włoszech, raz tylko odwiedziwszy Warszawę. Był to ubogi szlachcic z Recanati, całą włoską układność i przebiegłość posiadający. Całkiem poświęcony królowi, a bardziej jeszcze Moskwie, gotów wszystko uczynić, wszędzie się rzucić, gdzie tylko zyski widział dla siebie. Gdy wojska francuskie weszły do Rzymu, ogłosiły Rzeczpospolitą Rzymską, wyгнаły papieża i władzę jego na zawsze zdawały się obalać, Antici, chcąc wszystkich w gorliwości swojej dla nowego porządku rzeczy przewyższyć, złożył urząd swój kardynalski; gdy w lat kilka potem papież powrócił do Rzymu, Antici pokorną do Ojca świętego podał prośbę, prosząc o darowanie winy i przypuszczenie siebie do grona kardynałów, lecz sprawiedliwą za przewrotność swoją odniósł karę: odrzucony ze wzgardą, w wzgardzie tej i zgryzocie życia w Recanati dokonał.

Nikczemną była dotąd reprezentacja nasza po zagranicznych dworach: nie cierpiała Katarzyna, by zgębiony i upodlony przez nią kraj gdziekolwiek z godnością był reprezentowanym; zgadzało się to poniekąd z skłonnościami Stanisława Augusta, który, sam z niedawnego rodu, tyle nie lubił dumnie mu zawsze stawiających się magnatów, ile się kochał w unizonych

i pochlebiających. Abuś Antici był w Rzymie, do Stambułu cudzoziemiec Boskamp jeździł, w Widniu najprzód Corticelli, później eksjezuita Pokubiatto za rezydentów wysłani, we Francji Francuz Monet, domownik niegdyś królewski, sprawował interesa, w Petersburgu Deboli, zdalny, wychowany w korpusie kadetów, w Berlinie niejaki Zabłocki; wszyscy oni bez żadnego znaczenia, czasem tylko przypuszczeni do ministrów, nigdy nie widząc monarchów, mieszkali. Inaczej postępował sejm, godność i znaczenie Polski żarliwie chcący przywrócić; w przytomności onego król nie mógł, jak znane tylko i zdadne osoby wyznaczyć. Mianowany więc do Widnia Stanisław Woyna, starosta stanisławowski, dobry obywatel, oświecony i świat znający. Do Petersburga Szczęsny Potocki, lecz ten rozgniewawszy się na sejm, że podług woli jego iść nie chciał, zamiast do Petersburga wyjechał do Widnia i tam z szalonym buławą swoją Rzewuskim przysłył spisek targowicki knuć zaczął. Jak błędne postępowanie. Gdyby był Szczęsny udał się tam, gdzie go naród jak miłego carowej posłał, mógłby być ułagodzić ją, wcześniej ostrzegać nas o krwawych na Polskę zamachach, o zмовach z królem pruskim itd., może by się nie wszystko ważne i dobre stało, co sejm uchwalił, ale wymierzony cios śmiertelny może by się nie był spełnił.

Woyna godnie i gorliwie poselstwo swoje sprawował w Widniu, tak dalece iż zasłużył sobie na nienawiść Targowicy, która go odwołała i jednego z zwolenników swoich, księcia Jabłonowskiego, wysłała. Próżne i niedowarzone było to stworzenie; odrażająca postać, nos kilka razy skrzywiony, skręcony, i dlatego nazwano go księżę Tirebouchon; nieszczęśliwie skończył on w Petersburgu, wiozący go zwoszczyk wiedząc, iż znaczne miał przy sobie pieniądze, zabił go. Woyna, zagnieżdźwszy się w Widniu, zasłużywszy sobie na osobiste względy cesarza Franciszka II, został tam, wszedł w służbę austriacką cywilną; został w niej do śmierci, nie zapomniawszy atoli nigdy, że był Polakiem. Przeciwnie żona i dzieci jego. Ci duszą i ciałem przemienili się w Niemców; utrzymywani hojnością księżnej Lubomirskiej, marszałkowej wielkiej koronnej, Niemców tylko kochali; dotknięty tą przychylnością, Franciszek II wyznaczył im pensje, synów już to w wojsku, już w dyplomacji na wysokie stopnie posunął. Cały pozostały ród zacnego Woyny zniemczał zupełnie. Rzecz prawdziwie zastanowienia godna, jak niebezpiecznym jest Wiedeń dla przemarodowienia Polaków; niewielu pod rządem moskiewskim stało się Moskalami, mniej jeszcze pod pruskim Prusakami, lecz niech tylko Polak, a bardziej Polka pobędzie cokolwiek w Widniu, już go porzucić nie chce i Niemką się staje; z takiejże to przyczyny rząd austriacki uciążliwszym jest nad inne, lecz cesarz, acz rządzący wielowładnie, przystępnym jest i słodkim dla wszystkich; wiele jest w Widniu wolności i bezpieczeństwa osobistego. Wiedeńcykowie są dobrzy ludzie, łatwo się zaprzyjaźniają i pociągający do siebie: prędka poufałość z nimi, a tak prędko łatwy umysł kobiecy przystaje do nich i wciela się z nimi; wracam do materii.

Do Paryża wyznaczony został Stanisław Potocki, lecz potrzebniejszym go uznano w sejmie; na miejsce jego wybrany Oraczewski, gorliwy w 1772 poseł. Człek szlachetnie myślący.

Do Hiszpanii przez natręctwo i kobiece intrygi wprosił się Tadeusz Morski, bez żadnych obywatelskich zasług; z równie letkim dowcipem jak charakterem, z natury najniespokojniejszy intrygant, w najdrobniejszych nawet życia sprawach krętej używający dyplomaczości, próżny we wszystkich politycznych kraju naszego zdarzeniach, pnący się i niezręcznie, i nieskutecznie, lecz zawsze. W posiedzeniu dowcipem i śmiesznością swoją zabawny, w ważnych sprawach wicherzący i szkodliwy. Szał dyplomacji męczył go ustawnie: za rewolucji Kościuszki sam się zrobił ministrem naszym we [wyraz nieczytelny] i gniewał się, że jak ministra nie szanowali go Polacy. Za wkroczeniem Francuzów do Moskwy poleciał za Napoleonem do Wilna i chciał być dyrektorem wyprawy. Za nastaniem rządów moskiewskich przez żonę, Francuzkę, równie intrygantkę jak sam, wkroczył się do nałożnicy wielkiego kniazia, pani Frideriks, chciał zostać ministrem policji, na koniec, bezskutecznie pnąc się do wszystkiego, jak donosiciel rządowy osiadł w Krakowie.

Wyznaczony do Carogrodu Piotr Potocki, starosta szczrzecki, Wyniosły w umyśle, lecz zacny obywatel; opóźnił się wyjazd jego z przyczyny sposobiących się długo darów. Dary te były bogate i wspaniałe. Całe poselstwo, z licznym młodej szlachty orszakiem, ostatni raz przypominało dawną okazałość polską. Potocki zyskowny z Portą zawarł był traktat handlowy; wszystko to zniszczyła wszystko obalająca nawałność. Szczrzecki za powrotem długo siedział w Wenecji, [potem] przeniósł się do Saksonii; oszukany bezczelnie na kupnie tam dóbr ziemskich, straciwszy znaczną część zbiorów swoich, osiadł na koniec w Białolowie na Ukrainie.

Rozdział trzeci

Poświęćmy rozdział ten opisowi towarzystwa w Warszawie w ciągu długiego sejmu tego i ważnie naówczas wpływających w sprawy nasze osób: miło mi będzie zastanowić się nad tym przemijającym niepodległości i świetności naszej obrazem. Niestety! następujące lata ciągną nam pokażą ośnowę łez, piołunów i krwi, i żółci.

Nadzieja szczęśliwych dla kraju na sejmie tym odmian, uderzająca ze wszech stron na Moskwę nawąła, zapewnienia króla pruskiego i Anglii nadzieję tę wzmacniając rozjaśniały wszystkich umysły i serca i obok prac ważnych w chwilach wytchnienia dawały popęd do zabaw i towarzyskich posiedzeń. Długi pokój, korzystny zbożowy handel pomnażał bogactwa kraju, a – prawdę mówiąc – przedniejszych kraju mieszkańców; nie tylko z Gdańska, Elbląga, Królewca, ale już z Czarnego Morza przez Chersoń lało się złoto do Polski; dochody szlachty uciążliwymi podatkami zmniejszone nie były, skłonność Polaków do rozkosz i wystawnego życia, podniecona szczęśliwą dla kraju otuchą, wszędy okazywała się jak najświetniej. Niestety! któż by się wtenczas spodziewał, że, pijani zwodniczymi snami, cieszyliśmy się na stopniach grobu. Przedniejsi panowie, zebrani naówczas w Warszawie, otworzyli swe domy. Na czele ich z urzędu, powagi i cnoty mieścić należy Stanisława Nałęcz Małachowskiego, marszałka sejmowego. Był to mąż prawy, cnotliwy, dobru publicznemu poświęcony jedynie. Miernie były talenty jego, przymioty duszy bez ceny. Uczciwe serce kazało mu kochać wszystko, co było pięknym i szlachetnym, a czysty rozsądek łatwo rozróżniał między prawym a nieczym; nierozrzutny dla siebie, gotów był ojczyźnie wszystko poświęcić. Popędliwy z natury, wśród sporów publicznych umiał się posiadać. Można było mieć na sejmie przewodnika większej zdatności, lecz nieskazitelniejszej cnoty nie można. Co dzień gościnny w domu, w dniach znaczniejszych wspaniałały. Nie biorąc ze skarbu publicznego i grosza czteroletnie urzędu swego okazałe sprawowanie własnym dochodem opędał. Co dzień dla wielu, dwa razy w tydzień dla wszystkich był dom jego otwartym. Na tych to i podobnych schadzkach zbliżały się do siebie przeciwne zdania, kojarzyły spory, ułatwiały materię nazajutrz mające być wnaszane. Drugi niemniej okazały dom był księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, pośła lubelskiego. Cnoty obywatelskie męża tego, jego zasługi, wymowa, umiarkowanie, słodycz, wesołość, grzeczność wszystkim czyniły [go] miłym; tam to na balach widzieć można było najświetniejsze naówczas piękności; gospodyni, lubo już 40 lat przechodząca, piękna jeszcze i niepospolicie wdzięczna, dowcipna, grzeczna, w samym kwiecie młodości i powabów; nic wyrównać nie mogło blaskowi czarnych jej oczu i płci białości. Księżna z Chodkiewiczów Lubomirska, pani z Bielińskich Kossowska, Julia Potocka, z książąt Jabłonowskich Czartoryska, stolnikowa litewska, Przyłuska, Sołtanowa, z Radziwiłłów Mostowska, pani krajczyna Potocka, w 45 roku do zadziwienia piękna, wiele i wiele innych, które by trudno wyliczyć, dodawały licznym tym zgromadzeniom powabów i wdzięków.

Ciągle prawie mieszkająca w Warszawie sędziwa księżna Czartoryska wdowa, kanclerzyna wielka litewska, księżna Sanguszkowa, marszałkowa wielka litewska, i hetmanowa Ogińska ciągle wieczorami domy swoje miały otwarte. Prócz tego, codziennie w wielu domach były obiady i wieczory. Pani Ogińska, nie złej chęci, ale z krzywości otaczających ją, przyjmowała osoby dawnych trzymające się przesądów. Między tymi był pocieszny oryginał Piaskowski, podkomorzy krzemieniecki, otwarty miłośnik *liberum veto*, elekcji królów, konfederacji i bezrozumów podobnych. On to służył mi za wzór charakteru Starosty w komedii mojej *Powrót pośła*.

Dom księżęcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, przypominał jeszcze bardziej obfitą jak gustowną okazałość dawnych polskich magnatów. Pan ten, bez żadnego prawie wychowania,

wśród zepsucia, które wielka władza i wielkie dostatki nadawać zwykły, zachował jednak czysty rozsądek i serce obywatelskie. Jak wielu innych, był i on w konfederacji radomskiej chytrym i podstępów moskiewskich ofiarą, podniósłszy broń przeciw Katarzynie uciekać musiał z kraju, znaczną część majątku i sławną bibliotekę Radziwiłłowską utracił. Po tylu jednak stratach, acz z największym nierzędem, najbogatszym był w Polsce obywatelem. Postać prawdziwie sarmacka, sześć stóp i kilka cali licząca. Sieledziec na głowie, wąs zawieszony, rysy twarzy ogromne. Pamiętam, gdy wchodził do senatu w karmazynowej ferezji z sobolami, spiętej u góry diamentową klamrą, sobolim kołpaku, lamowym żupanem, złotych butach, pysznie głowę trzymając do góry, rzekłbyś, że się wieki Zygmunów wróciły.

Czysty rozum zastąpił w panu tym niedostatek wychowania: zadziwiony byłem, gdy raz na złożonej u niego sesji prowincji litewskiej usłyszałem go tłumaczącego się jasno, rozsądnie, a nawet wymownie. Uprzejmy, popularny, hojny, największe miał w Litwie znaczenie. Pałac jego na Krakowskim Przedmieściu, dziś namiestnika, nigdy dokończonym, nigdy umeblowanym nie był; był on w czasie wędrówek jego za granicą *primo occupanti*. W niezmiernej sali na górze mieściło się teatrum polskie i włoskie, nieraz sztuki kuglarskie, często reduty. W sypialnym pokoju księcia stało wąskie, małe łóżko, nad nim bogata makata, pistolety i pałasz, u nóg łóżka potężna skóra białego niedźwiedzia; sam książę, równie prawie jak niedźwiedź na piersiach obrosły, leżał pod burką. Nie miał innych szatnych jak cztery młode, czerstwe, rumiane, tłuste dziewczki. Ciekawe były śniadania, które nam na sesjach tych dawał. W dużej sali na dole ciągnął się stół wąski, uginający się pod srebrem. Stały na nim półmiski z zrazami, kiełbasami, bigosem hultajskim. W ogromnych konwiach srebrnych stało piwo: przy nich flasze z winem węgierskim. Siedzieliśmy w ławkach, za którymi w małej odległości stały beczki z ostrygami. Skoro wszyscy zasiedli, wszczynał się ogromny hałas odbijających te beczki, wraz pacholkiwie otwierali ostrygi i stawili potężne ich misy. Przy tym wszystkim gęsto spełniały się kielichy. Na dziedzińcu ciągnęły się z obu stron szaragi, na których wisiły zabite w Litwie i saniami do Warszawy sprowadzone łosie, niedźwiedzie, dziki, sarny, rysie etc., etc. Cały Nieśwież walił się z księciem na sejm i w stolicy, jak w głębi Litwy, też stoły i też sama obfitość. Dziwna rzecz atoli, że z takimi wydatkami za granicą i w kraju, z taką hojnością dla przyjaciół i domowych, książę Radziwiłł, wojewoda wileński, zostawił cały ogromny swój majątek mało co obciążony długami, wtenczas gdy synowiec jego, książę Dominik Radziwiłł, syn podkomorzego litewskiego, nie trzymając ni dworu, ni domów otwartych przez lat kilka miliony długów zostawił. Hojność i okazałość mniej są jeszcze szkodliwe jak nieuważna rozrzutność i nieład we wszystkim.

Że książę Radziwiłł ostatnim był panem polskim staroświeckiego kroju, ze wszystkimi wadami i przymiotami dawnych magnatów naszych, jeszcze trochę zastanowię się nad nim. Był czas, gdzie książę to, równie jak wielu dawniej, podawał się zbyt niemu nałogowi w napojach, a wtenczas co wyrabiał, ciężko by było spisać. Później wstrzymał się od tej wady, lecz nie uśmierzył w drugiej, to jest dobrowolnego w opowiadaniu najdziwniejszych przygód kłamania. Pamiętają dotąd starzy, i ja między nimi, jak nam opowiadał o miłościach swoich na Adriatyckim Morzu z syreną i jak z obcowania tego urodziły się wszystkie na świecie śledzie, jak podczas burzy kazał hajdukowi swoim skoczyć w morze i okręt podpierać, jak przywodził w 1784 oblężeniu i szturmowi Gibraltaru; tę historię opowiadał przed królem, a gdy król nie chciał czemuś nadzwyczajnemu wierzyć: „Stojący przy mnie pan Mikołaj Morawski był ze mną – zawołał – nieprawdaż, panie Mikołaju?” „Nie mogę przyświadczyć – odpowiedział Morawski – gdyż w pierwszym ataku zginąłem” Blisko rok zabawiwszy w Warszawie wyjechał książę wojewoda do Nieświeża, a gdy posłowie z całej prowincji litewskiej zebrali się do niego z pożegnaniem i prosili, aby nie opuszczał Litwy: „Panie kochanku – rzekł (to było przysłowie jego) – nie mogę, nie mogę, mam wiele do roboty u siebie” „Ale cóż takiego?” – zapytaliśmy. „Oto, panie kochanku – rzekł Radziwiłł – zakładam morze w Nieświeżu.”

Takim był ten dawny sarmata; nieumiejętność i przywary jego spadać powinny na rodziców, którzy mu żadnego nie dali wychowania, cnoty – winne dobroczynnej naturze; był on nieoświeconym, lecz pałającym miłością ojczyzny obywatelem. Wspominałem już o legione z 6000 ludzi złożonym, a ofiarowanym przez niego Rzeczypospolitej; zatrudniał się uzbrojeniem onego i byłby go przystawił, gdyby prędką śmierć nie wyrwała go ojczyźnie. Zostawił po przodkach i spadku po matce swej, księżniczce Wiśniowieckiej, dobra ziemskie w obszerności swej niejedne udzielne księstwo w Niemczech przewyższające; w sprzętach i skarbach bogactwa niezmiennie. Z skarbów tych w podróżach swoich stopił 12 apostołów złotych, łokieć wysokości mających; lecz ileż się jeszcze następcy zostało klejnotów, złota, stołów, konwi, stągwi srebrnych. Wszystko to w zakrzeple lody moskiewskie zawieziono. W r. 1812 książę Dominik Radziwiłł wszedł w służbę naszą i z Napoleonem do Moskwy pociągnął. Niezmiernie te skarby zamurowane zostały i wierny tylko stary murgrabia wiedział o nich; przyciąga generał moskiewski Tuczko i bez względu, że Nieśwież już był w zabranym przez Moskwę kraju, chwyta murgrabiego, grozi szubienicą, by miejsce, gdzie skarby ukryte, wskazał; wzbrania się stary wierny sługa. Tuczko każe mu stryczek wkładać na szyję i już po drabinie prowadzić na szubienicę, gdy miłość życia nad wiernością przemaga; wskazuje miejsce; chciwy Tuczko wybija mury, zabiera wiekuiste przodków Radziwiłłowskich bogactwa. Szły one na licznych prowadzone wozach, różnymi oddziałami w kraj moskiewski; imperator Aleksander spotkał jeden z tych oddziałów, a dowiedziawszy się, jakie to były łupy, zdjęty zgrozą, że Moskale własny swój rabowali kraj, zawrócić je do dworca w Petersburgu rozkazał i złożyć u siebie, nadto oddał pod sąd Tuczka; sprawa dla partyzantów kradzieży trwała lat kilka, odsądzony na koniec Tuczko od czci i służby, lecz z złupionych skarbów nic się jeszcze Radziwiłłom nie powróciło. Została księżniczka Stefania, jedynaczka po księciu Dominiku; ta wzięta na wychowanie do pensji moskiewskiej w Petersburgu; majątek do 30 jeszcze milionów spadający na nią dostanie się mężowi jej; ten spomiędzy Moskali ma być wybrany. A tak jak kraj cały, tak i najdawniejszych rodów polskich majątki, bogactwa, ozdoby przenoszą się wśród pomieszany Kałmuków i Tatarów naród.

Jeden tylko duch miłości ojczyzny, nienawiści obcego jarzma, zdawał się zażywiać wszystkich umysły. Stronnicy dawnych przesądów, podległości Moskwie i nieliczni, i przez bojaźń ohydy powszechnej nie śmieli jawnie z swymi odzywać się uczuciami; a jeśli który na sesji publicznej odważył się powiedzieć co przeciw panującej opinii, zagłuszony był natychmiast przez okrzyk wzgardy i zniewagi z galeriów i wszystkich stron izby sejmowej powstający. Mówić za Moskwą było zdradą przeciw ojczyźnie, nienawidzić ją – cnotą. Zbytne tej nienawiści uniesienia były może niepolitycznymi, lubo pewne jest, iż wszelkie ochraniania na nic by się nie przydały były w chwili, gdzie chciwość i zemsta Katarzyny i polityczne jej widoki już zabór powtórny Polski ułożyły były niezmiennie. Płeć piękna równymże pałała duchem. Posłowie wyjeżdżający za granicę w dawnym stroju polskim okazywać się byli powinni, najznakomitsza młodzież w sejmie tenże strój przyjęła z równym gustem jak i bogactwem, kobiety haftowały im pasy, nieraz przysyłały futra ozdobne. Pokazały się dawne karabele, futra, guzy kosztowne. Mówiąc o posłach naszych za granicę wysłanych, niech mi tu wolno będzie śmieszłą anegdotę przytoczyć. Adam Rzewuski wysłany był do Danii. Wiadomo, iż panujący naówczas król duński miał pomieszane zmysły, w publicznych atoli posłuchaniach reprezentował jeszcze godność królewską: gdy poseł nasz pierwszy raz stanął przed nim, król ów wśród mowy mianej przez [posła] do niego dobył kredy i w czasie gdy Rzewuski perorował, dużego kota odrysował mu na kontuszu; tegoż wieczora u księżnej Augustenburg, gdy zastawiono tacę z filiżankami do herbaty, król z naturalnego imbryczka swego filiżanki te napęłcił.

Prócz publicznych i tłumnych zgromadzeń, o których wspominałem, ileż było pomniejszych, gdzie panowały poufałość, wesołość i dowcip. Między tymi wspomnieć muszę to, gdzie kilku nas, by wytchnąć swobodnie po trudach dziennych, zbierało się wieczorem. Był to

dom pani d'Etouville, Francuzkiej, na pół poślubionej Kajetanowi Potockiemu, staroście urzędowskiemu. Kobieta ta wśród średnicy wieku zachowała jeszcze całą młodości świeżość i piękność, dowcipna, wesoła, posiadająca na pamięć całą literaturę francuską, wiele aneekdot, wszystkie pieśni, które przyjemnym głosem śpiewała. Do niej zbierali się marszałek i Stanisław Potoccy, Lanckoroński, ja, wielu z przejeżdżających często lub bawiących w Warszawie cudzoziemców, między tymi bywał pan Meillout, znany z pism swoich, Gigandi, Szwajcar awanturzysta, raz umizgający się do naszych dam, znów latający do Potemkina do Petersburga; od niego to mieliśmy wiele ciekawych aneekdot dotyczących się sypialnego pokoju carowej Katarzyny: on to przywiózł nam wiadomość o oddaleniu faworyta Mamonowa i tegoż dnia wzięcia na miejsce jego Zubowa.

Hoży Mamonow był od niejakiego czasu nałożnikiem Katarzyny. Nie dziw, że zgrzybiałe powaby pani tej już mu się sprzykrzyły i że świeże wdzięki damy dworu, panny Szczerbatow, silne na nim uczyniły wrażenie. Długo trwała ta miłość, wszystkim świadoma, samej tylko Katarzynie tajna; zawiśni dworacy, każdy z nich następstwa po Mamonowie dla synów lub krewnych swoich spodziewający się, ostrzegli carową o niewierności kochanka jej. Katarzyna, równie może odmiany pragnąca, z zimną krwią wiadomość tę przyjęła, rano zawołała Mamonowa, kazała mu się z kochanką jego żenić; po obiedzie Zubow posłany do probierki, pani Protasow, a gdy ta o zdolnościach jego fizycznych pochlebne dała świadectwo, Zubow tegoż wieczora posłany do łaźni, wymyty, namaszczoney woniami, do łóża carowej wprowadzony został. Powinien był Mamonow sądzić się szczęśliwym, że tak łatwo z dzikiego wydo był się razu, lecz nieostrożność nowo ściągnęła mu zmartwienia. Powierzył on młodej swej żonie śmieszne i ciekawe wiadomości o rozwiązłych pieszczotach starej i lubieżnej kochanki swojej; nie była żona dyskretną, powierzyła te aneekdoty innym, wkrótce, acz potajemnie, zaczęto po Petersburgu starą babę wyśmiewać; tu Katarzyna od niewieściej zemsty dłużej wstrzymać się nie mogła. W nocy, gdy Mamonow z żoną już w łóżku leżeli, wchodzi prezes tajnej komisji, Ostafi Iwanicz Szyszkowski, pokazuje rozkaz carowej i zostawia oboje z przyprowadzonymi przez siebie sześciami kobietami. Kobiety te były to sześciami silnych grenadierów; ci obnażają Mamonowa, kładą na ziemię i siekąc różgami bez duszy prawie zostawiają. Przez czas egzekucji mąż Mamonow pokornie klęczyć musiał. Lecz dosyć już o brudnych Katarzyny miłościach, wielu pisało o niej. Abbate Casti w dowcipnym poemacie swoim *Il Tartaro* z rzadką poetom prawdą i dokładnością o nierządach i lubieżności Katarzyny ciekawe zostawił nam wiadomości. Tu tylko dodamy, że w ostatnich latach Katarzyna, - nie mogąc i w (najmłodszych kochankach wzbudzać wielkich zapałów, kazała im dawać osobne potrawy z najmocniejszymi przyprawami, że bezwstyd do tego posunęła stopnia, iż sypiała między dwoma bracią, Platonem i Walerianem i że w ciągu panowania swego wydała na nałożników swoich 88 820 0001 rubli.

Ważniejsze nierównie poufałe zgromadzenia nasze były w Zamku u l'abbe Piattoli. Był to Włoch obszernie uczony, słodki, wybornych duszy przymiotów; wychował on księcia Henryka Lubomirskiego, potem za sekretarza dostał się do króla. U niego to marszałek Potocki, Weysenhoff, Linowski, ja i kilku innych pierwszy wzrąb konstytucji 3 maja ułożyliśmy. Gdy Stanisław August szczerze już do sprawy narodowej przystępować zdawał się, nieraz incognito małymi schodkami spuszczał się do nas. Tam rozmawiano o nadziejach i – acz przy pomyślnych okolicznościach – o obawach naszych, bo im ważniejsze w życzeniach dobro, tym niespokojność troskliwsza. Tam wiadomości zagraniczne rozbierane były, tam często literatura mile zajmowała godziny. Winniśmy zapewne Stanisławowi Augustowi podniesienie wychowania publicznego i nauk wskrzeszenie. Sam w klasycznych autorach, w językach, w historii nade wszystko biegły, bardziej lubiący niż się znający na pięknych sztukach, hojnym był na nie. Lecz w samych zachęceniach nie było ni trafności, ni zdrowych i gruntownych zasad.

Nie założył król (jak był mógł) akademii, która by się kształceniem i wydoskonaleniem ojczystego języka zajmowała. Być może, że Moskwa i tu mu na przeszkodzie stała. Postanowienie obiadów czwartkowych, złożone z niewielu całkiem poświęconych naukom, więcej nierównie z oglądanych tylko panów, nie zastąpiło akademii. Nie wzięto się do tłumaczenia klasyków, napisania historii powszechnej i innych dzieł – wyborowych w obcych językach: wydawano kwiaty, mało owoców. Przecież pod królem Polakiem, zachęcającym, nagradzającym nauki, nie były i te posiedzenia próżnymi; najważniejszym dziełem, które naówczas wyszło, była historia polska biskupa Naruszewicza, z niezmierną pracą i dokładnością, lecz z nierównym smakiem i gładkością pisana. Dodawał Stanisław August Naruszewiczowi obfitych materiałów, co więcej, manualistów do szperania w zbutwiałych pergaminach i przepisywania. Żelazna ręka, co nas gnębiła, i tu wytrąciła pióro z rąk autora; wyszedł ukaz Katarzyny II, by Naruszewicz *Dziejów polskich* dalej nie pisał. Zakończył je więc na Jadwidze. Pierwszy tom o początkach narodu naszego, a raczej materiały do niego, zostały w rękopiśmie aż do dni dzisiejszych; dziś więc dopiero Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk pierwszy raz drukiem wydało go na świat. Stropiony Naruszewicz przez ten rozkaz do innej udał się pracy: przełożył Tacyta, napisał *Życie Chodkiewicza* itd. Niepospolity miał talent do poezji; znajdziemy w rymach jego wiele ognia, sprężystości, lecz zbywało mu na harmonii i smaku; lecz, w mnichowskim zamknięciu spędziwszy pierwszą swą młodość, mógłże nabyć tego smaku, tej gładkości, które wyższe tylko społeczeństwa nadają? Jakkolwiek bądź, czyli to zważymy liczbę dzieł jego, czyli ich ważność, czy pracowitość w wyszukiwaniach dowodów, Naruszewicz był pierwszym wieku naszego pisarzem.

Wtóre po nim miejsce słusznie należy się księdzu biskupowi warmińskiemu, Krasickiemu; dowcipem, łatwością w poetyckich dziełach nicht go nie przewyższył; jego *Myszeidos*, *Monachomachia*, *Bajki*, *Satyry* na zawsze wzorowymi zostaną. Obydwa ci prałaci w wysokim stopniu posiadali dusze polskie: Naruszewicz, z jezuitę na biskupstwo wyniesiony, umarł z żalu po ostatnim Polski podziale.

Wyrwicz pisał *Geografię*, Bohomolec pierwsze komedie, często oryginalne, często naśladowane z Moliera, lecz że ksiądz, wyrzucił z nich miłość i kobiety; posiadał *vim comicam* w wysokim stopniu. Najwyższa cześć należy się zasługom księdza Konarskiego, pijara, on był założycielem konwiktów, szkoły, gdzie majątniejsza szlachta pierwszy raz porządne odbierała wychowanie, on pierwszy napisał dzieło okazujące niedorzeczność, szaleństwo, *niebezpieczność liberum veta*; mało tak rzeczywiście zasłużyło się krajowi.

Jeden z najpierwszych onego czasu poetów był Trembecki; straciwszy za granicą dość znaczny majątek, za powrotem udał się pod opiekę króla i hojną pensją obdarzony został od niego. Odtąd cały cynicznemu oddał się życiu, nigdy prawie nie wychodząc na świat, brudny, niewyczesany, w szlafroku, albo z Żydem ćwiczył się w nauce szachów, lub z bezwstydnymi wszetecznicami brudne płodził rozkosze, lecz niechże go porwał duch wieszczcy, wychodziły spod pióra jego najwyborniejsze rymy, lecz do czystego złota tego rdza złego gustu mieszała się często. Epikurejczyk w najwyższym stopniu, szedł zawsze w tę stronę, która mu najwięcej rozkosz zmysłowości obiecywała. Póki król dobrze płacił, trzymał się majestatu: w czasie powstania Kościuszki latał ustawnie do obozu naszego pod Warszawą *pour adorer* – jak on wyrażał – *le grand homme*, oświadczał się pisać dzieje jego i o materiały prosił. W czasie ostatniego podziału, gdy król zaprowadzony był do Grodna i już go hojnością swoją obdarzać nie mógł, Trembecki nie wahał się i chwili udać się do Szczęsnego Potockiego do Tulczyna i tam rymami swymi podnosił pod nieba ohydny Targowicy sprawcę. Wyborny w urywkowych poezjach, nie zostawił żadnego ważnego dzieła, chyba że liczyć za takie będziemy *Sofiówkę*, gdzie wszetecznicą Wittowa, godna Szczęsnego powtórna małżonka, bohaterką i boginią uznana. Trembecki w podeszłym już wieku skończył dni swoje w Tulczynie. Izba jego nigdy zamiataną nie była. Czas swój trawił na karmieniu i oswojaniu wróblów, przypatrując się ich miłościom i znając wszystkie ich pokolenia.

Mniej słynne, lecz lube na zawsze sercom tkliwym zostaną poezje Franciszka Karpińskiego, o którym już powyżej wspomniałem; ciężko jest znaleźć w jakimkolwiek języku więcej słodczy i tkliwej prostoty, jak je czytelnik znajdzie w *Sielankach* i wszystkich rymach Karpińskiego: nie zbliżał się on do królewskiego dworu, lubił dobrane towarzystwa, lecz więcej jeszcze niepodległość swoją. Po rozbiciu ojczyzny śp. Badeni, zawiadujący naówczas ekonomiami królewskimi, wyrobił mu kilka włók w Puszczy Białowiejskiej; tam ten czuły śpiewak pasterzy i pasterek w głuchej puszczy między żubrami życia dokonał.

Jużem wyżej wspomniał o Książninie, urodzonym z prawdziwie poetyckim duchem: pisał on w różnych rodzajach i we wszystkich prawie celował. Nie mogła czuła i obywatelska dusza jego przeżyć ostatniego zgonu ojczyzny: w smutnym pomieszaniu zmysłów życia dokonał, pochowany w Końskiej Woli.

Jaśniał także pod panowaniem tym cierpkim i ostrym dowcipem swoim Kajetan Węgierski; Mostowski w edycji swojej *Pisarzów Polskich* wydał poezje jego; satyra była jego udziałem. Był on zapamiętałym, a razem szczęśliwym graczem. Wyjechał do Francji, stamtąd zwiedził Martynikę; bogactwa dozwalały mu podać się całej zmysłów rozwiąłości. Umarł na suchoty w Marsylii.

Józef Szymanowski zostawił nam tłumaczenie *Świątyni Wenery w Gnidos*, poema, wszystkie odcienia mdłej czułości opisujące, przy najlepszych rymach długo zachwycać nie może. Więcej jak w poezji znanym i lubym był towarzystwu Szymanowski z słodkiego i prawego duszy charakteru, z wesołości bez urażenia nikogo i czystej obywatelskiej duszy swej.

Przykładem rozsądnej pobożności, ozdobą towarzystwa był ksiądz Piramowicz, sekretarz Komisji Edukacyjnej; nie zostawił po sobie, jak dzieło o wymowie, *Dykcjonarz starożytności*, lecz przykładne jego życie jak obywatela, jak parodia, jego rzadki dowcip, niewinna wesołość czyniły go wszystkim drogim i lubym.

Zepsute od Jana Kazimierza, pełne makaronizmów łacińskich i styl, i mowa ustępować zaczęły dobremu gustowi i większej staranności. Prócz Krasickiego i Naruszewicza nie było wielkich znakomitych pisarzy, lecz ci, co pisali, pisali czysto i bez odrazy. Książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, pierwszym był u nas dramatycznym pisarzem; jak gdzie indziej tak i u nas wprzód dobrze pisano wierszem niż prozą. Śmiertelne ciosy, wkrótce zadane ojczyźnie naszej, nie dały się rozwinąć młodym talentom, w pączkach jeszcze ukrytym. Jak ziarka drzew owocowych, co długo leżą w ziemi, nim się podniosą, kwiatem i owocem okryją, tak rzucone przez Stanisława Augusta nasiona już na ujarzmionej przez obcych ziemi wzrosły i owoc wydały. Stracił Polak ojczyznę, imię swe nawet, lecz miłość tej ojczyzny pałała zawsze w zwiędłym sercu jego, co mówię, z przeciwnościami wraz bardziej zdawała się wzmacniać. Jakoż po zniszczeniu dopiero Polski wychodzić zaczęły najważniejsze dzieła. Dmochowski przetłumaczył *Iliadę*. Linde wydał obszerny swój słownik, Bentkowski *Historię literatury polskiej*, Stanisław Potocki ważne dzieła o wymowie i starożytności. Pod pruskim dopiero rządem ustanowione Towarzystwo Przyjaciół Nauk zaczęło zbierać szczątki naukowego rozbicia naszego, wydało pierwszy tom *Dziejów* Naruszewicza, zatrudnia się wydaniem historii o medalach polskich. Nigdy człowiek dobra swojego czczyć więcej i cenić nie umie jak wtenczas, gdy je utraci. Nie rozwijaliśmy żagłów wtenczas, gdy bieg nurtów i wiatry były pomyślne, schyleni do ziemi, z upoconym czołem, przeciw wiatrom i nurtom robimy dzisiaj wiosłami, aby odpychani i dalej od portu, z oczu nie tracąc go nigdy.

August III, acz wielki znawca i miłośnik malowań, tak ogromne sumy wydający na nie, przecież nie uważający Polskę, jak tylko za dzierżawę, wszystkie swe zbiory umieścił w Dreźnie; przez ostatnich Jagiełłów i Wazów, jak nam dawne świadczą pamiętniki, zebrane drogie obrazy przez Szwedów najprzód w najjazdach ich, dalej przez Moskali złupione. Wiele z tych obrazów widziałem w Szwecji, w pałacu Drottingholm, więcej po gmachach panów szwedzkich. Stanisław więc August puste tylko ściany znalazł w Zamku warszawskim. Urządzenie więc i ozdoby onego jemu się należą. On to wyporządził komnaty królewskie, pokoje

posłuchania, salę wielką, historycznymi obrazami, posągami wielkich mężów ze spiżu ozdobną. On wystawił i ozdobił nadobne Łazienki. Król ten więcej upodobania niż znajomości i dobrego smaku w pięknych sztukach posiadał. Sprowadził był włoskiego malarza Bacciarelli, ucznia Carla Maratta, ten w 91 roku żyć przestał w Warszawie. Był on niepospolitym artystą, tyle przynajmniej, ile z pilnością, wprawą, bez geniuszu być nim można. Co widzimy w Zamku i Łazienkach, przez niego malowanym było. Miał on malownią swoją w Zamku, do której król ten często się spuszczał, a co gorzej, dyrygował artystą: między innymi miał on szał jakiś we wszystkich twarzach chcieć mieć oczy zbliżone do siebie; Bacciarelli, lepszy dworak jak artysta, do gustu tego stosować się musiał, tak iż, przez śmierć królewską od pięciu uwolniony, choć stary, lepiej malował. Le Brun, Francuz, odlewał i kuł w marmurze znajdujące się w Zamku posągi. Obydwa ci artyści, zwłaszcza Bacciarelli, kształcili uczniów: lecz żaden z nich mało co wznosił się nad mierność. Najlepsi byli Tokarski, Podzieracki, Pink, Woyniakowski. Żaden nie okazał się sztycharz. Król do marnotrawstwa hojnym był dla Bacciarellego, niezmiernie sumy sypiąc na niego, zakupował także obrazy we Włoszech, zawsze rozrzutnie, rzadko uważnie.

Za przykładem królewskim i panowie polscy zaczęli czynić zbiory. Najznaczniejszym jest zbiór Stanisława Potockiego, ostatniego prezesa senatu. Obrazy jego, posągi, wazy Etrusków, ryciny w galerii wilanowskiej, niektóre w Warszawie są umieszczone. Kosztowny zbiór rycin darował mąż ten Uniwersytetowi Warszawskiemu. Galeria Chodkiewicza mniej dobra, nabyta od Rzewuskiego, starosty dorohobyskiego, dziś z resztą sprzętów jego przez licytację publiczną sprzedawaną jest. Kasztelan Ossoliński później zbierać zaczął i piękne posiada obrazy.

Nieodżałowana szkoda Biblioteki Załuskich: kilku biskupów imienia tego z niezmiernym kosztem zebrało ją, 300 000 ksiąg, i Rzeczypospolitej darowało. Zawierała ona jak najrzadsze dzieła. Przy ostatnim podziale kraju zabrali ją Moskale. Pakowanie powierzono Kozakom, ci, gdy księga jaka nie mieściła się w skrzyni, ucinali ją przez połowę. Niezmiernie skarby te ucierpiały w przewozie; osobliwie rzadkie do dziejów naszych rękopisma i zbiory. Dotąd po 36 latach biblioteka ta leży nie spisana, nie uporządkowana. To przypomina mi zakupioną przez Katarzynę II galerię obrazów lorda Oxford; tę po śmierci jej znaleziono nie rozpakowaną jeszcze. Przypomina to wielce Gotów i Wandalów.

Józef Ossoliński, obszernie uczony, lecz całkiem zniemczały w Widniu, najciekawszą bibliotekę najrzadszych polskich pisarzy zapisał akademii lwowskiej.

Lepiej uczynił księżę Adam Czartoryski, syn generała ziem podolskich; ten najdroższe rodzaju tego skarby, zebrane przez Czackiego, starostę nowogrodzkiego, za 20 000 czerwonych złotych zakupił i od rozproszenia się zachował.

Rozdział czwarty

Wcześniej jeszcze roku zeszłego sejm, przewidując, iż, wychodząc z stanu podległości, niemocy i nieładu, wszystko mając do utworzenia i urzędzenia, wiele mu czasu potrzeba było, prorokował się najprzód aż do ukończenia prac wszystkich; wkrótce, nie chcąc sobie prawodawczej władzy bez ograniczenia przywłaszczać, skłonił króla do wydania uniwersałów do wszystkich cierni, powiatów, by na dzień 16 listopada 1790 nowych posłów wybrały, aby ci, złączeni z dawnymi, wspólnie o losach kraju naradzać się mogli. Wyszły więc uniwersały pod datą 28 września, sejmiki te na dzień 16 listopada 1790 wyznaczające. Jaka różnica postępowania sejmu tego wolnego, sejmu żadnej obcej przemocy nie ulegającego: nie chciał on władzy swej nad czas dwuletni, prawem przepisany, przedłużać. Sejm 1773 nie tylko się bez granic przedłużył, ale po rozszarpaniu prowincji nowe granice z tymi, co nas podzielili, ustawę nowego rządu, nowych traktatów wybranej tylko z łona swego Delegacji powierzył.

Lubo zbyt ważne na tym, o podwójnej liczbie posłów, sejmie traktowane być miały przedmioty, ni dwór, ni możni nie używali jednak na sejmikach tego wpływu, tych natężeń, których używano wprzód w sejmach pod obuchem moskiewskim nic nie znaczących lub biednymi drobiazgami tylko zatrudniających się. Na wszystkich sejmikach największa panowała wolność i niepodległość; to więc wszystko tak ważne, co na sejmie tym uchwalono, śmieje i prawdziwie szczerą wolą narodu nazwać należy.

Co ważniejszego uchwalono przez rok 1790 w tym podwójnego składu sejmie, opowiemy pokrótce. Nic bardziej nie dowodzi, że naród cały tymże samym pałał duchem co reprezentanci jego w roku 1788 wybrani, jak zgodne z nimi uczucia posłów nowowybranych. Lecz jeśli tenże sam duch dobra publicznego zażywał nowoprzybyłych kolegów naszych, chęć dania się poznać z wymową, z obywatelstwem swoim nie przyniosła pośpiechu w obradach sejmowych. Przydać do tego należy taktykę stronników moskiewskich; ci, otwarcie działać nie mogąc, w przesadzonej na pozór gorliwości swojej, wielomówstwem, rozwodzeniem się nad najdrobniejszymi szczegółami, zwłokami na koniec starali się oddalać wszystkie ważne dla dobra kraju ustawy. Ta była taktyka pozostałego jeszcze na sejmie Braneckiego hetmana, Kossakowskich, a wielu może, którzy nie domyślając się, jak wielce szkodzili ciemnotą, przesądami, uporem, pomagali zbrodniczym hersztom moskiewskich zamysłów. Zmartwiony równie z drugimi tak szkodliwymi w drogich chwilach zwłokami, napisałem bajkę *Krety*, [o] psujących prace troskliwego ogrodnika. Łatwo zrozumiana aluzja powiększyła moskiewską zawziętość przeciw mnie. Szczęsny Potocki i Rzewuski, już rozdrażnioną pychę swoją zaniósłszy do Widnia, z posłem tam moskiewskim Razumowskim. knowania swoje zaczęli.

Sesje sejmowe w roku 1790 nie zaczęły się, jak 11 lutego. Drobne względem awansów wojskowych ustawy zabrały, niestety, czas aż do 29 marca.

Przez ten czas sprzymierzone wojska Katarzyny i Józefa odnosiły ważne nad Turkami korzyści. Potemkin zdobywszy Akerman, Polankę, Haczybej oblegał Bender, Suwarow i Koburg wspólnymi siły zbili wielkiego wezyra. Feldmarszałek Laudon, naprawiwszy tysiączne Józefa II błędy, wziął Belgrad i świetnym tym czynem pocieszył ostatnie dni Józefa. Ciśnieni zewsząd Turcy zaczęli się skłaniać do rokowania o pokój. Zastraszona tym Anglia i Prusy, tajemnie tytko dotąd podżegające Portę, Szwecję i Polskę, już z głośną im pomocą swoją oświadczać się zaczęli.

Anglia przyrzekła królowi szwedzkiemu flotę i pieniądze, król pruski zaczął burzyć Węgrów i Brabant, i Liege, i żywo zawarcie przymierza z Polską popierać. Zaczęła więc Deputacja Spraw Zagranicznych rokowania swoje względem tego traktatu, rokowania swoje z Lucchesinim, posłem pruskim; lecz i tu chciwość pruska niezręcznie z twarzą maskę swą zdarła.

Przymierze to miało być handlowe i odporne. Proponował Lucchesini odstąpienie Gdańska i Torunia; gdy o tym doniesiono stanom, zgroza zjednoczyła wszystkich umysły, wniosek ten odrzucony jednomyślnie, trzeba było całej zrzęczości Lucchesiniego i tej w nas samych uwagi, że, obraziwszy tak cierpko Moskwę, trzeba było mieć w tymże obronę i wsparcie, by zezwolić na to, by, odłożywszy na czas dalszy traktat handlowy, dziś traktat tylko przymierza odpornego zawrzeć.

Trzeba było przygotować umysły do tak ważnego i nowego dla nas kroku, tym więcej iż strona moskiewska, niby to niepodległości biorąc na siebie postać, w równych nawet między dwoma państwami warunkach starała się obrażę niepodległości tej znajdować; trzeba więc było przez okazanie zdradliwych na nas Moskwy zamachów nagłą potrzebę zabezpieczenia sobie przymierzeńca okazać. Sama Moskwa dała powód do tego. Od więcej pół roku przychodziły do rządu doniesienia, że carowa wysyłała popów syzmatyckich na Ukrainę, Wołyń i Podole nasze, którzy chodząc po ruskich wsiach naszych, pod pozorem gorliwości błahoczesnej wiary, pospółstwo tameczne przeciw rządowi polskiemu buntować zaczęli. Między dowodami niedbałej podległości naszej Moskwie i ten za niepospolity liczyć należy, iż władzyki, archimandrycy nieuniccy w prowincjach polskich nie przez rząd nasz, ale od carowej moskiewskiej wyznaczani byli. Sejm, odebrawszy zewsząd doniesienia o tak szkodliwych praktykach, nakazał uniwersałami swymi, by komisje wojewódzkie czuwały nad spokojnością wewnętrzną, by nadto wszyscy duchowni syzmatyccy złożyli przysięgę na wierność królowi i Rzeczpospolitej Polskiej. Wyznaczona nadto została deputacja ze stanów do roztrząsania doniesień o tak zdradliwych zamachach. By więc – jakem powiedział – silne na umysłach sejmujących niebezpieczeństwa uczynić wrażenie, postanowiono, by deputacja do wejrzania w bunt te wyznaczona poprzedziła raportem swoim wniesienie przez Deputację Zagraniczną traktatu z królem pruskim. Wniósł więc ten raport Zaleski, poseł trocki, tak silnie czarne podstępny Katarzyny stawiać przed oczy, tak jasno przywołując dowody potrzeby szukania pomocy i bezpieczeństwa w proponowanych przez króla pruskiego związkach, iż gdy przeczytano projekt przymierza, stronnicy moskiewscy, wbrew mu przeciwieć się nie śmiejąc, rzucili się do zwykłych swych praktyk gadania bez końca i podawania przydatków do przymierza, jak gdyby szło o potoczne jakie ustanowienie wewnętrzne; lecz i to nie pomogło, przeszedł projekt traktatu, jak był przez Deputację podany.

Traktat ten po zaręczeniu trwałej, nigdy nie mającej być naruszonej przyjaźni, po zaręczeniu sobie uroczyście dzisiejszych granic i posesji zawierał, iż gdyby Polska od nieprzyjaciela jakiego napadniętą być miała, wtenczas król pruski 14 000 piechoty, 4000 jazdy z potrzebną artylerią na pomoc Polsce stawić miał; w przeciwnym przypadku, gdyby król pruski miał być napadniętym, natenczas Polska 8000 jazdy, 4000 piechoty z artylerią posiłkować go miała. Wojska w dwóch miesiącach czasu od rekwizycji stawić się były powinny, na żołdzie własnym, chleb tylko i furaż od rekwizowanej strony pobierając. Mogłaż była najostrożniejsza dyplomacja przewidzieć naówczas, iż traktat ten przymierza, proponowany przez samego króla pruskiego, tak uroczyście z całym narodem zawarty, niedługo potem, zerwanym zostanie? Nie – dyplomacja nawet nie przewidywała, a naród, prawy i ufny, z radością podawał się nadziejom, że uczyniwszy już tyle dla porządku i siły, wsparty orężem potężnego przymierzeńca, od dumnego Moskwy przewodzenia nad sobą mógł już być spokojnym.

Lecz gdy sejm i naród w królu pruskim szlachetnego tylko uważał sprzymierzeńca, przywykli zawsze chodzić na paskach Stanisław August, straciwszy jedną niańkę w Stackelbergu, wraz (jak zwykły niemowlęta) do nowej, to jest do Lucchesiniego, przyłgnał zupełnie: nie mogąc się przyzwyczaić być niepodległym, we wszystkich, w wewnętrznych nawet kraju urządzeniach, rozdawaniach urzędów, radził się posła pruskiego; pamiętam, jak szlachetnie myślący marszałek litewski Potocki ubolewał nad tym przede mną. Ta jednak królewska powolność Prusom była tylko skutkiem uwagi, zawsze atoli przy niej widać było niesłychaną

bojaźń carowej. Lucchesini po podpisaniu traktatu otrzymał order Orła Białego z diamentową gwiazdą i szlifą, Goltz, sekretarz jego, dużą złotą tabakierę i w niej 500 dukatów polskiego stempla.

Wkrótce Lucchesini wyjechał na kongres do Reychenbachu. W najkrytyczniej szych czasach objął cesarz Leopold II rządy nad monarchią austriacką: nierozważne, popędliwe poprzednika jego przedsięwzięcia zaburzyły Brabant, zniechęciły Węgrów, uwikłały go w najniepomyślniejszą z Turkami wojnę. Rozsądniejszy miłośnik pokoju, następca z tak krytycznego położenia postanowił wyniszczyć co prędzej; lecz w tej chwili król pruski losy Europy zdawał się w ręku swych trzymać; podlegał on buntom w Brabancji, Littich i Węgrach, nieograniczony posiadał wpływ u Partii Otomańskiej, ściśle przymierze wiązało go z Szwecją, Anglią i Polską; bez wpływu i mediacji jego Leopold z Portą nie mógł zawrzeć pokoju. Musiała się więc ugiąć duma austriacka i mediację tę przyjąć. Spielmann, agent austriacki, i Lucchesini zebraли się więc w tym celu do Reychenbach.

Na tym to zjeździe zaczęły się zbierać chmury tej okropnej nawałnicy, która nas wkrótce w ostatniej pograżyła otchłani; lecz nim rozwiemy tych czarnych spisków wątek, powiedzmy pokrótce o czynach sejmowych w tym roku 1790. Mimo zwłok, które podstępny stronników moskiewskich gadatliwością swoją sprawiły, mimo pozorem szlacheckiej popularności zepsutej przez Braneckiego formacji kawalerii narodowej, nie zszedł rok ten bez ważnych dla ojczyzny ustaw.

Urządzenia wewnętrzne, wojsko, skarb, przygotowania do najważniejszych w rządzie naszym politycznym odmian, te były prac naszych przedmioty; nie z tym zapewne pośpiechem, którego nie przewidziano, a wkrótce zdarzone polityczne przygody wymagały, ale z tą usilnością, której tylko duch szkodzenia wszystkiemu dozwalał.

Uchwalona deputacja do utworzenia projektu reformy Żydów, zsypana zboża na żywność dla wojska, organizacja duchowieństwa grecko-unickiego: wyznaczono metropolie ruskiemu miejsce w senacie; ach, gdyby wzgląd ten miano było za Zygmunta III, ileż nieszczęść i krwi wylewu byłoby się oszczędziło przez to!

Postanowiono, by sejmy zawsze były do zebrania się gotowe; ileż upłynęło wieków, nim potrzebę tego uznano. Dał naród królowi wielki dowód ufności, gdy odjęte mu w roku 1775 dawne królów polskich prerogatywa, rozdawnictwo urzędów wszystkich na tym sejmie powróconą mu była.

Nie polegając na zwyczajnych dochodach, chcąc w przypadku wojny skarb mieć zasilonym, za niedojściem w Genui pożyczki szesnastu milionów florenów polskich upoważniono podskarbach zaciągnąć dług ten w Holandii, u Reymunda i Teodora Hoguera Grand i Kompanii; kilku osobom nadano indygenaty, wielu nobilitacje, między tymi Danile Szczerbina, Kozakowi, który w czasie buntów Gonty w roku 1768 wiernym Rzeczypospolitej okazał się statecznie. Postanowiono, by cztery największe w Polsce starostwa: białocerkiewskie Braneckiemu, bohusławskie, kaniowskie, chmielnickie dwóm synowcom królewskim, Stanisławowi i Józefowi księciem Poniatowskim, sejmem 1775 dziedzictwem nadane, po trzydziści od sta opłacały podatku.

Ważną była sesja dnia 22 września. Na niej to sejmujące stany, w troskliwości, by ojczyznę w spokojności zachować i od rozterek i rozdzielenia ustrzec, przedsięwzięły, by po najdłuższym Stanisława Augusta panowaniu wybadać wolę narodu, czyli żąda, by za życia jego następcę tronu wyznaczyć. Za wnioskiem [Kazimierza Sapiehy] Izba, wszystkie stany sejmowe, a wkrótce i naród na sejmikach, Frederyka Augusta, elektora saskiego, wnuka i prawnuka królów polskich, jednomyślnie za pana sobie wybrały. Dowód, jaką cześć i zaufanie wzbudzały cnoty panującego elektora, równie jak wdzięcznych wspomnień, swobodnych, lecz, niestety! hultajskich, samopasnych czasów, które ojcowie nasi pod przodkami jego spędzali; większy jeszcze dowód postępu oświaty publicznej, zbliżenie się do ostatniego kroku, gdzie jak *liberum veto*, tak i zgubne elekcje królów na zawsze zniszczonymi być miały.

Dnia 16 listopada zebrały się podług uniwersału nowe posłów wybory i podpisały akt konfederacji; podpisy te i rugi do późnej nocy dni kilka zabrały. Dnia 20 zaczęły się długie i żywe spory do dnia 23 trwające, od czego posłowie, w podwójnej już liczbie zebrani, prace swoje zaczynają, czyli od wykonania przysięgi, jako żadnych pensji obcych nie biorą, czyli też od zaręczonego już *lege curiata* projektu porządku sejmowania. Żwawe były w tej mierze i pełne rozumowania dyskusje. Ci, co byli za przysięgą, malowali gorącą ohydę występku, nieszczęsne skutki onego i gdzie indziej, i u nas, karę śmierci prawem zań wyznaczoną. Ci, co równie brzydzyli się występkiem, lecz przysięgę za nieskuteczną dla ludzi bez czci i sumienia uważali, mówili, iż wykonanie jej, niepotrzebne dla cnotliwych, bezecnych tylko do krzywoprzysięstwa przywiedzie, że przysięga taka krzywdzącą jest dla narodu, mogąca dać mniemanie, iż wielu było w stanach występku tego winnych. Szembek, biskup płocki, kapłan i obywatel przykładny, rzekł, iż pewien był, że są niektórzy, o których wie z pewnością, że pensję biorą, lecz będą woleli zgubić duszę niż ją utracić i zawstydzić się. W rzeczy samej można było każdemu palcem ich wskazać, liczba ich nie była wielką, ograniczała się do wyższych w urzędach senatorów i ministrów. Haniebna ta rdza, mało się jeszcze stanu rycerskiego chwyciła. W sekretnych kreskach odsunięta przysięga dziewięcią głosami. Cieciszowski, biskup kijowski, tymi słowy zdanie swe zakończył: *Vir multum iurans replebitur iniquitate, et non decedet ei domo eius plus etc.*

Przy końcu dopiero roku tego przystąpiono ad *legem curiatam*, ustanowienia najpotrzebniejszego przepisu, to jest porządku postępowania sejmowego. Niestety, czemuż tak późno! ach, gdyby porządek ten wcześniej był przepisany, a bardziej jeszcze zachowywany, ileż sesji na próżnych gadaninach do późnej nocy strawionych byłyby użyte na rzetelne dobro kraju: lecz nie dopuściły tego złe duchy, nadto naród, przez półtora wieku w bezrządzie żyjący, na sześć niedziel w dwa lata zbierający się, naprzód ze zdrożnymi pojęciami o wolności, później pod biczem moskiewskim zostający, gdzież się miał porządku obradowania nauczyć? Po długich mowach stanęło na koniec następujące uroczyste zaręczenie porządku Izby na terażniejszym sejmie:

1° Senatorowie i posłowie na miejscach swoich znajdować się powinni. 2° Liczba deputowanych do konstytucji będzie podwójną. 3° Nicht bez danego głosu nawet *interlocutorie* mówić nie ma. 4° Każdemu raz przed *turnum*, drugi raz *in turno* mówić wolno. 5° Projekt czytany w Izbie ma wraz iść na deliberację, a we trzy dni potem roztrząśniony przez deputację, pod decyzję stanów przychodzić ma. Zdania *in turno* przez marszałków do aktpublicznych podawane być powinny. Nie był bynajmniej do smaku projekt ten tym, którzy, nie mogąc otwarcie, zwłokami dobro publiczne zwlekać i kręcić starali się. Niektórzy posłowie: wołyński Zagórski, kreatura Rzewuskiego, Głębowski krakowski, pseudogorliwcy o wolny głos posłów, określeniu gadatliwości przeciwili się. Złotnicki, podolski, Zagórski, wołyński, posłowie, pierwszy Szczęsnego Potockiego, drugi Rzewuskiego hetmana otwarty zwolennik, już bez pokrywki domawiali się, aby sejm. terażniejszy termin trwania swego natychmiast przepisał. Znów wskrzeszona materia o przysięgę niebrania pensji. Jezierski, kasztelan łukowski, wniósł projekt nakazujący bankierom złożenia ksiąg swoich pod przysięgą, z których okaże się, kto brał od zagranicznych, wyznaczający nadto 100000 florenów nagrody dla każdego, co by o występku tym doniósł i dowiódł. „Wiem ja – mówił on – że brano pensje: mnie samemu zdarzyło się, iż jeden jegomość winien mi był 600 dukatów i na odebranie ich dał mi asygnację na pensję swoją.” Powstały głosy żądające, by tę osobę wymienił. „Na cóż się to zda – odpowiedział Jezierski – gdy już nicht mocy nad nim nie ma, oto nieboszczyk Gurowski, marszałek nadworny litewski.”

Uchwalona ustawa porządku sejmowania nie zaraz, jak widzimy, porządek ten wprowadziła. Z trudnością odrzucono wniosek poszukiwania biorących pensje uwagami, jakie zamieszanie, niezgody, zawziętości inkwizycja taka zrodzić by mogła. Sesja 31 grudnia niesformą była i zamieszania pełną; każdy przy kończącym się roku z mową swoją chorał się popisać.

Pisarz Rzewuski, jak zawsze miałki, próżny, opryskliwy, osobliwsze sceny wyrabiał; wnosił, skarżył, znów z miejsca swego wypadal i stając przy marszałkach pod laską oddawał się do sądu.

Wśród tłumu rozmaite czyniących wnioski jak głos przepowiadający Kassandry jakiej był głos cnotliwego posła wileńskiego Korsaka; codziennie prawie słyszeć się dawał w te słowa: „Wszystkie ustawy wasze niczym będą, jeżeli nie opatrzyacie wojska i skarbu.” Jak Kato wszystkie mowy swoje w senacie rzymskim kończył tymi słowy: „*Delenda est Carthago*”, tak i Korsak nasz po każdym głosie powtarzał akcentem swoim litewskim: „wujsko i skarb”. Dzieliliśmy i my z nim tę gorliwość z tą różnicą, iż przekonani, że nie dosyć na wojsku i skarbie, jeżeli anarchia zniszczoną i rząd wolny, stały i tęgi wprowadzonymi nie będą; gdy Korsak do jednego przedmiotu, my łącznie do dwóch kierowaliśmy prace i zabiegi nasze. Czas okazał, że Korsak widział lepiej. W całym znaczeniu swoim był Korsak czystym miłośnikiem ojczyzny swojej, nigdy się w zdaniu i postępkach swych nie chwiejącym: on jeden z niewielu bardzo do końca czynił, jak mówił. Małego nadzwyczaj wzrostu, krępy, kościsty, pełen słodczy, lecz z ognistą do dobrego duszą, czy w radzie, czy w boju nie odstępować nigdy ojczyzny miał on za wrodzoną w sercu swoim powinność. Jakoż gdy w roku 1794 nastąpiło powstanie Kościuszki, nie będący w służbie wojskowej Korsak, rolnik tylko, wsiadł na koń, walczył odważnie i przy szturmie przez Suworowa okopów Pragi z orężem w ręku poległ odważnie. Niestety, gdy niecnym dusz ciała, Szczęsnych, Branekich, Rzewuskich, namaszczone kosztownie leżą w wspaniałych grobach, nie masz i szczątku zagrzebionych z tysiącami innych prochów cnotliwego Korsaka.

Rok 1791. Rok ten zaczął się od podania do akt dawniej ustanowionych praw kardynalnych i od prawa śmierć nakazującego na tych, co by przekonani byli o branie pensji zagranicznych. Sesja dnia 4 stycznia pamiętną zostanie w dziejach sejmowych, Zaczęła się ona o godzinie 10 z rana, trwała do godziny piątej ranej -nazajutrz, wśród zamieszania i największej zapalczowości z stron obydwóch; cóż dało do zaburzenia powód? Kwestia na wejście nieważna, lecz najważniejsza w skutkach swoich. Szło o przyszłą formę rządu. Złotnicki, zwolennik Szczęsnego, podał był dawniej projekt, iż sejm przed wszystkim ukończyć ma zaczęte już prawa kardynalne; zamiarem jego i faksji moskiewskich było w opisie obszerniejszym praw tych kardynalnych zaraz zabezpieczyć wolne elekcje królów i wszystkie inne, dogodne Moskwie i niektórym przesądom, by zgubne dla kraju przesady w niewzruszone prawa zamienić. Nie uszło to przenikłości dobrych obywateli, którzy, już wtenczas o konstytucji trzeciego maja przemyślać, nie chcieli całkowitej budowy rządu na tak bezrozumnych stawić zasadach. By je więc oddalić, podał Rożnowski, poseł gnieźnieński, propozycję *ad turnum*, czyli od projektu praw kardynalnych, czyli od projektu sejmików ma się zaczynać decyzja stanów. Oprócz mów *ex tempore* powiedzianych, więcej sześciudziesiąt długich czytanych oracji i *pro et contra* słuchać musieliśmy. Nigdy wada sejmowania w pozwoleniu czytania mów widoczniej nie okazała się. Już była godzina trzecia o północy, gdy wszyscy zniecierpliwieni; jedni wołali o *turnum* na wzwyż wymienioną propozycję, drudzy jej przeczyli. Tu do wołających o *turnum* odezwał się Mniszech, marszałek wielki koronny, tajemnie Moskwie sprzyjający, że na propozycję nie ugodzoną głosu księdzu referendarzowi koronnemu dać nie może.

Na słowa te, wielowładność stanu rycerskiego obrażające, poddające ją, iż tak rzekę, woli senatu, obruszyli się posłowie, tłumnie wyszli na środek izby i otaczając marszałka sejmowego, i biorąc go już na barki swoje: „Idźmy – wołali – do osobnej izby naszej poselskiej, gdy tu prawa nasze gwałconymi są.” Na ten zapal, na ten krok fatalnym Rzeczypospolitej zagrażający rozdzieleniem król jegomość w te odezwał się słowa: „Mógłbym się kiedy tego od was spodziewać, przezacne Stany, abym po tyloletnich wysługach moich dla dobra narodu, po tylu dowodach z uszczerbkiem zdrowia poświęcenia się wam mego, miał tej od was doznawać przykrości, byście mnie, króla, ojca, przyjaciela, współziomka waszego, opuszczać chcieli,

gdziez iść chcecie, co rozpoczynacie? Wstzymajcie się, pomnijcie na to, coście mnie, wam samym i ojczyźnie powinni. Nie chciał was urazić minister, a jeśli nieobacznie uraził, należyż się brać do tak porywczego kroku? Miejcie więc litość nade mną, nad sobą, nad [Ojczyzną] i bez urazy w zgodzie przystąpcie *ad turnum* w toczącej się kwestii, o to ja was zaklinam i proszę...”

Tym głosem prawdziwie wymownym i ojcowskim uspokoiły się umysły, przystąpiono do wetowania; uchwaliła większość, by od sejmików zaczynać.

Raz tu jeszcze zastanowić się należy nad powodami tego tak usilnego domagania się partii moskiewskiej, by koniecznie od opisu praw kardynalnych zaczynać. Widzieliśmy, iż wzrąb praw tych kardynalnych już dawno stanął i do akt był podany, lecz powiedziano tam tylko, iż król powinien być wiary katolickiej, nic zaś nie wspomniano (oddaję to dalszym opisom), iż król powinien być wolnymi głosami obrany. Że zaś partii moskiewskiej szło najwięcej o utrzymanie zgubnej dla nas wolnej elekcji, te przed wszystkim utrzymać i ściśle opisać chcieli. Do tego wszystkich natężyli środków: do tego Małachowski kanclerz (niestety! jak różny od brata, marszałka), Kossakowski biskup, Ożarowski, Złotnicki, Zagórski i inni, nie śmiejąc w dzień, nocami zbierali się do posła moskiewskiego, Bułhakowa; lecz nie wszystkim schadzki te powiodły się pomyślnie. Raz gdyśmy byli wieczorem u Piattolego i król tam przyszedł, Gołkowski, adiutant królewski, osobliwszy oryginał: „Najjaśniejszy Panie – odezwał się – raczysz mi Wasza Królewska Mość darować, zem się odważył jednego z ministrów jego poturbować?” „Jakże to?” – zapytał król „Oto dowiedziałem się, że od kilku dni stronnicy moskiewscy zbierają się nocami do posła moskiewskiego, zapewne na jakieś szkodliwe konszachty, zasadziłem się więc za bramą jego, lecz pono za późno, wielu już wśliznąć się musiało; już rozumiałem, że na próżno ziębię się, alic lizie wywiędła długa figura w kapocie i czapce; lubom wraz poznał, że to był Małachowski, kanclerz, udałem, że nie wiem kto, łap go za łeb, drugą ręką za kij i porządkiem mu plecy wyłatał” „Nie masz się z czym chwalić – rzekł król – bo jeśli nie osobę, to urząd trzeba zawsze szanować. Nie rozgłaszajcież tego, bardzo proszę.” Niech mi tu wolno będzie wspomnieć jeszcze prywatną, lecz z celem dobra publicznego związaną okoliczność. Właśnie wtenczas, bo dnia 15 stycznia 1791, daną była pierwszy raz na teatrum komedia moja, *Powrót posła*. Celem moim było wydać na pośmiewisko wszystkie zastarzałe, a jeszcze nie wykorzystane zupełnie przesady nasze. Skupiłem je wszystkie w osobie starosty Gadulskiego, który płacze, że *liberum veto* ma być zniesionym, wynosi pod niebo elekcje królów i korzyści stąd dla szlachty przez ujmowanie jej starostwami, urzędami, pensjami; było to niejake torowanie drogi do zbawiennych zasad rządowych, które się w konstytucji trzeciego maja rozwinąć miały. Publiczność łaskawie sztukę tę przyjęła, aleć w dni kilka potem źle później sławny ów zelant Suchorzewski, poseł kaliski, zaskarża mnie w sejmie, zem tą komedią popełnił *crimen status*, wyśmiewając najdroższą nam swobodę, prerogatywę wolnej elekcji, dopomina się, by zwołano sędziów sejmowych i jak kryminalistę zaczęto mnie sądzić. Obsłupiały stany na wniosek ten, jam milczał, Suchorzewski widząc, iż nicht wniosku jego nie popierał, sam się odezwał *ad deliberandum*.

Położmy tu w treści ustawy wewnętrzznego rządu swego, którymi sejm do trzeciego maja zatrudniać się nie przestał: były to wszystko części ścisły związek z mającą się ustanowić konstytucją mające. Gdy opisanie sejmików już miesiąc czasu zabrało, uchwalono na koniec, by projekta nie kategoriami, jak dotąd, ale całkiem poprawiane przez deputacje i przynoszone do stanów przechodziły.

Na dniu 26 kwietnia odniosła oświata i prawdziwe obywatelstwo nowy tryumf nad długo panującymi przesadami naszymi. Ustanowiono prawo o miastach. Przez prawo to stan miejski, w ostatnim zostający upośledzeniu, silnie podniesionym został. Przypuszczono go do prawodawstwa, nie śmiejąc jeszcze z pełnym, z podradczym głosem, prawo *neminem captivabimus* i do mieszczan rozciągnięte, dana wolność służenia w wojsku i w dykasteriach cywilnych, utworzona zasłużonym łatwa droga do nobilitacji. Nazajutrz dla uczczenia stanu

tego marszałek sejmowy Stanisław Małachowski i wielu posłów w księgę miejską zapisali się. Mieszczanie ewangeliści za dobrodziejstwo to publiczne dzięki w świątyni swojej Bogu złożyli.

Po ostatni raz, z mnogich niegdyś królestwa polskiego hołdowników pozostałe jeszcze, księstwo kurlandzkie przyszło do Stanów Rzeczypospolitej z zażaleniami swymi, szlachta na księżęcia swego, księżę na szlachtę; sejm jako pan najwyższy wyznaczył dnia trzeciego marca deputacje, która by w obu stron weszła zażalenia i sposoby zaradzenia im na zawsze podała.

Obwieścili marszałkowie sejmowi władyków, protopopów greckich nieunickich, by się zjechali do Pińska i tam konsystorz, nie podległy petersburskiemu, złożyli.

Rozłożono całe Królestwo i Wielkie Księstwo Litewskie na powiaty, powiększając ich liczbę, równie jak liczbę posłów, których 68 nowych przydano. Warto jest dodać, że rozkład ten, a nawet sposób sejmikowania na tym ustanowione sejmie, zachowuje się dotąd w krajach przez Moskwę zabranych.

Za wniesieniem Jezierskiego, kasztelana łukowskiego, postanowiono, by Komisja Skarbowa, za zniesieniem się z właścicielami, gdzie tylko są jakie podobieństwa, szukać kazała soli i albo sama zakładała warzonki lub obywatelom sum pieniężnych pożyczala na nie. Tu namienić należy, iż we wsi Gumienice w Sandomierskiem, należącej do Joachima Tarnowskiego, ludzie, szukając tej soli, w dosyć znacznej głębokości znaleźli rozmaite bryły; te gdy panu Scheidt, profesorowi w Krakowie, do wypróbowania były podane, znalazł, iż bryły te na cetnarze dawały 20 łutów srebra: macica kruszczu tego jest krzemienista, w tej mieści się żyłami.

Zbliżył się na koniec pamiętny w dziejach naszych dzień, w którym konstytucja trzeciego maja ogłoszoną być miała; zbyt długo już troskliwa przezorność i roztropność oddalała przedsięwzięcia tego spełnienie, nagle następujące po sobie polityczne w odściennych państwach wypadki już dalej ważnego czynu odwlekać nie dozwoliły.

Szły powodzenia Moskwy spiesniejszym niż dotąd krokiem, wzięty Izmań, Akerman i Kilia, zagrożona Warna; wypadki, które by były nigdy nie nastąpiły, gdyby [król pruski] postawił był wojska na granicy moskiewskiej, a pan Pitt, minister angielski, zamiast not i poduszczań wysłał był flotę swą na Morze Czarne, zabrał Cherson i naddnieprskim krajom zagroził; lecz zawsze obcymi łapkami chciano kasztany wybierać z popiołu. Cesarz Leopold, widząc nieużyteczność, a raczej zgubę swoją w niekorzystnej wojnie z Portą, acz niechętnych sobie, Prus przyjął mediację: zebrali się w Reychenbachu Lucchesini pruski, Spielmann austriacki pełnomocnicy. Tu to z kłębu przeznaczeń czarne dla nas nici pokazywać się zaczęły: Hertzberg, trzymający się zawsze systema króla pruskiego, chciał użyć stanu wycieńczenia Austrii, by pokój ten drogo dać jej opłacić; w tym celu znaczne wojska postawiwszy na granicach Szląska proponował, by Austria za zabrane na Turkach: Belgrad, Orszowę i część Krocacji, odstąpiła Polsce Galicji, Polska zaś odstąpiła królowi pruskiemu Gdańską i Torunią; byłaby może Austria przystać na to musiała, gdyby był król pruski więcej stałości okazał, lecz uległ on podstępom wiedeńskiego dworu; udał się on do nowych zauszników Fryderyka Wilhelma, do wodzów sekty iluminatów, Bischoffwerdera, Pinto, kochanki jego, pani Ritz. Ci przedstawiali królowi pruskiemu, iż Hertzberg nienawiścią swoją ku Austrii Prusy w niebezpieczną wojnę wciągnąć szuka, że w zmówie z filozofami francuskimi powszechnym, w Europie zamieszanem zbrodnicze demokratów przeciw monarchom zamysły wspierać pragnie. Usłuchał król pruski tych zwodniczych namów, cofnął ufność swą Hertzbergowi i w osobistą z Leopoldem II wdał się korespondencję; skutkiem jej było, że mimo wiedzy Hertzberga podpisana konwencja z dworem wiedeńskim, mocą której Austria wszystkie zabory swoje na Turkach oddać przyrzekła i [Prusy] nie przeszkadzać dworowi wiedeńskiemu do odebrania Brabantu, i że kongres w Szystowie do zawarcia ostatecznego z Portą pokoju pod mediacją Prus i Anglii złożonym będzie.

W ciągu umów w Widniu między Austrią i Prusami pierwsza, chcąc cudzym kosztem ochronić siebie, między innymi wnioskami napomknęła, iż za rozszerzenie na Polszcze Galicji zajęcia przez Prusy Gdańska i Torunia bronić nie będzie. Woyna przypadkiem dowiedział się o tej propozycji i pospieszył donieść o niej rządowi naszemu. Ciężko, by w Deputacji do Spraw Zagranicznych, z kilkunastu osób złożonej, tajemnica utrzymać się mogła; rozeszła się wieść ta po Warszawie, zapytano o wieść tę na sesji sejmowej. Matuszewicz, poseł brzeski, w Deputacji tej zasiadający, odpowiada, iż gdyby rozsiane wieści miały jakąkolwiek prawdę, Deputacja by o nich doniosła, narzeka na zgwałcenie [przez] któregoś z członków Deputacji sekretu, prosi, by sejm wyznaczył członków do wyegzaminowania czynów Deputacji. Przystąpiono do innej materii. Tu niech mi wolno będzie zastanowić się, jak niebezpiecznym było urzędników pensjonowanych i całkiem poświęconych Moskwie cierpieć i mieścić ich na czele różnych komisjów rządowych; przecież dla nieroz jątrzenia umysłów taka była nasza uległość, żeśmy w Deputacji Zagranicznej oddanych Moskwie kanclerza Małachowskiego i Chreptowicza trzymali, na czele wojska Braneckiego. Możnaż się dziwić, że carowa o wszystkim wiedziała.

Że jeszcze dla straszenia Moskwy potrzeba było mieć niepodzielny wpływ na sejmie, król pruski dowiedziawszy się o szkodliwym wrażeniu, jakie wieść napomknienia nowego zaboru sprawiła w stanach, natychmiast przez rezydenta swego, pana Goltz, doniesienie to zbić rozkazał. Jakoż na sesji 16 marca podał Goltz tłumaczącą notę, łącząc do niej kopię listu monarchy swego do siebie; treść listu tego była w tych słowach:

„Nie mogę W Panu dość wyrazić zadziwienia swego nad rozchodzącą się wieścią w Polsce, bardziej jeszcze, iż wieść najmniejszą znaleźć mogła wiarę, i wolą jest moją, abyś bez zwłoki, że jest fałszywą, zaręczył, oświadczając wszędzie, iż sama złość tylko mogła ją wymyśleć, by w narodzie polskim wzbudzić przeciw mnie nieufność. Śmiało zapewniam, iż nic między mną a dworem wiedeńskim nie zaszło, co by podobne podejrzenia usprawiedliwić mogło, i że ja sam byłbym pierwszym do oparcia się każdemu wnioskowi podziału Polski. Spodziewam się, iż podobne zapewnienie zbije krzywdzące charakter mój odgłosy i zaspokoi wszystkich umysły.”

Nie dosyć na tym; poruszony Stanisław August niespokojnością chciał się o prawdzie zapewnić własnoręcznym do króla pruskiego listem. Król pruski, nie przestając na zaspokajającej Stanisławowi Augustowi odpowiedzi, jak gdyby wcześniej jaśniej przysłał swą niewiarę wystawić przed światem, następującą notę we wszystkich europejskich pismach publicznych umieścić kazał:

„Dwór pruski uchybiłby sobie samemu, gdyby w dłuższym został milczeniu względem fałszywych wieści dotyczących się Polski, wieści złośliwie umieszczonych w pismach publicznych. Okoliczności w tej sprawie tak się mają: w czasie rokowań w Reychenbachu w lipcu r. 1790 dwór wiedeński ofiarował odstąpić Polsce Zamość, Żółkiew i Brody, trakt kraju 200 mil kwadratowych Zawierający, pod warunkiem iżby otrzymał od Porty granicę passarowickim traktatem zapewnioną; że za to Prusy, zmniejszywszy cło w Fordonie od 12 do 4, otrzymać miały od Rzeczypospolitej Polskiej nieużyteczne jej miasta Gdańsk i Toruń. Że propozycje te na niczym spełzły i konwencja w Reychenbachu na innych zawarła się zasadach, dwór pruski ni w Polszcze, ni gdzie indziej względem nabycia Gdańska i Torunia żadnych nie uczynił kroków. Prawda, że pan Hailes, poseł angielski w Warszawie, będąc w Berlinie starał się zawrzeć traktat handlowy między Prusami, Anglią i Polską, któremu ustąpienie Gdańska służyć miało za prawidło; król pruski *passive* miał się w tym wszystkim. A gdy Deputacja do Spraw Zagranicznych w Polszcze oświadczyła, iż nie miała upoważnienia od sejmu traktować względem tej cesji, rzecz całkiem upadła. Taki był bieg rokowań tych, dowodzący jasno, iż dwór berliński nie miał nigdy innego zamiaru, jak otrzymać dobrowolnym zezwoleniem, za obszerne wynagrodzenie, ustąpienie miast otoczonych terytorium swoim, przez to ułatwić korzyści ścieśnionego dziś handlu etc., etc., etc.”

Tymczasem podpisanie konwencji w Reychenbach, zawarcie już rozejmu między Austrią i Portą, bojaźń, by Turcy całych swych sił nie zwrócili przeciw Moskwie, zbitcie jej floty pod Swenskasund przez Gustawa przywiodły na koniec dumną Katarzynę do upamiętania się; namówiony przez trzecie osoby minister hiszpański w Petersburgu, Galvez, ofiarował jej mediację swą ze Szwecją. Niczego więcej nie życzyła Katarzyna, wielkomyślną nawet okazać się chciała, nie żądając, jak by wszystko zostało podług traktatów w Nystad i Abo, to jest, jak było przed wojną. Gustaw widząc, jak wątle były Anglii i Prus obietnice, skłonił się do propozycji i spiesznie podpisany pokój w Verela z strony moskiewskiej przez generała Igelstrom, ze szwedzkiej przez generała Armfelt.

Uwolnienie carowej od tak dokuczającego nieprzyjaciela powinno było na koniec dać poznać dworom berlińskiemu i londyńskiemu, iż jeżeli silniejszych jak dotąd nie użyją przeciw Moskwie środków, całe ich dotąd sprzysiężenie przeciw niej, wszystkie zabiegi, by ją osłabić, nowy tryumf Katarzynie przyniosą. Uczuły te dwory, jakie ich stąd upokorzenie czekało; zawarł dwór berliński przymierze z Polską, wojska swe nawet na granicach gromadzić zaczął, Anglia głośno i silnie nastawała na carowę, by jej mediację przyjęła i przestała na *status quo* w pokoju z Portą. Katarzyna, całą swą zemstę zachowując na Polskę, przyjęła w odpowiedziach swoich ton najłagodniejszy, w konferencjach swoich z wysłanym do siebie posłem angielskim, panem Fawkener, okazała się uprzejmą i do wszystkiego łatwą; podobną łagodność zachowała i z dworem pruskim, czekając chwili, aż gotujące się już do wojny z Francją państwa europejskie dobrze się uwikłają, dając jej pole samowolnie losami Polski i Turcji rozrządzać. Posłużyła jej do tego poduszczana przez nią w parlamencie angielskim opozycja; przedniejsze handlowe w Anglii miasta liczne przeciw wojnie z Moskwą podawały przełożenia. Panowie Fos i Burke, więcej zawiścią przeciw panu Pitt jak zdrową prowadzeni polityką, przełożenia te gorącą swą popierali polityką; mniej stały w systemie swoim jak troskliwy, by pierwszego ministra miejsce zachować, pan Pitt, zatrwożony tą opozycją, zamiast floty na Bałtyckie Morze wysłał, jakem namienił, pana Fawkener do Petersburga. Wszystkie te zwłoki i zawady, po większej części chytrą Katarzyny zrządzone, zgadzały się z skłonnościami niedołęznego i w lubieżnościach pogrążonego Fryderyka Wilhelma. Nie było już Hertzberga, zajął miejsce jego Szulenburg, nie znający innego systema, jak podobać się panu i bez względu na wiarę i uczciwość, na wielkie w przyszłości rachuby, z wzdargą ich, bez kosztu i wysiłek, z chwilowych okoliczności korzystać. Czekając tej haniebnej, lecz korzystnej chwili, zostawił on króla swego w ręku iluminata Bischoffwerdera; ten, gdy z jednej strony wywoływał duchy dla mego, z drugiej pochlebiał szalonej pasji jego do pani Denhof, którą na koniec król, za życia jeszcze żony, zaślubił sobie lewą ręką, i zamknąwszy oczy na zgorszenie stąd publiczne, na wstyd z opuszczenia, tak pełnego dla siebie chwały, systemu upokorzenia i osłabienia Moskwy, pogrążony w lubieżności, dawał czas Katarzynie doprowadzić do dojrzałości zuchwałę jej zamysły.

Nie uszły baczności naszej te zwolnienie energii sprzymierzonych dworów w popieraniu tak dumnie zapowiedzianego przeciw Moskwie zamysłu, nie uszła obłudna Katarzyny łagodność, ta słodycz nawet, którą w obejściu się z nami okazywała. Na miesce wygryzionego przez Braneckiego Stackelberga przybył Bułhakow, już nie w ambasadora, lecz posła tylko urzędzie. W liście, który od Katarzyny do Stanisława Augusta przywiózł, grzeczne tylko mięściły się wyrazy zachowania pokoju, przyjaźni i dobrego sąsiedztwa. Bułhakow żył jak najskromniej, nie widując, jak najpoufalszych moskiewskich przyjaciół, i to sekretnie. Wtenczas to postrzeegliśmy, iż Suchorzewski, poseł kaliski, który w każdej mowie wrzeszczał: „Bijmy Moskali”, raptem do Braneckiego uczęszczać zaczął. Korzystał Branecki z pasji jego do gry, zapraszając go do partii swej wista z sobą, Kossakowskim i Bułhakowem; rzeczy tak były ułożone, iż lubo Suchorzewski grał niegodziwie, nigdy nie wstał od stolika bez wygrania 200 lub 300 czerwonych złotych. Zasmakował on w tym połowie, ustawicznym stał się gościem na obiady i partie do Braneckiego, Kossakowskiego i Bułhakowa; nie szczędzono tam po-

chlebstw, wynosząc obywatelstwo jego pod nieba, zwierzo mu na koniec, że górująca dziś w sejmie większość zamyśla o obaleniu najdroższych szlacheckich wolności i wprowadzeniu następstwa tronu. „W tobie jednym, najgorliwszy z Polaków – przydał Branecki – w tobie jednym nadzieja, że cios tak okropny na Rzeczpospolitą odwrócisz; znajdziesz nas wszystkich dobrze myślących w pomocy, znajdziesz potężne ramię imperatorowej wesprzeć nas gotowe; bądź bowiem pewien, iż monarchini ta, zazdrosna wpływu króla pruskiego do spraw polskich, ważnymi usługami pozyskać go nazad pragnie.” „Prędzej mnie umarłego wyniosą z izby – zawołał Suchorzewski – niżbym wolnych elekcji i uszczerbku w wolnościach naszych dopuścił.” Tu sumiennie wyrzec nie można, czyli Suchorzewski dał się istotnie partii moskiewskiej przekupić, czyli też z ciemnoty i wkorzenionych przesądów o elekcjach, jak drugi Reytan (lubo w innych wcale okolicznościach), z żądzy sławy stał się polityki moskiewskiej narzędziem. Zdaje się, iż jak wielu innych, i on pochlebstwami i obłudami zaszedł w przepaść, gdzie wszelką cześć i dobrą sławę na zawsze pograżył.

Rozdział piąty

Im skorszymi były zwycięstwa Moskwy na Turkach, im niebezpieczniejszymi zwłoki Katarzyny w przyjęciu pośrednictwa Anglii i Prus, tym bardziej wolniała pierwsza zawziętość i energia w sprzymierzeńcach naszych. Nadto nowe, grożące wszystkim monarchom zamachy w inną stronę zwracały pełne niespokojności oczy monarchów. Rewolucja francuska, tak święta w pierwszych zamiarach swoich, coraz bardziej niebezpieczne tronem ogłaszać zaczęła prawidła. Książęta francuscy i emigranci napełniały dwory książąt niemieckich, niosły nawet swe skargi na dworzec carowej moskiewskiej; Szczęsny, Rzewuski z posłem moskiewskim w Widniu z zbrodnicznymi swymi nie taili się zamysłami. Wszystko nakazywało z ostatniej korzystać chwili, ogłosić układaną od dawna konstytucję, która jak silne gmachu sklepienie, częściami uchwalana dotąd, rządu ogólnego oddziały niewzruszonym węzłem w jedno spojść miała na zawsze. Poprzedzające wielki dzień trzeciego maja okoliczności namienić należy.

Częste zapewnienia króla, zwłaszcza po zawartym z Prusami przymierzu, że się od dobra kraju i chęci prawdziwie mu przywiązanych oddalać nie chce, pociągnęły do niego serca wszystkich tchnących czystą miłością ojczyzny: poznał on wtenczas, iż oni nie jego władzy, lecz ciężkiemu jarzmu, którym przez powolność jego carowa dręczyła Polaków, przeciwnymi byli. Nieraz słyszane z ust jego słowa: „Czas nam wyliżać z tego błota.” – usunęły wszelkie o życzeniach królewskich wątpliwości; szczerze on wtenczas uważanym był wodzem wszystkich dobrze myślących. Ujrzano naówczas króla, jako najwyższą władzę wykonawczą, i Deputacją do Formy Rządu, jako stróża wolności narodowych, wspólnie pracujących nad dziełem, które by, i silne wykonanie, i bezpieczeństwo swobód obywatelskich łącząc z sobą, utworzyło rząd łączący sobie wszystkie, jakie opisy władz, względ na uprzedzenia nie przyzwyczajonego od wieków do monarchii narodu dozwalały w tej chwili. Pierwszy król za pomocą Piattolego podał marszałkowi Potockiemu i kilku zaufanym projekt pod tytułem: *Sen dobrego obywatela*. Ci widząc, iż projekt ten mało się różnił z zasadami, które oni przyjęli, łatwo przyszli do zlania w jedno swych wspólnych tych myśli. Nie szło już, jak o wyznaczenie dnia. Zgodzono się na dzień piąty maja, zaręczając sobie największą tajemnicę, a to by odjąć stronie moskiewskiej wszelką sposobność utworzenia zuchwałej opozycji, mogącej skazać, zakrwawić nawet, dzieło tak święte. Tajemnica ta z strony naszej święcie zachowana została, lecz nie tak z królewskiej. Pan ten, otoczony zawsze kobietami, przyzwyczajony do plotek ich, nie mógł się oprzeć świerzbiącemu paplaniu. Zwierzył się więc z tajemnicy kanclerzowi Małachowskiemu, Mniszchowi, marszałkowi koronnemu, i Chreptowiczowi, podkanclerzemu koronnemu; wszyscy przyrzekli być za projektem i dochować sekretu; zdaje mi się, że dwaj ostatni dochowali go, lecz Małachowski, kanclerz, chcąc pierwszy z podłości swej uczynić sobie zasługę, skwapliwie udał się do posła moskiewskiego, Bułhakowa, i opowiedział mu o wszystkim. Złożyli natychmiast naradę stronnicy moskiewscy. Branecki, biskup inflancki Kossakowski i Małachowski wysłali natychmiast gońców po całą Polszcze i Litwie, by zwołać doświadczonych sobie sejmikowych rębaczów. Po szynkach, kafenhauzach, bilarach zaczęli zausznicy ich wykrzykiwać przeciw wkrótce spełnić się mających, śmiertelnych ciosach na wolność.

Nie były tajnymi przyjaciółom konstytucji złośliwych knowania; by je zniweczyć, postanowili uprzedzić dwoma dniami ogłoszenie konstytucji i zamiast piątego dzień trzeciego maja obrali. Już się nie tając z zamysły swoimi, w dzień poprzedzający, w poniedziałek, zebrali się posłowie i znaczna część dobrze myślących do wielkiej sali pałacu Radziwiłłowskiego i projekt konstytucji głośno czytać zaczęli; Słuchali go wszyscy w milczeniu, z największą uwagą,

nie przerywali jej nawet mnodzy stronnicy moskiewscy; po przeczytaniu dał się słyszeć powszechny i radosny odgłos: „Zgoda”; wyrwał się Krzucki, wołyński: „Na deliberację” – i wraz śmiechem stłumiony. W nocy zebrali się przyjaciele konstytucji i licznymi podpisami zaręczyli sobie utrzymywać ją stale; na czele podpisów tych ujrzano podpis Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, sprawcy i duszy konfederacji barskiej. Mąż ten atletycznego wzrębu głośno słynie w dziejach pierwszych lat panowania Stanisława Augusty; łączył on do fizycznej siły niezłamany umysł i wytrwałość; związki pokrewieństwa (Krasińska bowiem zaślubiła królowica Karola, księcia kurlandzkiego, Stryja elektora), związki te – mówię – czynili go stale przywiązany do domu saskiego. Na tym to zgromadzeniu na uwiecznienie pamiątki dnia trzeciego maja 1791 postanowiono, iż wszyscy przyjaciele konstytucji nosić mieli złote grube pierścienie, w kształt dawnych rzymskich, z napisem na wierzchu: *fidis manibus*, wewnątrz [z] imieniem noszącego: najprzód do tajemnicy tylko przypuszczeni posłowie, później wielu innych, kobiety nawet pierścienie takie nosiły. Daleki od wierzenia ślepo w złe wróżby, nie mogę się jednak wstrzymać, bym tu nie namienił, iż pierścień mój z grubego złota, 5 dukatów ważący, w dzień wypowiedzenia wojny przez Moskwę rozpuścił się u spodu. Zachowałem go jednak, przechodząc przez wszystkie ciężkie przygody i zamorskie podróże, zalecając w testamencie, by po śmierci pochowano mnie z nim. Wracam do rzeczy.

Wcześniej nazajutrz, we wtorek dnia trzeciego maja, izba sejmowa napełniła się ciekawymi; każdy ze drzeniem serca, najtkliwszym oczekiwaniem chciał być świadkiem tak wielkiego dzieła; wszyscy zapisani z prowincjów rębacznie ściągnąć nie mogli, dosyć ich jednak przybyło i wcześniej miejsca swoje zabrało. Przyjaciele konstytucji, chcąc jak najuroczyściej i najspokojniej dzień ten zakończyć, innych nie wzięli środków, jak przez poufałych i pewnych arbitrow tak nieznacznie kupki te rębaczów otoczyć, iż, ściśnieni, ruszyć się nie mogli. Zajaśniało słońce z całym wdziękiem zaczynającej się wiosny: mimo rozsiewanych postrachów i sierdzących się spojrzeń rębaczy spokojność, wesołość nawet malowały się w twarzach wszystkich; hersztowie tylko strony moskiewskiej źle przytłumione ponure swe gniewy [okazywali]. Tłum słuchaczy tak napełnił izbę senatu, iż posłowie ledwie na miejscach swych ostać się mogli. Schody zamkowe, dziedziniec nawet, napełnione były ludem, oczekującym niecierpliwie, acz przyjdzie chwila okrzyknięcia tej świętej ustawy, na której opierali najśłodsze nadzieje swoje.

Gdy król z zwykłą uroczystością wszedł do senatu i zasiadł na tronie, marszałek sejmowy otworzył sesję doniesieniem, iż Deputacja Spraw Zagranicznych pragnie zagrażających całłości narodu udzielić wiadomości. Sołtyk, poseł krakowski, domagał się, by wieści te publicznie czytany były, toż i król z tronu zalecał, o to liczni domagali się posłowie, lecz Suchorzewski, poseł kaliski, wcześniej ułożywszy w głupstwie swoim grać rolę bohatera dnia tego, zaczął wrzeszczyć o głos, a gdy mówiono, iż od czytania zagranicznych doniesień zaczynać należy, podarłszy order św. Stanisława na sobie, padł jak długi wśród izby, a bijąc nogami i rękoma i jak gdyby pływając, włókł się do tronu, zawsze o głos wołając; podniesiono go na koniec wśród powszechnego śmiechu (sami bowiem stronnicy moskiewscy, acz nieradzi tej tak nieprzyzwoitej scenie, od śmiechu wstrzymać się nie mogli). Suchorzewski otrząsając się z pyłu, z podartą na nim wstęgą orderową, zaczął gadać, że go wieść doszła, iż straszne zamachy na wolność naszą dziś spełnić się miały, że jeżeli ojczyzna jego będzie łożem despotyzmu, on rzeka się Polski, że przyprowadził małego syna (tu pokazywał sześciolatniego chłopczyka) i że go wraz zabije, jeżeli ujrzy więzy narzucone na naród swój, dodał, że żona marszałka Potockiego (a ta już piętnaście lat, jak była umarła) i bratowa jego, Stanisławowa Potocka, mdlały ze strachu, że mężowie ich życie stracić mieli, i tym podobne bez związku i sensu androny, widząc na koniec, że mowa jego zamiast surowego wrażenia śmiech tylko i pogardę wzbudza, skończył dozwalając czytania raportu Deputacji Zagranicznej i wkrótce synka, którego miał zabić, spokojnie wyprowadził z izby.

Matuszewicz donosi imieniem Deputacji o ogromie nieszczęść Rzeczypospolitej grożących, że wszyscy ministrowie nasi u zagranicznych dworów nie przestają przestrzegać nas, iż pokój między mocarstwami bardzo jest bliski, iż lękać się należało, aby wojujące mocarstwa strat i wydatków swoich rozbiorem Polski nagrodzić sobie nie chciały, że się skryte czynią układy, że dwory stale nam nieprzyjazne gorąco starają się, aby w Polsce ani rząd trwał, ani egzekucja dzielna ustanowionymi nie były, że cieszą się, gdy sejm nieczynny, martwią się, gdy spiesniejszym postępuje krokiem, że carowa najsroższą przeciw Polsce knuje zemstę, że ma narzędzia swe w samej Polsce, że chciwość gabinetu berlińskiego gotowa jest z okoliczności korzystać, że na koniec elektor saski oświadczył ministrowi naszemu w Dreźnie, iż jak żywo do powodzeń Rzeczypospolitej interesuje się, tak poty o los jej lękać się nie przestanie, póki nie ujrzy ustanowionego w niej rządu trwałego i bezpiecznego.

Nim przystąpiono do przeczytania projektu konstytucji, marszałek Potocki wstaw do rzeczy uczynił w te słowa: „Zapytany od posła Suchorzewskiego, co mniemam o zamachach na życie moje, odpowiadam, iż znam szlachetność duszy narodu mego, nie lękam się więc żadnej zdrady, patrzę na śmierć bez trwogi, a jeśli śmierć moja potrzebną jest ojczyźnie, śmierci pragnę, lecz tu nie o żadne prywatne, lecz o publiczne zabójstwo idzie.”; obrócił mowę do króla, aby, będąc wyższym nad równość i zazdrość, chciał podać najlepsze środki do uskutecznienia ratunku ojczyzny.

Król powtórzywszy niebezpieczeństwa, którymi zagrożeni byliśmy, radził, by natychmiast do uchwalenia trwałej formy rządu przystąpić i projekt onej przeczytać; czytał więc ten projekt sekretarz sejmowy: powstał powszechny prawie okrzyk: „Zgoda”; tu rębacze moskiewscy tygrysim wzrokiem spojrzeli na siebie, jak gdyby gotowi zacząć krwawe swe dzieło. Janikowski, poseł łeczycki, poufały zwolennik i współpijak Braneckiego, zbliżywszy się do niego szepnął mu do ucha: „A co, panie Ksawery, machniemy?” Branicki tylko to odpowiedział mu słowo: „Wara”. Więcej uwaga na własne niebezpieczeństwo niż brak chęci do machnięcia tego Branickiego wstrzymały: lubo bowiem nikt z naszych palnej broni nie przyniósł z sobą, przecież, gdy zwyczaj był naówczas, iż każdy sejmujący był w mundurze i przy szpadzie lub szabli, większość posłów dobrze myślących, wszyscy prawie arbitrowie i w izbie, i na schodach, i na dziedzińcu, w przypadku wszczętych krwawych zatargów łatwo by byli stronników moskiewskich przygnietli.

Spokojni dalej od wszelkiego gwałtu przyjaciele konstytucji dali stronnikom moskiewskim wygadać się do woli. Pierwszy odezwał się służalec Szczęsnego Potockiego. Złotnicki, poseł podolski. „Cały ten projekt – mówił on – widzę przeciwnym wolności, przeciwnym paktom konwentom, o których przeczytanie nastaje.” Czyta sekretarz te pakta; Ożarowski, kasztelan wojnicki, nie pozwala w żaden sposób na projekt, wnosi na miejsce jego projekt popisów wojewódzkich. Czetwertyński, kasztelan przemyski, łagodniej od dwóch poprzednich mówi, protestuje się atoli przeciw konstytucji. Mówili za nią Zakrzewski, poznański, Linowski, krakowski, lecz najdobitniej Kiciński, poseł liwski. Tu odezwały się liczne głosy proszące króla, by wraz z narodem konstytucję tę zaprzysiągł. Król jegomość tak się odezwał: „Nikomu bardziej nade mnie nad tym projektem zastanowić się nie należy, idzie mi bowiem o zachowanie najdroższego klejnotu, to jest ufności narodu. Widzisz, narodzie, że sam, dopędzając lat sześćdziesiąt, niewiele spodziewam się z niego korzystać, nie dla siebie, nie dla krwi mojej życzę konstytucji, lecz dla dobra i ocalenia Polski. Jan Kazimierz także nie dla siebie, nie dla krwi swojej żądał zapobiec nieszczęściom *interregni*, przepowiadał klęski, jakie nierząd nasz sprowadzi na państwo; nie był słuchanym i wiemy, ileśmy zła ucierpieli. Słyszając powszechny prawie głos żądający tej konstytucji, i ja skłonić się do żądania tego sądzę być moją powinnością. Dodać i to muszę, iż jeden z zagranicznych posłów, najprzeciwniejszy tej konstytucji, odezwał się, iż konstytucja ta, acz przeciwna jest systema wielu dworów, przecież, jeśli ją uchwalą, my sami, przeciwni, więcej mieć będziemy dla nich poważania. Doprowadź więc,

godny marszałku sejmowy, dzieło dzisiejsze do końca, abym wiedział, czyli dzień dzisiejszy mam kłaść między szczęśliwymi, czyli też zapłakać nad ojczyzną moją.”

Marszałek sejmowy: „W dziele tak ważnym, jak jest dzisiejsze, oddalić się należy od formalnościów deliberacji, upraszam więc kolegów, aby ci, którzy są za projektem, zachowali się w milczeniu”; tu gdy powszechne prawie nastąpiło milczenie i kilka tylko głosów z słabą odezwą się opozycją, książe Sapieha, marszałek konfederacji litewskiej, jął się tłumaczyć. Był on siostrzeńcem hetmana Braneckiego; zrodzony z dowcipem i rzadką wymową, schodziło mu zupełnie na tęgosci duszy; próżny, niezmiernie dbały o opinię publiczną, chwiał się ustawnie między niebezpieczeństwem narażania się lub tej opinii, lub wujowi swemu; waha nie się to nie opuściło go i w dniu tym; mówił więc, że się nie chciał oddalać od życzeń powszechnych, ale w tak ważnym zamiarze chciałby dojrzałszej uwagi, chciałby raz jeszcze słyszeć. czytany ten projekt. Sprzeciwiono się temu: zniecierpliwieni byli wszyscy siedmiodzinnymi sporami; odezwał się kolega mój» poseł inflancki Michał Zabiełło: „Jestem i ja – mówił – nieprzyjacielem zbytecznej władzy królów, ale w konstytucji tej ograniczoną ją widzę, proszę Waszą Królewską Mość, abyś pierwszy zaprzysiął ją, a my pójdziem za tym przykładem.” Słowo: „Zgoda”, rozległo się po całej izbie, posłowie z miejsc swoich wyruszać się i zbliżać do tronu zaczęli.

W tej chwili Suchorzewski, przypomniawszy sobie, w innym wcale zdarzeniu, postępek Reytana, poleciał do tronu i, tam rzuciwszy się jak długi na ziemię, przeraźliwym głosem błagał króla za konającą wolnością, podłaził pod nogi idących, by po nim deptali, a lubo wiedział, że mu się nic złego nie stanie, chciał sobie koniecznie zyskać męczennika imię. Jakoż ogromny Kublicki, poseł inflancki, podniósł go i postawił na nogach. Wtenczas król wezwał Turskiego, biskupa krakowskiego; ten zbliżył się do tronu z Ewangelią. Co za wspaniały, rozrzewniający widok: król stojący z wyciągniętą ręką na Ewangeli, przed nim szanowny kapłan, wokoło otaczający jak ojca swego naród, tysiące i tysiące rąk podniesione do góry, drzenie radości w okrzykach, rzewne łzy na wszystkich twarzach. Niestety! Jak smutne dzisiaj zawiedzionych nadziei wspomnienie.

Król skończywszy rzekł: „*Juravi Deo et non poenitebit me*, kto kocha ojczyznę, niech idzie za mną do świątyni Pańskiej i przysięgę tę powtórzy.”

Już dzień schylał się ku wieczorowi i słabe onego promienie, przebijając się przez wąskie gotyckie okna, na okopconych sklepieniach i starożytnych grobach wątpliwe roztrącały światło, gdy król, otoczony Senatem i Izbą poselską, kurytarzami zamkowymi udał się do katedry Św. Jana. Tam zastał cechy miejskie z rozwiniętymi chorągwiami i moc niezmierną rozmaitych, płci obojga osób. Przed wykonaniem przysięgi zabrał głos Sapieha, wyrażając, iż z własnego przekonania czyni ofiarę i odtąd najgorliwszym będzie konstytucji obrońcą. Po wykonanej nie tylko przez sejm cały, lecz i przez przytomnych przysiędze król nazad do senatu powrócił. W izbie tej, tak przed chwilą napełnionej, nie zostało, jak kilkunastu moskiewskich stronników, błąkających się w odurzeniu, w ciemnościach jak umysłów, tak miesca.

Zasiadł król na tronie, wśród wesołych okrzyków nastąpiło zalecenie Komisjom Wojskowej i Skarbowej, by na konstytucję przysięgły. Sesja na dzień piątego maja solwowana. Sesja, w której krwawych obawiano się zatargów, zesła jak najspokojniej, nicht tkniętym ani obrażonym nie został. Jam tylko jeden od nagłówka szabli wyciskającego się na środek ogromnego Kublickiego dostał guza na czele.

Jak mało w dziejach narodów jest dni takich, gdzieby tysiące i tysiące ludzi, stolica, co mówię, naród cały, podawały się uniesieniom najżywszej radości! Takim był dzień trzeciego maja; każdy widział w nim niknące do ostatka chmury nawałnic, które nami tak długo miotały, i na czystym niebie powstającą zorzę przyszłych pomyślności naszych. Niestety! był to tylko zwodniczy ogień, podobny temu, co się zwykł nad przepaścistym trzęsawiskiem unosić. Nie przewidywali tego mieszkańcy Warszawy; nie w hucznych i tłumnych biesiadach, każdy

w domowym zaciszu, otoczony rodziną swoją, patrząc z rozrzewnieniem na nią, cieszył się szczęściem, którego on i dzieci jego kosztować mieli.

Stronnicy moskiewscy chodzili jak odurzeni, mniemając, iż my dzieło nasze na silniejszych niż w rzeczy samej politycznych budowaliśmy zapewnieniach, nie tylko powstawać przeciw niemu nie śmieli, lecz i owszem, Branicki, Kossakowski i inni przysięgli na nie. Branicki nawet, przez niesłychaną chęć godzenia stron, do Straży rządowej przypuszczonym został. Było to w samej wykonawczej władzy postawić nieprzyjaciela i szpiega wszystkich kroków rządowych.

Na następującej sesji, to jest dnia piątego maja, zawsze pełen wykrętów biskup inflancki Kossakowski, jeden z wyznaczonych do Deputacji Konstytucji, wniósł, iż gdy przysięga nakazywała mu nie podpisywać, jak takie tylko prawa, które większością lub jednomyślnością przeszły, dzieło zaś ostatnie nie zachowało tej formy, życzy słyszeć wolę sejmujących, czyli on i koledzy jego mają konstytucję tę podpisać. Tu *nemine contradicente* dał się słyszeć głos powszechny: „Zgoda”. A tak na dniu tym konstytucja nasza odebrała najuroczystszą, bo oznaczoną wolą wszystkich reprezentantów, sankcję. Biskup Kossakowski, we wszystkim pożyteczny jakiś kruczek zachowując dla siebie, podpisał się „biskup inflancki, koadiutor biskupstwa wileńskiego”, chcąc pod sankcją konstytucji i sankcją nominacji tej zapewnić. W kilka dni uwolnił Suchorzewski izbę od krzyków swoich; wyjechał do Szczęsnego i Rzewuskiego do Widnia. Na próżno przed wyjazdem byłem u niego i chciałem go reflektować; już był czy zupełnie obłąkany, czyli obietnicami ujęty.

Stało więc długo oczekiwane dzieło; zastanówmy się nad nim pokrótce, odpowiedzmy pokrótce na zarzuty mu czynione. Tu to właśnie powiedzieć można, co Solon nadając prawa Ateńczykom powiedział: „Ateńczykowie, daję wam prawa nie doskonałe, ale takie, jakie wy znieść możecie.”

Jak we wszystkich, osobiwie politycznych, dziełach, tak i w niniejszym umysły uprzedzone i przesadne nie zaniedbały, każdy podług przywidzenia swego, znajdować wad i błędów, przyjaciele wielowładnej królów władzy wyrzucali konstytucji naszej, że była zbyt władzę królewską ograniczającą, obrońcy rozprzęgłej wolności mianowali ją ohydny despotyzmu jarzmem, lecz ktokolwiek pamięta, jakim był stan okoliczności politycznych i duch narodu naówczas, jak postronne mocarstwa niechętnie lub nieszczerze, jak magnaci nasi lub mieniący się za takich zuchwali i gotowi (jak to skutek pokazał) porwać się na wszystko, co świętym, ktokolwiek przypomni sobie, jak – lubo młodzież już oświecona – wiele jeszcze było ludzi lub ślepo burzliwym panom podległych, lub zaciętych w dawnych przesądach, łatwo pojmie, jak wiele sejmowi zależało na tym, by średniej trzymać się drogi, nie przywozić rzeczy do ostateczności, same nawet głaskać przesady. Zważając, z jakiego puściliśmy się stanowiska i do jakiego przyszliśmy, dziwić się trzeba, że i tyle sprawiono. Jakoż przy otwarciu sejmu trwały jeszcze kardynalne prawa, zagwarantowane przez Moskwę: *liberum veto*, elekcje królów, wszystko, co tylko niemoc, nierząd i upodlenie nasze wiecznokrotnie czynić mogło; dziś nie tylko że ohydne te ustawy na zawsze zwalone, ale, owszem, na zwaliskach ich wyniesiona budowa trwałego i swobodnego rządu. Nie dość może była silną władza wykonawcza królów, lecz był to punkt, w którym najwięcej potrzeba nam było ochraniać uprzedzenia zazdrosnej o swobody swe szlachty, a nadto i ta uwaga stawała na umyśle, iż jakiegokolwiek są władz rządowych opisy, zawsze władza królów znajdzie sposób z ofiarą swobód narodowych powiększenia swojej.

Sami tylko targowiczanie: Rzewuski, Dyźma Tomaszewski, stołownik Szczęsnego, w zagorzałych pismach swoich powstali przeciw nowej formie rządu; Hugo Kołłątaj, podkanclerz koronny, zwycięsko odpowiedział na nie: wolność druku tak święcie zachowywaną była, iż pisma, a raczej paszkwile szkalujące sejm publicznie nawet na schodach zamkowych przedawanymi były. Szkalowania te hojnie wynagrodzonymi były przez pochwały i aprobacje, z którymi najoświecieńsi mężowie za granicą, z którymi cała Europa dla konstytucji naszej ode-

zwała się. Sławni mówcy w parlamencie angielskim Burke, Fox, Tomasz Payne, Volney, Mackintosh, sam nawet Hertzberg, minister pruski, to w mowach publicznych, to w pismach, to na koniec w listach winszujących królowi z uwielbieniami dla konstytucji naszej oświadczyli się.

Chlubnymi były zaiste zdania tak świątłych, tak z cnót i talentów swoich poważanych w Europie mężów, lecz słodszy, więcej, zapewniającymi słodkie nadzieje nasze były powszechne po prowincjach przyzwolenie i radość. Okazały się one uroczyście w listach do marszałka sejmowego, w delegacjach do króla, na koniec w rok potem w przyjęciu na wszystkich sejmikach powiatowych tej konstytucji i wysłaniu z każdego województwa po dwóch delegowanych z podziękowaniem za nią królowi i narodowi. Mogła być bardziej niezaprzeczona sankcja i zezwolenie? Przecież kilku dawnych szaleńców targowickich ogłosiło tę powszechną wolę sejmu i narodu sprzysiężeniem i buntem, co więcej, obalwszy tę ustawę orężem moskiewskim, tymże przywłaszczywszy sobie władzę najwyższą, śmiało wybić medal, siebie w nim narodem, sejm zaś 1791 nazywając spiskiem.

Spieszniejszym nierównie krokiem po zapadnięciu ustawy konstytucyjnej iść zaczęły wszystkie czyny sejmowe, już bowiem nie artykułami, ale paragrafami całymi przechodzić zaczęły projekta; odjechał Suchorzewski, i Skórkowski, poseł sandomierski, zwolennik kanclerza Małachowskiego, na miejscu jego bruździć zaczął, mniej jednak skutecznie. Kanclerz Małachowski pod pozorem słabości zdrowia, w rzeczy zaś samej z zmartwienia, że konstytucja zaszła, złożył swój urząd. Tu król, z dobrej może chęci nawracania tych nawet, których nigdy od Moskwy odwrócić nie można było, pisał do kanclerza, aby pozostał w urzędzie, a że wiele miejsc w ministeriach było wakujących i Straż podług konstytucji złożyć należało, król używając danego sobie przywileju nominował podskarbiego litewskiego Sołtana marszałkiem nadwornym litewskim, księdza Kołłątaja podkanclerzem koronnym, Ostrowskiego, kasztelana czerskiego, podskarbid nadwornym koronnym. Do Straży zaś przy boku swoim wyznaczył – na miejsce nieprzytomnego, w Włoszech bawiącego prymasa – księdza biskupa krakowskiego Turskiego, do interesów wewnętrznych Małachowskiego, kanclerza, zewnętrznych – Chreptowicza, podkanclerza litewskiego, Potockiego, marszałka wielkiego litewskiego, Branickiego, hetmana koronnego, Ostrowskiego, podskarbiego, i Małachowskiego, marszałka sejmowego. Dziwny był skład tej wykonawczej władzy najwyższej, władzy, o którą najważniejsze tajemnice rządowe opierały się. Brancki i Małachowski, kanclerz, byli wi docznymi hersztami strony moskiewskiej, Chreptowicz wiary przynajmniej wątpliwej, Tęgo-borski, sekretarz spraw zagranicznych, pensjonowany także od Moskwy. Przecież ślepotą nasza nie zważała na to.

Ważnym było wyniesienie na podkanclerstwo księdza Hugona Kołłątaja, już to że z kano-nika tylko krakowskiego i referendarza litewskiego, pominąwszy niższe szczeble, wstąpił na ministerstwo, już też przez ważny wpływ, który mąż ten miał na dalsze losy ojczyzny naszej. Z tych powodów słuszna jest zastanowić się nad nim. Hugo Kołłątaj herbu Kotwica, dawnego i dobrego rodu szlacheckiego w Litwie i na Wołyniu, urodził się z niemających wcale rodziców. Stan duchowny dla ubogiej, lecz zdatnej i ambitnej szlachty jedyną był naówczas do wyniesienia się drogą; obrał ją więc ubogi, zdatny i nad zamiar ambitny Kołłątaj: na pilnym przykładaniu się do nauk stracił pierwszą swą młodość; pierwszy urząd znaczniejszy, na którym go ujrzeliśmy, był urząd rektora akademii krakowskiej. Urząd ten winien był nabytym w podróży swojej we Włoszech naukom, od lat kilku zasiadaniu w Towarzystwie Elementarnym w Komisji Edukacyjnej i na urzędzie tym daniu się poznać królowi i znaczniejszym w kraju osobom. W urzędzie rektora i wizytatora, walcząc z największymi przeciwnościami, obalwszy dawny nierząd, zaprowadził Kołłątaj nowy, zbawienniejszy, podług systemu Komisji Edukacyjnej porządek. Wytrwałość, nieugiętość, śmiałość, których później tak świetne dał dowody, zwróciły oczy naówczas rządzących. Wkrótce atoli doznawszy, jak nieznośnym jest *genus irritabile vatum*, porzucił urząd rektora i do Warszawy pospieszył. Urząd otrzymany

referendarza litewskiego niewiele Kołłątaja zatrudniał: nie znając innej pasji, jak żądę wyniesienia się i sławy, pogrążył się całkiem w nauce polityki i prawa i przez związki z największą znaczącymi w kraju, w sparciu ich torował sobie drogę do wysokich zamysłów swoich., Wiele już pisał, lecz dzieła, które najczęściej zwróciły uwagę publiczną i dały go zaszczytnie poznać światu polskiemu, były: *Uwagi o sukcesji tronu w Polsce*, w roku 1790 wyszło, tudzież *Listy anonimowe do marszałka sejmowego Stanisława Małachowskiego, o poprawie Rzeczypospolitej, o podźwignieniu sił krajowych*. Wszystkie te pisma, pełne wielkich i zbawionych myśli, okazały rzadką naówczas zdadność i naukę męża tego. Dzieła te zaprzyjaźniły go z marszałkiem sejmowym, marszałkiem Potockim, z przedniejszymi sejmu członkami; przypuszczony do tajemnic układającej się konstytucji trzeciego maja, czynnym stał się jej pomocnikiem, a w nagrodę prac tyłu na urząd podkanclerzego wyniesiony został. Odtąd Kołłątaj stał się jednym z pierwszych sprawców wszystkiego, co odtąd w kraju naszym zaszło. Wyniesienie to oburzyło zazdrosnych, najczęściej Skarszewskiego, biskupa chełmskiego, gorąco pragnącego pieczęci. Prymas także niechętnie patrzył na wyniesienie to bez jego pomocy, stąd fatalne spory i zemsty, o których później powiemy.

Urodził się Kołłątaj ze wszystkimi przymiotami do prowadzenia mnogości. Śmiały i zacięty w przedsięwzięciu, nie wahający się nad sposobami przywiedzenia ich do skutku. Pod uprzejmą, spokojną postawą karmił on w sobie wrzącą przewodzenia żądę. Przystępny, poufały, słodki w obejściu, jak niegdyś panowie między ubogą szlachtą, tak on u miejskiego ludu szukał znaczenia i zaufania. Hojny, lubiący okazałość więcej, niż dozwalały sposoby. Lubił nauki i piękne kunszta, zachęcał biorących się do nich. Czuł żywo wady rządu i ponizienie nasze; postanowił wydobyć z nich Polskę i być pierwszym dzieła tego sprawcą, i do zwalczania przeciwiących się temu sił nie wahał się do nadzwyczajnych rzucić się środków, nie bacząc, jaka była różnica między Polską i Francją, między zamożnością dwóch państw, między ludem naszym a ludem francuskim. Porwał się Kołłątaj na olbrzymią potęgę; we Francji byłby drugim Richelieu, upadł u nas, przywalony gruzami podnoszonego przez siebie gmachu; w dalszym ciągu pamiętników tych obszerniej mówić o nim będziemy. Spieszniejszym – jakem już powiedział – krokiem szły od zaprzysiężenia konstytucji czyny sejmowe, już przez porządniejszy tryb sejmowania, już też, że przyjaciele Moskwy przeczuwali, że cios okropny już się wymierza na obalenie całego dzieła naszego: zastraszyły ich może i te przy roztrząsaniu spraw Deputacji Zagranicznej doniesienia od ministrów naszych u odściennych dworów bawiących; cytował wyznaczony do tej deputacji Sołtyk następujące wyciągi: „Zatrwożeni zostali nieprzyjaźni nam sąsiedzi, iż ustanowioną była deputacja do ukończenia opisu sejmików, bo wiedzieli, że tym sposobem cały rząd wkrótce ukończonym być może.” Dalej pisali ministrowie nasi w Petersburgu, Widniu: „Będą tam wzniecać bałamuctwa na sejmie, żeby nic w Polsce nie zrobiono, żeby żadnego na sejmie nie wzięto systema... czynią w Polsce intrygi, gotują jej podział, mają porozumienie sekretne w Polsce, by spóźnić czyny sejmowe, spodziewają się przez te związki obalić wszystko, dokazać, że potencja nam sprzyjająca i przymierzem złączona odstąpi nas i podda pod dawną opiekę, że ci, co mają rozdane sobie role, dopełniają ich zdradziecko, czekając tylko pokoju, by głowę podnieść.” Na koniec donosił jeden z ministrów naszych, że 100 000 dukatów przysłanych jest przez sąsiadkę do Polski i że pieniądze te przez samychże Polaków rozdawane są. Doniesienia tę przejęły sejmujących, przejęły słuchaczów zgrozą i wzdrygnięciem i że nie było wymienionych osób, nie można było w tej chwili poszukiwać zdrajców, lubo hersztów palcem można było wskazać. Dowody zamachów, jakie już gotowano na nas, podwoiły usiłowania sejmu w urzędzeniu wszystkich władz całą budowę rządową składających; jakoż stanęły następnie: Opisanie sejmów, Straży, Komisji Policji, wyznaczono deputację do napisania kodeksu cywilnego i kryminalnego, wejrzano w sprawy kurlandzkie, słowem, zaniedbania tyłu wieków naprawione w tym jednym sejmie; zarzucić można, że sejm ten, takie już mając ostrzeżenia o knujących się przeciw nam zdrajdnych zamachach, większych w zbrojnych przygotowaniach nie czynił za-

biegów; lecz mieliśmy już przeszło sześćdziesiąt tysięcy gotowego wojaka; właśnie też wten czas zbierania się wojsk króla pruskiego nad granicą przeciw Moskwie, wyznaczona na Morze Bałtyckie eskadra angielska, nowe, już po pokoju, gotowania się do wojny Gustawa III, króla szwedzkiego, listowne zapewnienia króla pruskiego, że stale w przymierzu z nami trwać będzie, tocząca się jeszcze między Portą i Moskwą wojna – oddalały podobieństwo spełnionego wkrótce przeciw nam spisku; któż by mógł bezwstydną zdradzie króla pruskiego wierzyć, gdy słyszałby następującą notę w Stanach zgromadzonych od rezydenta pruskiego czytana:

„Skoro tylko król jegomość, pan mój, odebrał ważną wiadomość o szczęśliwej rewolucji, która na koniec nadała Polsce konstytucję stałą i mądrą i wezwała do tronu elektora saskiego, zapewniając tron ten następcom jego, natychmiast przysłał mi rozkaz najjaśniejszy pan mój miłościwy, abym oświadczył Sejmującym Stanom, jak żywo interesuje się jego królewska mość do wszystkiego, co tylko przyczynić się może do pomyślności Rzeczypospolitej. Sądzi król jegomość krok stały i decydujący sejmu godnym wszelkiej pochwały, uważa go jak najwłaściwszy sposób dania trwałej podstawy rządowi polskiemu, zapewniającej niewzruszoną jego szczęśliwość, przekonany jest, że wybór elektora, pana tak cnotliwego, spoi tym silniej przyjaźń i sąsiedzkie zachowanie między dwoma dworami. Z tych powodów król jegomość, pan mój miłościwy, zalecił mi jak najwyraźniej oświadczyć królowi jegomości polskiemu, marszałkom sejmowym i tym wszystkim, którzy do tak zbawiennego przyłożyli się dzieła, jak dzieło to jest mu przyjemnym. Jego królewska mość pruski nie omieszkał napisać teraz do elektora saskiego, tłumacząc się w tychże samych wyrazach względem zapadłej dnia trzeciego maja konstytucji.”

Nie dosyć na tym, na list, którym Stanisław August oznajmił królowi pruskiemu o uchwalonej konstytucji, monarcha ten w następujący odpisał sposób:

„Mości Panie i Bracie. Odebrałem prawie w jednym czasie dwa listy, przez które udzieliłeś mi Wasza Królewska Mość o ważnej rezolucji uchwały konstytucji i o ustaleniu dziedzictwa tronu polskiego w rodzinie saskiej. Skwapliwość, z którą już dałem poznać sposób mój myślenia w tej mierze, powinna była przekonać cały naród polski, jak żywo mnie to obchodzi. Wieszuję sobie, że mógł przyczynić się do ustalenia swobód i niepodległości onego. Najsilniejszym staraniem moim będzie utrzymywać i wzmacniać związki, które nas łączą. Cieszę się szczególnie z wyboru następcy elektora saskiego, wszystkie cnoty czynią go godnym tronu. Życzę jednak, aby chwila ta była jeszcze oddaloną i abyś Wasza Królewska Mość przez wiele jeszcze lat czynił uszczęśliwienia ludu swojego. W Poczdamie dnia 23 maja 1791. Fryderyk Wilhelm.”

W miesiąc potem, gdy znów wieści się rozchodziły o frymarkach względem Gdańska i Torunia i Stanisław August niespokojność stąd swoją królowi pruskiemu oświadczył, poseł pruski pod dniem 21 czerwca podał notę, w której, oddalając wszystkie obawy, tymi słowami zakończył: „Gdyby jednak w nieprzewidzianym przypadku podobne nastąpić miały widoki, gotów zawsze będzie król jegomość pruski znieść się w tym z królem jegomościem polskim, ma on za najpierwszą swoją powinność, by, wierny przyjętym na siebie obowiązkom, święcie dochował zawartego między dwoma dworami w roku zeszłym przymierza. Najgoręcej on pragnie dawać przekonujące dowody niezmiennych uczuć, które jedne z mocniej mogą wzajemne między dwoma narodami obowiązki.”

Takie były zapewnienia króla jegomości pruskiego, niestety! jak bezwzględnie wkrótce zgwałcone: największą winą naszą było, żeśmy zbyt w uczciwość wierzyli.

By wytechnąć po trzechletnich pracach i dać bieg nowoustanowionej władzy wykonawczej, sejm zalimitował się od dnia 28 czerwca do 15 października.

Odetchnęliśmy wszyscy, król wyjechał do Łazienek, tam dwa razy w tydzień zbierała się do niego Straż, tam wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne odbywały się sprawy. W inne dni król żył jak prywatny obywatel, często nam dawał obiady, tam wesołość, rozmowa o literatu-

rze i pięknych sztukach, wieczorem w pokrytym teatrze komedie polskie, na wyspie balety, gdzie sławny tancerz nasz Polak Michał dokazywał. Między innymi dawano balet Kleopatry; widziano królową tę płynącą, kanałem na okręcie, którego żagle były z atlasu białego z srebrnymi linami. Królowa wsparta była na różowych atlasowych wezglówiach, otaczały ją małe amorki. Okazały bal kończył biesiadę.

Wtenczas to, gdy król bezpiecznie bawił w Łazienkach, gdy. znaczna część obrońców konstytucji rozjechała się po prowincjach, przyszło do głowy Braneckiemu wykonać projekt, jak mówią, od Potemkina mu podany. Chciano porwać króla, zawieźć go do obozu moskiewskiego i tym sposobem Rzeczpospolitą w największym pogрузić zamieszaniu. Branecki, jak zwykle pijany, zwierzył się zamysłu tego Turskiemu, biskupowi krakowskiemu, obietnicą powrócenia wszystkich dóbr biskupstwa tego chcąc go na stronę swą przewieść. Potrzebował on prałata tego w zamiarze zapewne, aby po porwaniu króla bezkrólewie ogłosił. Cnotliwy kapłan nie dał się obietnicami tymi ułudzić, i owszem, poszedł do króla i całą rzecz wyjawiał. Rozeszła się wieść o tym po mieście, podwojono strażę w Łazienkach. Branecki widząc się odkrytym pośpieszył do króla, wyklął się, wyprzysiągł wszystkiego, sam drżąc o bezpieczeństwo własne; bojąc się zemsty publicznej, otoczony rębaczami swymi, trawił nocy bezsenne.

W czasie prorogacji sejmu odprawiały się popis wojak naszych; byłem na popisie dywizji księcia Wurtemberskiego pod Gołębkiem; jak słodką radością poila się dusza moja widzieć rycerstwo nasze tak porządne, tak ćwiczone: co za widok nowy dla tego, co, sam niedawno służąc w wojsku litewskim, widział mdle tylko pułki od 200, a czasem i 80 tylko ludzi złożone.

Tymczasem stan państw europejskich i nowe we Francji zaburzenia, ucieczka króla francuskiego i powrót jego, wyjazd książąt francuskich za Ren, tłumy emigrantów francuskich rozproszone po Koblentz, Widniu, Berlinie, Dreźnie, Petersburgu nawet, już dosyć krzyżujące się interesa monarchów bardziej jeszcze zatrudniły. Pospieszono się z zawarciem pokoju w Szystowie. Carowa korzystała z trwogi, którą przesadne zasady Francuzów przeraziły królów, gdy z jednej strony powiększała tę trwogę, z drugiej łudziła pełnomocników angielskiego i pruskiego udawaną powolnością przyjęcia wkrótce propozycji; tak, tymczasem, gdy oni czekają, gdy uzbrojona już eskadra angielska ostatniego tylko czeka rozkazu, by wynieść na Morze Bałtyckie, carowa oświadcza panu Fawkener, posłowi angielskiemu, że przedugodne warunki pokoju z Porta dnia 11 sierpnia w Galatz podpisanymi zostały. Takim to natrząsającym podejściem zniweczyła carowa wszystkie postrachy i przygotowania wojenne Anglii i Prus, takie z opieszałości i niedeterminacji swej skutki odniosły te państwa. Użyła Katarzyna II pozorów rewolucji francuskiej na zniedołężnienie wszystkich na nią zamachów i zwrócenie uwagi wszystkich od Polski do Francji.